

Erich von Däniken

Objawienia

**Fenomeny, które wstrząsają
światem**

Słowo wstępne

Musiałem napisać tę książkę. Z myślą o niej nosiłem się od dziesięciu lat, gdy po raz pierwszy znalazłem się w Lourdes, w owym gigantycznym ogrodzie, gdzie tak bujnie krzewią się obok siebie i kwitną: nadzieja, rozpacz i biznes.

Poszukiwałem na wszystkich kontynentach śladów moich bogów--astronautów, nie pomijając jednocześnie sposobności odwiedzenia wszelkich dostępnych miejsc objawień. Jakże one były w gruncie rzeczy do siebie podobne! Coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że zjawiska te dotyczą nas wszystkich.

Z bogów-astronautów nie zrezygnowałem, jednakże są tematy, które niczym jabłka jesienią dojrzewają same.

Kim są ludzie posiadający predyspozycje do „odbierania” objawień? Neurastenicy dręczeni religijnymi urojeniami?

Czy kościoły chrześcijańskie, zwłaszcza Kościół rzymskokatolicki, mają prawo czerpać korzyści z cudów uznanych przez nie za „prawdziwe”?

Czy słowo Boże — jedynie miarodajną i ostateczną instancję kościelnych orzeczeń — należy rzeczywiście uważać za natchnione przez Ducha Świętego?

Czy dogmaty Kościoła rzymskokatolickiego, odgrywające zasadniczą rolę również przy objawieniach, pochodzą od Boga?

Czy różnego rodzaju cuda, jakie bez wątpienia dokonują się w miejscach religijnych pielgrzymek, są oszustwem czy oszukiwaniem samego siebie?

Czy istnieje wiedza medyczna i przyrodnicza, która mogłaby wytłumaczyć te fenomeny w sposób wiarygodny?

Podróżowałem do miejsc objawień, szperałem po rozmaitych bibliotekach, rosły stosy materiałów, a mnie ogarniały coraz większe wątpliwości. Już taki jestem, że nie umiem przyjmować niczego na *wiarę*.

Wolałbym raczej *wiedzieć*, robiąc użytek z danego nam od Boga rozsądku, co można wytłumaczyć bez powoływania się na anonimowego i o wszystko pomawianego Ducha Świętego. Toteż zabrałem się do pracy jak ciekawski robotnik w winnicy Pana, jak ktoś, dla kogo Bóg jest zbyt wysoką instancją, by nieustannie przywoływać Go do pomocy w argumentacji.

Po wieloletnim zgłębianiu tych zjawisk chyba mogę zaryzykować stwierdzenie, że dotychczas nie było podobnego kompendium. Stąd też niektóre kwestie pozostaną naturalnie otwarte. Mam jednakże nadzieję, że w przyszłości nie tylko instancje kościelne, ale również właściwi naukowcy zajmą się zbadaniem przyczyn i skutków ogromnego kompleksu objawień i cudów, aby odważnie, w sposób godny zaufania sprostować to, co w obiegowych pojęciach jest nieprawdziwe.

Chciałbym bardzo serdecznie podziękować panu doktorowi Robertowi Kehlowi z Zurychu za wiele cennych pomysłów oraz materiały, które udostępnił mi jako zaproszony do współpracy Autor. Dr Kehl studiował teologię, potem prawo i ekonomię polityczną. Z jego komentarzy prawnych na co dzień korzystają szwajcarscy adwokaci i sędziowie. Obok licznych publikacji dr. Kehla szczególnie dwa dzieła z zakresu teologii moralnej zdobyły mu rozgłos.

Równocześnie chciałbym wyrazić podziękowanie dwudziestu trzem wydawcom, którzy przyczynią się do spopularyzowania w świecie tej książki.

Bonstetten koło Zurychu

Erich von

Däniken

w sierpniu 1974 roku

I. Czy można mówić o objawieniach?

Niestety, nigdy nie byłem naocznym świadkiem objawienia. Ani razu żaden z dwunastu tysięcy świętych nie powiedział mi: „Pochwalony”. Gdy jednak po raz pierwszy znalazłem się w Lourdes, a było to przed dziesięciu laty, uświadomiłem sobie, że te fenomenalne zjawiska dotyczą w jakiejś mierze nas wszystkich. Widziałem ludzi owładniętych ekstatycznym uniesieniem, słuchałem chóralnego śpiewu, płynącego z głębi ich udręczonych serc. Patrzyłem na bezmiar cierpienia, a wykorzystywanie ufności tych wierzących istot wzbudzało we mnie obrzydzenie. Nie ujrzałem cudu.

Sto dwadzieścia pięć lat temu w Lourdes czternastoletnia dziewczynka miała cudowne widzenie. Od tego czasu po dziś dzień każdego roku nawiedza to miejsce pięć milionów pielgrzymów. „Lourdes” stało się niejako znakiem firmowym dla setek tysięcy miejscowości, będących celem

turystyki religijnej, w których „pracuje się” za pomocą identycznych lub podobnych rekwizytów.

Czym jednak można wyjaśnić to misterium — żeby się posłużyć terminologią katolicką — „obecności łaski bożej w człowieku”?

Zawsze najpierw jest widzenie. Wizualny kontakt osoby lub niewielkiej grupy osób z członkami Rodziny Bożej (na katolickim Zachodzie przeważnie z Marią, matką Jezusa, z archaniołami, z Jezusem Chrystusem, a nawet z Bogiem Ojcem *in persona*). Postacie występujące w objawieniach nie przejawiają neutralnej postawy. Nie są to goście jedynie obserwujący, rozdzielający uśmiechy i błogosławieństwa — oni pouczają ludzi, co im czynić wolno, a co jest absolutnie zakazane. Każda ze zjaw zapewnia, że jest wysłanniczką nieba, ambasadorem Boga, że posiada moc uzdrawiania, zbawienia ludzkości, lecz także jej zniszczenia. Ingerują w sprawy religii i polityki, opanowują umysły zastępów bojowników. Czy *Niebo* zwraca

się ku Ziemi?

7

Uganiałem się za moimi bogami-astronautami, ale nie mogłem zapomnieć wrażeń wyniesionych z Lourdes. Gromadziłem „urzędowe” doniesienia na temat objawień oraz traktaty sprzedawane w miejscach pielgrzymek. W *każdym* przypadku, gdziekolwiek to było, wizjonerzy przyciągali nie kończące się procesje pątników bez względu na

to, czy Kościół uznał cud za „prawdziwy”, czy zakazał uznawania za taki lub tylko milcząco tolerował. „Czemu Kościół nie może przeszkodzić, temu błogosławi” (Kurt Tucholsky). Silniejsze jednak od każdego zakazu będzie zawsze ludzkie *pragnienie wiary w cuda*.

Więcej niż połowa ludzkości wierzy w cuda

Przed paroma laty w Republice Federalnej Niemiec i w Berlinie Zachodnim przeprowadzono reprezentatywne badanie opinii publicznej. 53 procent ankietowanych odpowiedziało, że wierzy w cuda i objawienia, 36 procent, że nie wierzy, a 11 nie wypowiedziało się jednoznacznie. Myślę, że te wyniki są znamienne nie tylko dla badanego obszaru i jego ankietowanych mieszkańców. Są kraje, zwłaszcza katolickie, gdzie liczba wierzących w

cuda jest procentowo znacznie większa.

Na jakiej glebie kwitnie wiara w cuda? Jakaż to odwieczna siła pozwala się jej rozwijać? Niezależnie od czasu, miejsca, kultury. Bez względu na rodzaj i charakter religii.

Chcąc sobie uświadomić znaczenie tego fenomenu, móc go w ogóle zrozumieć, trzeba bliżej poznać „wizjonerów” oraz miejsca i okoliczności z nimi związane. Dlatego na wstępie przytoczę zadziwiająco szczegółowe opisy niektórych przypadków, które zawierają w sobie wszystkie istotne cechy tego rodzaju dziwów.

Rosa mystica

Wydarzenie, które sprawiło, że Montichiari, położone dziesięć kilometrów od Brescii we Włoszech, stało się głośne, miało miejsce wiosną 1947 roku. Młoda pielęgniarzka Pierina Gilli

ujrzała w szpitalnej kaplicy „piękną Panią” w fioletowej sukni. Postać unosiła się w powietrzu. Obca Pani płakała. W jej piersi tkwiły trzy miecze, przy czym nie było widać ani kropli krwi. Nieznajoma ze smutkiem wyrzekła: „Modlitwa--Ofiara-Pokuta”.

9

Bogobojna panna Pierina była zakłopotana. Czy to duch? Czy zwodzą ją oczy i rozum? A może ona, prosta dziewczyna, ma do czynienia z „prawdziwym” objawieniem? Na razie osobliwe wydarzenie zachowała dla siebie.

13 lipca 1947 roku niezwykła historia się powtórzyła. Tym razem piękna Pani wystąpiła w bieli, a w jej piersi zamiast mieczy tkwiły trzy róże: biała, czerwona i żółta. Wylękniona Pierina

zapytała: — Kim jesteś, Pani? — Dama odpowiedziała łaskawie z uśmiechem: — Jestem matką Jezusa i matką wszystkich... Pragnę, aby co roku dzień 13 lipca święcono jako dzień „Tajemniczej Róży” (*Rosa mystica*) [1]. Co powiedziawszy, zjawą rozplynęła się powoli.

Cudowne zjawisko powtórzyło się w wiejskim kościele 22 października oraz 16 i 22 listopada. Obca Pani odpowiadała na wiele pytań Pieriny. Wzruszające było trzecie z tych spotkań, kiedy uroczyście przyrzekła, że objawi się w tym samym miejscu 8 grudnia w południe.

Wielki dzień Montichiari

Wieść o niezwykłych przeżyciach Pieriny dawno już rozniosła się poza Montichiari po całej Lombardii. Nic zatem dziwnego, że 8 grudnia przybyło tu kilka tysięcy ludzi, którzy tłumnie zapełnili kościół i ulice. Główna postać

widowiska, Pierina Gilli, z trudem, prawie na siłę przepchnęła się do kościoła. Tam uklękła na środku nawy, w miejscu gdzie już trzykrotnie objawiła się jej piękna dama, od dawna nazywana przez ludzi „Matką Boską”. Pierina wraz z tłumem wiernych i ciekawych odmawiała różaniec. Nagle wykrzyknęła: — O, Madonna! — Zrobiło się cicho, jak makiem zasiał. Nikt niczego nie widział, to znaczy: niektórzy nie byli zupełnie pewni, czy czegoś jednak nie widzą. W każdym razie wszyscy wpatrywali się w Pierinę, żeby nie uronić niczego z dialogu dziewczyny z Matką Boską. W krótkich, szeptem wypowiedzianych słowach wiadomości z kościoła docierały do tłumu oczekującego na zewnątrz.

Mówiono, że Pierina ujrzała Matkę Boską stojącą na wysokich, białych jak śnieg schodach, tym razem też z różami: białą, czerwoną i żółtą. Pani z uduchowionym uśmiechem wyjawiała: — Jam jest Niepokalane Poczęcie. Jam jest Maryja

Łaski, matka mego boskiego Syna Jezusa
Chrystusa.

I zstępując po białych schodach rzekła do
Pieriny: — Pragnę, aby od mego przybycia do
Montichiari nazywano mnie „Tajemniczą

Róża". — Po czym, stanąwszy na dolnych stopniach, przyrzekła:

— Ktokolwiek tu, na tych kamieniach, pomodli się i uрони łzy skruchy, odnajdzie pewną drogę do nieba i przez moje matczyne serce dozna opieki i łaski.

Potem przez dziewiętnaście lat nic się nie działo. I jak to zwykle bywa, jedni ludzie drwili z Pieriny, a inni czcili ją jak świętą. Od 8 grudnia 1947 roku kościół, w którym miało miejsce objawienie, stał się celem pielgrzymek rzesz wiernych i pragnących uzdrowienia, ponieważ tu, w Montichiari, dokonywały się cuda za cudami. Co do tego nie było najmniejszej wątpliwości.

Źródło w Fontanelle

17 kwietnia 1966 roku — była to niedziela przewodnia — Pierina spędzała w Fontanelle, miejscu odległym od Montichiari zaledwie o trzy

kilometry. Gdy siedziała na stopniach wiodących do źródelka, nagle zobaczyła „Tajemniczą Różę”. Postać unosiła się nad strumykiem. Pani zażądała, żeby Pierina po trzykroć z góry na dół ucałowała stopnie schodów, a na najniższym ustawiła z lewej strony krucyfiks. Pierina wypełniła rozkazy.

13 maja 1966 roku Pierina modliła się przy źródle, a wraz z nią było tam około dwudziestu osób. O godzinie 11⁴⁰ znów ukazała się „Tajemnicza Róża” i wyraziła konkretne życzenie: — Pragnę, aby powstał tu wygodny zbiornik wody, w którym byłoby można zanurzać chorych.

— Tym razem ośmielona już Pierina zapytała panią z różami: — Jak ma się nazywać to źródło? — Usłyszała odpowiedź: — Źródło Łaski.

— Pierina wypytywała dalej: — Pani, czego pragniesz, aby zostało spełnione w Fontanelle? — Uczynków

miłosierdzia wobec chorych,
którzy będą tu przybywali [2].— Co
powiedziawszy, święta Dziewica
zniknęła.

Chorzy będą uzdrawiani przy źródle w Fontanelle! Lotem błyskawicy wieść rozeszła się po kraju, był to nieomal nakaz: Sprowadzajcie chorych! I rzeczywiście miały tu miejsce cudowne uzdrowienia.

8 czerwca. Ponad sto osób klęczy, modląc się u źródła. Krótco po godzinie 15⁰⁰ przybywa Pierina. Wzywa obecnych do wspólnego różańca. W kilka chwil później przerywa modlitwę, wołając: — Spójrzcie w niebo!

Nie tylko Pierina, lecz również niektórzy z wiernych widzą Matkę Boską, unoszącą się nad łanem zboża sześć metrów powyżej źródła.

Hostie dla Fatimy, papieża i wiernych

I znów objawia się Pani z trzema różami. Tym razem Matka Boska wyraża życzenie, aby z ziarna zebranych tu kłosów upiec hostie. Hostie powinny być dostarczone do Rzymu, a 13 października do Fatimy w Portugalii. Powiedziawszy to, zamierza się oddalić, ale Pierina błaga, żeby jeszcze pozostała. Święta Dziewica odwraca się więc do wybranki Pieriny, a ta przedkłada Jej prośby i pytania wiernych, duchownych oraz chorych.

6 sierpnia. Ponad dwieście osób modli się przy źródle. O godzinie 14³ ° nadchodzi Pierina i zachęca wszystkich do wspólnego odmawiania różańca. Przy czwartej tajemnicy przerywa modlitwę. — Nasza droga Pani jest tu! — woła.

Cichną modlitwy i rozmowy. Wszyscy przysłuchują się dialogowi Pieriny z niewidzialną dla nich istotą. Na prośbę o bliższe wskazówki,

co dalej czynić z hostiami, „Tajemnicza Róża” nakazuje przesłać je „umiłowanemu synowi, papieżowi Pawłowi” jako uświęcone Jej obecnością w tym miejscu. Z reszty ziarna należy upiec bułeczki i dla uczczenia Jej przybycia rozdzielić między wiernych w Fontanelle.

Od tego czasu tak w Fontanelle, jak w Montichiari ludzie modlą się i żyją nadzieją. Przez wszystkie dni i noce. Podobnie jak w wielu innych miejscowościach, gdzie miały miejsce objawienia.

„Osaczanie” fenomenów

Podsumowując: jest to klasyczny przypadek objawienia. Nie znana nikomu do czasu szczególnego wydarzenia osoba widzi „coś”. Opowiada o tym, gdyż jest wstrząśnięta swoim przeżyciem.

Czy wizjonerzy są ludźmi obdarzonymi szczególnymi właściwościami? A może są

bardziej pobożni od innych? Bigoci czy ekstrawertycy, którzy pragną zwrócić na siebie uwagę?

Zjawiska określane jako objawienia, jako „wrażenia uświadamiane za pomocą zmysłów”, osobliwe wydarzenia, dziwy, wymagają metodycznych badań. Potrzebne są fakty, możliwie najlepiej poświadczone dowodami.

Przez dziesięć lat gromadziłem informacje o „objawieniach”. Gdy zaczynałem tworzyć to archiwum, nawet nie przeczuwałem, że zgromadzę tak przeogromną ilość drukowanych materiałów. Selekcjonowałem

je, a właściwie wybierałem przypadki najbardziej typowe, podobne do wielu innych, aby na podstawie faktów znamienych dla tego rodzaju zjawisk móc zaproponować ich wytłumaczenie.

Jeśli powiem, że tylko w świecie chrześcijańskim liczba odnotowanych objawień sięga czterdziestu tysięcy (!), łatwo się domyślić jak polisemantyczny jest ten materiał. Tak więc, niejako galopując przez historię aż do teraźniejszości, wybrałem i przedstawiłem przypadki objawień potwierdzonych dokumentami. Jakie wynikają z tego wnioski, jakie nasuwają się uzasadnienia i które z nich byłyby hipotetycznie do przyjęcia, okaże się dopiero po przekopaniu tego olbrzymiego materiału.

Skrwawiona chusta *i* Iborry

Każdego roku w miejscowości Iborra

(Hiszpania) 16 sierpnia jest dniem adoracji skrwawionej chusty. Od 1010 roku relikwia ta stanowi przedmiot szczególnego kultu religijnego.

Podobno w roku tym podczas mszy, gdy zabrzmiał dzwonek na podniesienie, przewielebnego Bernarda OHviera ogarnęło zwątpienie. Od tej chwili — jak głosi przekaz — w zagadkowy sposób zaczęło przybywać krwi w kielichu i wierni ujrzeli, że spływa ona ze stołu Pańskiego po stopniach ołtarza na posadzkę kaplicy. Obecnych w świątyni ogarnęło przerażenie. Poruszona wyobraźnia osiągnęła szczyty. Jak odnotowano w annałach, niektóre niewiasty zaczęły chustkami wycierać krew z kamiennych płyt. Biskup Solsony, święty Ermengol, dowiedział się o cudzie i doniósł o nim papieżowi. Papież Sergiusz IV (1009—1012) zezwolił na publiczną adorację osobliwej relikwii — skrwawionej chusty z Iborry.

W cudach występują nie tylko święte postacie, niekiedy mogą to być też ich „rekwizyty”. Iborra nie jest odosobnionym przypadkiem.

Fluoryzujące zwłoki

W roku 1073 w Pirllemoncie w Brabancji został zamordowany nabożny monsieur Thierry, rektor uniwersytetu paryskiego. Okrutni bandyci wrzucili jego ciało do mętnego bajora. W całej miejscowości długo i daremnie poszukiwano ofiary, aż nagle w owym bajorze zajaśniała „przedziwna światłość” wokół zwłok, które dzięki temu

odnaleziono. Pewien artysta w podzięce za tak zdumiewające odkrycie i cud namalował Matkę Boską unoszącą się na drewnianym pomoście nad wodą. W 1297 roku obraz przewieziono do nowo wybudowanej kaplicy. Podczas uroczystej konsekracji — jak odnotowano w dokumentach — wokół obrazu pojawiła się „nie dająca się niczym wytłumaczyć łuna” [3]. Mimo iż nie zostało to potwierdzone w tekstach źródłowych, przypuszczam, że niezmordowanie czynna wszędzie Święta Dziewica i tu dokonała przedziwnej sztuki. Być może uśmiechnęła się tym razem z ram obrazu do całego zgromadzenia. Jej możliwości zawsze wykraczają poza zwykłe ramy.

Objawienia pozostawiają ślady

Na wzgórzu Codol, odległym o pięć kilometrów od Javity (niedaleko Walencji w Hiszpanii), 23 lutego 1293 roku niewielki oddział

chrześcijańskiego rycerstwa toczył bitwę z wielokrotnie większymi siłami islamu. Przed bitwą sześciu chrześcijańskich wodzów zapragnęło przystąpić do komunii świętej. Mężowie ci zdążyli odbyć spowiedź, ale na przyjęcie komunii zabrakło czasu, bowiem właśnie z pobliskiego zamku Chio dotarł już do kościoła bojowy okrzyk wroga. Rycerze nie zwlekając chwycili za oręż. Kapłan przejęty trwogą na myśl, że muzułmanie mogliby zniszczyć świątynię, ukrył obrus z ołtarza i hostie pod stertą kamieni. Chrześcijańscy wojownicy zwyciężyli wroga. Gdy kapłan dobył ze schowka obrus, spostrzegł na nim sześć *krwawych* hostii.

Ale nie koniec na tym. Następnego dnia muzułmanie natarli zwiększonymi siłami. Sytuacja stawała się beznadziejna. Chrześcijańscy rycerze musieli się wycofać ze zdobytego poprzedniego dnia warownego zamku Chio. Kapłan, działając pod wpływem

natchnienia, przywiązał do żerdzi ów obrus uświęcony cudem z hostiami i ze zwieńczonej blankami wieży zaczął nim powiewać ku wrogom. Podanie głosi, że z obrusa spłynęły na rozległą okolicę świetliste promienie, a ich moc rażenia była tak wielka, że oślepieni wrogowie rzucili się w popłochu do ucieczki.

Czy jest to dowód, iż niegdyś siła oddziaływania cudów była tak potężna? Że za sprawą cudu całe armie mogły ponosić klęski? I że w obliczu chrześcijan nawet bojowy okrzyk: „Allah jest wielki!” okazywał się bezskuteczny? Jak z tego widać, zjawy to nie zawsze pokojowo usposobione duchy. Jeśli trzeba, potrafią szerzyć panikę i grozę.

Każdy przybywający do Hiszpani może w kościele w Daroca obejrzeć na własne oczy obrus z ołtarza, a na nim sześć krwawych plam [4].

Kłosa na cześć Pana

Kiedyś, w czternastym wieku, dokładna data nie jest znana, pewien żniwiarz koło miejscowości Trois-Epis w górnej Alzacji (Francja) zranił się śmiertelnie kosą. Dla upamiętnienia jego tragicznej śmierci wieśniacy przybili na dębie krzyż i miejsce wypadku nazwali „pod nieboszczykiem”. 3 maja 1491 roku przejeżdżał tamtędy konno kowal Dietrich Schóre, człowiek krzepki i rozsądny. Nagle ukazała mu się kobieca postać w białym płaszczu, otulona welonem, w jednej ręce trzymała sopel lodu, w drugiej zaś trzy kłosa. Zjawa oświadczyła osłupiałemu kowalowi, że wszechmocny Bóg ześle na tutejszych ludzi za ich grzechy i występki choroby, ulewne deszcze i

mrozy, jeśli nie okażą skruchy i nie uczynią pokuty. Ale kłosa, powiedziała Pani, są symbolem szczęścia i dobrych plonów, których Bóg nie poskąpi za Jej wstawiennictwem.

Kowal nie przypisywał zdarzeniu większego znaczenia, nawet nie chciał wspominać o nim wieśniakom z Niedermorschweiher. Aż stało się coś dziwnego! Kupił na targu worek ziarna, ale mimo wydatnej pomocy kilku parobków nie mógł ładunku umieścić na końskim grzbiecie, bo worek robił się coraz cięższy. Kowal Dietrich Schóre — co nietrudno zrozumieć — ugiął się przed boską wszechmocą i opowiedział ludziom o objawieniu. Duchowni od razu właściwie to zrozumieli i zaczęli nawoływać do udania się procesją „pod nieboszczyka”. Delikatna Pani jest świetnie zorientowana w problemach swoich owieczek. Wygra ten, kto obieca chłopom dobre plony.

Trois-Epis jest znanym miejscem pielgrzymek

w Alzacji [5].

Nawrócenie przez cud

Święty Tomasz z Villanueva, arcybiskup Walencji, podał, że w roku 1554 pewien konający człowiek opowiedział mu taką oto historię: „Byłem Żydem i zostałem wychowany według surowych, żydowskich zasad. Pewnego dnia wybraliśmy się we trzech na spacer, nagle spostrzegliśmy, że błękitne niebo otworzyło się jak kurtyna. Ogarnęło nas przerażenie, ponieważ żaden z nas nigdy nie widział równie

dziwnego zjawiska. I wtedy na tle niebieskiego nieba ukazał się złocisty kielich, a nad nim śnieżnobiała hostia. Wiedzieliśmy, że chrześcijanie spożywają taki rodzaj «chleba Pańskiego», ale wszyscy trzej byliśmy okropnie przerażeni. Następnego dnia dowiadywałem się, jakie są możliwości zostania chrześcijaninem. Kiedy doszedłem do pełnoletności, przyjąłem wiarę katolicką. Muszę to wyznać przed śmiercią, bo powodem zmiany wiary żydowskiej na chrześcijańską był właśnie cud" [6].

Do czegoż to nie przydają się objawienia? Największe efekty osiągają z pewnością w czasie nawracania...

Nagroda za dochowanie wiary

W maju 1594 roku panował w Guadelupe (Ekwador) straszliwy głód. Długotrwała susza spustoszyła kraj. Grupa Indian-chrześcijan, do-

prowadzonych do najwyższej rozpacz, postanowiła wyrzec się nowej wiary i odwołać się do pomocy dawnych, wypróbowanych bogów. Podczas gdy czynili przygotowania do obrzędowych tańców, nagle ukazała się im Pani, która „unosila się nad ziemią”. Zjawa przyrzekła Indianom, że jeśli w tym miejscu wzniosą na jej cześć świątynię, natychmiast położy kres klęsce głodu. Indianie od razu domyślili się w widzianej postaci Matki Boskiej i uczynili, co nakazała. Klęska głodu została od nich odwrócona.

Do dziś każdego roku 13 sierpnia obchodzony jest przez Indian jako dzień „Pani z Guadelupe” [7].

Objawienia zobowiązują.

Matka Boska w akcji

Klasztor w Concepción (Chile) należy do sióstr trynitarek. W klasztorze tym znajduje się naturalnej wielkości figura Matki Boskiej w

koronie. Ręce postaci wyrzeźbionej w cedrowym drewnie nie są złożone do modlitwy, lecz wyglądają, jakby coś miały. I ma to uzasadnioną przyczynę.

Gdy w 1600 roku wrogowie zaatakowali miasto Concepción i kaplicę, gdzie stała cedrowa statua, posąg — w nader tajemniczy sposób — opuścił podobno kaplicę, aby ukazać się napastnikom na tle jednego z drzew. Madonna podnosiła grudy ziemi i wytrwale miotła nimi

w atakujących. Wydaje się zupełnie prawdopodobne, że na widok tak bojowo usposobionej drewnianej Pani trwoga ogarnęła nawet najodważniejszych i rzucili się oni w panice do ucieczki. Prawda to czy legenda, tego dziś stwierdzić już nie sposób, ale faktem jest, że figura „miotającej Pani” z Concepcion po dziś dzień jest obiektem głębokiej czci religijnej [8].

Wydaje się godne odnotowania, że często zjawy nie są w ogóle eteryczne i, podobnie jak Madonna z Concepcion, potrafią rzucać nawet błotem, jeśli przewidują, że sprawi to właściwe wrażenie na ich owieczkach. Cel uświęca środki!

Ludu, popraw się!

Wieść o „zastraszającym wydarzeniu”, odnotowana pod datą 3 grudnia 1712 roku, pochodzi z Besancon, miasta we francuskiej Jurze. Donosi o tym Magopholis w książce

wydanej w 1860 roku w Weimarze: *Nowa galeria zjawisk nadprzyrodzonych, cudownych i tajemniczych.*

Niebo było bezchmurne, rozświetlone słońcem, gdy nagle około godziny dziewiątej rano ujrzano postać mężczyzny unoszącego się na wysokości „dziewięciu lancy”, która to postać doniosłym głosem zawołała: — Ludu, ludu, ludu, popraw się, albowiem nadszedł koniec dni twoich! — Działo się to w dzień targowy i, jak podaje Magopholis, na oczach tłumu liczącego ponad dziesięć tysięcy ludzi.

Po tym ostrzeżeniu, nie oszczędzającym nikogo, postać zniknęła w obłoku, jak gdyby wstąpiła wprost do nieba. A w godzinę później zapadły takie ciemności, że na dwadzieścia mil wokół nie widać było ani ziemi, ani nieba. Cytuję za Magopholisem: „Straszliwa bojaźń i wielka zgroza ogarnęła wszystkie umysły. Wielu zmarło nagłą śmiercią. Ludność wyszła z procesją i

wznosiła żarliwe modły ku niebu. Po trzech dniach zaczęło się wreszcie przejaśniać, ale zerwała się straszliwa burza, jakiej nie pamiętali najstarsi w mieście, i trwała około półtorej godziny. Potem nastąpiło oberwanie chmury, woda lała się strumieniami z nieba, a równocześnie ziemia tak się zatrzęsła, że całe miasto legło w gruzach. Na obszarze czternaście mil długim i około sześciu szerokim ocalały jedynie: zamek, wieża kościelna i na środku tego terenu trzy domostwa. Widać je na okrągłym pagórku, można też dostrzec niektóre fragmenty miejskich murów, a na wieży zamku od strony wsi Des Quetz powiewające chorągwie i sztandary. Nikt tam nie może podejść bliżej.

Również nikt nie może powiedzieć, co to wszystko ma znaczyć. Nikt nie może tam spojrzeć, bo widok ten budzi przerażenie. Jest to zdarzenie niezwykle i przerażające".

Tak więc mąż z nieba, nie zidentyfikowany z imienia i oblicza (choć wypowiedziane przez niego ostrzeżenie: „ludu popraw się, albowiem nadszedł koniec dni twoich" jest ponad wszelką wątpliwość chrześcijańskiego pochodzenia), swym objawieniem się spowodował w Besancon niebywały chaos. Tym, którzy powinni być trzymeni w bojaźni bożej, trzeba dać od czasu do czasu jakiś wyraźny znak. Besancon było przestrogą dla całego kraju.

Objawienia zawsze i wszędzie

Już z najdawniejszych przekazów wiadomo, że objawienia miały miejsce we wszystkich religiach, niezależnie od ich koncepcji i czyn-

ników cywilizacyjnych. Zawsze były, są i będą.

Jestem członkiem społeczności chrześcijańskiego Zachodu, człowiekiem wychowanym w duchu nauki Kościoła rzymskokatolickiego, i wiem, że ta książka trafi przede wszystkim do rąk czytelników zachodniego świata, dlatego zajmę się przede wszystkim chrześcijańskimi objawieniami. Chciałbym jednakże podkreślić, że można by mówić o takich samych faktach (które wzbudzają takie same wątpliwości) odnotowanych również w innych regionach świata: w Azji, Afryce i w Ameryce Południowej. To jest pewne. Zatem dla jasności należy jednoznacznie stwierdzić: objawienia nie są wcale przywilejem religii katolickiej.

Objawienia biblijne

Żydzi nie uznawali Jezusa za Zbawiciela i nie wiedzieli o jego Świętej Rodzinie. A więc jak

to być może, że w Starym Testamencie aż roi się od objawień?

Abrahamowi ukazały się dwa anioły, podobnie Lotowi przed spaleniem Sodomy i Gomory. Jakub, drugi z synów patriarchy Izraela, ten, który „za miskę soczewicy” odkupił pierworództwo od swego brata Ezawa, musiał nawet walczyć z aniołem nad rzeką Jabbok. Mojżesz był świadkiem wielu objawień. Najbardziej znane miało miejsce na górze Synaj, gdzie Bóg nakazał mu wyprowadzić Żydów z egipskiej niewoli.

Przekazy głoszą, że lud Izraela przez czterdzieści lat podążał w swej wędrówce za osobliwym zjawiskiem: za słupem obłoku, który nocą gorzał jak słup ognia [9]. Bóg ukazywał się nawet Bileamowi, który cieszył się złą sławą fałszywego proroka i głosiciela błędnej nauki. Król Nabuchodonozor (również i ten władca nie wszedł do historii jako uosobienie cnót) przerażony był widokiem zjawy „piszącej ręki”, którą ujrzał podczas uroczystej uczty w Babilonie. Obu bohaterom Tobiaszom, ojcu i synowi, ukazał się w apokryficznej Księdze Tobiasza archanioł Rafael (dziś patron aptekarzy). Pobożnemu Dawidowi ukazał się między innymi Syn Człowieczy (jeszcze się nie narodził!). Salomon, król Izraela i Judy, ten, któremu zawdzięczamy tak często niezrozumiałe „salomonowe wyroki”, głosił, że wiele razy oglądał Pana. Tak, ale żeby nie przeoczyć najważniejszego: objawienia zaczęły się już w

raju. Naszym nieobyczajnym prarodzicom, Adamowi i Ewie ukazywał się Bóg i różni aniołowie [10].

Przedstawiona lista biblijnych objawień nie aspiruje bynajmniej do tego, by mogła być uznana za pełną.

Któż nie powołuje się na objawienia?

Według legendy założycielami Rzymu byli Romulus i Remus, bliźniaczy synowie Marsa. Podrzucone noworodki wykarmiła wilczyca, a wychowywał pasterz Faustulus. Romulusa, który panował rzekomo w Rzymie w latach 753—716 prz. Chr., nawiedził pewnego dnia duch Seweriusza Tulusza, syna Wulkana. Zjawa ukazała się w „blasku ognistym nad skronią” [11]. Herodot — żył prawdopodobnie w latach 485—425 prz. Chr. — był historykiem, podróżował po wielu krajach, a wsławił się przede wszystkim opisem wojen perskich.

Wiedział, że Persowie usłyszeli w świątyni Ateny Pronoja w Delfach „tak zadziwiający krzyk”, iż rzucili się do ucieczki. Istnieją liczne doniesienia o objawieniach akustycznych, o głosach, które słychać, przy czym osoby, do których należały, pozostawały niewidzialne. Bóg sztuki lekarskiej, Eskulap, ukazywał się codziennie w świątyniach tym, którzy szukali uzdrowienia, jak czyni to w nowoczesnej klinice naczelny lekarz, wizytujący pacjentów.

Numa Pompiliusz — zgodnie z legendą — drugi król Rzymu, również Minos król Knossos, syn Zeusa i Europy, jak też legendarny król Sparty Likurg, ci trzej słynni ustawodawcy i wybitni mężowie formułowali swoje twórcze idee z inspiracji objawiających się im bogów.

Eneasz — bohater mitów trojańskich — ukazywał się po śmierci swemu synowi Askaniuszowi w pełnym rynsztunku i w otoczeniu drużyny. Gajusz Juliusz Cezar, urodzony 13 lipca 100 roku prz. Chr., a zamordowany 15 marca 44 roku, ukazawszy się pewnemu Tesalijczykowi, polecił mu, by ten zapowiedział jego adoptowanemu synowi Gajuszowi Oktawianowi przyszłe zwycięstwo pod Filippi. Twórcy staroirańskiej religii — Zaratustrze, uznawanemu za proroka, około roku 600 prz. Chr. objawione zostały najważniejsze rozdziały *Awesty* (teksty religijne jego wyznawców). Mahomet, żyjący w latach 570—632 po Chr. — twórca islamu i głosiciel wiary w jedyne boga Allaha, około 610 roku poczuł się powołany do szczególnego posłannictwa. Ogłosił mianowicie w Mekce prawdy objawione mu przez Allaha w widzeniach, które zapisano w Koranie.

Prawdopodobnie twórcy religii nie mogliby się

obejść bez objawień. Były im one potrzebne jako świadectwo stałego kontaktu ze światem nadziemskim. Dzięki temu głoszone przez nich nauki stawały się atrakcyjniejsze i oddziaływały skuteczniej. Wprawdzie ich myśli nacechowane mądrością byłyby doskonałe nawet bez powoływania się na objawienia, ale nimb świętości wyzwał u wyznawców znacznie silniejsze reakcje.

Czy objawienia są przywilejem wybrańców?

Święty personel uczestniczący w objawieniach ukazywał się na ogół i był „słyszany” tylko przez wizjonerki i wizjonerów. Ci z kolei, powodowani potrzebą podzielenia się doznanymi wrażeniami z innymi, stawali się niejako ambasadorami widzianych postaci, kojarzonymi potem z cudami, które *nolens volens* dokonywały się w

miejscach objawień. Co jak co, ale tego rodzaju wieści docierają błyskawicznie do wielkiej liczby ludzi, jakby czekających tylko na takie rewelacje.

Fatima

Tak też było z Fatimą, wioską położoną w portugalskiej prowincji Estremadura. Każdego 13, od maja do października 1917 roku, trojgu pastuszkom objawiała się Madonna jako Matka Boska Różańcowa, która za każdym razem apelowała do nich, by w miejscu objawień wzniesiono na Jej cześć kaplicę. Dzieci opowiadały o swoich widzeniach

z uniesieniem i zachwytem. Objawienia stały się

sensacją lata i jesieni 1917 roku, głośną nie tylko w Portugalii, lecz również daleko poza jej granicami.

Początkowo źródłem informacji były relacje dzieci, mimo to, przed 13 każdego miesiąca zaczęły przybywać do Fatimy nie kończące się pielgrzymki pątników. Wiarygodne źródła podają, że 13 października 1917 roku w miejscu objawienia czekało na cud około 70—80 tysięcy ludzi. I podobno im się to opłaciło, ponieważ stali się świadkami wydarzenia, które było niezapomnianym przeżyciem nie tylko dla trojga pastuszków.

Cud słońca w Fatimie

Lało jak z cebra, zatem nadzieja, że Matka Boska się objawi, była nikła. Ale nagle rozdarła się powłoka chmur, wyrzwał spod niej kawałek błękitnego nieba, zaświeciło słońce, które nie oślepiało. I zaczął się „cud słońca w Fatimie”.

Wszystko, o czym tu piszę, zostało odnotowane w kronice tego wielkiego dnia.

Słońce zaczęło drgać i chybotać. Poruszało się to w lewo, to w prawo, w końcu, niczym gigantyczna kula, zawirowało wokół własnej osi z niesłychaną szybkością. Wytrysnęły zeń kaskady barw: zieleni, czerwieni, błękit i fiolet, i pogrążyły krajobraz w nierzeczywistym — tak napisano — niezemskim świetle. Działo się to na oczach dziesiątków tysięcy ludzi. Naoczni świadkowie twierdzili, że słońce zatrzymało się potem na kilka minut, jak gdyby chciało użyć ludziom chwili wytchnienia. A potem znów zaczęło wykonywać owe fantastyczne ruchy i widowisko z różnobarwnym światłem się powtórzyło. Obserwatorzy twierdzili, że nie sposób opisać tego słowami. Po kolejnej przerwie taniec słońca rozpoczął się po raz trzeci z równą wspaniałością. W sumie „cud słońca” trwał 12 minut i był widziany w promieniu 40 kilometrów.

Fatima stała się celem pielgrzymek i dziś zalicza się do najbardziej znanych na świecie, mimo że początkowo władze administracyjne protestowały. W pierwszym i w ostatnim dniu objawień, to jest 13 maja i 13 października każdego roku, Fatima staje się ogrodem nadziei. Niezliczone tysiące ludzi czekają na cud — zapewne najchętniej jeszcze raz przeżyliby „cud słońca”...

Czy dzieci są uprzywilejowanymi odbiorcami objawień?

Okazuje się, że w 90 na 100 odnotowanych przypadków objawień odbiorcami i przekąźnikami tych transcendentálnych zjawisk s dzieci.

Czy miaoby z tego obiektywnego stwierdzenia wynika, że mzg dziecka w okresie poprzedzajym dojrzewanie i w czasie dojrzewania wytwarza jakie szczególne prdy, ktre uatwiają dostep do innej sfery wiadomoci lub podwiadomoci? A moe naiwna ciekawoc i niepohamowana fantazja otwieraj przed nimi swego rodzaju kontakty ze swiatem astralnym?

Czy jest rzecz prawdopodobn, aby „rzutowane” do mzgu dziecka obrazy drog telepatii przekazywane byy do mzgw jego rwieników? Czy w ogole jest kwesti sporn, że zjawy, nie bdc przedmiotami fizycznymi ani czym, co daoby si sfotografowa lub wymierzy

za pomocą aparatury, występują mimo to przedmiotowo w „układzie limbicznym” [12] naszego mózgu?

Obiektywna kontrola wizji nie jest możliwa do przeprowadzenia przez osobę postronną, ale skąd poza obrazem biorą się słowa, rozkazy, życzenia i konkretne wskazówki?

W jaki sposób może się zrodzić w umyśle dziecka absurdalna myśl, że obca Pani życzy sobie, by nazywać ją „Tajemniczą Różą”? Czy dzieci nawiedzane przez objawienia wykazują jakieś skłonności patologiczne, czy są podatne na dewiacje psychiczne? Nie sądzę. Te, które miały kontakt z objawieniami, opisywane były jako całkowicie normalne, zdrowe, wyposażone we wszystkie psychofizyczne atrybuty swego wieku — radosne, młode istoty.

Prześledźmy zatem objawienia, których odbiorcami były dzieci, dzieci naszych czasów.

Cztery dziewczynki na Callei

Uwerturą do tej części opery objawień jest przypadek, przy którego analizowaniu nasuwają się trzy wątpliwości. Należy go zatem rozpatrzeć szczegółowo.

W odległości stu kilometrów na południowy zachód od hiszpańskiego miasta Santander w Starej Kastylii leży wieś San Sebastian de Carabanda, w skrócie: Carabandal. Wioska o kamienistych uliczkach liczy około czterdziestu domów.

Niedziela 18 czerwca 1961 roku, godzina 16³⁰. Na placu targowym bawią się cztery dziewczynki: Conchita i Jacinta, dwunastolatki, i Maria Cruz — jedenaście lat. Noszą nazwisko Gonzales, ale nie są spokrewnione ze sobą. Nazwisko Gonzales występuje tu tak często, jak gdzie indziej Smith, Dupont czy Muller. Czwarta z dziewczynek nazywa się Maria-Lola Mazon, ma dwanaście lat. Dziewczynki wpadają na pomysł skradzenia kilku jabłek z ogrodu nauczyciela.

Okolo godziny 20⁰⁰ wracały do wsi drogą zwaną Calleja z fartuszkami pełnymi owoców, ale i z wyrzutami sumienia. Chcąc odwrócić myśli od podejrzanego burczenia w brzuchu, podnosiły kamienie i rzucały nimi w wyimaginowane „złe anioły”, rzekomo stojące przy skraju drogi [13].

Nagle Conchita przystanąła, wpatrując się w niebo. Powiedziała dziewczynkom, że widzi w górze „piękną postać otoczoną jasnym światłem”. Dziewczynki potraktowały to oświadczenie jako

propozycję nowej zabawy, ale wzburzona Conchita zaprzeczyła: — Nie, nie, spójrzcie tam, o tam!

Dzieci spojrzały w górę i wykrzyknęły: — Anioł! — Potem cicho jak myszki przez dłuższą chwilę gapiły się — przepraszam za określenie! — w niebo, nieme jak anioł, który tam się ukazał. Zjawa zniknęła równie nagle, jak się pojawiła.

Dziewczynki pobiegły do domu i tam opowiedziały o wszystkim. Wieść w mgnieniu oka rozniosła się po zabobonnej wsi.

Czy cztery zdrowe, roztropne dziewczynki mogły równocześnie mówić nieprawdę? Dlaczego miałyby bez powodu kłamać? Czy możliwe jest, żeby zgodnie podawały identyczny opis wydarzenia, którego nie było, skoro poza karą za kradzież jabłek nie miały się czego obawiać? Dlaczego powtarzały wytrwale i bezbłędnie swoje zeznania, co zresztą będą robiły też w przyszłości? Ich relacje spotkały się z powściągliwie wyrażanym niedowierzaniem.

Dzieci chcą wszystko poznać dokładnie.

Następnego dnia cała czwórka pobiegła więc znów pod górę na Calleję z różańcami w zaciśniętych dłoniach. Anioł nie się ukazał. 20 czerwca odbyły ponownie tę drogę, a wraz z nimi kilku ciekawskich. I tym razem nic się na niebie nie pokazało. Kiedy z uczuciem rozczarowania zbierano się już do powrotu, nagle dzieci spostrzegły „promienistą jasność” na firmamencie. Nikt oprócz nich nie widział tego zjawiska.

Nazajutrz wraz z dziećmi wyruszyła na Calleję spora grupa ludzi. Anioł objawił się od razu. Osoby towarzyszące wprawdzie znów niczego nie widziały, ale niektórzy sfotografowali rozpromienione twarze dzieci.

Kpiny ucichły. Ludzi ogarnęło coś w rodzaju lęku przed.niepojętym. W tym samym miejscu dzieciom ukazywał się „ich anioł” 22, 23, 24 i 25 czerwca. Według relacji dziewczynek był to zawsze ten sam anioł. Do tej pory jeszcze nie przemówił.

Anioł się przedstawia...

1 lipca, przy wieczornym *rendez-vous*, dziewczynkom towarzyszył już tłum żadny sensacji. I znów dwugodzinne objawienie było widziane tylko przez dzieci. Tym razem słyszano dialog dziewczynek z aniołem, ściślej mówiąc: ich pytania i odpowiedzi. Tego dnia anioł po raz pierwszy przemówił, przedstawiając się jako archanioł Michał. Uczestnicy spektaklu zgodnie opisywali dziwnie nienaturalną pozycję, w jakiej dzieci przez dwie godziny klęczały skurczone i odrętwiałe z głowami odchylonymi do tyłu.

Procesja w Carabandal

W niedzielę 2 lipca całe Carabandal było na nogach: z okolicznych wsi masowo przybywali ludzie. Od godziny 15⁰⁰ zaczęto w kościele odmawiać różaniec. Około 18⁰⁰ ruszyła duża procesja. Uczestniczyli w niej lekarze i księża, dziewczynki szły na przodzie. Na miejscu objawienia wbito w ziemię cztery pale i opasano je linami, żeby tłum nie zgniótł dzieci.

Maria jest zawsze przy tym

I stał się cud.

Ledwie dzieci dotarły do owego „ringu”, ukazała się im „Matka Boska” w asyście dwóch aniołów. Jeden z nich, Michał, był już dziewczynkom znany, o drugim powiedziały, że był bliźniaczo podobny do Michała. Mimo iż dzieci, każde z osobna, opisywały wygląd widzianych postaci, to opisy, jeśli idzie o realia, były zbliżone: postać miała długie, ciemnobrązowe włosy z przedziałką pośrodku głowy, wąski nos, łagodny wyraz ust, śnieżnobiałą

suknię, na nią narzucony jasnoniebieski płaszcz, na głowie koronę ze złotymi gwiazdami, wiek osoby: siedemnaście, osiemnaście lat. Podobnie jak w opisach innych

objawień i tu dziewczynki zauważyły, że postać zmieniając pozycję nie poruszała nogami, lecz unosiła się w powietrzu. Z prawej strony św. Dziewicy widziały „czerwono migocący obraz”. Wyraźnie rysował się na nim trójkąt z inskrypcją, której nie mogły odczytać. Aniołowie ubrani byli w szaty proste, barwy niebieskiej. Mieli pociągłe twarze, ciemne („czarne”) oczy i krótko obcięte paznokcie (!) — tak dokładnie dzieci zaobserwowały — „a z pleców wyrastały im duże, różowoczer-wone skrzydła”.

Przesłuchanie i raport

Miejscowy proboszcz Don Valentin przesłuchał dziewczynki. Cztery oddzielnie spisane relacje zgadzały się ze sobą nawet w szczegółach.

Owo spektakularne objawienie z 2 lipca przedstawione zostało przez ojca Ramona Andreu w raporcie do biskupa Aldazala w Santander. A napisano tam dosłownie tak: „Nie udało się

doprowadzić dzieci do przytomności. Ani bolesne kaleczenie, ani gwałtowne wstrząsanie, a nawet przypiekanie nie pomagały. W ogóle nie reagowały na otoczenie. Można się było o tym przekonać podsuwając im przed oczy światło lub jakiś przedmiot. Brak reakcji powiek i źrenic" [14].

Święty Michał przybywa z wybiciem godziny 20⁰⁰

27 lipca miały miejsce dwa objawienia. Wczesnym rankiem anioł zapowiedział, że ukaże się po raz drugi punktualnie o ósmej wieczorem. Wiadomość szybko się rozniosła. Według oficjalnej oceny zgromadziło się ponad sześćset osób, wśród nich kilku lekarzy i księży, a także jeden „szpieg” z Uniwersytetu Laboral w Cordobie, zakonnik, dominikanin.

Archanioł Michał objawił się punktualnie i pozostał przez 85 minut. Naoczni świadkowie

twierdzili, że tym razem dzieci były tak odrętwiałe i sztywne, iż dwaj mężczyźni z trudem mogli podnieść jedno drobne ciało. Mimo podejmowanych najróżniejszych prób nie udało się poruszyć głową ani ręką żadnej z wizjonerek. Wypada zaznaczyć, że nie tylko św. Michał hołdował cnocie punktualności. Zjawy „lubią” zapowiadać czas i miejsce kontaktu i dotrzymują słowa.

Objawienia seryjne

Byli oczywiście szyderycy i sceptycy. Duchowieństwo zachowywało powściągliwość. Mówiono o hipnozie, o halucynacjach, o perfidnym kłamstwie i oszustwie, a także o interesie, jaki ubije położona na uboczu wieś. Mówiono o wszystkim, co w takich przypadkach rozpała umysły za i przeciw.

Conchita wyróżniała się spośród czwórki dziewczynek inteligencją: to było widoczne. Dlatego też przypuszczano, że mogła ona oddziaływać sugestywnie na przyjaciółki. Aby skierować jej uwagę na coś innego, wywieziono ją do Santander i pozostawiono tam wśród innych dzieci zalecając, by wraz z nimi „dla odprężenia” korzystała z plaży i kąpieli.

Mniej więcej po tygodniu rodzina sprowadziła Conchitę do domu. I dopiero się zaczęło! Jedno objawienie po drugim, seryjnie. Wzbudziło to

szersze zainteresowanie. Przez wieś zaczęły się przetaczać tłumy widzów, urastające do niepokojącej liczby. 18 października było tam, według oficjalnej oceny, ponad 5 tysięcy osób.

Jak na tę porę roku pogoda była dziwna. Padał ulewny deszcz i wiał huraganowy wiatr. Miejsce, gdzie stali ludzie, zamieniło się w głębokie bajoro. Wszyscy czekali na cud. A tu nic się nie działo.

Około godziny 22⁰⁰ odczytano podpisane przez dzieci posłanie, które rzekomo podyktowała im Matka Boska. Było to wezwanie, aby ludzie składali ofiary i czynili pokutę, w przeciwnym razie — bez tego nigdy nie obejdzie się w takich posłaniach! — spadnie na ludzkość kara chłosty.

Nie będę cytował szczegółowych protokołów z wielu objawień w Carabandal. Zainteresowani mają do dyspozycji odpowiednią literaturę [15].

Jakie były dalsze losy dziewczynek?

Co się działo dalej z czterema dziewczynkami? Conchita powróciła na wieś ze swej jedynej w życiu dalekiej podróży — była w Rzymie u papieża — i wkrótce potem wstąpiła do nowicjatu karmelitanek trzewiczkowych w Pamplonie. Marię-Lolę i Jacintę przyjęto do klasztoru koło Saragossy. Tylko Maria Cruz pozostała w domu i pomagała rodzicom w gospodarstwie.

Z „dziennika okrętowego” burzliwych wydarzeń w Carabandal ważne są dla mnie trzy punkty:

Cud z hostiami

Działo się to w nocy 18 lipca 1952 r. Około godziny drugiej w pokoju, gdzie znajdowało się kilkoro krewnych Conchity, ukazał się jej rzekomo archanioł Michał... Jak odnotowano w raportach, dziewczynka z rozjaśnioną twarzą popędziła nagle schodami w dół, zaczęła biegać po ulicach, aż nagle rzuciła się na ziemię. Leżąc, skurczona, wyciągnęła język. Natychmiast Conchitę otoczył żądny sensacji tłum ciekawskich, kręcących się w dzień i w nocy po wsi: wszyscy wpatrywali się w dziewczynkę. Naoczni świadkowie wydarzenia podali do protokołu, że w pewnej chwili na języku dziewczynki pojawiła się dość gruba, śnieżnobiała hostia, którą widać było przez około

dwie minuty. Potem Conchita połknęła hostię.

Ta materializacja została sfilmowana przez jednego z widzów. Na czterdziestu zdjęciach istotnie widać na języku dziewczynki biały, okrągły przedmiot, coś jakby hostię. Obserwatorzy podkreślali, że Conchita nie wykonywała żadnych ruchów rękoma i oczywiście nie dotykała ust. Podczas owej „komunii” nie cofała języka do ust ani nie przytykała do podniebienia, nie można też uznać za prawdopodobne, aby coś „tak białego” mogła ukryć w ustach. Mnie się wydaje, że cudem samym w sobie był ów amatorski film nakręcony przez niejakiego Daminasa i wywołany w Barcelonie: była wówczas noc, a fotografowi służyło za źródło światła kilka kieszonkowych latarek. Czyż to nie cud, że film w ogóle się naświetlił?

Ostatnie objawienie

Podczas ostatniego objawienia 13 listopada 1965 roku dziewczynki otrzymały od Matki Boskiej posłanie do papieża. W styczniu 1966 roku Conchita rzeczywiście pojechała do Rzymu, gdzie ponad dwie godziny była przesłuchiwana przez przewielebnych kardynałów z Kongregacji Wiary, dawnego Św. Oficjum, a *potem* została przyjęta przez papieża. Z Rzymu udała się do San Giovanni Rotondo, żeby odwiedzić tam cudotwórcę, ojca Pio.

Maria Cruz odwołuje swoje słowa!

Prawdziwym absurdem w wydarzeniach w Carabandal jest to, że Maria Cruz (dziewczynka pomagająca w gospodarstwie rodziców) stwierdziła, że nigdy nie miała objawień. Ani jednego! Dlaczego wszystkiemu zaprzeczyła?

W wydawanej w Lucernie katolickiej gazecie „Vaterland” z 17 marca 1967 roku, pod nagłówkiem: „W Carabandal nie było objawień”, czytam takie oto doniesienie: „Ordynariusz diecezji Santander, biskup Puchol Montis, w oficjalnej nocie z 17 marca 1967 roku podtrzymuje, że: 1) nie było ani jednego objawienia Najświętszej Marii Panny, archanioła Michała lub jakichkolwiek innych osób z niebios; 2) nie zostało przekazane żadne posłannictwo; 3) wszystkie zdarzenia, jakie miały miejsce w Carabandal, znajdują naturalne wytłumaczenie”.

Co nie mogło się zdarzyć w Carabandal?

Zapanowała ogólna konsternacja. Są przecież zdjęcia i nagrane taśmy z Carabandal. Odbyło się wiele różnego rodzaju przesłuchań, przeprowadzanych nawet przez Kongregację Wiary. Wszyscy przesłuchiwani w najdrobniejszych szczegółach potwierdzali całkowitą zgodność wypowiedzi dziewczynek z faktami. Conchita została przyjęta przez papieża.

Nie zaprzeczono więc, że „zdarzenia miały miejsce”, ale znalazły one rzekomo naturalne wytłumaczenie. Byłoby jednak pożądane, aby w enuncjacjach Kościoła znalazło się nie tylko stwierdzenie, co w żadnym razie nie mogło się zdarzyć w Carabandal, lecz także to, co *mogło* się zdarzyć. Nie tylko ze względu na wiernych.

Nie będę zaskoczony, jeśli za ileś tam lat wydarzenia w Carabandal uzyskają jednak certyfikat „wielkiego cudu”. Mądry Kościół pozo-

stawia sobie dużo czasu na wzięcie oddechu, tylko żeby przez tę mądrość i taktykę nie dostał zadyszki. Gdyby pewnego dnia dokonał się cud, wówczas Maria Cruz mogłaby powiedzieć (lub wyznać w pozostawionym testamencie), że na bezpośredni rozkaz z nieba musiała skłamać, a potem kłamstwo odwołać, by w ten sposób „podać wiernych próbie”. Tymczasem trzy pozostałe dziewice przygotowują się w klasztorach do roli prawie-świętych. We właściwym czasie one też ogłoszą, co należy.

Na razie w Carabandal nadal dokonują się trudne do wyjaśnienia cudowne uzdrowienia...

Nieubłagana Madonna

Każde objawienie kryje w sobie elementy pozwalające jedynie na snucie pośrednich wniosków i wzbudza wątpliwości, które wymagają wyjaśnienia. Sądzę więc, że poszukiwanie klucza do rozwiązania tajemnicy w nielicznych, przypadkowo wybranych, niezwykłych zjawiskach byłoby niewłaściwe. Dopiero pewna wiedza o państwie szatana pozwoli nieco rozjaśnić ciemności.

Tymczasem wiadomo, że postacie występujące w objawieniach dokonują najdziwniejszych rzeczy. Z gruntu błędne jest mniemanie, jakoby wizjonerzy zawsze z błogim wyrazem twarzy i z promiennym spojrzeniem czerpali z nauki chrześcijańskiej, niczym z rogu obfitości, same obiecujące maksymy.

W pobliżu granicy francuskiej, nie opodal stolicy flamandzkiej prowincji Namur w Belgii, leży miasteczko Beauraing, liczące 2300 mieszkańców. 29 listopada 1932 roku miało tu miejsce następujące wydarzenie:

Jedenastoletni Albert Degeimbre szedł ze swymi siostrami — czternastoletnią Andrea, dziewięcioletnią Gilberta i pięcioletnią Fernanda — do pensjonatu usytuowanego w pobliżu nasypu kolejowego. W ogrodzie pensjonatu, prowadzonego przez siostry zakonne, od dawna stała figura Matki Boskiej z Lourdes. Albert, wyprzedziwszy o kilka kroków siostry, pierwszy podszedł do bramy, pociągnął za sznur dzwonnka i obejrzał się. W tej samej chwili ujrzał unoszącą się nad nasypem statuę Matki Boskiej. Dziewczynki również zobaczyły jaśniejącą w ciemności

Jej postać.

Następnego dnia o tej samej godzinie Albert i Andrea pobiegli do pensjonatu, żeby sprawdzić, czy figura stoi jeszcze na dawnym miejscu. Stała jak zawsze, ale objawienie się powtórzyło. I nie tylko tego dnia. Pani ukazywała się dzieciom dokładnie 33 razy, niekiedy dwukrotnie w ciągu dnia.

Beauraing ogarnęło podniecenie. Ludzie nie odstępowali dzieci Degeimbre'ów. Co prawda znów nic nie widzieli, ale z zapartym tchem przysłuchiwali się rozmowom dzieci z niewidzialną zjawą. Tak więc 2 grudnia jedno z nich zapytało: — Czy jesteś Maryją Dziewicą? —po czym oznajmiło gapiom, że Pani skinęła potakująco głową.

23 grudnia dzieci zapytały, dlaczego Najświętsza Panna przybywa właśnie do Beauraing. I oto zdumiewająca odpowiedź: — Po to, by przybywały tu pielgrzymki!

3 stycznia 1933 roku Madonna objawiła się po raz ostatni. Każde z dzieci inaczej zrelacjonowało scenę pożegnania. Jest to dziwne, ponieważ zazwyczaj relacje bywały prawie identyczne.

Do Alberta Pani powiedziała: — *Adieu!* Z Bogiem! — Do Gilberty zaś: — Nawrócę grzeszników! — Do Andrei: — Jam jest Matka Boża, Królowa Niebios! — Ostatnie spotkanie najsilniej przeżyła Fernanda. Najpierw zobaczyła wydłużoną, ognistą kulę. Kula rozprysnęła się i dopiero wtedy Maria zapytała dziewczynkę: — Czy kochasz mego Syna? Czy kochasz mnie? Wobec tego poświęć się mnie!

Żadne z dzieci nie słyszało, co w tym czasie Madonna mówiła pozostałym. Widzom też dane

było coś przeżyć na pocieszenie: twierdzili, że widzieli pękającą kulę.

Czy Maria nie rozumie dzieci?

Dzieci były wypytywane i badane przez lekarzy psychiatrów, maglowane przez przedstawicieli władz, od rana do wieczora brane w krzyżowy ogień pytań przez rodziców. Z wyjątkiem relacji ze sceny pożegnania, nie stwierdzono innych niezgodności. Ich odpowiedzi były szczerze i jednoznaczne. Ale dorośli nic z tego nie rozumieli. „Większość ludzi zapomina o własnym dzieciństwie jak o parasolu odłożonym do lamusa. A przecież nawet czterdzieści czy pięćdziesiąt późniejszych lat nie kompensuje utraty wrażliwości pierwszych dziesięciu lat życia" (Erich Kastner).

Okazuje się, że nawet sama Najświętsza Panna niewiele wie o psychice dziecka. „Nawrócę grzeszników!" brzmi przecież bardziej jak groźba

niż jak słowa otuchy. A jaka chłodna prezentacja: — Jam jest Matka Boża, Królowa Niebios! — Ile pychy w pytaniu: — Czy kochasz mego Syna? Czy kochasz mnie? — Jak bezlitosne żądanie: — To poświęć się mnie! — Czy jest to ciepły, matczyzny sposób zwracania się do dziecka? Czy nie byłoby lepiej kierować tego rodzaju żądania do wysokiego przedstawiciela Świętej Kongregacji Wiary, zamiast do zatrwożonego dziecka?

I właściwie dlaczego Madonna musi gmatwać sprawę symbolami? Chociażby tymi trzema różami? Wiem, że Kościół umie to wytłumaczyć: biała róża symbolizuje pobożność, czerwona — gotowość do poświęceń,

żółta — pokorę. Ale dlaczego Matka Boska nie wypowiada się jasno, w sposób zrozumiały dla dziecka? Dlaczego posługuje się symbolami, których znaczenie muszą interpretować teologowie? I czynią to, naturalnie, tak jak *im* to odpowiada. A skoro już używa sformułowań niezrozumiałych dla dzieci i przeznaczonych dla dorosłych, dlaczego nie przekazuje ich bezpośrednio dorosłym? Nie budzi też mojej sympatii nieustanne eksponowanie we wszystkich wypowiedziach szczebli hierarchii niebieskiej. Czy nigdy nie skończą się przywileje?

W 1933 roku wybudowano oczywiście kościół w Beauraing: od tej pory figura „Naszej Drogiej Pani, Matki o złotym sercu” tam wysłuchuje próśb o wstawiennictwo do Boga i uzdrawia [16].

Objawienia faktem społecznym

Następne wydarzenie miało miejsce w Belgii, we

wsi Banneux, liczącej 350 mieszkańców, położonej na wschód od Leodium w Ardenach.

Małżonkowie Beco od początku lat trzydziestych mieszkali wraz z sześciorgiem dzieci na drugim piętrze biednego, robotniczego domu. Ojciec Beco nie był praktykującym katolikiem (szansa nawrócenia) i uznał, że lekcje religii nic nie dają jego dwunastoletniej Marietcie, a nawet doradził jej, żeby z nich zrezygnowała. Wielebny rektor Jamin modlił się z wiernymi w intencji utraconej owieczki słowami modlitwy odmawianej zwykle podczas katolickich nabożeństw za odstępców od wiary.

15 stycznia 1933 roku Marietta, pilnując śpiącego rodzeństwa, wpatrywała się przez zamarznięte szyby w śnieżną noc i czekała na powrót młodszego brata. I nagle, stało się!

Marietta spostrzegła w małym ogródku z prawej strony coś, co podobne było do powiewającego woalu, a w chwilę potem

rozgorzało światło, w którym ukazała się, lekko pochylona w lewą stronę, piękna Pani z rękoma złożonymi do modlitwy. Marietta przywołała matkę, która również miała przez chwilę wrażenie, że widzi otoczoną woalem postać kobiecą.

Marietta opowiedziała potem: „Pani ubrana była w śnieżnobiałą, układającą się w fałdy suknię, przepasaną niebieską szarfą. Końce szarfy zwisały z przodu. Głowę miała nakrytą białym welonem, który spływał na ramiona i plecy. Jej prawa stopa była bosa, między palcami tkwiła złota róża. W prawej ręce miała różaniec. Dziewica patrzyła z uśmiechem” [17].

Od tego wieczoru Marietta się odmieniła. Modliła się dużo i nie opuszczała już lekcji religii. W trzy dni później, kiedy uknęła w ogrodzie, ujrzała — jak podała podczas przesłuchania — „daleko w górze otoczoną jasnością postać Matki Boskiej, zstępującej z nieba”. Zjawa płynęła na obłoku niespełna półtora metra nad ziemią. Najświętsza Panna ujęła dziewczynkę za rękę, poprowadziła ją do źródła i rozkazała: „Zanurz ręce w wodzie! To źródło sobie upodobałam. Dobranoc, do zobaczenia!”

Objawienie Marietty powtórzyło się 19 i 20 stycznia oraz 11, 15 i 20 lutego, wreszcie po raz ostatni 2 marca 1933 roku. Pani oznajmiła między innymi, że, jest Matką Zbawiciela, Matką Bożą... Marią Panną Ubogich... Źródło ma służyć ludziom wszystkich narodów... i przynosić ulgę chorym..." Czy muszę pisać, że niewierzący ojciec stał się na powrót wzorowym katolikiem, a Marietta — żeby było oryginalniej — nie poszła do klasztoru, lecz

wyszła za mąż i, otoczona szacunkiem, została matką.

22 sierpnia 1949 roku Rzym uznał oficjalnie prawdziwość cudów z 1933 roku.

W miejscu objawień wzniesiono kościół. U źródła zdarzały się uzdrowienia, w wielu przypadkach określane przez lekarzy jako cudowne. Banneux wymieniane jest w każdym leksykonie jako miejsce pielgrzymek religijnych.

Dlaczego Rzym tym razem tak się pośpieszył ze stwierdzeniem prawdziwości cudów? No tak, *mon Dieu*, Maria Panna Ubogich — to można umiejętnie wykorzystać. Rzym opanował swoją chrześcijańską naukę społeczną, tak dobrze pasującą do politycznego krajobrazu. Rzym dużo wie o *public relations*.

**Dlaczego nigdy nie było cudów na placu św.
Piotra?**

Nawet w cudach zbadanych i uznanych przez

Kongregację Wiary tkwi sprzeczność. Matka Boska zawsze powołuje się na moc udzieloną Jej przez Boga Ojca albo Syna, Jezusa Chrystusa. Skoro tę moc posiada, a najusilniej pragnie, aby wierni na całym świecie żarliwie oddawali Jej cześć, dlaczego objawia się zwykle w miejscach położonych na uboczu, w dodatku na ogół małym dzieciom, które tak niewiele mogą uczynić dla spełnienia Jej życzeń, zresztą często wypowiedzianych jak rozkazy?

Bez nieziemskiego natchnienia widziałbym lepszą sposobność załatwienia za jednym zamachem *publicity*. I to wspaniałą sposobność.

Podczas wielkich uroczystości kościelnych papież z balkonu swego pałacu na Wzgórzu Watykańskim udziela wielusettyśięcznej rzeszy wiernych, zgromadzonych na placu Św. Piotra, błogosławieństwa *Urbi et orbi*, a stacje telewizyjne przekazują ten najwyższy kościelny akt łaski na wszystkie kontynenty. Papież przemawia z kościoła wzniesionego na grobie Piotra apostoła. Czy istnieje odpowiedniejsze miejsce do objawień, skoro pochodzą z nieba i stale nawiedzają wybrańców? Czyż tu, w sercu Rzymu, nie nadarza się znakomita możliwość spełnienia gorącego życzenia Marii Panny?

Nie umiem rozsmakować się w jądrze słodkiego owocu objawień. Jest dla mnie gorzkie. Nie mogę pogodzić się z myślą, że właśnie Matka Boska użala się i pragnie być żarliwiej adorowana) Czy surowość, z jaką grozi, iż jeśli nie zostanie spełniona Jej wola, to mocarny Syn zniszczy

"ludzkość, można uznać za cechę „boską”? Czy tego~rodzaju postawa odpowiada wyobrażeniu Boga i Syna Bożego, ich wszechmocy i dobroci? Co tu się dzieje? Czy objawieniom potrzebne są misteria w pierwotnym znaczeniu tego słowa, a więc tajemny kult, który umożliwiałyby osobisty kontakt z bóstwem tylko wtajemniczonym? H. U. von Balthasar wypowiedział mądrą myśl: „Wszędzie, gdziekolwiek człowiek otacza czią coś niezwykłego, cennego i świętego, tam odgradza ów obiekt czci, usuwa z widoku publicznego, ukrywa go w półmroku sanktuarium, wyłącza z dnia powszedniego zwykłej historii cudowną legendę, pozwala, by otaczała go tajemnica..." [19]

Cud słońca Anno Domini 1950

Cóż, tajemnica jest zawsze dobra. Najniewinniejsze nawet akta wydają się warte

prze czytania, jeśli są opatrzone pieczęcią *top secret*, czyli ściśle tajne. (Zwyczajny człowiek chciałby uczestniczyć w „tajemnicy”, pociąga go możliwość zaliczania się do kręgu wtajemniczonych, chciałby w *tym* być. Tajne sekty, tajne związki, tajne ligi mężczyzn, tajni agenci itd. mają w sobie coś niesłychanie podniecającego, atrakcyjnego. 'Ukrywać coś, trzymać w tajemnicy. to oznaka sprytu. "Tajemnice uznane za święte" Twspaniały pomysł. Alef, „tajemnice”, o których będzie tu mowa, można odgadnąć.

Dzieci chętnie udzielają informacji. Reżyser wie, iż dzięki temu, a także dlatego, że są tak niewinne i sympatyczne, znakomicie się nadają

do rozreklamowania wielkich widowisk z cudami i do popisywania się rzekomo transcendentalnymi przeżyciami, na które wszędzie czekano.

Pewnego popołudnia o godzinie 14⁰⁰ dwunastoletniej Tinie Mallia ze wsi Acquaviva Platini na Sycylii pięciokrotnie ukazała się postać kobieca. Było to w pobliżu miejscowości Casalicchio. Tina, jak należało oczekiwać, rozpowiedziała o swoim przeżyciu. 15 kwietnia 1950 roku na miejscu objawienia towarzyszył jej już tłum ludzi. Przybyli tak licznie, ponieważ Pani zapowiedziała, że po południu tego właśnie dnia „da znak”. Mądrze zaplanowane! I nie doznali zawodu.

W pewnej chwili świetlisty obłok rozdzielił się, ukazując jasną — tak relacjonowano — oślepiająco jasną gwiazdę. Niebawem słońce zaczęło obracać się to w lewo, to w prawo, zygzakowatą linią zbliżało się do ziemi, by

potem szaleńczymi skokami znów ruszyć ku górze. Naoczni świadkowie widzieli kaskady barw tryskające ze słońca, mówili, że obracało się wokół własnej osi, aż w końcu poszybowało niczym dysk w przestworza. Niezwykłe zjawisko powtórzyło się tego samego dnia o godzinie 16²¹.

Po tak niezwykłym wydarzeniu któż mógłby czy też chciał przeszkadzać masowemu pielgrzymowaniu do Casalicchio koło Acquaviva Platini, zwłaszcza na Sycylii, gdzie wiara w cuda znajduje tak podatny grunt [20]. W każdym razie mafia nie przeszkadzała, a to już jest coś.

Historia jak z powieści kryminalnej

Niżej spisane wydarzenia są klasycznym przykładem arbitralnego postępowania Kościoła katolickiego. Historię tę mogłaby równie dobrze wymyślić Agatha Christie albo Georges Simenon. Rozegrała się ona we wsi Heroldsbach w Bawarii.

9 października 1949 roku

Dziesięcioletnia Maria Heilmann, jedenastoletni Kuni Schleicher, jedenastoletnia Greta Giigel i jedenastoletnia Erika Muller zbierali w lesie jesienne liście na lekcję przyrody. W drodze powrotnej do domu dzieci ujrzały w pewnej chwili napis „taki jakby słońce przeświecało przez zielone szkło butelki”, a składający się z trzech liter: IHS, który jaśniał na tle drzew. Potem napis zniknął, a nad brzożami ukazała się „biała pani, która wyglądała jak zakonnica” [21]. Zjawy wolniutko przesuwała się to w jedną, to w drugą stronę.

Roztropne dzieci, chcąc upewnić się, że nie śnią, najpierw zaczęły na głos liczyć, potem kolejno mówiły, jakie odgłosy słyszą, wreszcie pobiegły nad sadzawkę sprawdzić, czy jak zwykle pływa tam siedem kaczek. Nie, to nie był sen. Wróciły na pagórek, gdzie „tam w górze” nadal było widać unoszącą się postać kobiecą, ale już wyżej i wyżej, aż rozplynęła się w błękicie nieba. Objawienie trwało piętnaście minut.

W domu nie dano wiary ani jednemu słowu dzieci. Matki natychmiast wyruszyły na wskazane miejsce przeprowadzić wizję lokalną i rozwiać mit o zjawie. Ale znalazłszy się na wzgórzu stwierdziły, że dzieci

— oczywiście *nagle* — stanęły jak wryte z oczyma zwróconymi w stronę lasu: znów coś zobaczyły. Matki mogły tylko potwierdzić niezwykle wzruszenie dzieci. Protokoły zawierają jednakowe opisy zjawiska,

przedstawione przez każde dziecko z osobna.

10 października

Kuni Schleicher wybrał się z koleżanką na wzgórze. Towarzyszyli im czterej chłopcy, którzy w drodze pokpiwali z nich: trzynastoletni Andreas Biittner i Michael Lindenberger oraz dwunastoletni Adolf MeBbacher i Heinz Muscha. Tym razem *wszystkie* dzieci ujrzały w odległości dziesięciu zaledwie metrów sunącą ku ziemi nad koronami drzew postać kobiecą.

12 października

Tym razem dziewczynki widziały tylko „biały poblask”, Michael Lindenberger i jego brat natomiast „białą panią”.

13 października

Antonie Saam (grono dzieci-wizjonerów się powiększa) zapytała zjawę: — Czego sobie życzysz? — *Wszystkie* dzieci usłyszały odpowiedź:

— Ludzie powinni się modlić żarliwie.

Mali wizjonerzy zwrócili się do miejscowego proboszcza z prośbą, aby wraz z nimi udał się na wzgórze. Duchowny odmówił, ale poinformował o tym swoją władzę zwierzchnią w osobie biskupa ordynariusza diecezji w Bambergu.

16 października

Pan Kummelmann miał sposobność z upoważnienia kapituły katedry obserwować dzieci w ekstazie podczas objawienia.

W następnych miesiącach i latach tego rodzaju zjawiska powtarzały się i oczywiście mnożyli się wizjonerzy. Objawienia odnotowano: 13 stycznia 1950 roku, 5, 9, 17 i 18 lutego, 4, 16 i 25 maja, 15, 16, 24 i 26 czerwca, 10 lipca oraz 8 października 1952 roku. Potem w Heroldsbach nastąpił spokój.

Ale czy istotnie? Zaraz się dowiemy.

W objawieniach nie zawsze występowały te same postacie: raz ukazywała się Matka Boska z Dzieciątkiem lub bez Dzieciątka, innym razem archaniołowie, kiedy indziej Trójca Święta, a raz widziano nawet Józefa, ojca Jezusa. Podczas Bożego Narodzenia w 1949 roku oczom dzieci ukazała się, jak na filmie, historia narodzenia Jezusa.

A jak zareagowali na przypadek w Heroldsbach Wielcy Strażnicy Pieczęci Ducha Świętego? Jak nowoczesna inkwizycja.

Inkwizycja w Heroldsbach

10 października 1949 roku

Wierni otrzymali od ordynariusza diecezji w Bambergu ostrzeżenie, żeby nie odwiedzali miejsca objawień. *10 stycznia 1950 roku*

Z ambon odczytano, iż w wyniku wszczętego przez biskupa dochodzenia nie wykryto niczego, co dawałoby podstawy do uznania, jakoby

objawienia należało przypisać ingerencji sił nadprzyrodzonych. *2 marca 1950 roku*

Z rozporządzenia biskupa zakazuje się wszystkim duchownym uczestniczenia we wszelkiego rodzaju religijnych przedsięwzięciach, jeśli miałyby one jakikolwiek związek z objawieniami. *6 marca 1950 roku*

Arcybiskup dr Kolb zakazuje proboszczowi Gailerowi wstępu na wzgórze, gdzie miały miejsce objawienia. *2 października 1950 roku*

Arcybiskup otrzymuje pismo Świętego Oficjum, opatrzone datą 28 września. A w nim, co następuje:

„Święte Oficjum podtrzymuje, iż uznaje słuszność tego, co Wasza Ekscelencja [arcybiskup Bambergu] zarządził w tej sprawie i pochwała kler, jak też członków Akcji Katolickiej, którzy sumiennie przestrzegali instrukcji biskupa. Pozostałych zaś wiernych, którzy do dnia dzisiejszego nie usłuchali

postanowień władz kościelnych, należy nakłonić do ich przestrzegania [...]. Nadmieniamy, iż odprawianie modłów na wzgórzu może być rozumiane jako poświadczenie prawdziwości objawień i dlatego należy ich zaniechać". *12 października 1950 roku*

Władze kościelne wydają zarządzenie, że w modlitwach odbywających się od dawna na rzeczonym wzgórzu bez udziału księży nie powinny brać udziału również dzieci, które miały wizje.

4 sierpnia 1951 roku

Posiwiwały proboszcz Gailer, który przez trzydzieści osiem lat troszczył się o swoich parafian, teraz został przeniesiony w trybie natychmiastowym, ponieważ uznał objawienia za prawdziwe. Osiem lat później jego zwłoki sprowadzono do parafii. *15 sierpnia 1951 roku*

Ogłoszenie nowego dekretu Świętego Oficjum:
„W środę 18 lipca 1951 roku na posiedzeniu plenarnym Najwyższej Kongregacji Św. Oficjum, ich eminencje, najdostojniejsi kardynałowie, którym powierzono pieczę nad sprawami wiary i obyczaju, po zbadaniu akt i dokumentów [...] postanowili, co następuje: Pewne jest, że wymienione objawienia nie są zjawiskami nadprzyrodzonymi. Dlatego też zakazuje się wszelkich związanych z nimi obrzędów religijnych w miejscach ich występowania i gdziekolwiek indziej. Kapłani, którzy w przyszłości mieliby uczestniczyć w

takich zakazanych obrzędach, podlegają natychmiastowej suspensie. Papież Pius XII 19 sierpnia podczas zwyczajowej audiencji udzielanej Jego Ekscelencji Asesorowi Św. Oficjum zaaprobował przedstawiony mu dekret i nakazał jego publiczne ogłoszenie. Dan w Rzymie w Pałacu Św. Oficjum, 25 lipca 1951".
22 sierpnia 1951 roku

Następca proboszcza Gailera po przeprowadzeniu inkwizytorskiego przesłuchania pozbawił czwórkę dzieci prawa przystępowania do sakramentów oraz zażądał od nich zapewnienia, że nie tylko będą się trzymały z daleka od wzgórza, gdzie miały miejsce objawienia, ale oświadczą, iż nigdy nie widziały Matki Boskiej. Ze strachu przed kurią dzieci przez pięć miesięcy nie chodziły na wzgórze, mimo to zakaz przystępowania do sakramentów nie został wobec nich cofnięty. *15 maja 1953 roku*

Na podstawie wyroku orzeczonego w procesie wniesionym przez ordynariusza diecezji zarządzono uporządkowanie wzgórza (uprzątnięcie figury Matki Boskiej, ołtarzyków etc). 4—6 lutego 1957 roku

Przed sądem okręgowym w Forchheim toczy się postępowanie przeciwko emerytowanemu sędziemu Paulowi Schneiderowi, który w roku 1954 opublikował rozprawę na temat Heroldsbach [22]. W tym procesie o zniesławienie jako strona skarżąca wystąpił ponownie ordynariusz diecezji. Wśród świadków znalazło się również kilkoro dzieci-wizjonerów, które obecnie, tj. w roku 1957, miały już po 17—18 lat. Potwierdziły one, że w latach 1949—1952 doznały objawień.

Heroldsbach też miało swój cud słońca

Na wzmiankę zasługuje fakt, że 8 grudnia 1949 roku w Heroldsbach wydarzył się również cud ze słońcem, obserwowany przez 10 tysięcy ludzi. Proboszcz Gailer podał na ten temat do protokołu, co następuje:

„Słońce zbliżało się ku nam, rozlegały się potężne trzaski. Ujrzałem tam wieniec z róż: miał dwadzieścia centymetrów średnicy. Antonie Saam zobaczyła w słońcu Matkę Boską z Dzieciątkiem. Było nas razem pięciu duchownych na wzgórzu. Póki żyję będę potwierdzał, że to prawda”.

Dr J. B. Walz, profesor teologii, przedstawił następujący opis: „Robiło się coraz jaśniej. Wydawało mi się, że słońce, z każdą chwilą bardziej oślepiające i większe, przybliży się do nas. Stałem tam osłupiały. Będąc pod wielkim wrażeniem niezwykłości wydarzenia,

równocześnie myślałem, że zaraz stanie się coś straszliwego. Przeląknęłam się... I wtedy słońce zaczęło się obracać wokół własnej osi, kręciło się bardzo szybko. Tak wyraźnie widać było obroty i tę szybkość, iż wydawać się mogło, że tarczę słoneczną wprawia w ów jednostajny ruch jakiś mechaniczny napęd. Przy tym słońce mieniło się najwspanialszymi barwami" [23].

Cuius regio, eius religio

Mógłbym przedstawić Św. Oficjum dziesiątki przypadków objawień, wprawdzie nie tak dokładnie udokumentowanych, jak te z Heroldsbach, i obserwowanych przez mniejszą liczbę widzów, które jednak od dawna zostały uznane przez Kościół za „prawdziwe”.

Zapewne zależy to od sposobu przedstawienia ich odpowiednim władzom kościelnym, choć i te, mimo charyzmy działających tam panów, nie są

wolne od błędów. Co napisano z Bambergu do Rzymu? Czy dzieci-wizjonerzy wykazały brak posłuszeństwa, gdyż mówiły, że nad koronami drzew przedefilowała przed nimi cała Święta Rodzina? A może w tajnych raportach były zawarte doniesienia, których nie dałoby się zsynchronizować z nauką o zbawieniu?

Zachowanie tajemnicy udaje się w Św. Oficjum o wiele lepiej niż w świeckich ministerstwach i kancelariach. Nawet jeśli nie zostały opatrzone pieczęcią „tajne” i tak *nigdy* się tego nie dowiemy.

Rzym ma rację. O ile pozostawia się zawsze uchyloną furtkę, aby (jeśli się to okaże pożyteczne dla Kościoła) możliwe było przeprowadzenie rewizji orzeczenia, o tyle w przypadku Heroldsbach zatrzaśnięto drzwi, kiedy papież Pius XII sam stał się sławny. *Cuius regio, eius religio*, religia panującego obowiązuje również poddanych. Jakże często sprawdza się ta rzymska maksyma...

W końcu wszystkie nakazy czy zakazy okazały się daremne. W Heroldsbach nadal odprawia się modły, na wzgórze objawień ciągle przybywają nowi pielgrzymi i dokonują się tam kolejne cudowne uzdrowienia...

Objawienia dla dorosłych

Aby również w tej relacji utrzymać średnią proporcję odbiorców objawień dzieci: dorośli, mającą się jak 90:10, należy na początek

opowiedzieć o strażniku leśnym Mateuszu Laszucie, pracującym w Tu-rzovce na Morawach.

Czterdziestodwuletni Laszut miał 1 czerwca 1958 roku swoje pierwsze objawienie maryjne — w „morzu róż”. Ojciec trzech córek był zawsze sam w trakcie siedmiu w sumie objawień, jakie miał od czerwca do sierpnia 1958 roku, w jego przypadku należy też wykluczyć możliwość telepatycznego przekazu „obrazów” z mózgu dziecka. Laszut tak przedstawia pojawienie się Chrystusa:

„[...] jest w białej szacie, a na prawe ramię i lewą rękę ma narzucony czerwony płaszcz. Z lewej stoi wąski krzyż równy mu wysokością. Całe zjawisko znajdowało się wewnątrz wielkiego, oślepiającego, promienistego trójkąta o długości boku mniej więcej dziesięć metrów” [24].

Objawienia nie znają granic

Chociaż komunistyczne władze Czechosłowacji nie bardzo wiedziały, co z tymi wizjami począć i oczywiście robiły wszystko, żeby nie dopuścić do spopularyzowania się objawień z Turzovki, to liczbę pielgrzymów docierających tam w niektóre dni oceniano na prawie 10 tysięcy. Objawienia nie znają ani granic, ani systemów politycznych, zdarzają się z jednej i drugiej strony żelaznej kurtyny. Czy to nie cudowne?

Zjawa wybiera konwertytę

Bruno Cornacchiola, urodzony 19 maja 1913 roku w Rzymie, wychowywał się w trudnych warunkach. Kiedyś był praktykującym katolikiem. W 1936 roku ożenił się, ale sam wyjechał do Hiszpanii, gdzie przeszedł na protestantyzm i jak większość tych, którzy zmienili wiarę, stał się napastliwym antykatolikiem. Swoją płodność udowadniał tylko podczas sporadycznych wizyt w domu. Nie wychowywał dzieci w duchu religii. Życiorys ten jest dlatego istotny, że Bruno C. miał oba objawienia jako człowiek dorosły — na dobitkę nie był katolikiem.

12 kwietnia 1947 roku tramwajarz Bruno C. wybrał się wraz z dziećmi — czteroletnim Gianfranco, siedmioletnim Carlo i dwunastoletnią Isolą — na wycieczkę do Tre-Fontane koło Rzymu. Ojciec zagłębił się w

lekturze sportowej gazety, a dzieci grały w piłkę. W pewnej chwili piłka potoczyła się do groty i Gianfranco pobiegł za nią. Długo nie wracał. Isola i Carlo poprosili ojca o pomoc w poszukiwaniu brata. Bruno, niezadowolony, że przerwano mu czytanie, udał się do groty, ale Gianfranco nie odpowiadał*na energiczne wołania. Pochyliwszy się zobaczył syna, stojącego ze wzniesionymi rękoma. Chłopiec z wyrazem zachwytu na twarzy wpatrywał się w jeden punkt. — Piękna pani, piękna pani... — szeptał. Ojciec chciał ująć dziecko za rękę, ale zobaczył, że Carlo i Isola uklękli obok brata i teraz cała trójka powtarzała niewyraźnie: — Piękna pani, piękna pani...

Temperamentowi Bruna najbardziej odpowiadałoby zbesztanie dzieci iście włoską kanonadą słów, ale powstrzymał się, widząc ich pobladłe twarze. Próbował więc łagodnie, ale stanowczo wyprowadzić stamtąd Carla, ale nie

mógł ruszyć chłopca z miejsca. Nagle i jego oślepiło światło, w którego blasku nie widział dzieci, lecz jedynie widmowe kontury ich sylwetek.

Później Cornacchiola opisywał swój stan, mówiąc, że doznał uczucia, jakby jego świadomość oddzieliła się od ciała. Gdy oślepiła go jasność, ujrzał postać kobiecą nieopisanej urody, w aureoli złocistego blasku. Opis postaci Madonny podany przez dorosłego mężczyznę prawie nie różnił się od opisów zwykle podawanych przez dzieci:

„[...] czarne włosy, jaśniejąca biel szaty przepasanej różową szarfą, seledynowy płaszcz [...]. Obnażone stopy pięknej Pani spoczywały na porowatym kamieniu; oblicze miało wyraz matczynej tkliwości i łagodnego smutku; postać trzymała w prawej ręce niezbyt dużą książkę i przyciskała ją do piersi...” [25]

Z początku pomyślał sobie, że to jakaś bzdura, chciał zaprotestować, ale gdy Pani zaczęła mówić, uświadomił sobie, że ma przed sobą Matkę Boską. Gdy zniknęła im z oczu, Bruno Cornacchiola, antykatolik, stwierdził, że klęczy na ziemi.

6 maja 1947 roku Bruno miał drugie i ostatnie objawienie. Wtedy znajdował się w grocie sam.

Czy szczególnie predysponowani?

Mateusz Laszut i Bruno Cornacchiola to dorośli mężczyźni. Zatem odpada możliwość telepatycznego przekazu fantasmagorii z mózgu dziecka. Obydwaj mieli objawienia pod nieobecność dzieci.

We wszystkich przypadkach na podstawie akt przedstawiłem okoliczności zdarzeń, aby dowieść, iż nie ma w nich mowy o sytuacjach szczególnie sprzyjających objawieniom ani o stanach zamroczenia okultystycznego pomagającego w osiąganiu doznań religijnych. Niezależnie od

miejsca i czasu, objawienia zawsze zdarzają się nieoczekiwanie, stąd w sprawozdaniach za każdym razem pojawia się słowo: „nagle”.

Przywileje personelu niebiańskiego

Z setek przestudiowanych protokołów objawień jednoznacznie wynika, że Kościół katolicki rości sobie wyłączone prawo do uznawania lub nieuznawania tego rodzaju zjawisk i to nie zważając na fakt, że objawienia występowały i występują u wszystkich narodów i we wszystkich religiach. W myśl postanowień Kościoła nawet Matce Boskiej, Jezusowi czy archaniołom nie wolno ukazywać się byle komu i byle gdzie. Również wizjonerzy nie mogą sami orzekać o „prawdziwości” tego, co widzą. (Jest z tym trochę tak, jak z kwestią regulacji urodzeń, w której duchowieństwo zabiera głos, choć sprawa bezpośrednio go nie dotyczy!)

Kościół katolicki wywodzi roszczenie do

wyłącznego prawa o orzekaniu „prawdziwości” objawień z racji danej mu misji nauczania. Jeśli jednak M[^]tka Boska w objawieniu zleca dziecku jakieś posłannictwo, którego treść nie odpowiada owej przypisanej sobie przez Kościół misji, wtedy objawienie zostaje uznane za „nieprawdziwe”, jest odrzucane, przemilczane albo zakazane, po prostu go nie było! O zgrozo! Cóż za absurdalna logika!

A gdy objawienie przydarzy się komuś, kto nie wierzy w jedynie zbawczy Kościół, wtedy tej biednej, nawiedzonej istocie nie pozostaje nic innego, jak poddać się leczeniu psychiatrycznemu... albo czym prędzej przyjąć wiarę katolicką. Znajduje to potwierdzenie w treści broszurki sprzedawanej przez zakonników przy tej samej grocie, gdzie Bruno Cornacchiola miał dwa objawienia:

„Bruno, zatrzymany w sposób kategoryczny na drodze wiodącej do zguby, jasno ujrzał przed sobą jedyną drogę ratunku: Rzymski Katolicki Kościół Apostolski”.

Duch Święty — koronny świadek

Pisarz i katolik Rudolf Kramer-Badoni zadaje sobie pytanie: „Czy Kościołowi, jak klubowi, wolno ustanawiać statuty, które musi akceptować każdy, kto zamierza doń wstąpić?” Pycha władz

kościelnych jest przykra. Co się nie podoba i nie jest zalecane, tego nie wolno ci widzieć, także treści przekazanych poleceń, które nie zyskały błogosławieństwa, nie wolno ci było słyszeć. I zawsze Duch Święty oświeca dostojników Kościoła! Nieuchwytny, koronny świadek!

Kramer-Badoni w książce *Ciężar bycia katolikiem* jeszcze raz stwierdza:

„Czy Kościół ma prawo przy każdej podejmowanej decyzji przywoływać na świadka Ducha Świętego? Skąd bierze się wobec tego nieustanny tradycjonalistyczny chaos, który trzeba stale porządkować (aby przygotować miejsce dla nowych nonsensów)?”

Wielka polityka robiona za pomocą objawień

Zarys historii objawień od przypadków dawnych po aktualne wykazywałby karygodną lukę, gdyby nie wspomniano w nim o dwu sławnych niewiastach: Katarzynie ze Sieny i

Joannie Orleańskiej.

Objawienia, jakie miały te dziewice, zajmują wśród fenomenów religijnych szczególne miejsce, bowiem obydwie one, powołując się na objawienia, odegrały ważne politycznie role. Maksyma jezuita Hermanna Busenbauma (1600—1668) wyrażona w jego *Medulla theologiae moralis* {*O teologii moralnej*): *Cum finis est licitus, etiam media sunt licita* — gdy cel godziwy, godziwe są także środki — obowiąz-

zywała od bardzo dawna. Strategia Kościoła jest godna podziwu, wywiera niezwykle silne wrażenie, zwłaszcza gdy spojrzeć na nią retrospektywnie.

Katarzyna ze Sieny

Siena, miasto w Toskanii (Włochy), w wieku XIII osiągnęła apogeum politycznego znaczenia, a w wieku następnym, w którym przyszła na świat Katarzyna, przeżywała szczytowy rozkwit sztuki. Siena rywalizowała z Florencją aż do 1559 roku, kiedy to, pokonana, spadła do roli prowincjonalnego ośrodka bogatego regionu rolniczego. Podróżującego po Włoszech do dziś zachwyca gotycka panorama miasta z jego Palazzi Publici, Buonsignori i Piccolomini, z kościołami Santa Dome-nica, Santa Francesca i Santa Maria dei Servi oraz stodwumetrową Torre dei Mangia. Siena, rozmieszczona na trzech wzgórzach w dziale wód rzek Elsy i Ombrone,

jest naturalnie siedzibą arcybiskupa.

Katarzyna urodziła się około roku 1347 jako dwudzieste trzecie czy dwudzieste czwarte dziecko (miała siostrę bliźniaczkę) mistrza farbiar-skiego Benincasa. W siedemnastym roku życia wstąpiła do trzeciego zakonu dominikanów, stowarzyszenia osób świeckich, które służy dobroczynności. Nie prowadząc zamkniętego klasztornego życia, Katarzyna podobno żyła „całkowicie pogrążona w swych mistycznych medytacjach”. W dziele *Katarzyna ze Sieny — listy polityczne* [26], opatrzonym *imprimatur* biskupa z Chur z 6 grudnia 1943 roku, można przeczytać:

„Okolo 1370 roku przeżyła »mistyczną śmierć«, aby od swego umiłowanego Mistrza otrzymać posłannictwo nowego życia apostoł-skiego”.

W 1357 roku Katarzyna szczyliła się bezpośrednim obcowaniem ze swym

„Oblubieńcem", Jezusem Chrystusem, z którym wymieniała się sercem i którego rany otrzymała. Od dziecka była inna niż pozostałe rodzeństwo.

„Ledwie osiągnęła wiek, w którym zaczęła coś rozumieć, ukazał się jej Pan ubrany w szaty papieskie, z tiarą na głowie. Gestem błogosławieństwa wyciągnął ku niej rękę. W sercu Katarzyny niezatarte utrwalił się ten obraz jedności Chrystusa z Kościołem — odtąd widzi ona w papieżu ziemskie wcielenie Chrystusa..." Ten zręczny manewr nasuwa mi na myśl Psalm 4, 4: „Wiedźcie, że cudownie okazał mi Pan łaskę", tylko chętnie zmieniłbym ten tekst:

Wiedźcie, że cudownie okazał mi Kościół łaskę.

Ale pozostajmy przy Katarzynie:

„Jest to czysto mistyczny okres jej młodości,
którego punktem
kulminacyjnym, zwrotnym dla dalszego życia,
staje się mistyczna
śmierć. Przez cztery godziny uważano
Katarzynę za zmarłą. W tym
czasie ukazuje się jej Pan, Świętość
Świętych...”

W białej wełnianej sukni i narzuconym na nią
czarnym płaszczu Katarzyna przebiegała ulicami
Sieny. Głośno już było o jej wizjach i stanach
ekstazy, stała się postacią znaną w
mieście. Jej przenikliwe spojrzenie wywierało na
ludzi przemożny wpływ. Tam, gdzie się znalazła,
dokonywał się cud po cudzie. Lud odbywał do
niej pielgrzymki.

Od 1374 roku datuje się „jej przyszłe posłannictwo na ziemi”, które najpierw przejawiało się w tym, że dyktowała płomienne „polityczne listy” do królowych i królów, papieży i biskupów (dopiero w ostatnich latach życia musiała z konieczności nauczyć się pisać). Namiętnie zagrzewała do udziału w krucjacie: „Bóg tego chce i ja chcę tego”.

Jak widać, Katarzyna nie miała w sobie bynajmniej pokory i skromności chrześcijańskiej. Cokolwiek inicjowała, powodowana religijną jakoby żarliwością, w rzeczywistości miało polityczne skutki.

Papież Grzegorz XI (1370—1378) przebywał wraz z dworem na wygnaniu w Awinionie. Dążąc do wypełnienia objawionej jej misji zjednoczenia władzy Kościoła, Katarzyna pragnęła sprowadzić papieża na powrót do

Rzymu, aby znów z serca Kościoła mógł mu przewodzić. Agitowała za swoją kościelno-polityczną misją na zamkach możnych rodów szlacheckich i wśród wszystkich, którym przypisywała świecką władzę. Jeździła też „na wystawny świecką wspaniałością dwór papieży w Awinionie [...]. Tylko tym można tłumaczyć jej misje polityczne...”

Podjeżdżana czystość!

Katarzyna przez cały rok uparcie walczyła o powrót papieża. W roku 1377 dopięła celu. Rzym znów stał się siedzibą władzy Kościoła.

Podczas gdy stale, i to aż nazbyt wyraźnie, podkreśla się jej ufną naiwność, a objawienia nazywa źródłem inspiracji, właściwą przyczyną jej politycznego zaangażowania, to równocześnie przemilcza się rolę Katarzyny ze Sieny jako narzędzia polityki.

Cudów sprawdzić się nie da, ale ugruntowana dzięki nim władza kościelno-polityczną istnieje. Należy to wiedzieć, jeśli się nie jest „porażonym ślepotą” (I Mojż. 19, 11).

Joanna z Domremy

Nie mniej aktywna politycznie była wiejska dziewczyna Joanna, która wśród jasnowidzących stała się gwiazdą o światowym rozgłosie. Urodziła się między rokiem 1410 a 1412 we wsi Domremy, we wschodniej Francji. Dziś Domremy nosi nazwę Domremy-la-Pucelle (*la pucelle* — dziewica) i liczy 280 mieszkańców, którzy chętnie pokazują przybyszom dom swej niezwykle sławnej rodaczki. Dziewczyna z Domremy, znana w literaturze kościelnej i świeckiej jako Joanna d'Arc, święta Joanna albo Dziewica Orleańska, główna postać słynnych dramatów, wkroczyła do wielkiej polityki europejskiej z mandatu udzielonego jej przez objawienie. Pierwsze objawienie miała w trzy-nastym roku życia — usłyszała wówczas głos. Zeznania walecznej dziewicy złożone w czasie procesu potwierdzają *Rękopisy Biblioteki*

Królewskiej [21].

Z akt procesu

„Kiedy miałam trzynaście lat, w ogrodzie mego ojca w Domremy usłyszałam głos. Dochodził z prawej strony, od kościoła, a towarzyszyła temu jasność. Najpierw zląkłam się, ale wkrótce poznałam, że jest to głos anioła, który od tej pory kierował mną i uczył. Był to święty Michał. Widziałam też św. Katarzynę (ze Sieny!) i św. Małgorzatę. One rozmawiały ze mną i zachęcały mnie, kierowały wszystkimi moimi poczynaniami. Z łatwością rozpoznaję, czy przemawia do mnie anioł, czy ktoś święty. Zwykle, ale nie zawsze, towarzyszy im jasność. Ich głosy są łagodne i dobre. Aniołowie ukazują mi się z normalnymi głowami. Widziałam ich i widzę na własne oczy [...].

[...] Minęło pięć lat. Joanna pasła krowy i znów głos powiedział jej, że Bóg lituje się nad

narodem francuskim i że ona, Joanna, musi go ocalić. Kiedy potem zaczęła płakać, głos nakazał, aby udała się do Vaucouleurs, gdzie znajdzie kapitana, który powinien bez przeszkód zaprowadzić ją do króla [...].

[...] Od tego czasu nie czyniłam nic innego, jak tylko to, co widziałam i słyszałam w objawieniach i nawet podczas całego procesu mówię tylko to, co zostało mi objawione..."

Podczas oblężenia Orleanu Joanna przepowiedziała zajęcie miasta,

a także to, że z piersi jej popłynęła krew. W dzień później została zraniona, strzała „na sześć cali” wbiła się w jej ramię.

Pozostając w ciągłym kontakcie z owymi głosami, Joanna była dwa lub trzy razy na tydzień wzywana do podjęcia działań natury politycznej. Pod koniec roku 1428 nakazy stały się tak konkretne, że zobowiązały dziewczynę, aby natychmiast przyszła rodakom z pomocą: miała położyć kres oblężeniu Orleanu przez Anglików.

Joanna między frontami

Łatwo było głoszom wydawać rozkazy, ale we Francji, rozdartej wówczas na dwa obozy, ich spełnienie było dla wiejskiej dziewczyny trudnym zadaniem. Stronnictwu Orleanu przewodził niedołączony delfin, którego Joanna w roku 1422 koronowała w katedrze w Reims na króla Karola VII. Natomiast stronnictwu Burgundii przewodził

Henryk V.

Powtarzające się nieustannie objawienia spowodowały, że dziewczyna, opanowana mistyczną wiarą w swoje posłannictwo, zaczęła działać, jak gdyby gnały ją Furie. Ubrana w wiejskie łąchmany, z niebywałą zaciętością pokonała dworskie bariery, dotarła do infantylnego delfina, którego molestowała tak długo, aż mianował ją *Chef de guerre*.

Joanna zwycięża!

Na czele 4000 wojowników Joanna zmusiła „przeklętych” Anglików do wycofania się z Orleanu. Zwycięstwo to przyniosło decydujący zwrot w wojnie stuletniej. Z powodu słabości króla spełżył na niczym dalsze cele polityczne Joanny, aby zjednoczona Francja Orleanu i Burgundii uderzyła na Anglię. Raz jeszcze dzielna dziewczyna ruszyła do boju, ale pod Compiègne została pojmana przez Burgundów. Burgundowie za dużą sumę sprzedali

Anglikom wziętą do niewoli Joannę. (Święci mają swoją cenę!) Anglicy wiedzieli, że Francja bez Joanny (i jej objawień!) nie będzie dążyła do zjednoczenia. Uważali ją również — zdobycz wojenną — za czarownicę: z obawy więc umieścili dziewczynę w żelaznej klatce!

W krzyżowym ogniu pytań na temat objawień

Proces pod przewodnictwem biskupa z Beauvais rozpoczął się 21 lutego 1431 roku. Z protokołów [28] wynika, że centralnym wątkiem przewodu sądowego były objawienia i głosy słyszane przez Joannę.

22 lutego 1431 — zamek w Rouen

Przesłuchujący: Kiedy po raz pierwszy usłyszałaś głosy?

Joanna: Miałam trzynaście lat, gdy dotarł do mnie głos Boga,

aby mi pomóc żyć w sposób prawy.

Przesłuchujący: Często w domu nawiedzały cię te głosy?

Joanna: Dwa albo trzy razy w tygodniu przemawiały do mnie:

„Opuścisz swoją wieś i udasz się do Francji”.

Przesłuchujący: Co poza tym zostało ci jeszcze

objawione?

Joanna: Usłyszałam, że mam zakończyć
oblężenie Orleanu...

Zjawa w sposób jednoznaczny zleciła Joannie
misję polityczną! Kiedy 28 marca zagrożono jej
torturami i wyrokiem za kacerstwo, zaparła się
swoich objawień.

Joanna: Azaliż ojcowie duchowni zapewniali,
iż objawienia

moje i wizje nie są wiary godne i nie
da się ich nijak poprzeć, przeto nie
będę przy nich obstawać.

2 kwietnia odwołała to, co przedtem odwołała
pod przymusem.

Biskup: Czy ode czwartku słyszeliście głosy
świętej Katarzyny

i świętej Małgorzaty?

Joanna: Bóg przez usta obu świętych kazał mi

powiedzieć, do

jak nędznej zniżyłam się zdrady
wyrzekając się i odwołując
wszystkajeno gwoli ratowania życia.

Przy milczącej aprobacie duchownych sędziów
30 maja 1431 roku świeccy kaci podpalili stos.
Joanna umarła w płomieniach z okrzykiem:
„Jezusie! Jezusie!”

Dwadzieścia lat później sługa sądowy podał do
protokołu, że serce Joanny mimo całkowitego
zniszczenia ciała pozostało nienaruszone.

Nie trzeba bynajmniej łamać sobie głowy, żeby
się» domyślić, iż postacie występujące w
objawieniach Joanny chciały osiągnąć jakieś
polityczne cele. Jaki interes mogli mieć w tym
„święci niebiescy”?

W roku 1456 Kościół dostrzegł korzyści ze sprowadzenia na swoje łono świętej i bohaterki narodowej w jednej osobie. Odwołał więc wyrok, który zaprowadził jego wyznawczynię na stos. W 1894 roku Joanna została zaliczona w poczet błogosławionych, a w 1920 kanonizowana.

W epilogu do *Świętej Joanny* George'a Bernarda Shawa Jegomość mówi:

„Każdego trzydziestego dnia miesiąca maja, jako w rocznicę zgonu owej błogosławionej córki Boga, winno być odprawione w każdym kościele katolickim specjalne nabożeństwo ku uczczeniu jej pamięci —winno być również rzeczą uprawnioną poświęcanie jej oddzielnych kaplic i umieszczanie jej wizerunków na ołtarzach rzeczonych kościołów. Będzie też rzeczą chwalebną i uprawnioną dla wiernych Kościoła padać na kolana i za jej pośrednictwem modły zanosić do tronu Łaski i Miłosierdzia”.

Shaw posłużył się oficjalnym tekstem. Tak oto Kościół sam siebie koryguje, jeśli święci są nie tylko świętymi, lecz stają się również skutecznym politycznym narzędziem władzy, z którą identyfikowanie się byłoby dla niego korzystne.

Zjawy nie boją się konkurencji

Powiedziałem już, że Kościół rzymskokatolicki zastrzega dla siebie wszystkie objawienia uznane przez jego instancje za „prawdziwe”. Uzurpatorstwo. Przecież istnieją inne odłamy chrześcijaństwa i wyznania, których nauka *też* oparta jest na Starym i Nowym Testamencie. Miliony wyznawców owych odmian wyznań chrześcijańskich nie uważają siebie za gorszych chrześcijan, za drugi czy trzeci *sort*. I oni w świecie *swojej* wiary bronią „prawdziwości” objawień. Obstawanie przy tym jest więc sprzeczne z wszelką logiką. Z doniesień o ob-

jawieniach u metodystów, baptystów, świadków Jehowy, w Kościele nowoapostolskim, greckokatolickim wynika, że dokonywały się tam takie same religijne cuda, że zjawy głosiły te same moralne wartości: wiarę, modlitwę, skromność, miłość i poszanowanie bliźniego, potępienie czynów przestępczych. Dlaczego więc, do stu diabłów, u „innych”, gdzie właściwie powinien ukazywać się tylko Lucyfer, diabeł osiąga tak absolutnie chrześcijańskie efekty?

Joseph Smith — założyciel religii objawionej w widzeniach

Prorok Joseph Smith (1805—1844) jest założycielem Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych Dni Ostatnich. W nocy 21 września 1823 roku miał widzenie:

„Gdy tak modliłem się do Boga, zauważyłem, że ukazała się w moim pokoju światłość, która rosła, aż w pokoju stało się jaśniej niż w południe. Wtedy to niespodziewanie niebiański posłaniec pojawił się przy moim łóżku. Stał w powietrzu, albowiem stopy jego nie dotykały podłogi.

Odziany był w luźną szatę o wyjątkowej bieli. Była ona bielsza nad wszystko, co kiedykolwiek widziałem. Nie sędzę też, by coś tak niezwykle białego i olśniewającego mogło pochodzić z tego świata. Dłonie jego oraz ręce nieco powyżej nadgarstka były obnażone,

również jego stopy i nogi nieco powyżej kostek były odkryte. Głowa i szyja były także obnażone. Szata jego była rozchylona na piersi i widziałem, że prócz niej nie miał na sobie żadnego innego odzienia. [...]

Posłaniec zwrócił się do mnie po imieniu mówiąc, że został do mnie wysłany sprzed oblicza Boga i że imię jego jest Moroni. Powiedział mi, że Bóg ma dla mnie ważne zadanie [...]. Powiedział również, że została zachowana księga spisana na złotych płytach, zawierająca dzieje dawnych mieszkańców tego kontynentu oraz ich rodowody. Zawarta jest też w niej pełnia wiecznej ewangelii, jak przekazał ją Zbawiciel dawnym mieszkańcom kontynentu Ameryki. [...]

Gdy Moroni skończył, ujrzałem jak światłość, pierwotnie zalegająca
mój pokój, poczęła skupiać się wokół jego postaci, aż wkrótce całe

pomieszczenie pogrążyło się w ciemności z
wyjątkiem miejsca,
w którym stał. Potem spostrzegłem nagle, że
utworzył się nad nim
jak gdyby słup światła prowadzący do nieba i
posłaniec zaczął
wznosić się, aż zniknął zupełnie i pokój
ponownie przybrał wygląd
jak przed pojawieniem się niebiańskiej
światłości". [29]

Gdzież w tej relacji różnica między tym
objawieniem a objawieniami
zaaprobowanymi przez Kościół
rzymskokatolicki? Joseph Smith miał
dalsze widzenia, podczas których zostały mu
pokazane złote płyty,
których tekst przetłumaczył. W ten sposób w roku
1830 powstała *Księga
Mormona*. Chrześcijańska gmina mormonów po
długiej wędrówce

przez pustynię w roku 1848 osiadła nad Słonym
Jeziozem w USA

54

i założyła Terytorium Utah z centralą w kwitnącej osadzie Salt Lake City. Kościół mormonów liczy dziś półtora miliona wyznawców rozproszonych po całym świecie. Mormoni naprawdę przestrzegają zasad chrześcijańskich. Jest to sekta, którą jako niezbyt znaczącą można by pominąć.

Czy „cud”, jaki przydarzył się Josephowi Smithowi, można przekonująco wyjaśnić inaczej niż „natchnieniem”, czyli objawieniem? Ani FBI, ani inny przebiegły prywatny detektyw nie znał owego miejsca na nieznanym wzgórzu, gdzie Joseph Smith znalazł pokryte pismem płyty z treścią *Księgi Mormona*. Nie zagrzebał ich tam przecież żaden archeolog. Zjawa zaprowadziła Smitha do ukrytego skarbu, na którego treści oparła się jego religia. *Nikt* nie wiedział o skarbie, nikogo tam przedtem nie było, nikt nie mógłby tam więc zaprowadzić siedemnastolatka, kierując nim za pośrednictwem telepatii.

Logiczne jest więc, że ktoś kiedyś o tym wszystkim wiedział, bo przecież ktoś musiał to tam umieścić. Ponieważ ów potężny nieznanomy nie był współczesnym Smitha, to z konieczności impuls musiał wyjść — jakże by inaczej? — od istot znających sprawę, ale pochodzących *nie z tego* świata, od istot, które w nieznanym nam czasach bawiły na naszej planecie. Bo przecież dawcy energii dla objawienia, jakie ujrział Smith, byli zapewne niegdyś na tym wzgórzu. Oni także mogli nam tylko przekazać drogą indukcji to, co *wiedzą*, a na temat rodzaju ludzkiego i ukrytej wiedzy wiedzą znacznie więcej, niż dotychczas udało nam się odkryć. Smith był tylko narzędziem istot pozaziemskich. Byłbym wdzięczny za inne przekonujące wyjaśnienie tego zjawiska.

Treść *Księgi Mormona* otrzymana dzięki objawieniom zawiera takie mnóstwo historycznych wydarzeń i dat, nazwisk i danych

geograficznych, że kompendium to nie mogło powstać z zasobu wiedzy siedemnastoletniego chłopca. Jak we wszystkich objawieniach, także i w tym było „coś”. To „coś” trzeba zbadać. Nie chodzi tu z pewnością o manifestacje piekła, bo rezultat w końcu był pozytywny. Pozwólcie powtórzyć za Ojcami Kościoła: *Contraria contrariis!* — przeciwne leczy się przeciwnym.

Objawienia w Kairze

Kościół koptyjski jest chrześcijańskim kościołem narodowym w Egipcie i liczy ponad milion wiernych. Zwierzchnictwo nad nim sprawują patriarchowie Aleksandrii, którzy od XI wieku mają siedzibę w Kairze.

2 kwietnia 1968 roku na przedmieściu Kairu zaobserwowano nad kopułą starego kościoła koptyjskiego twór przypominający trochę białego gołębia, który z wolna się rozplątał. Obłok, ulegając przedziwnej metamorfozie, przybrał kształt ludzkiej postaci, z której emanowała tak wielka jasność, że patrzący musieli przymrużyć oczy, żeby móc śledzić dalej ów fenomen. Przez kilka wieczorów pod rząd zjawisko powtarzało się w tym samym miejscu i o tej samej porze.

Patriarcha koptyjski Kyrillos VI natychmiast powołał komisję złożoną z duchownych, naukowców i wiernych. Komisja wraz z tysiącem obywateli Kairu: koptyjczyków, muzułmanów, hindusów, chrześcijan wszelkiej maści i członków różnych sekt potwierdziła, że nad kopułą kościoła widać było „piękną postać kobiecą”, z której emanowała światłość. Wieczorem 12 kwietnia 1968 roku egipski fotoreporter Wagih Rizk Matta, polując na

sensację, wykonał pierwsze zdjęcie objawienia Matki Boskiej na tle nieba. 14 kwietnia patriarcha przedstawił tę dokumentalną fotografię podczas konferencji prasowej: na tle trzech kopuł, nad dachem kościoła widać było w dolnej części zdjęcia intensywnie biały twór o nie dającym się zidentyfikować kształcie. Świadkowie potwierdzili własnoręcznymi podpisami, że widzieli „piękną postać kobiecą” [30].

Depcząc cudom po piętach

Byłem w Lourdes i w Fatimie. Podróżując po kontynentach, nie pominąłem żadnego miejsca znanego z cudownych objawień, aby się krytycznie przyjrzeć otoczeniu i okolicznościom towarzyszącym „cudowi”. Nigdy jednak nie doznałem przywileju uczestniczenia w „nagłym” objawieniu ani też rozmawiania z czynną wizjonerką czy wizjonerem. A na biurku ciągle

znajdowałem aktualne doniesienia o „działalności” Mamy Rosy. Mama Rosa uchodzi za wizjonerkę. Czyżby nadarzała się więc szansa wypełnienia luki w wiedzy na ten temat? 22 marca 1974 roku odwiedziłem San Damiano, dziurę zabita dechami. Wcale niełatwo było ją znaleźć, bo żaden drogowskaz nie kieruje do tej miejscowości. Szybko spostrzegłem jednak, że drogowskazy nie są potrzebne, bo każdy zapytany zna dom rodziny Quattrinich, gdzie mieszka i działa Mama Rosa (San Damiano leży na południe od Piacenzy, zaś Piacenza na południowy zachód od Mediolanu). Podobnie jak ja, przybyło tu wielu pielgrzymów z różnych krajów, co

potwierdzały parkingi zastawione samochodami z zagranicznymi tablicami rejestracyjnymi.

Z okna wiejskiego domu słysząc monotonnie odmawiany różaniec: „Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami...”

Południowa ściana chłopskiej zagrody obwieszona jest tablicami wotywnymi (tablice ofiarowane świętym w miejscach pielgrzymek): „Maryja pomogła!”, „Jestem znów zdrowy!”, „Zdałem egzamin!”. Wśród adresów dziękczynnych nie brak żadnego ze znanych mi języków. Mama Rosa zna się zapewne na cudach. Trafiłem pod właściwy adres...

W jednej części podwórza na wielostopniowej, metalowej podstawie pełgają ustawione długimi rzędami czerwone lampki oliwne. Dalej, na stole, stoją dwie duże plastikowe butelki z „cudowną wodą” z San Damiano. Otrzymuje się ją bezpłatnie, gdyż u Mamy Rosy niczego się nie sprzedaje.

Dewocjonalia i pamiątki można kupić w nielicznych sklepach we wsi.

Na kamiennym cokole, za kratą, wśród kwiatów, króluje biała figura Matki Boskiej w koronie, z rękoma złożonymi w zapraszającym geście, a w każdej tkwi róża. Na prawo klęczniki, za którymi zaczyna się „droga krzyżowa”. Jest to rząd figur przedstawiających stacje Męki Pańskiej. Tu i przed statuą klęczą na betonie pielgrzymi z twarzami zwróconymi w stronę kraty.

Chciałbym mówić z Mamą Rosą...

Wychodzi mi naprzeciw wieśniaczka w fartuchu. Ma około pięćdziesięciu lat. Przypominając sobie fotografie osądzam, że chyba jest siostrą Mamy Rosy.

Zagaduję ją: — *Scusi, signora...* Przyjechałem ze Szwajcarii, żeby zadać Mamie Rosie kilka pytań.

—*No! No!* Nie można. Mama Rosa musi się teraz modlić...

—Nie szkodzi, zaczekam parę godzin albo przyjdę jutro. Jestem pisarzem i zajmuję się objawieniami, jakie Mama Rosa... — Bardzo zdenerwowana zasypuje mnie słowami: — Nie może pan rozmawiać z Mamą Rosą, ona jest chora, teraz i tak jest chora... — Ale ja jestem wytrwały. W ułamku sekundy przemyka mi przez myśl, czy nie powinienem spróbować szczęścia, pertraktując kilkoma banknotami, co we Włoszech zwykle otwiera najmocniej nawet zamknięte drzwi.

Rezygnuję jednak, żeby jej ewentualnie nie urazić, bądź co bądź jestem w cudownym miejscu. Ale nie ruszam dalej. Zanim przyszedłem tu, wiedziałem już z różnych publikacji [31], co dzieje się w San Damiano i co posłużyło Mamie Rosie za magnes przyciągający wierzących w cuda.

Grusza zakwitła jesienią

29 września 1961 roku Rosa Quattrini skręcała się na łóżku z bólu — nazajutrz miała być w szpitalu poddana operacji przepukliny. Pani Rosa urodziła troje dzieci, za każdym razem z cesarskim cięciem. Starszy syn uczył się już wówczas w seminarium duchownym w Piacenza, młodszymi zajmowała się ciotka Adela.

W domu zawsze było krucho z pieniędzmi, ale tego dnia zebrano tysiąc lirów, które chora miała

wziąć ze sobą do szpitala. W kuchni obok sypialni ciotka Adela gotowała skromny posiłek, kiedy do drzwi zapukała młoda kobieta: prosiła o datek na kościół Santa Maria della Grazie w San Giovanni Rotondo, gdzie działał cudotwórca, ojciec Pio. Ciotka Adela, dla której pieniądze były „świętością”, jak dla wszystkich biedaków, zapytała Rosę, co ma odpowiedzieć kwestarsce. Rosa bez wahania rozstała się z połową gotówki. Obca kobieta weszła do chorej, aby jej podziękować, po czym zaczęła ją namawiać do wstania. W końcu prawie wyciągnęła Rosę z łóżka: — Moja córko

— powiedziała — jesteś uzdrowiona! — Bóle ustąpiły w mgnieniu oka, operacja nie była już potrzebna.

Młoda pani zaleciła Mamie Rosie, żeby odwiedziła ojca Pio. Uzdrowiona w tak cudowny sposób, Rosa pojechała do San Giovanni Rotondo, gdzie ojciec Pio, słynny także z

uzdrawiania na odległość, poradził jej, żeby — jeśli pozwolą jej na to obowiązki rodzinne — podjęła się opieki nad chorymi.

Przez następne trzy lata życie w gospodarstwie w San Damiano toczyło się zwykłym trybem.

16 października 1964 roku pani Quattrini rozmawiała z sąsiadką w sadzie. Obie kobiety spostrzegły — jakże by inaczej, jeśli nie „nagle” — mglistą zasłonę, dziwny mały obłoczek otulający koronę śliwy. Potem osobliwy ten twór przeniósł się nad gruszę i „nagle” w owym obłoku, który zaczął przybierać bardziej gęstą konsystencję, ukazała się promieniście jasna postać kobieca z dwiema nieodłącznymi różami w ręce i w koronie na głowie. Dama ostrzegła:

— Przybyłam, żeby zachęcić świat do modlitwy, albowiem zbliża się Sąd Boży! — Bystra Rosa zapytała: — Jakże uwierzą mnie, biednej kobiecie? — Madonna jasno i wyraźnie odpowiedziała: — Nie bój się, dam znak. Nakażę gruszy, aby zakwitła. — I rozplynęła się w powietrzu.

W październiku na drzewie było jeszcze sporo nie zebranych dojrzałych gruszek, ale — podobno — nie było ani jednego kwiatowego pączka. A jednak grusza zakwitła, nie powoli, lecz — jak twierdzili naoczni świadkowie — stało się to z minuty na minutę. Cud powtórzył się następnego dnia ze śliwą.

Mama Rosa gawędzi z Matką Boską

Od owego jesiennego kwitnienia drzew nie ma końca objawieniom. Prawie w każdy wtorek Rosa Quattrini rozmawia z Matką Boską i otrzymuje od niej wskazówki, różne misje do

spełnienia, wiadomości przeznaczone dla określonych osób i ostrzeżenia dla tych, których wiara nie jest dość silna.

Włóczę się po ogrodzie cudów, po podwórzu. Z okna domu słysząc odmawianą litanie: — Który przelał za nas krew. Który za nas dał się ukrzyżować... — Przed zakratowaną figurą Marii klęczą dwaj francuscy księża w szatach liturgicznych.

Mama Rosa przysparza Rzymowi kłopotu. Przekazywane jej rzekomo przez Matkę Boską przesłania są sprzeczne, naiwne, często despotyczne, niekiedy naszpikowane ostrymi pogrózkami. Na podstawie protokołów trudno uwierzyć, aby ta cała gadanina mogła pochodzić z jakiegokolwiek boskiej inspiracji. A jednak w San Damiano podobno dokonują się cudowne uzdrowienia, a setki obserwatorów miało okazję przeżyć tu dwa cuda ze słońcem.

Kościół zachowuje rezerwę

Kościół jeszcze zachowuje dystans. Gazeta „Osservatore Romano” z 16/17 listopada 1970 roku opublikowała oświadczenie biskupa Piacenzy: „Rzekome posłannictwa, wizje i cuda nie mają nic wspólnego ze zjawiskami nadprzyrodzonymi. Rosa Quattrini codziennie jawnie odmawia posłuszeństwa swemu biskupowi. Niniejszym powiadamia-

my Rosę Quattrini, że zmuszeni jesteśmy odmówić jej sakramentów, jak również wstępu do kościoła [...]. Ksiądz Edgardo Pallacini, były proboszcz w San Damiano, w zatwierdzonym przez Stolicę Apostolską dekreście o zawieszeniu go w czynnościach otrzymał formalny zakaz zajmowania się w przyszłości tak zwanymi wydarzeniami w San Damiano [...]. Ostrzegamy ponadto wszystkich pozostałych wiernych i odpowiedzialnych [...] zarówno duchownych, jak osoby świeckie [...] przed rozpowszechnianiem wieści o rzekomych objawieniach i posłannictwach zlecanych przez Matkę Boską i organizowaniem tam pielgrzymek [...] w przeciwnym razie będziemy zmuszeni wzbronąć im dostępu do kościoła i sakramentów. Księżom, którzy nie zastosują się do tego, grozi *suspensa a dwinis*".

Zaczekajmy lat kilka albo kilkadziesiąt...

Od kilku godzin widzę, jak po podwórzu kręci się szczupły, młody kapucyn w brązowym habicie przepasanym białym sznurem. Uśmiecha się do mnie.

Wszędzie monotonne litanie: — Któryś za nas przyjął koronę cierniową — któryś za nas dźwigał ciężki krzyż — któryś za nas został ukrzyżowany — któryś zmartwychwstał...

Zagaduję kapucyna. Ciągłe jeszcze nie tracę nadziei, że uzyskam wywiad z Mamą Rosą. Może mógłby mi w tym pomóc ten bogobojny człowiek, który sprawia wrażenie jakby był tu zadomowiony. — Nie, nie może pan dostać się do pani Quattrini, ona musi się modlić. Dla kogo pan pisze? Jak brzmi pańskie nazwisko? Nie, nikt nie może dostać się do niej, ona nikogo nie przyjmuje, rozmawia z Maryją. — Rzym — mówię — wyraźnie odciął się od San Damiano. — Kapucyn unosi ramiona w górę, potem je opuszcza, jak gdyby

chciał powiedzieć: „No cóż. Mój Boże...” Daje do zrozumienia, że to przecież normalna postawa Kościoła, trzeba czekać lata, dziesiątki lat...

Co tu robi wobec tego obserwator z ramienia Kościoła? Patrzą na niego od wielu godzin. Przed kim i przed czym ma strzec tej starej kobiety, o której mówi, że rozmawia z Maryją?

Pół dnia czatowałem na sposobność porozmawiania z Mamą Rosą, ale była całkowicie odizolowana. Kiedy w końcu zrezygnowałem, znów usłyszałem monotonne modlitwy, które rozbrzmiewały na podwórzu jak irytujący szum z za kulis. Bez przerwy. — Któryś zmartwychwstał

— któryś wstąpił do niebios — któryś zesłał nam Ducha Świętego

— który Ciebie, o Dziewico, zabrał do nieba —
który Ciebie, o Dziewico, w niebie ukoronował.

Przez sześć godzin kręcił się ten modlitewny młynek. Przemknęła mi złośliwa myśl: czyżby tam w domu odtwarzano to z taśmy magnetofonowej?

Słuszna jest uwaga kapucyna, że poczeka się lata. Dziesiątki lat. Setki lat. Dopiero wtedy jedynie prawdziwy Kościół zaliczy do grona świętych Mameę Rosę z San Damiano, swoją owieczkę! Życzyłbym sobie bardzo móc za sto czy dwieście lat przekartkować spisy świętych, jeśli coś takiego jeszcze w ogóle będzie. Prawdopodobnie znalazłbym tam Mameę Rosę.

Naukowcy związani z Kościołem, tacy jak historyk i hagiograf Walter Nigg, uprawiają glebę, aby mogły się na niej udawać cuda i rosnać święci:

„Święci uosabiają chrześcijańskie życie, są oni najlepszymi nauczycielami sztuki odnoszenia

się do Boga i bezpiecznie wiodą nas obok gorejącego, ciemnego krzewu. Nie ma nic bardziej żywego i obrazowego od świętych; są to ludzie, którzy mogą służyć za wzór, gdyż mają przed oczyma Boga, jakby go widzieli" [32].

Czy te zjawiska można wytłumaczyć?

Przedstawiłem zarys charakterystycznych przypadków objawień i opisy ich możliwości. Czy należy zgodzić się z Franzem Werflem, autorem powieści o Lourdes *Pieśń o Bernadecie*, że „wierzącemu wyjaśnienie nie jest potrzebne, wyjaśnienie zaś niewierzącemu nie jest możliwe”? Ale czy na pewno?

W krajach chrześcijańskich odnotowano tak dużo objawień i tyle z nich w naszym stuleciu poparto dokumentami, że oceny i reakcje wielu naukowców wprost mnie szokują. Od dawna już

oduczyłem się dziwić z tego powodu. Wszystko, co na razie wydaje się niepojęte, czego nie da się zdefiniować, wymierzyć i fizycznie zarejestrować, tego po prostu nie ma. Możliwe, że chodzi o fantasmagorie, a o tym przecież się nie mówi. Ale nie należy tego ujmować tak powierzchownie. Po przestudiowaniu stosów dokumentacji stało się *dla mnie* jasne, że subiektywnie postrzegane objawienia miały miejsce. Pewnie i teraz, 17 kwietnia 1974 roku, kiedy to piszę, gdzieś na świecie jakieś objawienie znalazło swego odbiorcę.

Należałoby zbadać, jaką rolę odgrywa u
wizjonerów egzaltacja

religijna i wyobraźnia, oraz
sprawdzić, co z subiektywnych
doznań poznawanego świata zostało
zainicjowane przez wychowanie i
sugestię. Światopogląd
materialistyczny, który neguje
wszystko, czego nie da się zmierzyć,
nie może sprostać wymaganiom
dzisiejszej wiedzy.

Dowcipkowanie na temat objawień,
których się nie rozumie i nie próbuje

z głębi, stanowi być może urozmaicenie towarzyskich spotkań. Badanie nowych zjawisk, analizowanie i dociekanie pozostawi się zapewne co wrażliwszym słoniom.

Przy pewnej dozie dojrzałej rozwagi można dokonać analizy zjawiska OBJAWIEŃ. Jestem przekonany, że da się wykazać, jakie przyczyny należy *wyeliminować*. Zaczniemy od Pisma Świętego...

II. Ewangelie + listy apostołskie + księgi prorocze + księgi historyczne = słowo Boże?

Ponad miliard ludzi na naszym globie uważa się za chrześcijan. Jak związać ich z wiarą? Potrzebna jest do tego jakaś wspólna baza. Tą bazą była i jest Biblia.

Słowo „biblia” pochodzi z greckiego *biblion* — księgi. W leksykonie pod hasłem „Biblia” czytamy: „Księga ksiąg, Pismo Święte, zbiór pism uznawanych przez kościoły chrześcijańskie za *dokumenty* Bożego objawienia, za *słowo Boże*, obowiązujące dla wiary i życia [...]”

W kościołach głosi się wbrew zdrowemu rozsądkowi, jakoby Biblia była natchniona przez Boga i zawierała *słowo Boże*. W uszach i w naiw-

nym sercu prostego chrześcijanina słowa namaszczonego teologa brzmią tak, jakby dobry Bóg osobiście księgę ksiąg inspirował, a nawet ją podyktował.

Co się tyczy Nowego Testamentu, to pozostawia się katolika w wierze, że uczniowie Jezusa z Nazaretu stenografowali Jego nauki, przykazania i „proroctwa”, a oglądając „cudowne” czyny, jakich dokonywał, natychmiast wpisywali je do kroniki cudów. Chrześcijanin powinien uważać księgę ksiąg za zbiór autentycznych relacji.

Hans Conzelmann, profesor z Getyngi, znawca problematyki, przyznaje, że społeczność chrześcijańska istnieje właściwie dzięki temu, że w niewielkim stopniu znane są jej wyniki krytycznych badań nad Biblią. I gdzie tu

uczciwość chrześcijańska? Ale tak to już jest.

64

Wiedza tajemna?

Biblia nie jest tym, za co zawsze uchodziła i nadal uchodzi, nawet Duch Święty nie jest już tym, czym miał być pierwotnie. Z góry wiem, że moi krytycy — specjaliści od teologii — spojrzą z oburzeniem i powiedzą: Przecież wiemy, nasza literatura teologiczna niczego nie przemilcza.

I będą mieli słuszność. Ale duże i małe kościoły chrześcijańskie żyją w wiernych i z wiernych, towarzysząc prostemu człowiekowi od kołyski do trumny i dzięki zmyślnie ustanowionym obrzędom dla każdego etapu życia stają się „niezbędnie potrzebne”, sprawują władzę i napędzają kościelne kasy. Przecież mówić o tym, że w księgach teologicznych roi się od błędów (a powszechnie uchodzą te księgi za ostateczną prawdę) i sprawdzać naukę wiary... nie byłoby *fair*. Ilu z ponad miliarda chrześcijan zagląda do archiwów teologii?

Niewiedza chrześcijan

Joachim Kahl, doktor teologii na Uniwersytecie Filipa w Marburgu, stwierdził, co następuje: „Niewiedza chrześcijan bierze się głównie z niedosytu informacji udostępnionych przez teologów i historyków Kościoła, którzy w swych pracach stosują dwa rodzaje gry dla ukrycia skandalicznych faktów. Albo zmieniają oni rzeczywistość w dokładne jej przeciwieństwo, albo zatajają" [1]. *Ja* nazywam obydwie sposoby oszukiwaniem wiernych.

Laik ma prawo, aby zwolniono go z uznawania błędów i niezyciowych dogmatów chrześcijańskich; ma prawo domagać się, by powiedziano mu prawdę — ponieważ dzieje się to w imię Boga — w języku zrozumiałym, bez skomplikowanej, wykrętnej, teologicznej ekwilibrys-tyki; ma wreszcie prawo oczekiwać, że zdejmie się z niego wszelkie „strachy”,

funkcjonujące od prawie dwu tysięcy lat, nie zamierzone, ale wykorzystywane bardzo skutecznie.

Zawsze nieomylny

W powziętej przez Sobór uchwale o Kościele z 21 listopada 1964 roku, w oświadczeniu z 28 listopada 1965 roku, dotyczącym stosunku

do niechrześcijańskich religii, oraz w uroczystym orędziu papieża Pawła VI z 30 czerwca 1968 roku powiedziano wyraźnie:

- Kościół katolicki jest jedynym kościołem prawdziwym;
- Kościół katolicki jedynie głosi nieomylną prawdę;
- Kościół katolicki jest nieodzowny do zbawienia;
- Kościołowi katolickiemu powierzona została pełna skarbnica niebiańskiego dobra;
- tylko Kościół katolicki natchniony jest duchem Chrystusa;
- jedynie Kościołowi katolickiemu powierzony został urząd nieomylnego nauczyciela;
- jedynie Kościół katolicki głosi pełną i całkowitą prawdę.

18 listopada 1965 roku Kościół katolicki uroczyście i oficjalnie oznajmił w Konstytucji Dogmatycznej, że:

- pierwszym *autorem* Biblii jest Bóg;
- Biblia w *całości* jest święta;
- Biblia w *całości* napisana została z natchnienia Ducha Św.;
- wszystko*, co stwierdzają natchnieni pisarze Biblii, należy traktować, jak gdyby było pisane przez Ducha Św. Biblia *uczy pewnie, wiernie i bezbłędnie.*

Aby ponad miliardowi wiernych zaprezentować ten kanon teologicznej prawdy, teologowie, nie wspominając o wynikach swych badań nad Biblią, powołują się na ewangelistów, na listy apostołskie i na cudowny, „oryginalny” tekst Ducha Św.

Gwoli prawdzie

Ale — gwoli prawdzie! — żaden z ewangelistów współczesnych Jezusowi i w ogóle żaden ze współczesnych nie pisał relacji jako naczynny świadek. O Jezusie i jego uczniach zaczęto

pisać dopiero po zburzeniu Jerozolimy przez cesarza rzymskiego Tytusa (39—81 po Chr.) w 70 roku. Jeśliby przyjąć, że Syn Boży umarł w 30 roku, to jeden z pierwszych autorów Biblii, Marek, pisał swą ewangelię po upływie co najmniej czterdziestu lat od ukrzyżowania Chrystusa. Oto co na ten temat mówi dr Johannes Lehmann, współautor nowoczesnego przekładu Biblii: „Autorzy ewangelii nie są biografami, lecz interpretatorami; nie rozjaśnili oni tego, co przez pokolenia zostało zaciemnione, a właściwie zaciemnili to, co było jasne. Nie pisali historii, oni ją «robili»" [2].

Dziwne „teksty pierwotne”

„Teksty pierwotne”, wielokrotnie przerabiane i inspirujące teologiczną rabulistykę, w ogóle nie istnieją. Co zatem dostajemy do rąk? Odpisy, wyłącznie kopie, sporządzane przez wieki (od IV do X w. po Chr.). Równo 1500 kopii, z których każda jest inna. Stwierdzono około 80 tysięcy (!) rozbieżności. Nie znaleziono choćby jednej strony „tekstu pierwotnego”, na której nie byłoby różnic. Każda kopia poprawiana była przez kolejnych autorów zgodnie z ich odczuciami i według aktualnych potrzeb.

Najwybitniejszy „tekst pierwotny”, *Codex Sinaiticus* — podobnie jak *Codex Yaticanus*, pochodzący z IV w. po Chr. — odnaleziony został w 1844 roku w synajskim monasterze św. Katarzyny. Zawiera on 16 tysięcy poprawek, przypisywanych siedmiu różnym korektorom, uchodzącym za autorów. Wiele fragmentów

przerabiano trzykrotnie, wreszcie zdecydowano się na czwartą wersję „oryginalną”. Friedrich Delitzsch, znakomity specjalista, autor słownika hebrajskiego, osobiście odkrył 3000 błędów w kopiowaniu „tekstu pierwotnego” [3].

Szlachetne bałamuctwo

Sprawa „tekstu pierwotnego” jest znamieną dla szlachetnego sposobu teologicznego wprowadzania w błąd. Normalny śmiertelnik kojarzy pojęcie „tekst pierwotny” z czymś w rodzaju dokumentu wiarygodnego, o udowodnionej prawdziwości. I cóż powiedziałyby laik, chrześcijanin, gdyby usłyszał z ambony, że tak pojmowany „tekst pierwotny” w ogóle nie istnieje?

Fakt, iż bajka o Biblii jako słowie Bożym przetrwała, należy uznać za zjawisko niezwykle i rzeczywiście godne najwyższej inspiracji (bez precedensu w historii ludzkości, liczącej sobie 7

tysięcy lat). Reklamowanie „tekstów pierwotnych”, mimo odkrytych sprzeczności i zafałszowań, od których się w nich roi, graniczy nieomal ze schizofrenią. Wiem, że fałszerstwo to mocne słowo. Fałszerstwo oznacza ni mniej, ni więcej tylko celowe wprowadzenie w błąd. Ale po co? Wszak nawet ojcowie Kościoła w pierwszych stuleciach po narodzeniu Chrystusa nie negowali, że dokonano przeróbek, co najwyżej toczyli spory o autorów, mówili otwarcie o „uzupełnianiu, profanacji, ulepszaniu, psuciu, wykreślanu...” Działo się to dawno temu i przebieranie

w słowach tak wtedy, jak dziś nie zmienia w niczym faktycznego stanu rzeczy: zafałszowania miały miejsce.

Chrześcijańscy teologowie niechętnie, rzecz jasna, słuchają o zafałszowaniach w „tekstach pierwotnych”. Biorą fałszerzy pod swoje czarne skrzydła i szeptem mówią o pewnych „świadomie wniesionych poprawkach. Owijają poprawiaczy w watę słów, twierdząc, iż ci działali w duchu i dla dobra prawdziwego słowa Bożego, do którego musieli jednak mieć dostęp w czasach znacznie późniejszych.

Dr Robert Kehl z Zurychu wypowiada się na temat zafałszowani „Zdarzało się często, że ten sam fragment tekstu bywał poprawiany przez dwu korektorów, przy czym każdy nadawał mu inny sens w zależności od dogmatycznego kierunku, znamiennego dla szkoły, jaką reprezentował. W każdym razie wprowadzanie do tekstów pojedynczych poprawek, tym bardziej

planowanych «korekt», spowodowało totalny chaos, mętlik, którego odkręcić nie sposób" [4]. Jean Schorer, wieloletni duszpasterz przy katedrze św. Piotra w Genewie, doszedł do wniosku [5], iż bezpodstawna jest teza, jakoby Biblia była w całości natchniona przez Boga; taki sposób myślenia przeczy zdrowemu rozsądkowi i w samej Biblii znajduje jednoznaczne zaprzeczenie. Tylko nieoswieceni ewangeliści i niewykształcone owieczki mogą podzielać pogląd Kościoła.

W jakim stopniu Pismo Święte jest święte?

W *niektórych* nowych wydaniach Biblii Zuryskiej powiedziano przynajmniej, że pewne fragmenty wprowadzone zostały „ręką piszącego później”. Jest to zaledwie skromna aluzja do wielkich manipulacji, jakich dokonywano z

tekstami Biblii. W serii wydawniczej „Religia człowieka nowoczesnego” [6] dr Kehl przedstawia szkic, w którym wyjaśnia, jak było naprawdę. Cytuję:

„Większość wierzących w Biblię łądzi się w swej naiwności, iż Biblia istniała od początku w takiej formie, jaką dziś im się przedstawia. Wierzą, że zawsze zawierała wszystkie części, które znajdują się w ich własnych egzemplarzach. Nie wiedzą — / *najczęściej nawet nie chcą wiedzieć* — że pierwsi chrześcijanie przez prawie dwieście lat prócz Starego Testamentu nie mieli żadnego »Pisma«, że w czasach pierwszych chrześcijan nawet nie był sformułowany starotestamentowy kanon, że »nowotestamentowe« zapiski powstawały bardzo powoli, że *dość długo nikt nie myślał, aby je uznawać za święte.*

Dopiero z czasem przyjął się zwyczaj odczytywania tych pism w gminach, ale i wtedy nikt jeszcze nie myślał, żeby *uważać je za święte i traktować na równi ze Starym Testamentem*. Pomysł taki zrodził się wówczas, gdy różne odłamy chrześcijaństwa zaczęły się wzajemnie zwalczać i zaistniała potrzeba oparcia się na czymś *konkretnym*, I dlatego dopiero po upływie około dwustu lat od narodzenia Chrystusa z wolna zaczęto owe zapiski uważać za Pismo Święte".

Chrześcijańska naiwność

Nie może być mowy o natchnieniu przez ducha, tym bardziej przez Ducha Świętego. Słowo Boże poddano niejako pod głosowanie, potajemnie, za pomocą białych i czarnych kul. To są fakty. Organizacjom światowym, które dążą do roli strażników ostatniej i jedynej prawdy, byłoby bardziej do twarzy, gdyby mówiły o faktach

historycznych nie w izolacji, nie tylko w dialektycznie doskonałych, lecz dla laika jednak niezrozumiałych, fachowych dyskusjach. Powinny raczej upowszechniać wśród „pospólstwa” te fakty w ogólnie dostępnym języku, wykorzystując w tym celu swój świetnie funkcjonujący system *public relations*. Brak odwagi cywilnej? A może obawa, że gdyby przyznać, iż Biblia nie jest słowem Bożym — a zgodnie z dowiedzionym „sposobem”, w jaki powstała, *nie może być* — wówczas kongregacja utraciłaby bazę handlową i w rezultacie zostałaby, na zasadzie wzajemności, pozbawiona tak zwanego kapitału udziałowego? Jak długo jeszcze czołowi kościelni duszpasterze będą obstawali przy błędnym mniemaniu, że wiernych można utrzymać w chrześcijańskiej pokorze i naiwności? Jak długo będzie się myślało, że o rozbieżnościach i zafałszowaniach ciągle można mówić, że są „z woli Boga”, „dla pożytku

wiernych" lub natchnione przez Ducha Świętego? Co mają wspólnego z nauką badania teologiczne, skoro tak się podchodzi do faktów? Bądź co bądź wydziały teologii na uniwersytetach finansowane są przez podatników, którzy w większości twierdzą, że są chrześcijanami. Przypuszczam, że studentom teologii wykłada się nie upiększoną prawdę. Jakie urządzenie transmisyjne zainstalowano między katedrą i amboną, między wiedzą akademicką a zwykłym kazaniem? Gdzie i w którym miejscu zaprogramowano przerwę w transmisji wiedzy, wskutek czego zapomina się o faktach i w końcu pozwala, by z kazalnicy rozbrzmiewała stara pieśń o Biblii jako o słowie Bożym?

Jak wszystkim pokierowano

Wszystko zaczęło się od soborów, od „zgrupowań katolickich biskupów dla podejmowania ważnych uchwał w sprawach Kościoła i wiary”. Warunkiem powołania na wysoki urząd kościelny jest „charyzma”, przejaw „łaski Bożej” przypisywanej tej osobie. Duch Święty, wszechobecny wśród uczestników dostojnego zgromadzenia na soborach i przez obecność w nich spotęgowany, jest szczególnie skuteczny. Tak należałoby myśleć.

Na pięciu pierwszych soborach powszechnych (całego Kościoła katolickiego) młodego świata chrześcijańskiego doprowadzono do tego, że najważniejsza była treść i organizacja nowej religii. Najstarsze reguły wiary, które do dziś zachowały swą dogmatyczną wartość, ogłoszone zostały w Nicei (325 r. po Chr.), Konstantynopolu (381 r.), w Efezie (431 r.),

Chalcedonie (451 r.) i jeszcze raz w Konstantynopolu (553 r.). Warto pokrótce omówić historię soborów oraz uchwał i postanowień na nich podejmowanych.

Pierwszy Sobór

Ekumeniczny Sobór w Nicei został zwołany przez cesarza Konstantyna (280—337), który przyjął chrzest dopiero na łożu śmierci. Pragnął on za pomocą ekspansywnego i rokującego dobre widoki chrześcijaństwa umocnić Cesarstwo Rzymskie. Konstantyn osobiście wybrał 318 biskupów na Sobór, przy czym nie powodował się względami religijnymi, kryła się za tym polityka silnej ręki. Nawet obdarzeni charyzmą wiary biskupi nie mieli co do tego wątpliwości, ponieważ cesarz nie tylko przewodził zgromadzeniu, ale we własnym cesarskim imieniu ogłosił, że jego wola jest dla Kościoła prawem. Biskupi zaakceptowali nawet „nie

ochrzczonego" jako „biskupa świata" i zezwolili temu świeckiemu władcy uczestniczyć w podejmowaniu postanowień dotyczących dogmatów. Zdumiewająca symbioza interesów ducha i spraw doczesnych istnieje już od tak dawna!

Konstantyn nie miał pojęcia o nauce Jezusa. Był wyznawcą słonecznego kultu Mitry, staroirńskiego boga światła. Znacznie później, w czasach chrześcijaństwa bywał wyobrażany na monetach jako „niezwyciężone słońce". Kiedy udzielił swego imienia starogreckiemu handlowemu miastu Bizancjum i uczynił Konstantynopol stolicą im-

perium rzymskiego (330 r.), bez śladu chrześcijańskiej skromności kazał na uroczystość przeniesienia metropolii wznieść potężną kolumnę, a na jej szczycie umieścić wizerunek cesarza z niezwykłym słońcem. Wśród dymów kadzideł ulicami przeciągnęła na jego cześć procesja ludzi ze świecami. Pontifex, powodowany miłością bliźniego, nie zniósł też niewolnictwa; przeciwnie, zarządził, że niewolnikom schwytanym na drobnej kradzieży żywności ma być wlewany w usta płynny ołów, zaś rodzicom zezwolił na sprzedawanie w ciężkich czasach dzieci. (Gdyby czytał Mateusza 18, 23, mógłby go nie zrozumieć: „Dlatego Królestwo Niebios podobne jest do pewnego króla, który chciał zrobić obrachunek ze sługami swymi".)

Przy jakich kościelno-politycznych decyzjach współdziałał ten wielkorządca?

Jezus będzie równy Bogu

Do Soboru Nicejskiego obowiązywała doktryna Ariusza z Aleksandrii: „Bóg i Chrystus nie byli ze sobą identyczni, lecz tylko podobni”. Konstantyn zmusił Sobór, by postanowił o *jedności istoty* Boga Ojca i Jezusa. Na mocy cesarskiego edyktu ta istotna poprawka stała się *dogmatem*. Tak doszło do zrównania Jezusa z Bogiem. Uznając to za prawdę, biskupi przyjęli przez aklamację nowe „nicejskie wyznanie wiary” (Symbol Nicejski).

Konstantyn, mimo iż sam nie był chrześcijaninem, wyświadczył Kościołowi następną wielką przysługę. Do czasu Soboru miejsce pochowania Jezusa było nieznane. Cesarz rzymski za sprawą „boskiej inspiracji” odkrył — hokus-pokus — w roku pańskim 326 grób Jezusa, którego uznano za równego Bogu. (W 330 r. Konstantyn kazał wznieść w

Jerozolimie Bazylikę Grobu Świętego.) Cudowne to odkrycie nie powstrzymało wprawdzie Konstantyna od zamordowania w tym samym roku paru bliskich krewnych: syna Kryspusa i małżonki Fausty, którą kazał wrzucić do wrzątku, zaś teścia Maksymiana uwięzić i zmusić do popełnienia samobójstwa.

Tak oto przedstawia się cesarz i pontifex, który doprowadził do „wyznania wiary” w Nicei i który po zakończeniu Soboru specjalnym pismem ogłosił wszystkim chrześcijańskim gminom, że uchwała 318 biskupów podjęta została „z wyroku Boga”.

Konstantyn Wielki uznany został za świętego przez kościoły: ormiański, grecki i rosyjski.

Drugi Sobór

Drugi Sobór Powszechny w Konstantynopolu zwołał Teodozjusz I (347—395), któremu Kościół nadał przydomek „Wielki”. Ten cesarz rzymski przymiotami moralnymi wcale nie ustępował swemu koledze Konstantynowi. Był — o czym wie historia — tyranem dla uboższej ludności. Gnębił lud podatkami, daninami, które jego celnicy egzekwowali za pomocą tortur. Z całą surowością swej cesarskiej władzy zakazał nękanemu gminowi udzielania schronienia ściganym. Jeśli ktoś dopuścił się takiego wykroczenia, kazał wycinać w pień mieszkańców całej wsi. W 390 roku (niespełna 10 lat po świątobliwym Soborze) z jego rozkazu dokonano w Salonikach straszliwej rzezi siedmiu tysięcy buntowników. W tym samym czasie w kościołach katolickich zdobywały sobie obywatelstwo radosne liturgiczne przyśpiewy

„Alleluja" i „Chwalcie Jehowę". Teodozjusz ogłosił chrześcijaństwo religią panującą (dlatego „Wielki") i nakazał biskupowi Mediolanu Ambrozjuszowi zniszczyć przy użyciu siły wszystkie pogańskie świątynie. Teodozjusz ze swymi metodami mógłby z powodzeniem uchodzić za praojca inkwizycji. Jezus głosił ubogim i ciemnym „dobrą nowinę", Teodozjusz był uosobieniem antychrysta. A jednak ten duch nieświęty zwołał Drugi Sobór w Konstantynopolu. Co się tam wydarzyło?

Ojciec, Syn i Duch Święty

Podstawowy artykuł wiary o współistotności osób boskich w Trójcy wprowadzony został do nauki Kościoła przez zgromadzenie biskupów, określane przez ekspertów w dziedzinie teologii jako „sobór kadłub-kowy". Zrobiono z niego „nicejsko-konstantynopolitańskie wyznanie wiary". I coś dla teologicznych smakoszy:

jedność istoty Ojca, Syna i Ducha Św. (Nicea) utożsamiono z równością. Z powstałego w ten sposób dogmatu o współistotności osób boskich w Trójcy Kościół żyje do dziś.

Trzeci Sobór

Trzeci Sobór Powszechny w Efezie został zwołany przez Teodozjusza II, cesarza wschodniorzymskiego (ok. 401—450), i Walenty-

niana III, cesarza zachodniorzymskiego (ok. 425—455). Obydwaj cesarze nie przemęczali się ani sprawami świeckimi, ani religijnymi, byli playboyami. Dlatego też rzadko zaszczykali Sobór swoją obecnością.

Teodozjusz II, słabeusz, bez reszty poświęcający się własnym hobby, tyrańsko gnębił poddanych podatkami na wystawne życie swego dworu. Cesarz obficie czerpał z tego, co cesarskie... Pozostawał też całkowicie pod wpływem starszej siostry Pulcherii (ok. 399—453), intrygantki opanowanej żądzą władzy. Przez pewien czas sprawowała ona regencję za brata i przy każdej nadarzającej się okazji szczyciła się, iż jest dziewicą (z czego naśmiewali się już jej współcześni). Ale widocznie te zapewnienia wystarczyły, aby ją uznać za świętą, czemu nie przeszkodziło i to, że po śmierci brata kazała zamordować jego dzielnego, zręcznego i dobrze rokującego rywala,

Chrysophusa. A zachodniorzymski cesarz Walentynian III, pozostający pod kuratelą matki Gallii Placydii, zginął zamordowity skrytobójczo.

Co działo się tymczasem w Efezie?

Kult maryjny

Tymczasem Sobór postanowił oddawać cześć Maryi jako Matce Bożej. Przez włączenie postanowienia do *Kodeksu Teodozjańskiego* stało się ono w cesarstwie prawem. I tak jedno następowało po drugim, a Duch Św. był zawsze przy tym...

Czwarty Sobór

Czwarty Sobór Powszechny w Chalcedonie został formalnie zwołany przez bizantyjskiego cesarza Marcjana (396—457), w rzeczywistości zaś kierowała nim dziewicza Pulcheria, którą po

śmierci Teodozjusza poślubił Marcjan. Wiedziała ona lepiej, czego chce, niż biskupi. Teolog Edward Schwarz doszedł do wniosku, że Pulcheria zwołała i przeprowadziła Sobór wbrew woli różnych kościołów, mocno trzymając w rękach cugle obrad.

Co stało się w Chalcedonie?

Dwie natury Jezusa. Prymat Rzymu

Papież Leon I był twórcą teorii o dwóch naturach Jezusa, którą przedstawił w *Epistula dogmatica* {Listy dogmatyczne}. Sobór ogłosił dogmat o istnieniu w jednej osobie Jezusa dwu natur: boskiej i ludzkiej, „czystych i nierozłącznych”. Reguła o dwoistości natury przetrwała do dziś jako „chalcedoński artykuł wiary”. Papieżowi zaś powierzono

— *last but not least* — pieczę nad jego zachowaniem, dając mu prawo do ewentualnych interwencji. I tak doszło do prymatu Rzymu. Podstawy do przyszłych ewolucji znalazły zatem oficjalne potwierdzenie w dokumentach. Watykan winien do dziś wdzięczność „świętej” Pulcherii, że dzięki intrygom zdołała przeprowadzić Sobór w Chal

cedonie.

Piąty Sobór

Piąty Sobór Powszechny w Konstantynopolu został zainscenizowany przez wschodniorzymskiego cesarza Justyniana I Wielkiego (483—565). Justynian był wielkim despota, który mimo to, a może właśnie dlatego, ulegał kaprysom swej małżonki Teodory (497—548). Teodora (córka stróża hipodromu) przysłużyła się małżonkowi. Podczas powstania Nika, gdy zbuntowały się dwa stronnictwa: Zielonych i Błękitnych, uratowała dla niego tron. Po oddaniu mu tej przysługi mogła popuścić wodze swemu szaleństwu, polegającemu na tępieniu resztek pogaństwa. Idea ta uskrzydliła wielu biskupów. Należy dodać, że zgromadzeni na Soborze nie mieli nic, absolutnie nic do roboty. Justynian na długo przed Soborem ogłosił cesarskie edykty i osiągnął to, na czym mu

zależało. Nic też dziwnego, że zgromadzenie biskupów weszło do literatury jako „sobór aklamacyjny”.

Justynian wysłał do Konstantynopola papieża

Wigiliusza (537—555)

— „niegodnego przedstawiciela swego urzędu”, który później stał się dla przeciwników tezy o nieomyślności papieskiej idealnym tego po twierdzeniem. Wigiliusz, jak przykładowie jednomyślni biskupi, podpo rządował się cesarskiej polityce silnej ręki. Cesarz przeszedł do his torii dzięki bezlitosnym ustawom o kacerstwie. „Kacerzem” był każdy, kto nie uznawał dogmatów chrześcijaństwa. Karano go śmiercią i prze padkiem mienia. Armia rzymskich urzędników tropiła innowierców i na rozkaz Justyniana zmuszała schwytych do

przyjęcia chrztu.

74

Bizantyjski historyk Prokopios (ok. 490—555), autor historii wojen Justyniana z Persami, Wandalami, Gotami, a także księgi o budowlach tego okresu (Hagia Sophia!), był autorem pamfletu o Justynianie i jego małżonce Teodorze. Prokopios — prawdopodobnie dobrze znał swego władcę — przedstawił go jako człowieka dumnego, obłudnego, niesprawiedliwego, podstępnego, ponurego i żądnego krwi. Chrześcijańscy komentatorzy historii chętnie dokonują skreśleń w opisie Prokopiosa. Pewnie! Przecież Justynian, podobnie jak cesarze Konstantyn i Teodoz-jusz, uznany został za świętego.

Co zdarzyło się na Soborze?

Odstępcy od słowa Bożego są kacerzami

Orygenes (ok. 185—ok. 254), pisarz, kierownik aleksandryjskiej szkoły katechetycznej, był

najwybitniejszym teologiem oraz pierwszym krytycznym badaczem tekstu biblijnego. Wychodząc z założeń stoickich i neoplatońskich, uczynił Pismo zrozumiałym i natchnął je pierwiastkami duchowymi. Sobór uznał jego egzegezy za nieprawowierne i skazał odstępcę. O tym, co jest prawowierne i kto jest natchniony, będzie w przyszłości rozstrzygać wyłącznie kierownictwo Kościoła dzięki ingerencji Ducha Świętego. Po ogłoszeniu przez Sobór takiego postanowienia nasiliły się prześladowania nie tylko licznych zwolenników Orygenesusa: był to sygnał do rozpoczęcia polowania na wszystkich innowierców. Za symbol „zaślubin” z Kościołem uznano w tym czasie pierścień. Nosili je biskupi. Związek człowieka z Duchem Świętym wydaje mi się dość osobliwy...

Biblia nie jest słowem Bożym, a dogmaty ogłoszone przez pierwsze pięć soborów przy udziale armii książąt kościoła — mimo rzekomej

charyzmy wiary obradujących — nie są natchnione od Ducha Świętego. Dla prostego, wierzącego laika jest to wielki szok. Cóż zatem pozostaje?

A co z Jezusem? Czy krwawił na krzyżu „za nasze grzechy”? Czy rzeczywiście sam głosił nauki, jak-podaje Nowy Testament? A jeśli teksty przypisywane Jezusowi nie pochodzą od niego, skąd pochodzi 1500 kopii odpisywanych z kopii „tekstu pierwotnego”? Coś w tym musiało być. Postać jedna z wielu, które poniosły śmierć przez ukrzyżowanie, nie mogłaby rozniecić, udźwignąć i utrzymać tak olbrzymiego kultu jednostki. Działały tu tęgie głowy.

Jest dużo książek o Jezusie z Nazaretu. Historię Jezusa odtworzyli

w świetle ostatnich badań autorzy Johannes Lehmann [8], Joel Carmichael [9], a ostatnio Rudolf Augstein [10]. Krytykom tym zarzucano naturalnie sprzeczne z punktu widzenia teologii interpretacje Jezusa. Gdy wczytuję się w wypowiedzi autorów [11] na temat pracy Augsteina *Jezus, Syn Człowieczy*, to dostrzegam starą technikę, którą Joachim Kahl nazywa „zaciemnianiem”.

Dogmat Jezusa

Chrześcijańscy teologowie czynią z dogmatu Jezusa (dogmat — nienaruszalna podstawowa teza przyjmowana na wiarę i nie podlegająca krytyce ani dyskusji [12]) istotę religii chrześcijańskiej. I to wydaje mi się zrozumiałe (choć nieco lekkomyślne), gdyż setki tysięcy duszpasterzy wszystkich kościołów chrześcijańskich musiałyby zrezygnować ze swych urzędów i interesów, jeśliby nie mogło

działać „w imieniu Jezusa”. Gdyby chcieli być szczerzy, musieliby prostaczkowi z siedemnastego rzędu kościelnej nawy powiedzieć wprost, że Jezus z Nazaretu *nie był* „jednorodzonym Synem Boga” i sam *nigdy* się za takiego nie uważał. Domaganie się podobnej wypowiedzi z ambony to żądanie, prawdę mówiąc, zbyt wygórowane. Kim rzeczywiście był Jezus?

Rudolf Augstein pyta: „...jakim prawem Kościół chrześcijański powołuje się na Syna Bożego Jezusa, którego nie było, na nauki, których nie wygłaszał, i na boskie synostwo, które nie było prawdą?” [13].

Dla wtajemniczonych nie ma w tym nic nowego. Ale ja zwracam się do niekompetentnych, do laików, którzy nie znają języka teologów. Biorę więc na własne barki przełożenie mądrości uniwersyteckich katedr na język ogólnie zrozumiały, wiedząc, jaka mnie

czeka chłosta ze strony chrześcijańskich uczonych. Nie potrafię jednak wierzyć na rozkaz.

Wiedza teologów i ich poglądy zawarte są w tysiącach ksiąg, złożonych w archiwach. Po to, by każdy mnie zrozumiał, muszę zacząć od początku.

Grzech pierworodny

Od prawie dwu tysięcy lat chrześcijanin dostaje na drogę życia ciężar nie do zniesienia: jest on — tak mu się wmawia — „od narodzenia” obciążony *grzechem pierworodnym* i aby się pozbyć tego balastu, potrzebuje „wybawiciela”.
Wszyscy uczyliśmy się w szkole czy

w kościele, że Bóg jest początkiem i końcem wszechrzeczy, że jest alfą i omegą, że jest wszechmogący, dobry, sprawiedliwy, wszechwiedzący, wzniosły, wiekuisty i wszechobecny.

Do tego miejsca akceptuję bez reszty znaczenie pojęcia Boga. Ale Bóg jest także niewymierny w czasie, ponieważ jest wiekuisty. Wiekuisty i wszechobecny Bóg nie musi zatem czekać na wyniki podejmowanych przez siebie działań, żeby dowiedzieć się „jak się to skończy?”, ponieważ rezultaty są mu z góry znane.

Adam i Ewa w raju

Z dużym zainteresowaniem słuchałem w szkole uroczych przypowieści, jak to Bóg w swej dobroci obdarował dwoje niewinnych, prostodusznych ludzi pobytem w raju, miejscu wszelkiej szczęśliwości. Wybrańcy, Adam i Ewa, żyli beztrosko z dnia na dzień, niczego im nie

brakowało, byli wolni od pragnień i tęsknot. Ale jedna jedyna rzecz była przez Boga Ojca najsurowiej zakazana: nie wolno im było zjeść ani jednego owocu z drzewa wiadomości dobrego i złego. A więc pierwszy zakaz.

Ale dlaczego Wszechpotężny wydał ten surowy zakaz? Czy radował go ów ogródek jordanowski pierwszych ludzi? Czy Bóg mógł podzielać radość, uczucie *ludzkiego* szczęścia, jakim cieszyli się w raju Adam i Ewa? Wszak On, dostojny, stał znacznie wyżej niż ludzie. Dlaczego nie chciał udostępnić „poznania” swoim pierwszym twórcom?

Teologowie mają na to odpowiedź: Bóg chciał „obdarzyć miłością” i pragnął, aby tych dwoje „miało udział w jego królestwie”. Do kata! Idąc za tą interpretacją: czyżby Bóg tęsknił do miłości... i czuł się samotny? Myślę, że byłyby to uczucia, jakie nie przystoją Bogu, bo przecież — właśnie On w swej wszechmocy jest absolutnie

pozbawiony pragnień, szczęśliwy. Coś pośredniego między „przydałoby się trochę miłości" a „jest nudno, nie zaszkodziłoby trochę rozrywki" — w przypadku jedynego Boga nie wchodzi w rachubę. Co wobec tego chciał Bóg osiągnąć dzięki tym ludzikom w raju?

Grzech popełniony nieświadomie

Teologowie dobrze o tym wiedzą: Bóg chciał Adama i Ewę zwieść na pokuszenie, poddać ich próbie. Nie, moi panowie, to nie uchodzi!

Jak nisko oceniacie Boga. „Pokuszenie” i „próba” byłyby przecież dla Boga grą znaczonymi kartami, ponieważ On, wszechmocny, znał już *przedtem* na pewno rezultat „kuszenia” i „próby”. Odpowiedź, że przecież Adam i Ewa mieli wolną wolę: zjeść lub nie zjeść owocu z drzewa poznania, nie liczy się, bo i o tym Bóg musiał wiedzieć z *góry*. Pozwólmy sobie jednak na zabawę w dociekanie: przyjmijmy, że tych dwoje, obdarzonych wolną wolą, *nie* ugryzło rajskiego jabłka. Czy wówczas Adam i Ewa do dziś bawiliby się w raju na golasa? Co by było, gdyby nie skosztowali owocu i nie uświadomili sobie swej wstydlivej nagości, a tym samym możliwości rozmnażania się? Czy wtedy Bóg — *pardon* — musiałby taśmowo tworzyć coraz więcej ludzi? Ludzi, którzy mając wolną wolę w dalszym ciągu nie dążyliby do „poznania”, posłusznie trzymając się zakazu? Bóg zapewne uwzględnił w swych kalkulacjach „przypadek

grzechu", ponieważ był wszechwiedzący. Gdyby nie ów grzech, wiele krajów na kuli ziemskiej nie pękałoby dziś w szwach z przeludnienia...

Skąd wziął się diabeł, skąd wąż?

Przyjmijmy, że Adam z Ewą nie zerwali jabłka z gałęzi. Był kusiciel — diabeł czy wąż. Ale wszelki twór istnieje od Boga. Logicznie rzecz biorąc, również diabeł i wąż są Jego dziełem. Czyżby dobrotliwy Bóg był tak podstępny? Stworzył diabła i węża, żeby posługując się nimi nabrać dwoje ludzi? A jeśli już, to dlaczego poczuł się tak obrażony tym jarskim posiłkiem i postanowił, że odtąd „grzechu” nie da się wyplenić na Jego świecie (dopiero przez przyjście wybawiciela). Przecież ON wiedział wcześniej, jak się wszystko potoczy...

Teologowie wzruszają ramionami: Tak nie było! Mówią, że Lucyfer, diabeł, był przecież w

królestwie Bożym strącony do piekieł. Strącony do piekieł w królestwie Bożym? Jak to? Jeśli „królestwo Boże” równoznaczne jest ze „szczęśliwością” (tak się nam obiecuje), to nie może w nim istnieć żadna opozycja, buntownicy, żadni odszcze-pieńcy. Albo — albo. Jeśli królestwo Boże gwarantowałoby pełnię szczęścia, to chyba Lucyfer nie wpadłby na pomysł bojkotowania zakazu. Gdyby jednakże w królestwie Bożym nie było absolutnej szczęśliwości, to znaczy, że Bóg nie był na tyle wszechmocny, aby stworzyć taki klimat. To w dysputach teologów jest czułym miejscem, nie umieją oni konfliktu Boga z Lucyferem umieścić w historii ani logicznie objaśnić. Zanim Lucyfer podstępnie zbliżył się do rajskiej

pary, Bóg *musiał* przecież wiedzieć, że powiedzie mu się diabelska sztuczka. Również sprawa z „wolną wolą” Adama i Ewy przy wprowadzeniu do akcji Lucyfera jest czymś w rodzaju *deus ex machina*, bowiem Lucyfer, Adam i Ewa oraz wąż działali z woli i na polecenie Boga wszechwiedzącego.

Niepojęty gniew Boży

Dla człowieka, który wyuczone słowo bierze dosłownie, sytuacja przedstawia się następująco: Bóg nie mieszka w szczęśliwym niebie, istnieje tam opozycja — Lucyferowi udało się w raju namówić Adama i Ewę do popełnienia grzechu, a Bóg wiedział, że jabłko zostanie zjedzone. I oto Bóg (wszechwiedzący) jest obrażony (brak logiki przystraja się w tiarę) i nie posiadając się z bezgranicznego gniewu, wyklina po wsze czasy niewinną progeniturę rajskiej pary małżeńskiej, a

na jej drzewie genealogicznym wypala straszliwe piętno „grzechu pierworodnego”. I każdy nowonarodzony od pierwszego krzyku będzie obciążony jego brzemieniem.

W jaki sposób biedna ludzkość może być uwolniona od tego balastu? Tylko przez Zbawiciela. Biblia mówi, że Bóg tak umiłował świat, iż uczynił ofiarę ze swego jednorodzonego Syna (Jan 3,16).

Żeby nie być drobiazgowym: następuje adopcja pojawiającego się nagle Syna, mimo że Boga jedyne go trudno sobie wyobrazić z rodziną. Ów Syn godny jest zazdrości, ma „niebieskiego” ojca zapewne pełnego miłości, dobroci i ojcowskiej troski. Tak można by myśleć. Ale tak nie jest. Syn zostanie wydany ludzkości (obciążonej grzechem pierworodnym), aby uwolnił swych braci i siostry od tego grzechu. Syn Boga musi się dać ukrzyżować i wykrwawić... Ale po śmierci swego „pier-worodzonego” Bóg jest

udobruchany! Czy to okropne opowiadanie nie zawiera myśli barbarzyńskiego pogaństwa? Dogmat zbawienia wydaje mi się nawiązaniem do prymitywnych religii, które żądały od swych sług, aby rozgniewanych bogów zjednywali krwawą ofiarą.

Teologowie zapewniają, że śmierć na krzyżu należy rozumieć symbolicznie. Dlaczego nie mówi się zatem tego w rozszyfrowanym tekście? Moja córka Lela uczy się —jak wiele pokoleń przed nią — że Jezus jest „wcieleniem i zrodzonym z Boga Synem Boga”, że jak człowiek znosił wszystkie cierpienia (czyli przytłaczające ludzi grzechy pierworodne). Kto umarł jak człowiek, cierpiał też jak człowiek, znosząc wszelki ból i wszelkie niedole. Jak wszakże Bóg, który *zupełnie*

świadomie wydał syna na takie męki (tylko dlatego, że Adam i Ewa popełnili kiedyś grzech pierworodny, czemu — gdyby tylko chciał — mógł zapobiec), aby przez jego śmierć pojednać się z ludźmi, choć właśnie ludzie zabili jego syna? (Ten makabryczny koniec opowieści powinien był sprawić, że grzech pierworodny przestanie być problemem. Nadal jednak pojęcie to jest stosowane.)

Niebezpieczne dogmaty

Teolodzy, pomysłowi i zaprawieni w dialektyce, znów próbują znaleźć wyjście z tego dylematu, ale i ono prowadzi w ślepy zaułek. To nie Bóg Ojciec, mówią, kochał ludzi tak bardzo, że złożył syna w ofierze. To raczej sam Jezus dzięki „wolnej woli”, z miłości do ludzi, ofiarował swoje życie. Niestety i ten wariant nie ma sensownego zakończenia!

Bóg Ojciec i Syn są według dogmatów chrześcijaństwa (nicejskie i chalcedońskie wyznanie wiary) jednością, „czystą i nierozdzieloną”. Nie ma więc żadnej różnicy to, czy robi coś jeden, czy drugi. Tak czy siak ofiarowanie nie ma sensu. Ojciec i Syn stanowili (i stanowią) wedle obowiązującej nauki Kościoła od samego początku Jedno”. Obaj wiedzieli zatem w każdej chwili, co się stanie. Ale ponieważ nie wyjaśniało to sprzeczności, doktorzy Kościoła wpadli na kolejną — ostateczną! — wykładnię: Jezus chciał dać ludziom przykład jak powinni żyć, by przypodobać się Bogu Ojcu.

W ten sposób znów chyba znaleźliśmy się na początku, w punkcie zerowym. Bo skoro ludzkość dla przypodobania się Bogu powinna się zmienić, wystarczyło, aby Wszechmocny nakłonił naszych prarodziców, Adama i Ewę, do postępowania zgodnie z Jego wolą i nakazem. I

jeszcze jedno: czy Bogu naprawdę chodziło o „przypodobanie się”? *Jeśli tak*, wobec tego stwierdzam, że w moim odczuciu nie świadczy to o wzniosłości znamionującej Boga, w którego wierzę. Zawsze.

Czy, rozumując logicznie, pojęcia grzechu pierwotnego i zbawienia nie potrzebują podstaw? Przekonującej, wiarygodnej bazy?

Nawet z punktu widzenia interesów chrześcijańskich kościołów uważam ofiarę z krwi czy zbawianie przez śmierć na krzyżu za doktryny niebezpieczne. Takie tezy, zdefiniowane i przez pierwsze sobory przyjęte za dogmaty, stały się legitymacją uprawniającą do tortur i morderstw w procesach o kacerstwo, do niechlubnych obrzędów inkwizycji. Dziś jeszcze inspirują one młodych ludzi szukających

„zbawienia" i członków obskuranckich sekt do straszliwych egzorcys-tycznych mordów rytualnych, którymi — jak twierdzą ci kryminaliści — pragną „zjednać sobie" Boga.

Kim był Jezus?

Jezus był Żydem. Nie wiadomo, kiedy przyszedł na świat. Nie istnieje żaden rejestr narodzin, w którym byłoby odnotowane Jego imię; chrześcijański świat Zachodu ustalił swój kalendarz według domniemanego roku urodzenia Jezusa. Dopiero około 50. roku nowego kalendarza Jego imię pojawiło się po raz pierwszy w jednym z listów św. Pawła.

W ewangeliach św. Mateusza i Św. Łukasza powiedziane jest, że Jezus urodził się w Betlejem. Natomiast św. Marek wymienia Nazaret jako miejsce urodzenia Jezusa. Niejasności i sprzeczności już od narodzin Zbawiciela czynią z Biblii lekturę mało wiarygodną.

Za matkę Jezusa uważa się powszechnie Marię dziewicę. Ojciec, cieśla Józef, nie jest naturalnie ojcem Jezusa, ponieważ Maria dziewiczo poczęła za sprawą Ducha Świętego. Wiara w to utrwała się w *wierzeniach ludu*, choć rozumowo rzecz biorąc, taki sposób zapłodnienia jest abstrakcją. Szczególnie świątli teologowie gorliwie starają się wyłożyć, co należy rozumieć przez „niepokalane poczęcie”.

Zgodnie z oficjalną biografią zawartą w Nowym Testamencie, po urodzeniu gubi się ślad Dzieciątka Jezus, aż nagle pojawia się ono znów w świątyni jako dwunastoletnie pacholę, uciekinier, w gorącej teologicznej rozmowie z uczonymi. Niestety, dokładnie nie wiadomo, co w tym jest prawdą, a co nie, co się tam rzeczywiście zdarzyło, a co dodali do tego poprawiacze tekstów pierwotnych.

Gdyby zdarzyło się — przyjmuję, że tak było — iż dwunastolatek mógł wciągnąć mądrych

kapłanów w teologiczną dyskusję, to owego rozgarniętego chłopca musiano uczyć w jakiejś ówczesnej szkole na Starym Testamencie.

Do jakiej szkoły uczęszczał Jezus?

Jaka to mogła być szkoła? Trzeba sobie przypomnieć ówczesne realia historyczne. Obszar nazywany dziś Bliskim Wschodem w czasach, które nas

interesują, należał do wielkiego Cesarstwa Rzymskiego: Damaszek został zdobyty w 64 roku *przed* Chrystusem przez sławnego wodza Pompejusza Wielkiego (106—48 prz. Chr.), Jerozolimę przyłączono w roku 37, a Egipt stał się trzydziestą prowincją rzymską. Co działo się w czasach Gajusza Juliusza Cezara (ok. 100—[^]44 prz. Chr.) na podbitych i zajętych terenach, nie jest okryte mgłą historycznej niewiedzy.

Okupanci byli prawdopodobnie, jak świat światem, do siebie podobni. W każdym razie Rzymianie przenieśli swoje obyczaje i zaszczepili okupowanym krajom własną kulturę. Rzymscy żołnierze nie byli święci, czcili przejętego od Greków Apollina — boga poezji i muzyki, młodzi opróżniali puchary na cześć Bachusa (Dionizosa), zabiegali o szczęście u bogini Fortuny, błagali o łaskę Jowisza — boga błyskawic i piorunów, opiekuna prawa, modlili się o deszcz do Neptuna — boga wody, klękali

oddając cześć bogu słońca (Sol). Jak z tego widać, Rzymianie mieli bogów na każdą okazję. Okropność dla każdego prawdziwego Żyda.

Od ponad 400 lat — Ezdrasz gromadził teksty Tory już w 440 roku prz. Chr. — lud żydowski żył zgodnie z przykazaniami Mojżesza, według Pięcioksiągu Tory. A w przykazaniach patriarcha Mojżesz ogłosił:

„Nie będziesz miał innych bogów obok mnie. Nie czyni sobie podobizny rzeźbionej czegokolwiek, co jest na niebie w górze, i na ziemi w dole, i tego, co jest w wodzie pod ziemią. Nie będziesz się im kłaniał i nie będziesz im służył, gdyż Ja, Pan, Bóg twój jestem Bogiem zazdrosnym [...]"

(II Mojż. 20,3—20,5). Mojżesz był monoteistą. Jako twórca religii sprowadził ok. 1230 roku prz. Chr. Izraelitów na powrót do Palestyny. Mojżesz otrzymał od Boga na górze Synaj legendarne tablice z Dziesięciorgiem Przykazań. Uznawanie i oddawanie czci jednemu tylko Bogu miało u

Żydów zatem dawną tradycję, a tymczasem
Rzymianie przebywający wśród Żydów
wyznawali wielobóstwo.

Żydzi nie mogli nic na to poradzić. Pełni odrazy żyli ze znienawidzonymi, uzbrojonymi po zęby okupantami, ci zaś, i to zostało odnotowane, nie zachęcali ani nie zmuszali podbitych ludów do uznawania ich bogów. Było to nader rozsądne, pozostawiali bowiem podbitym samodzielną administrację. Wprawdzie świątynie strzeżone były przez rzymskich żołnierzy, ale administratorami byli Żydzi. Na dziedzińcach świątyń właściciele kantorów wymieniali pieniądze, kupcy i rzemieślnicy przy straganach prowadzili swoje interesy.

Tak też było w czasach rzymskiej okupacji, w czasach Jezusa i Tory (od 443 r. prz. Chr. Tora była podstawą prawa państwa żydowskiego, religijnej doktryny Żydów).

Saduceusze i faryzeusze

Saduceusze, przedstawiciele konserwatywnego stronnictwa religij-no-politycznego, byli surowymi strażnikami i nauczycielami praw Mojżeszowych. U nich można szukać szkoły dla małego Jezusa. Oponentami saduceuszy byli faryzeusze, którzy też trzymali się litery praw Mojżeszowych, ale do istniejących włączyli doktrynę o aniołach i zmartwychwstaniu. Jako uczeni w Piśmie, dzięki swym szkołom prawniczym, uzyskali w czasach Jezusa pewien wpływ na Żydów. Oni stanowili dla Jezusa *drugą* możliwość zdobycia wiedzy.

Z tekstów ewangelicznych wynika, że Jezus nie porozumiewał się ani z saduceuszami, ani z

faryzeuszami. W Nowym Testamencie powiedziane jest, że często szydził z owych uczonych w Piśmie i że ci ze swej strony nie akceptowali młodego, zarozumiałego człowieka. Gdyby Jezus był uczniem którejs z szkół saduceuszy czy faryzeuszy, to albo by go uznano, albo relegowano jako oponenta. Niczego na ten temat nie odnotowano w przekazach. Imię Jezusa z Betlejem czy Nazaretu nie występuje w żadnym z pism uczonych mężów. Jezus musiał zatem pobierać wiedzę gdzie indziej. Ale gdzie? Czy istniała jakaś *trzecia* szkoła? Istniała, choć przez długi czas o niej nie wiadano.

Esseńczycy

Skrajnie konserwatywna sekta esseńczyków, celowo izolująca się od Żydów zgrupowanych wokół świątyń, znalazła swoją siedzibę w odbudowanej po trzęsieniu ziemi na wzór klasztoru osadzie w Chirbet Qumran nad Morzem

Martwym: w okolicy górzystej, poprzecinanej rozpadlinami. „Armia zbawienia” wywodziła swoje początki od „nauczyciela sprawiedliwości” z czasów Machabeuszy (setki lat przed Chrystusem). Esseńczycy zawarli swoje „Nowe Przymierze”, aby zgodnie z nim przygotować mesjańskie królestwo. Najstarsze przekazy o tym ascetycznym ugrupowaniu religijnym znajdują się w jednej z rozpraw Filona z Aleksandrii (ok. 25 prz. Chr.—ok. 50 po Chr.) *Quod omnis probus liber sit* [14]:

Relacje Filona z Aleksandrii

„Syria palestyńska, w znacznej części zamieszкана przez bardzo liczny naród żydowski, też nie była jałowa — zaowocowała wieloma cnotami. Niektóre spośród nich, w liczbie ponad 4 tysiące, określa się imieniem esseńczyków; nazwa ta, w moim przekonaniu, choć nie jest to słowo greckie, ma związek ze «świętością»; są to rzeczywiście ludzie, którzy w szczególny sposób oddają się służbie Bogu: nie składają ofiar ze zwierząt, uważając za słuszniejsze uświęcanie myśli [...]. Nie gromadzą złota ni srebra, nie nabywają ziemskich posiadłości dla osiągnięcia zysków, lecz troszczą się tylko o niezbędne do życia środki. Prawie samotni wśród ludzi, żyją bez majątków i własności [...], uważają się jednak za bogatych, ponieważ wstrzemięźliwość i dobre serce mają za prawdziwe bogactwo.

Odrzucają wszystko, co mogłoby budzić w nich chciwość [...]. Nie ma wśród nich ani jednego niewolnika, wszyscy są wolni i pomagają sobie wzajem [...]. Tysiące przykładów świadczą o ich miłości Boga [...]. Wzgarda dla bogactw i zaszczytów, wstręt do rozrywek [...]. Mają wspólną kasę dla wszystkich i wspólne wydatki [...], również trudno znaleźć gdziekolwiek indziej obyczaj wspólnych posiłków [...], dzielenia wspólnego dachu, jednego dla wszystkich sposobu życia i stołu [...]"

Relacje Józefa Flawiusza

Żydowski historyk i naczelny wódz Józef Flawiusz (ok. 37—100) w swoich dziełach *Wojna żydowska* i *Dawne dzieje Izraela* przejawiał szczególne zainteresowanie gminą esseńczyków. W ósmym rozdziale drugiej księgi *Wojny żydowskiej* podaje szczegóły dotyczące tego religijnego zgromadzenia. Należy je

dosłownie przytoczyć (wyróżnienia kursywą — EvD):

„Są bowiem u Żydów trzy rodzaje uprawianej filozofii: zwolennicy jednej zwa się *faryzeuszami*, drugiej — *saduceuszami*, a trzeciej — *esseńczykami*. Ci ostatni cieszą się powszechnie opinią wielce świątobliwych. Są rodowitymi Żydami, lecz łączą ich ze sobą silniejsze niż u innych więzy miłości [...]. Małżeństwo jest przez nich nisko szacowane, lecz *przyjmują cudze dzieci jeszcze w wieku podatnym do nauki, traktują je jak swoich krewnych i kształtują podług swoich zasad* [...]. Bogactwa mają w pogardzie [...]. Obowiązuje ich bowiem zasada,

że wstępujący do sekty przekazują swoje mienie zakonowi, tak że w ogóle nie ma u nich ani poniżającego ubóstwa, ani wywyższającego bogactwa, lecz cokolwiek kto posiada, łączy się w jedno i wszyscy jak bracia korzystają ze wspólnego dobytku. [...] Nie zmieniają szat ani sandałów, dopóki nie ulegną zupełnemu zniszczeniu lub nie zużyją się z biegiem czasu. [...] Przed jedzeniem kapłan odmawia modlitwę [...]. Po posiłku znów on się modli. [...] Jedynie dwie rzeczy pozostawiają ich swobodnemu uznaniu: niesienie pomocy i okazywanie miłosierdzia. [...] są szermierzami wierności i orędownikami pokoju [...]. W szczególny sposób interesują się dziełami autorów starożytnych, wyczytując w nich przede wszystkim to, co dotyczy dobra duszy i ciała... Pogardzają przeciwnościami, cierpienia przewyciężają mocą ducha, *a śmierć, jeśli jest połączona ze sławą, uważają za lepszą od najdłuższego*

*żywota. Wojna z Rzymianami wystawiła ich charaktery na wszelkie możliwe próby, kiedy to ich przypiekano, skręcano, na kole rozciągano, łamano i kazano doświadczać wszelkich narzędzi tortur, aby bądź wyrzekli jakieś bluźnierstwo przeciwko swojemu prawodawcy, bądź spożyli coś niedozwolonego. Wszystko to wytrzymali nie tylko nie plamiąc się ani jednym, ani drugim czynem, lecz nawet nie płaszcząc się przed swoimi dręczycielami, ani łez nie roniąc [...]. Mają oni *niezłomną wiarę, że ciała są niszczone, a tworząca je materia przemijająca, lecz dusze nieśmiertelne trwają wiecznie* [...]. Są między nimi i tacy, którzy zapewniają, że potrafią przepowiadać przyszłość [...]. Toteż rzadko, jeśli w ogóle kiedykolwiek, zdarza się, aby mylili się w swoich przepowiedniach" [15].*

Przypadkowe odkrycie nad Morzem

Martwym

Józef Flawiusz, który spisał te uwagi w 77 roku po Chr., był tak dobrze poinformowany o esseńczykach, ponieważ, jak sam podaje, przez trzy lata wśród nich przebywał. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że znalazł też pisemne przekazy na zwojach skóry, pochodzące z ok. 100 roku prz. Chr., które gmina esseńczyków w czasie zagrażającego jej powstania, włożywszy w dzbany, ukryła w pobliskich jaskiniach.

I wybuchła bomba teologiczna — inaczej nie mogę tego określić — a jej zapalnik zegarowy nastawiono przed dwoma tysiącami lat. W 1947 roku przypadkiem odkryto w jaskiniach Qumran dokumenty [16] zabezpieczone przez esseńczyków. Od tego momentu nie sposób

usunąć ich z teologiczno-historycznej literatury. Heinrich Alexander Stoli opisał tę sensacyjną historię tekstów ąmrańskich w książce *Jaskinia nad Morzem Martwym* [17]. Ów niesłychanie cenny, opatrzony jeszcze przez esseńczyków komentarzami „podręcznik nauczania”, objechał pół świata, badany na uniwersytetach i w klasztorach. Wreszcie po niebywałych intrygach i machinacjach finansowych trafił w dobre ręce tak obiektywnych naukowców, jak prof. Andre Dupont-Sommer [18] i prof. Millar Burrows [19].

Jezus epigonem?

Z przekładu rękopisów na zwojach z Qumran wynika *jednoznacznie*, że:

- istotne części ewangelii pochodzą ze szkoły esseńczyków;
- tryb i styl życia Jezusa wywodzą się ze szkoły esseńczyków i są zgodne z ich obyczajami;

—przenośnie, jakich używał Jezus, a nawet całe przypisywane mu nauki, na długo przed nim głosili esseńczycy.

Każdy areopag kompetentnych uczonych uznałby i potwierdził, iż teksty na zwojach z Qumran są jednoznacznie zgodne z tekstami Nowego Testamentu. Tylko nie chrześcijańscy teologowie. Czyżby skazą był fakt, że mowy Jezusa z Nazaretu czy Betlejem zawierają naukę ascetycznej gminy esseńczyków? Przeszkodą jednak jest dogmat o zrównaniu Jezusa z Bogiem — postanowienie Soboru Nicejskiego. Esseńczycy byli skromnymi braćmi zakonnymi, którzy na długo przed Chrystusem głosili swe nauki. Byłby więc Jezus ich epigonem? To nie do przyjęcia dla strażników czystej nauki Jezusa. Albert Schweitzer wyraził się chyba jasno, gdy stwierdził: „Nowoczesne chrześcijaństwo musi zawsze liczyć się z możliwością ewentualnego odstąpienia od dziejowej roli Jezusa" [20].

Czy Jezus żył wśród esseńczyków?

Oto kilka przykładów zgodności nauk głoszonych przez esseńczyków z nauką Jezusa:

—Esseńczycy nie chrzcili. Jezus też nie chrzczył.

—Esseńczycy odcinali się od współczesnych im teologów, saduceuszy i faryzeuszy. Jezus czynił to także.

- Esseńczycy głosili łagodność i pokorę dla przypodobania się Bogu. Jezus też. e
- Esseńczycy ostrzegali przed „sądem ostatecznym” z ogniem. Tak samo Jezus.
- Esseńczycy mówili, że trzeba kochać swego brata jak siebie samego. Była to myśl przewodnia wszystkich nauk głoszonych przez Jezusa.
- Esseńczycy mówili o „synach światła” walczących z „mocami ciemności”. Któż nie zna tej metafory z nauk Jezusa?
- Esseńczycy mówili o „duchu prawdy” i obiecywali „życie wieczne”. Jezus też to mówił.
- Esseńczycy mówili o członkach „nowego przymierza” i o „duchu świętym”. A cóż głosił Jezus?
- Esseńczycy czcili wspólnie spożywane posiłki modlitwą przy stole, podobnie jak

Jezus podczas Ostatniej Wieczerzy.

—Esseńczycy mówili o „fundamencie, który pozostanie niewzruszony”, Jezus o opoce (Piotr).

—W czwartej grocie w Qumran znaleziono „błogosławieństwa”, teksty, których każde zdanie zaczyna się od słowa „błogosławiony”, podobnie jak Kazanie na Górze Jezusa.

—Esseńczycy żądali od każdego nowo wstępującego do zgromadzenia, aby wyznał swe grzechy — jest to odwieczna reguła chrześcijańska.

Przy tylu dowodach (nie są to domysły) ciśnie się na usta pytanie, czy Jezus, podobnie jak Flawiusz, nie przebywał przez pewien czas wśród esseńczyków? Przez ponad dziewiętnaście wieków chrześcijaństwa mędracy łamali sobie głowy nad relacjami Józefa Flawiusza; nic nie wiadano o esseńczykach, nie wspomina się o

nich ani w ewangeliach, ani w listach apostołskich. Czyżby więc Flawiusz wymyślił historię *science fiction* o nie istniejącym zakonie? Znalezienie w Qumran rękopisów potwierdziło, że był sumiennym historykiem.

Dzień, w którym zacząłem myśleć

Pamiętam dokładnie dzień, gdy jako uczeń szkoły z internatem surowego katolickiego College-Saint-Michel we Fryburgu po raz pierwszy usłyszałem wzruszające słowa pożegnania Jezusa z uczniami, który zapowiedział im sądny dzień i to, że:

„[...] ustawi owce po prawej stronie, a kozły po lewej. Wtedy powie król tym po swojej prawicy: Pójdźcie błogosławieni Ojca mego, odziedziczcie Królestwo, przygotowane dla was od założenia świata. Albowiem łaknąłem, a daliście mi jeść, pragnąłem, a daliście mi pić, byłem przechodniem, a przyjęliście mnie, byłem nagi, a przyodzialiście mnie, byłem chory, a odwiedzaliście mnie, byłem w więzieniu, a przychodziliście do mnie". (Mat. 25, 33 nn.)

Prefekt kolegium napomniął nas, mówiąc, że powinniśmy każdy dzień życia tak przeżyć, aby móc o każdej godzinie stanąć przed Bogiem z czystym sercem, ponieważ nigdy nie zwątpiliśmy w Jego słowo, ponieważ ani na jotę nie odstępiliśmy od słowa Bożego i wierzyliśmy w nie.

Podczas kazania uświadomiłem sobie, że ja z całą pewnością znalazłbym się po lewicy, ponieważ miałem mnóstwo wątpliwości.

Zastanawiałem się, czy prefekt ma słuszość mówiąc, że Bóg nagrodzi wiernych, którzy potrafią wierzyć nie wątpiąc? Czy rzeczywiście ci, którzy umieją wierzyć bez kwestionowania czegokolwiek, staną po prawicy? Tylko dlatego, że zawsze *wierzyli*? Prefekt wprawdzie ciągle powoływał się na słowo Boże, bo sam przecież nie był ani przy „niebieskiej” selekcji, ani przy nagradzaniu wierzących! Prefekt mógł się mylić. Powoływanie się na słowo Boże uwiarygodniało wypowiedź, ale *mój* mądry i wszechmocny Bóg (który miał w sobie coś z dobrotliwego staruszka z długą brodą) powiedziałby zapewne: „Moje dzieci, dałem wam rozum po to, żebyście robili z niego użytek. Uczyniłem was mądrzejszymi od zwierząt po to, żebyście myśleli i pytali. Kto z was nie miał odwagi myśleć, ten nie wejdzie do mojego królestwa, kto nie zrobił użytku z rozumu, będzie potępiony”. Miało to miejsce przeszło dwadzieścia lat temu, ale istota mego

dziecięcego rozumowania pozostała we mnie do dziś. Myślę i pytam.

Przy wszystkich wątpliwościach byłem mimo wszystko wówczas przekonany, że Jezus, Syn Boga, wygłaszał wspaniałe i porywające słowa. Dziś wiem, że ten tekst też pochodzi z tak zwanego *Testamentu Józefa*. Cytuję:

„Zostałem sprzedany jako niewolnik, ale Pan uczynił mnie wolnym; byłem pojmany, ale Jego silna ręka pomogła mi; byłem trapiiony głodem, ale Pan mnie nakarmił; byłem sam, ale Bóg mnie pocieszył; byłem chory, ale Najwyższy odwiedził mnie; byłem w więzieniu, ale Wybawca obdarzył mnie łaską...” [21]

Jezus Chrystus *Superstar*

Czy na potwierdzenie, że słowa Jezusa nie zrodziły się z „ducha Bożego”, trzeba dalszych dowodów? Sformułowanie takie znajdujemy w religii na długo przed narodzeniem Jezusa. W wyjaśnieniach brak jeszcze tego, by — sięgając do psychologii — uznać je za archetyp wspomnień z podświadomości (C. G. Jung), ale i wówczas ich rodowód nie byłby boski.

Uważam, że jeśli Jezus nie należał do szkoły esseńczyków, to był co najmniej doskonale obeznany z głoszoną przez nich nauką. Dzięki temu nazarejczyk bądź betlejemczyk rozniecał płomień chrześcijaństwa z *przekazanego* mu przez nich religijnego ducha. Czy byłoby w tym coś złego? Nie. Tylko tożsamość Jezusa z Bogiem musi pozostać podstawą nauki chrześcijańskiej.

Wśród młodych ludzi zwróconych ku wierze

obserwuje się nurt „Jesus-People”. W kościołach organizowane są musicale z Jezusem Chrystusem w roli supergwiazdy. Jeśli chodzi o mnie, to nie chciałbym widzieć *mego* Boga uszminekowanego, tańczącego, śpiewającego, wydzierającego się. Na to moja wiara w boską wszechmoc jest zbyt wielka, staromodna i nietykalna. Te błżeństwa nie byłyby potrzebne, gdyby pytanie o słowo Boże skwitowane zostało odpowiedzią zgodną ze stanem najnowszych badań, zgodne z prawdą, nawet brutalną, ale szczerą. Dziś przekonanie jest czymś bardziej atrakcyjnym niż wiara.

Podsumowanie moich wywodów

W nieznanym miejscu przychodzi na świat Jezus, nieślubne dziecko Marii, panny. Maria, nie mając środków do życia, chce jednak zapewnić chłopcu dobre wychowanie, wie także, że *esseńcy przyjmują cudze dzieci jeszcze w wieku podatnym do nauki.*

Przynosi więc swoje dziecko do szkoły zakonnej nad Morzem Martwym. Dla esseńczyków wielobóstwo Rzymian jest bluźnierstwem wobec Boga, a bratanie się Żydów z okupantami — hańbą. Esseńczycy postanawiają umocnić ludność żydowską w niechętnym stosunku do okupantów i naukami pełnymi przenośni zaszczepić w nich nienawiść. W małych osadach od jeziora Genezaret aż po Jerycho powstaje coś w rodzaju *maquis*, ruchu partyzanckiego, do którego zagrzewa

ludność przede wszystkim Jan Chrzciciel, porywający i biegły mówca. Jezus jest zdolnym uczniem, nabywa przy Janie wiedzy o psychologii tłumu.

Jezus się usamodzielnia

Dwudziestotrzyletni Jezus opuszcza gminę esseńczyków i wyrusza sam głosić po kraju nauki. Wyszukuje sobie (z pewnością nie w tak prosty sposób, jak to podaje Nowy Testament) dwunastu towarzyszy. „Apostołowie” ci to bynajmniej nie niewiniątka, są oni przywódcami miejscowych *maquis*: co najmniej czterech spośród nich zidentyfikowano jako „zelotów”, posługujących się sztyletami członków wrogiej Rzymianom partii nacjonalistycznej [22]. Ta gwardia przyboczna Jezusa była tak doskonale zorganizowana, tak wygadana i opanowana tak wielkim zapalem misjonarskim, że Jezus jako pierwszy spośród współwyznawców podejmuje

ryzyko wystąpienia w mieście. Swoje, w gruncie rzeczy polityczne, przemówienie maskuje przed Rzymianami religijnymi sentencjami przewidując, że mogliby oni znać język albo mieć pod ręką tłumacza. Jednak przestrogi, które wygłaszał, słyszeli teologowie, faryzeusze i saduceusze. Jezus drażnił ich, ponieważ oni bratali się z Rzymianami i nie chcieli, aby ten wędrowny kaznodzieja wchodził im w drogę. Między wyższą warstwą społeczności żydowskiej a kastą rzymskich oficerów istniało milczące *gentlemen's agreement*, rodzime *high society* zachowywało swoje świętości i mogło nadal działać w świątyniach; rolnictwo i handel oraz finanse funkcjonowały w sposób ustalony. Rzymianie inkasowali jedynie trybut, dosyć sowy podatek. Przywódcy żydowscy nie chcieli burzyć tego względnie znośnego statusu, wiodło im się przecież całkiem dobrze. I nagle w Jerozolimie pojawia się Jezus ze swoją gwardią

przyboczną i na najruchliwszych placach
wygłasza — wprawdzie pod pozorem kazań
religijnych — podżegające mowy.

Jak się pozbyć tego wędrownego kaznodziei?

Jezus śledzony

Można przyjąć, że mieszkańcy miasta,
choćby z szeptanej propagandy, wiedzieli, że
Jezus jest esseńczykiem, a w każdym razie kimś,
kto esseńskie maksymy o życiu w zgodzie,
sprawiedliwości, prostocie

i miłości umie zręcznie owinać wokół haseł politycznych. Rzymianie przez długi czas nie domyślali się, na czym polega gra: uważali esseńskiego kaznodzieję za spokojnego kapłana, który swymi naukami nie narusza ustalonej hierarchii interesów Rzymu. Aż ktoś pewnego razu, może nawet jeden z wybitnych przedstawicieli wyższej kasty żydowskiej, napomknął władzom okupacyjnym o tych dwuznacznych poczynaniach. Od tego dnia Jezusa zaczęto śledzić.

Najbardziej dramatyczna scena literatury światowej

Na podstawie lektury ewangelii nie wiadomo, co było dalej. Rzymski namiestnik Judei w latach 26—36 Poncjusz Piłat zareagował prawdopodobnie na otrzymany donos. Czyżby informatorem był Kajfasz, najwyższy żydowski kapłan od 18 do 36 roku? Czy to właśnie on

uświadomił Piłatowi, co chce osiągnąć ów nabożny esseńczyk swymi łagodnie brzmiącymi przemówieniami? Czy Jezus — jak utrzymuje Joel Carmi-chael [23] — wraz ze swymi zwolennikami zaatakował świątynię? W każdym razie chodziło z pewnością o polityczną denuncjację, ponieważ Rzymianie nie mieszały się do życia religijnego Żydów. *Z całą pewnością* nie było to powstanie ludowe czy rebelia przeciwko Rzymianom. Takie wydarzenie byłoby odnotowane w historii Rzymu. *Pewne jest* też, że Jezus musiał czym prędzej ukryć się wraz z towarzyszami. Dlaczego?

Ewangelia przedstawia Jezusa jako człowieka łagodnego, chętnego do niesienia pomocy innym, uzdrawiającego chorych i wskrzeszającego zmarłych, którego kazania zachęcały do uczciwego, czystego życia. Jezus zdaje sobie sprawę, że jego życie jest w niebezpieczeństwie. Razem ze swoją asystą wraca na Górę Oliwną na

wschód od doliny Cedronu koło Jerozolimy. Na tym kończy się ryzykowna gra.

Każdemu znany jest opis jednej z najdramatyczniejszych scen w literaturze światowej: Rzymianie poszukują nazarejczyka, korzystając z usług Żyda dobrze znającego okolicę. W kryjówce uczniowie, znużeni wydarzeniami tych dni, zapadają w głęboki sen. Tylko Jezus nie może zasnąć, niepokoi się i spływa „krwawym potem”. Ta scena przedstawia się upiornie w pełgającym świetle smolnych pochodni: słycać okrzyki żołnierzy i szcęk broni. Podżegacze są otoczeni.

Od gromady siepaczy odłącza się nagle Judasz Iskariota, apostoł, podchodzi do Jezusa i całuje go. (Judaszowy pocałunek stał się synonimem haniebnej, podstępnej zdrady.)

Straszliwa chwila, ale można by zapytać, kogo Judasz zdradził? Czy

człowieka miłującego pokój i kochanego przez lud? Kogoś, kto czynił tylko dobro? Jezus występował przecież publicznie; Rzymianie, lud, teologowie znali go z postaci i oblicza. Rzymianie mogli go pojmać każdego dnia i doprowadzić na przesłuchanie. Dlaczego więc Judasz pocałunkiem musiał identyfikować Mistrza z człowiekiem, którego poszukiwali? Ewangelisci podają, że Judasz powiedział do najstarszego z uczonych w Piśmie: „Ten, którego pocałuję, jest nim" (Mat. 26, 48). Czyżby Jezus był w przebraniu?

Potwierdzenie mojej hipotezy znaleźć można w scenie pojmania Jezusa: „Wówczas Szymon Piotr mając miecz, dobył go i uderzył sługę arcykapłana, i odciął mu prawe ucho. A słudze temu było na imię Malchus" (Jan 18, 10). A zatem Piotr, jeden z owego bractwa miłującego pokój, miał przy sobie miecz? Przypuszczalnie cała asysta Jezusa była uzbrojona. Jezus panuje

nad sytuacją, widzi, że opór jest już beznadziejny, nakazuje mu więc: „Włóż miecz swój do pochwy [...]" (Jan 18, 11).

Jezus zostaje pojmany i związany. Apostołowie kryją się w zaroślach. Tylko waleczny Piotr nie chce opuścić swego Pana. W przebraniu miesza się w tłum rzymskich żołnierzy przy ognisku.

„Pojmawszy go tedy, zawiedli go i wprowadzili do pałacu arcykapłana, Piotr zaś szedł za nim z daleka. A gdy rozpalili ognisko na środku podwórza i usiedli wokoło, usiadł i Piotr wśród nich. Gdy zaś pewna służąca zobaczyła go siedzącego w blasku ognia, przyjrzawszy mu się, rzekła: I ten był z nim. On zaś zaparł się, mówiąc: Niewiasto, nie znam go. A niedługo potem ktoś inny, zobaczywszy go, rzekł: I ty jesteś z nich. A Piotr rzekł: Człowieku, nie jestem. A po upływie mniej więcej jednej godziny ktoś inny zapewniał, mówiąc: Doprawdy, i ten był z nim, jest przecież

Galilejczykiem, Piotr zaś odrzekł: Człowieku, nie wiem, co mówisz" (Łuk. 22, 54 nn.). Fakt, iż przez niemal dwie godziny Piotr pozostawał przy ognisku wśród rzymskich legionistów, świadczy o jego sprycie.

Jezus staje przed dwoma sądami, przesłuchują go, męczą, uznają winnym, skazują na śmierć na krzyżu. Carmichael dowiódł przekonująco [24], że krzyżowanie było karą stosowaną przez Rzymian; z wyroku orzeczonego przez Rzymian rzymscy żołnierze zajęli się jego wykonaniem. Działo się to — tak przypuszczają teologowie — w 32 roku. Inskrypcja na krzyżu wskazuje, że Jezusa skazano za występki *polityczny*... jako „króla żydowskiego" (Jan 19, 21).

Wnioski

W uzupełnieniu tego szkicu wypada dodać, że Jezus był człowiekiem wrażliwym, umiejącym leczyć, obdarzonym nadzmysłowymi zdolnościami psychicznymi. Ponadto był uczonym w Piśmie i wielce utalentowanym mówcą. Nikt nie może kwestionować jego uczciwości, pokory i bogobożności. Będąc esseńczykiem, dobrym znawcą reguł zakonnych, stosował w życiu przykazania miłości bliźniego, wstrzeźliwości, gotowości niesienia pomocy innym. Odkąd znane są jednak teksty rękopisów z Qumran, wiadomo, że przy całym ukochaniu pokoju zwolennicy nauki esseńczyków byli zagorzałymi przeciwnikami Rzymian: pragnęli wypędzić z umiłowanego kraju pogańskich intruzów wyznających wielobóstwo. Dochodziły więc do głosu racje religijne i polityczne, co w rezultacie musiało kiedyś doprowadzić do

konfliktu. Mikstura złożona z religii i polityki nigdy nie była strawna.

Ale dogmat Jezusa...

Nie zamierzam tu wdawać się w polemikę, czy Jezus, jak przypuszcza Augstein: „jest jedną z wielu postaci i prądów stopionych syntetycznie w jedno zjawisko [...], uosobieniem oczekiwania na zbawienie” [13]. Bo, jak twierdzi profesor Gunther Bornkamm: „Gdybyśmy chcieli przekazy ograniczyć do tego, co z historycznego punktu widzenia nie podlega kwestii, otrzymalibyśmy w rezultacie zaledwie zarys postaci, nie mający prawie nic wspólnego z przypowieściami zawartymi w ewangeliach” [25].

Mnie idzie tylko o to, aby wyraźnie stwierdzić, że Jezus był człowiekiem bogobożnym, ale nie „jednorodzoną Synem Boga”, że był działaczem politycznym, ale nie „Zbawicielem”!

Takie stwierdzenie przyprawi prawowiernych chrześcijan o prawdziwy szok, bo przecież samo wątplenie jest już grzechem „przeciwko Duchowi Świętemu”. Zgodnie z dobrze wypracowanym systemem dogmatów setki milionów chrześcijan od dwu tysięcy lat pozostawia się w niedoinformowaniu i niewiedzy, aczkolwiek dobrze poinformowani teologowie od dawna byłiby w stanie „głosić” prawdę. Przemilczają ją jednak. Dwa tysiące lat błędnego nauczania — to się nazywa tradycja!

Wiara i religia

Ja, wychowany w religii rzymskokatolickiej, pragnę zająć się postacią Jezusa, chociaż „ze zrozumiałych względów [...] tak silnie tkwimy w naszej tradycji, że nie jesteśmy w stanie ze sceptycyzmem podchodzić do ewangelistów i Nowego Testamentu” (Carmichael).

Wiara to wewnętrzna pewność, najgłębsze przekonanie bez potrzeby racjonalnej weryfikacji. Nawołuje się do wiary, żąda od tych, którzy nie wierzą, by wierzyli. Bo wierzyć — znaczy ufać. Ale dobra, nieodzowna i odwieczna jest tylko wiara w Siłę Wyższą, w Niepojęte, w „Stań się!” i „Umrzyj!”, w początek i koniec wszelkiego istnienia. Jest ona każdemu i zawsze pociechą, pomocą, błogosławieństwem i pożytkiem. Tak pojmowana wiara *nie ma* nic wspólnego z zacinianiem się w religijnym uporze. Tymczasem chrześcijańscy księżęta Kościoła i

egzegeci przez fanatyczne nakazy: „Musisz!”, „Powinieneś!”, „Nie wolno ci!”, wdają się w trwającą bez końca wojnę religijną. Uparcie trzymają się swego. Wszak tylko oni są głosicielami jedyne go zbawczego słowa Bożego, co konsekwentnie zakorzeniają w umysłach ludzi.

Z drugiej strony nieprawdą jest, że „religia” — jak twierdzą jej przeciwnicy — przez prześladowania, tortury, łzy i krew sprowadza na ludzkość cierpienia i nieszczęścia. Gdyby bowiem wierni, podjudzani przez fanatyków, nie stworzyli sobie żadnego obrazu Boga, *nigdy* nie byłoby wojen religijnych. Religia, rozumiana jako wiara w twórczą i porządkującą siłę, nie rości sobie pretensji do tego, że głosi ostateczne prawdy, nie zna też poradników na drobne dolegliwości ani skutecznych maksym na wszystkie okazje. Powinna tylko sprawiedliwie oceniać wzniosłość Boga wszechmogącego.

Podobieństwa i różnice w tekstach biblijnych

W specjalistycznych dyskusjach chrześcijańsko-teologicznych pojawiły się nowe aspekty, jeszcze zanim odnaleziono teksty w Qumran. Krytycznie myślący ludzie trzeźwego umysłu, pragnący wiedzieć wszystko dokładnie, odkryli w Nowym Testamencie sprzeczności nie do rozwikłania. Nie byłoby to czymś bulwersującym, gdyby nie chodziło o słowo Boże bądź o słowo Jezusa. Wszak Ojciec i Syn są współistotni (Drugi Sobór w Konstantynopolu), są wszech-

wiedzący, wszechobecni, bezbłędni, słowem — nieomylni. Autorzy inspirowani takimi przymiotami określili miarę, jaką należy przykładać do Pisma Świętego. Czy tak wysoka miara jest usprawiedliwiona?

Ojcowie, ojcowie!

Ewangelia Mateusza zaczyna się od rodowodu Jezusa, „syna Dawidowego, syna Abrahamowego” (Mat. 1, 1). Wyliczani są ojcowie rodu aż do Jakuba: „A Jakub był ojcem Józefa, męża Marii” (Mat. 1, 16). Po cóż ten Józef, skoro nie wolno mu przecież było być ojcem Jezusa? To, że małżonka staje się brzemienna za sprawą Ducha Św., niezbyt przekonuje prostego cieślę, któremu znany jest tradycyjny sposób płodzenia dzieci: „A Józef, mąż jej, będąc prawym i nie chcąc jej zniesławić, miał zamiar potajemnie ją opuścić. I gdy nad tym rozmyślał, oto ukazał mu się we śnie anioł Pański

i rzekł: Józefie, synu Dawidowy, nie lękaj się przyjąć Marii, żony swej, albowiem to, co się w niej poczęło, jest z Ducha Świętego" (Mat. 1,19 n.). Józef zaakceptował wyjaśnienie złożone mu w sennym widzeniu.

Łukaszowi rodowód Józefa wydaje się nie dość jasny. Odnosi się on również sceptycznie do ojcostwa Józefa: „A Jezus, rozpoczynając działalność, miał lat około trzydziestu, a był, jak mniemano, synem Józefa, syna Helego" (Łuk. 3, 23). Łukasz przypisuje Józefowi siedemdziesięciu sześciu, a Mateusz — czterdziestu dwóch przodków. Trudno jest więc przedrzeć się do Józefa przez gęstwinę gałęzi drzewa genealogicznego.

Niepokalane poczęcie

Nowocześni teologowie twierdzą [26], iż niepokalane poczęcie nie wyklucza zbliżeń Józefa i Marii. To subtelnie wyjaśnione zdarzenie

jest jednak dosyć nieprawdopodobne. Mateusz mówi całkiem po prostu: „A z narodzeniem Jezusa Chrystusa było tak: Gdy matka jego, Maria, została poślubiona Józefowi, okazało się, że, *zanim się zeszli*, była brzemienna z Ducha Świętego" (Mat. 1, 18). Jasne stwierdzenie.

Luka w pamięci św. Jana

Mateusz relacjonuje dokładnie, w jaki sposób Jan ochrzcił Jezusa: „Ja was chrzczę wodą, ku upamiętaniu, ale Ten, który po mnie idzie, jest mocniejszy niż ja; jemu nie jestem godzien i sandałów nosić; On was chrzcić będzie Duchem Świętym i ogniem” (Mat. 3, 11). „Ale Jan odmawiał mu, mówiąc: Ja potrzebuję chrztu od ciebie, a ty przychodzisz do mnie?” (Mat. 3, 14). „I oto rozległ się głos z nieba: Ten jest Syn mój umiłowany, którego sobie upodobałem” (Mat. 3, 17). Jan rozpoznał ochrzczonego przez siebie, którego nawet Najwyższy zidentyfikował jako Syna Bożego. Bardziej jednoznacznie nie można.

Herod Antypas (4 r. prz. Chr. — 40 r. po Chr.) pojmał tegoż Jana i później, ulegając namowom swej małżonki, nakazał ściąć. W więzieniu Jan Chrzciciel nie przypomina sobie Jezusa i wysłał dwu uczniów, żeby Go zapytali: „Czy Ty jesteś

tym, który ma przyjść, czy też mamy oczekiwać innego?" (Mat. 11, 3). Wrażenie, jakie mimo tylu charyzmatów nazarejczyk wywarł podczas chrztu na Janie, nie wydaje się zbyt trwałe. Jak bowiem wyjaśnić tę lukę w pamięci Jana?

Poszukajcie u Mateusza!

Sprawdźcie u Mateusza, celnika znad jeziora Genezaret, a później apostoła i domniemanego ewangelisty! „I obchodził Jezus całą Galileę nauczając w ich synagogach i głosząc ewangelię o Królestwie i uzdrawiając wszelką chorobę i wszelką niemoc wśród ludu" (Mat. 4, 23). Synagogi podlegały kapłanom i uczonym w Piśmie. Nikt nie mógł *ex cathedra* decydować, że będzie tam nauczał, musiał być uprzednio sprawdzony przez uczonych w Piśmie i uznany za jednego ze swoich. Skąd u Jezusa śmiałość, aby tak łżyć bractwo, od którego zależała jego działalność? „Albowiem powiadam wam: Jeśli

sprawiedliwość wasza nie będzie obfitsza niż
sprawiedliwość uczonych w Piśmie i faryzeuszów,
nie wejdziecie do Królestwa Niebios" (Mat. 5,
20).

Jezus łagodny

Mateusz opowiada w swej Ewangelii o
mowach Jezusa, które Jego łagodność stawiają
pod znakiem zapytania. Z ust Syna Bożego po-

chodzi zalecenie takiej postawy: „A Ja wam powiadam, że każdy, kto się gniewa na brata swego, pójdzie pod sąd" (Mat. 5, 22). Gdyby postępowano tak ze wszystkimi chrześcijanami, którzy w gniewie głośno i nieskrępowanie wymyślają innym, piekło musiałoby być gigantycznym krematorium.

Surowo, bardzo surowo!

Mateusz podaje rady, z których, o ile wiem, nigdy nie korzystali najbogobojniejsi nawet chrześcijanie i mimo boskiego przykazania nie mogliby ich nawet usłuchać: „Jeśli tedy prawe oko twoje gorszy cię, wyłup je i odrzuć od siebie [...]. A jeśli prawa ręka twoja cię gorszy, odetnij ją i odrzuć od siebie [...]. A ja wam powiadam: Nie sprzeciwiajcie się złemu, a jeśli cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi. A temu, kto chce się z tobą procesować i zabrać ci szatę, zostaw i płaszcz. A kto by cię przymuszał,

żebyś szedł z nim jedną milę, idź z nim i dwie"
(Mat. 5, 29 nn.).

Zawsze ogarnia mnie osłupienie, gdy w odpowiednie miejsce „historii z codziennego życia” wtrąca się w wypaczonym sensie cytaty Mistrza i każe w nie *wierzyć* jako w słowo Boże. Nie spotkałem jeszcze ani jednego kaznodziei, który by te sentencje brał dosłownie.

Tak — tak, nie — nie!

Jezus zawsze zachęca swoich słuchaczy do jasnych wypowiedzi, ich mowa nigdy nie powinna być „nijaka”: „Niechaj więc mowa wasza będzie: Tak — tak, nie — nie, bo co ponadto jest, to jest od złego” (Mat. 5, 37). Nazarejczyk sam bynajmniej nie stosuje się do własnych rad, mówi zagmatwanymi przenośniami, jest niekonsekwentny. Przykład: Jezus uzdrawia trędowatego przez nałożenie nań rąk. „I rzekł mu Jezus: Bacz, abyś nikomu nie

mówił [...]", ale jednym tchem dopowiada: „[...] lecz idź, ukaż się kapłanowi i ofiaruj nakazany przez Mojżesza dar na świadectwo dla nich" (Mat. 8, 4). Początkowy zakaz milczenia był bezsensowny, bo działało się to na oczach „wielkiego mnóstwa ludu" obecnego przy cudownym uzdrowieniu (Mat. 8, 1). Tak — nie! Tak — nie! No tak!

Miłosierdzie

Jezus zapewnia, że nie przyszedł wezwać sprawiedliwych, lecz grzeszników: „Miłosierdzia chcę, a nie ofiary” (Mat. 9, 13). Ale o miłosierdziu, przytaczając dalej słowa Mateusza, jest niewiele, bo Jezus grozi karą za drobne grzechy: „Synowie Królestwa zaś będą wyrzuceni do ciemności na zewnątrz; tam będzie płacz i zgrzytanie zębów” (Mat. 8, 12).

Narcyz

Miłujcie się wzajemnie... kochaj bliźniego swego, jak siebie samego... — oto hasła, jakie od swych początków do dziś upowszechniają wśród ludu chrześcijańskie kościoły. Dlaczego czytający Biblię sam nie dostrzega, że Jezus niewątpliwie jest Narcyzem, który w stosunku do własnej osoby, mającej służyć za wzór, nie stosował tych kategorycznych imperatywów?

Jezus mówi na przykład: „Kto miłuje ojca albo matkę bardziej niż mnie, nie jest mnie godzien; i kto miłuje syna albo córkę bardziej niż mnie, nie jest mnie godzien" (Mat. 10, 37). Czy to wszystko można pogodzić ze słowem Bożym i czy Syn Boży pragnie miłości?

Brak wspólnego mianownika

Obywatele Chorazynu, Betsaidy i Kafarnaum prawdopodobnie przyjęli Jezusa i jego uczniów niezbyt serdecznie. Zostali więc skazani przez Syna Bożego na potępienie po wsze czasy (Mat. 11, 21 nn.).

Mateusz, dzielnie rejestrujący czyny Syna Bożego, zanotował zapewne mnóstwo sprzeczności. Jezus wysłał swoich emisariuszy dając im przestrożę: „bądźcie tedy roztropni jak węże i niewinni jak gołębice" (Mat. 10,16). Moim zdaniem jest to rada obłudna. Potem przepowiada im: „I będziecie w nienawiści u

wszystkich dla imienia mego [...]" (Mat. 10, 22), ale nie powinni lękać się śmierci. Dlaczego Jezus przepowiada swoim ludziom tak straszliwy los, a zaraz potem podniesionym głosem oznajmia: „Albowiem jarzmo moje jest miłe, a brzemień moje lekkie" (Mat. 11, 30). Zapewne już wtedy niełatwo było sprowadzić słowo Boże do wspólnego mianownika.

Człowiek z ulicy

Co znaczy podany przez Mateusza opis oburzającej niesprawiedliwości?... Jezus odpowiedział uczniom znowu w przypowieściach: „Podobne jest Królestwo Niebios do pewnego króla, który sprawił wesele swemu synowi" (Mat. 22, 2). Doskonałą ucztę weselną z doskonałą puentą przedstawia ta przypowieść:

„[...] Wesele wprawdzie jest gotowe, ale zaproszeni nie byli godni" (Mat. 22, 8). Król jeszcze raz posłał sługi, żeby zaprosili gości, ale ci i tym razem zlekceważyli zaproszenie i nawet pozabijali wysłanników. Aby uroczystość wreszcie zacząć, król rozkazał: „Idźcie przeto na rozstajne drogi, a kogokolwiek spotkacie, zaproście na wesele" (Mat. 22,9). Spędzono ludzi z ulicy do sali. A kiedy król wszedł, aby przyrzeć się biesiadnikom, ujrzał tam człowieka,

który nie miał odświętneho stroju. „Wtedy król rzekł sługom: Zwiążcie mu nogi i ręce i wyrzucie go do ciemności zewnętrznej; tam będzie płacz i zgrzytanie zębów” (Mat. 22, 13). Albo myśl o „równości”, którą formułuje Jezus: „Albowiem wielu jest wezwanych, ale mało wybranych” (Mat. 22, 14). Nie ma recept na wykorzystanie słowa Bożego w działalności kaznodziejskiej. Dla mnie, skromnego czytelnika Biblii, przypadek ten świadczy o obrzydliwie aspołecznej postawie. Nie trzeba mi mówić, jaka idea była w tym zawarta, bo sam umiem czytać.

Niedziela dla kapitalistów

Dalsza przypowieść Mateusza też nie wydaje mi się inspirowana przez Ducha Bożego. Streszczę tekst rozdziału 25, wersety 14—30. W przypowieści tej pewien bogaty pan udaje się w podróż i przed odjazdem powierza parobkom i pracownikom swoje pieniądze. Po powrocie

przychodzą do niego się rozliczyć. Jeden, któremu pan zawierzył pięć talentów (srebrna moneta wartości 6000 drachm), wykorzystał czas na to, aby pomnożyć je do dziesięciu. Same pochwały! Kolejny sługa z dwu pozostawionych mu talentów uzyskał cztery. Sama radość! Wszyscy, z wyjątkiem jednego, pomnożyli kapitał. Ten jeden, zapewne antykapitalista, ze strachu zakopał pieniądze i zwrócił otrzy* many jeden talent. „A odpowiadając, rzekł mu pan: Sługo zły i leniwy! Wiedziałeś, że żnę, gdzie nie zasiałem, i zbieram, gdzie nie rozsypywałem. Powinieneś był więc dać pieniądze moje bankierom, a ja

po powrocie odebrałbym, co moje, z zyskiem. Weźcie przeto od niego ten talent i dajcie temu, który ma dziesięć talentów. Każdemu bowiem, kto ma, będzie dane i obfitować będzie, a temu, kto nie ma, zostanie zabrane i to, co ma. A nieużytecznego sługę wrzucicie w ciemności zewnętrzne; tam będzie płacz i zgrzytanie zębów" (Mat. 25, 26 nn.). Ta historia nie może pasować do koncepcji Jezusa antykapitalisty, mimo to czyta się ją z ambon jako Ewangelię w dwudziestą siódmą niedzielę po Zielonych Świątkach, w niedzielę Trójcy Św. Kapitałiści wszystkich krajów, chwalcie słowo Boże! Pomnażajcie wasze talenty!

Zjawa?

Ostatnia ze wspomnianych tu zagadek Mateusza. Jedenastu uczniów, bez Judasza udało się do Galilei na Górę, tam, gdzie Jezus im nakazał. „I gdy go ujrzeli, oddali mu pokłon, lecz

niektórzy powątpiewali" (Mat. 28, 17). Odkąd studiuję Biblię, nie znalazłem odpowiedzi na pytanie, w co mogli zwątpić niektórzy z nich, widząc człowieka, którego ukrzyżowano i pochowano, i który nagle staje przed nimi, ciesząc się dobrym zdrowiem. Nie wierzyli własnym oczom, wzięli za zjawę, *widząc żywym* tego, który umarł?

On chyba „odszedł od zmysłów”

Marek opowiada kilka zasługujących na uwagę przypowieści. Stwierdza on jednoznacznie, że Jezus miał *braci* (Mar. 3, 31—32), którzy pojawiają się w scenie, kiedy Jezus wraz ze swymi ludźmi spożywa posiłek. Wieść o obecności cudotwórcy tak się rozniosła, że wielu ciekawskich wyległo na ulice. „A krewni, gdy o tym usłyszeli, przyszli, aby go pochwycić, mówili bowiem, że odszedł od zmysłów" (Mar.

3, 21). Czy w tym czasie uważano Jezusa za nienormalnego? (Psychologia mogłaby dziś dostarczyć przekonujących argumentów.) Mistrz nie chce słyszeć o matce i braciach, którzy na dworze wielokroć o niego pytają. Zadaje wszystkim wymijające retoryczne pytanie: „Któż jest matką moją czy braćmi?” (Mar. 3, 33) i dodaje: „Oto matka moja i bracia moi. Ktokolwiek czyni wolę Bożą, ten jest moim bratem i siostrą, i matką” (Mat. 3, 34 n.). Trudno się tu dopatrzeć uczucia wdzięczności wobec matki, która w dramatycznych okolicznościach wydała Go na świat.

Czy Syn Boży był grzeszny?

Jan chrzczył ludzi w Jordanie, przybywali do niego masowo. Wszystkim głosił, że trzeba się ochrzcić „*na odpuszczenie grzechów*” (Mar. 1, 4). Wiemy i dowiadujemy się ponownie od kronikarza Marka, że Jezus usłuchał tego apelu i dał się ochrzcić. Można by zatem zapytać, czy Syn Boży miał grzechy, które powinny być mu odpuszczone?

Czy uczniowie rozumieli słowo Jezusa?

Można usprawiedliwić sprzeczności, jakie wynikają z różnic stwierdzonych w tekstach, a także z różnic dat. Jeśli jednak występują po sobie niejako jednym tchem, trzeba teologicznej gimnastyki, żeby je wytłumaczyć. Według Marka, Jezus mówi do uczniów: „Powierzono wam tajemnicę Królestwa Bożego; tym zaś, którzy są na zewnątrz, wszystko podaje się w

podobieństwach" (Mar. 4, 11). To znaczy, że wy, przyjaciele, rozumiecie każde z moich słów, ale ludowi muszę wyjaśnić to na przykładzie przypowieści. Jednak zaraz w wersecie trzynastym Jezus gniewa się na swoich uczniów: „Nie rozumiecie tego podobieństwa? Jakże więc zrozumiecie wszystkie inne podobieństwa?" (Mar. 4, 13).

Pytanie, czy apostołowie dokładnie rozumieli Jezusa, pozostaje otwarte. Według Mateusza Jezus stwierdza: „Wam dane jest znać tajemnice Królestwa Niebios, ale tamtym nie jest dane" (Mat. 13, 11). Wynosi on uczniów ponad innych, którzy go nie rozumieją, i chwali: „Ale błogosławione oczy wasze, że widzą, i uszy wasze, że słyszą!" (Mat. 13, 16). Należałoby więc z tego wnosić, że komunikatywność w węższym kręgu była tak doskonała, iż szyfr, jakim Jezus posługiwał się na co dzień, był zrozumiały. Ale nie! Nawet pojętny Piotr musi prosić: „Wyłóż

nam to podobieństwo" (Mat. 15,15). Jezus zdumiony pyta: „To i wy jeszcze nie pojmujecie?" (Mat. 15,16). A więc rozumieli słowo Boże, czy nie? Przypuszczalnie nie, bo nawet po zmartwychwstaniu, gdy już nie mogli prosić mistrza o dodatkowe wyjaśnienia, Jan stwierdza: „Albowiem jeszcze nie rozumieli Pisma [...]" (Jan 20, 9).

Nigdy was nie znałem...

Jak podaje Marek, Jan zameldował Jezusowi: „Nauczycielu! Widzieliśmy kogoś, kto nie chodzi za nami, jak wypędzał w twoim imieniu demony, i zabranialiśmy mu, bo nie chodził za nami". Ale Jezus, w sposób charakterystyczny dla siebie, odrzekł: „Nie zabraniajcie mu, ponieważ nie ma takiego, kto by dokonywał cudów w imieniu moim i mógł zaraz potem o mnie źle mówić" (Mar. 9, 38 n.). U Mateusza brzmi to inaczej: „Panie, Panie, czyż nie prorokowaliśmy w imieniu twoim i w imieniu twoim nie wypędzaliśmy demonów, i w imieniu twoim nie czyniliśmy wielu cudów?" (Mat. 7, 22). Odpowiedź jest wręcz demagogiczna: „A wtedy im powiem: Nigdy was nie znałem. Idźcie precz ode mnie wy, którzy czynicie bezprawie" (Mat. 7, 23). Może tak jest w obyczajach *maquis*, ale komuś, kto czuje się upoważniony do dawania

poleceń ludziom w imię Boga, nie godzi się później ich wypierać.

Poinformowany przez najwyższe czynniki

Zwykłemu chrześcijaninowi niełatwo jest zorientować się w sprzecznościach Nowego Testamentu. Wtajemniczonym teologom łatwiej. Z pewnością mają gorącą linię i mogą uzyskać informacje z miarodajnych źródeł. Z ich ust, a potem z ust tych, których instruują, dzieci na lekcjach religii i wierni w kościołach dowiedzą się, jak należy, a jak w żadnym razie nie należy rozumieć tego wszystkiego. A zatem synonimem pojęcia *wierzyć* jest „właściwie komentować”. Ale żeby teologowie zgadzali się przynajmniej między sobą! Przedstawiciele różnych kościołów zapamiętałe wiodą niepoważne spory, obstając przy swoich koncepcjach. Jeśli czegoś nie da się zuniformizować i w ogóle wytłumaczyć, trzeba mówić maluczkim, iż jest to próba wiary. Jak to

było? „Niechaj więc mowa wasza będzie: Tak — tak, nie — nie.”

„Ty mówisz...”

W Piśmie Świętym powiedziano, iż Jezus jest jednorodzonym Synem Bożym i że sam to przyznał na przesłuchaniu przed Wysoką Radą. W rzeczywistości zaś poprawne tłumaczenie wypowiedzi Jezusa *nie* brzmi: „Jam jest”, lecz: „Ty mówisz”. Trudno chyba nie dostrzec

nieuczciwości w rozumowaniu, gdyż oznacza to: *ja* tego nie twierdzę, wy mi to przypisujecie! U Marka też jest napisane: „A Jezus odrzekł: Czemu mię nazywasz dobrym? *Nikt nie jest dobry, tylko jeden Bóg*” (Mar. 10, 18). Jezus wyraźnie zaznacza, że *nie jest* Bogiem. Ale i On również nie wie, kim stanie się dzięki postanowieniom ojców soboru...

Nie są „jednym”

Wypowiedź Jezusa zaprzecza dogmatowi, iż Ojciec i Syn są jednym oraz że Trójca — Ojciec, Syn i Duch Święty — są jednym: „Ale o tym dniu i godzinie nikt nie wie: ani aniołowie w niebie, ani Syn, tylko Ojciec” (Mar. 13, 32).

Gdyby byli „jednym”, *każda* osoba Trójcy musiałaby wiedzieć o dniu i godzinie przyszłego zdarzenia.

Zasłyszane w sądzie

Arcykapłani z braku innych dowodów skazują Jezusa za bluźnierstwo przeciw Bogu. Arcykapłan pyta, czy Chrystus jest Synem Boga.

Odpowiedź według Mateusza (26, 64): „Tyś powiedział [...]”.

Odpowiedź według Marka (14, 62): „Jam jest [...]”.

Odpowiedź według Łukasza (22, 70): „Wy powiadacie, że jestem”.

Sprzeczności są zrozumiałe, bo żaden z ewangelistów nie był obecny przy przesłuchaniu, powołują się na zasłyszane wersje.

„Co mówię wam w ciemności...”

Jan miał nieco dokładniejsze informacje i podaje, że Jezus postawiony przed Wysoką Radą bronił się: „Ja jawnie mówiłem światu; ja zawsze uczyłem w synagodze i w świątyni, gdzie się wszyscy Żydzi schodzą, a potajemnie nic nie mówiłem” (Jan 1.8, 20). Zapewne była to tylko

połowa prawdy, odpowiedź broniącego się buntownika. Może Rada wiedziała o wichrzycielskiej działalności Jezusa, jak napomyka o tym Mateusz: „Co mówię wam w ciemności, opowiadajcie w świetle dnia; a co słyszycie na ucho, głoscie na dachach" (Mat. 10, 27). Zawsze buntownicy byli sądzeni za wywrotową działalność. Może tu należałoby szukać motywów oskarżenia?

Oskarżony bezpodstawnie?

Ewangeliści zgodnie twierdzą, że Jezus został pojmany bezpodstawnie. Arcykapłani i Rada starali się znaleźć motyw oskarżenia: „Arcykapłani zaś i cała Rada Najwyższa szukali świadectwa przeciwko Jezusowi, aby skazać go na śmierć, ale nie znajdowali" (Mar. 14, 55).

Jak było naprawdę z Judaszem?

Dotychczas nie wiadomo, czym w rzeczywistości Judasz obciążył Chrystusa, jakie treści zawierały jego zeznania, a tym samym na czym polegała zdrada. Judasz nie pojawia się ani razu w czasie procesu, nie ma go przy żadnym przesłuchaniu, nigdzie nie występuje jako świadek oskarżenia. Wdziera się wprawdzie do sali obrad, aby Najstarsi wypłacili mu trzydzieści srebrników. Ale za co? Chyba nie za zidentyfikowanie człowieka znanego w całym

mieście? Chyba nie? Gdyby jednak poza pocałunkiem zdrajcy dostarczył on także podstawy do oskarżenia, jego mocodawcy nie byłiby tak bezradni. Dla brudnych srebrników Judasz nie stałby się chyba zdrajcą. Musiało tam być coś jeszcze, o czym zapewne nigdy się nie dowiemy. Judasz mógł łatwo zdobyć trzydzieści i więcej srebrników: podobnie jak esseńczycy zorganizowali swoją społeczność ze wspólną kasą, tak Judasz prowadził księgowość grupy Jezusa. Nie, tam musiało być jeszcze coś innego...

Podjezrzane dochodzenie

Skazanie i zgładzenie Jezusa są owiane tajemnicą. Jezus stanął przed Piłatem, który wprawdzie uznał Go niewinnym, ale w końcu kazał ukrzyżować. Według relacji Jana namiestnik wzbraniał się: „Weźcie go wy i ukrzyżujcie, ja bowiem winy w nim nie znajduję

" (Jan 19, 6). Namiestnik rzymski przebywał wystarczająco długo w kraju, żeby wiedzieć, iż Żydom nie wolno nikogo krzyżować. Wykonanie wyroku śmierci przez ukrzyżowanie mogło być wykonane wyłącznie przez Rzymian, dlatego propozycja Piłata była niedorzeczna.

Żydzi oskarżali: „My mamy zakon, a według zakonu winien umrzeć, bo się czynił Synem Bożym" (Jan 19, 7). Cóż to obchodziło Rzy-

mianina? Jego nie interesowały spory religijne. Podobnie sądzi Jan: „A gdy Piłat usłyszał te słowa, bardziej się uląkł” (Jan 19, 8). Czego się zląkł? Miał władzę wojskową, polityczną i siłę policji za sobą. Powiedział do milczącego Jezusa: „Ze mną nie chcesz rozmawiać? Czy nie wiesz, że mam władzę wypuścić cię i mam władzę ukrzyżować cię?” (Jan 19,10). Czego właściwie miał się bać? Piłat rządził tak despotycznie, że później został nawet odwołany ze stanowiska. Gdyby istotnie uważał Jezusa za niewinnego, oswobodziłby go mimo protestów Żydów. Ponieważ doszło do ukrzyżowania Jezusa, Piłat musiał jednak mieć polityczne powody, a takie nie zawsze się ujawnia.

Jak brzmiały ostatnie słowa Jezusa?

W Biblii występuje również niezgodność w relacji ewangelistów co do ostatnich słów Jezusa na krzyżu:

Według Marka (15, 34) i Mateusza (27, 46) Jezus

zawołał donośnym głosem: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?”

Według Łukasza (23,46): „Ojcze, w ręce twoje polecam ducha mego”.

Według Jana (19, 30): „Wykonało się. I skłoniwszy głowę, oddał ducha”.

Niewiasty u grobu

Przekazy ewangelistów o odwiedzinach grobu Jezusa są również niezgodne. Marek (16, 1 nn.) wie, że Maria Magdalena, Maria Jakubowa i Salome kupiły wonności, aby namaścić Jezusa. Zastanawiały się tylko, jak odsunąć kamień z grobu, ale okazało się, że był otwarty i zobaczyły młodzieńca w długiej, białej szacie. Powiedział, żeby się nie lękały, ponieważ Jezus, którego szukają, powstał z martwych. Niechaj to przekażą Jego uczniom. Ale niewiasty „wyszędłszy, uciekły od grobu, ogarnął je bowiem lęk i zdumienie”.

Jan zna inny przebieg wydarzenia (20, 1 n.).

Podaje on, że Maria Magdalena pierwszego dnia po szabasie przychodzi do grobu, od którego kamień jest już odsunięty. Ogarnięta paniką, biegnie do Szymona Piotra i innych apostołów. Sądzi, że Jezusa zabrano z grobu i złożono Jego ciało w innym miejscu.

Łukasz (24, 1 nn.) wie tylko, że jakieś niewiasty udały się do grobu, który był otwarty i pusty. Kiedy stały tam zasmucone, nadeszli dwaj

mężczyźni w „łśniących szatach” i powiedzieli: „Dlaczego szukacie żyjącego wśród umarłych? Nie ma go tu, ale wstał z martwych!”

Bardzo dramatycznie przedstawia to Mateusz (28, 1 nn.). Do zamkniętego jeszcze kamieniem grobu przychodzą Maria Magdalena i Maria Jakubowa. A oto powstało wielkie trzęsienie ziemi, albowiem Anioł Pański — jego oblicze było jak błyskawica, a szaty białe jak śnieg — zstąpił z nieba, odsunął kamień i usiadł na nim, po czym powiadomił niewiasty, że Jezus zmartwychwstał: „chodźcie, zobaczcie miejsce, gdzie leżał” i dodał: „A idąc spiesznie powiedzcie uczniom jego, że zmartwychwstał”. W drodze spotkały Jezusa, ale to nie wiąże się już ze sprawą odwiedzin Jego grobu.

Liczni autorzy Biblii mogliby przynajmniej zadać sobie trud zsynchronizowania w swych relacjach opisu głównego wydarzenia — zmartwychwstania. Jeśli już legendarne „teksty

pierwotne" nie zawierają jednobrzmiącej relacji — co jest przedziwne — to należało je zredagować dla dobra zwykłego czytelnika, który teraz po wsze czasy musi zadawać sobie pytanie: jak było naprawdę?

Osobliwa reakcja apostołów

Zadziwiająca jest reakcja apostołów, którzy nie wierzą ani jednemu słowu relacji kobiet. Notabene znali obie Marie i Joannę. „Lecz słowa te wydały im się niczym baśnie, i nie dawali im wiary" (Łuk. 24, 11).

Jan stwierdza wręcz (20, 9): „Albowiem jeszcze nie rozumieli Pisma, że musi powstać z martwych". Jak to, przez całe cztery księgi ewangelieści odnotowują zapowiedź Jezusa, że umrze i zmartwychwstanie, a w końcu nic o tym nie wiedzą?

Wniebowstąpienie

Równie sprzecznie i bez boskiej inspiracji zrelacjonowano koniec końców wniebowstąpienie Jezusa. Według Mateusza (28, 17 n.) Jezus zapowiedział, że ukaże się im w Galilei na górze. „I gdy go ujrzeli, oddali mu pokłon, lecz niektórzy powątpiewali”. Ciągle jeszcze? Mateusz nie zna szczegółów wniebowstąpienia.

Marek (16, 19) kwituje to ważne wydarzenie tylko jednym zdaniem: „A gdy Pan Jezus to do nich powiedział, został wzięty w górę do nieba i usiadł po prawicy Boga”. Tak po prostu.

Łukasz (24, 50 n.) podaje, że Jezus sam „wywiódł ich aż do Betanii, a podniósłszy ręce swoje, błogosławił ich. I stało się, gdy ich błogosławił, że rozstał się z nimi”.

Jan (21) nic nie wie o wniebowstąpieniu.

Zmartwychwstanie i wniebowstąpienie były *Qak* to przedstawia słowo Boże — co zakładam pobożnie przy porównywaniu ze sobą tych fragmentów) bez wątpienia najważniejszymi wydarzeniami w życiu Jezusa. Trudno pojąć, dlaczego ewangeliści rejestrowali mało istotne rzeczy, a nie opisali dokładnie, barwnie, w sposób porywający i prawdziwie natchniony głównych wydarzeń, wokół których osnuta jest cała chrześcijańska nauka.

Crux interpretum

Gdyby Jezus wstąpił do nieba na oczach wszystkich albo przynajmniej w obecności

swoich uczniów, to wieść o tym fakcie lotem błyskawicy rozniosłaby się po Jerozolimie. Tymczasem żaden z żydowskich i rzymskich historyków nie zanotował ani słowa na temat tak niezwykle ważnego dla świata wydarzenia. O wszystkim natomiast wiedzieli, choć tylko fragmentarycznie, ewangeliści. Ale oni nie byli przecież naocznymi świadkami! Jest to *crux interpretum!*

Jeden z milionów

Jestem jednym z setek milionów chrześcijan, mających już od kołyski życie zorganizowane i płacących podatki kościelne. Jednakże tak *zorganizowanej* religii nie mogę darzyć wiarą. Podziwiam wspaniałą poezję osnutą wokół postaci Jezusa z Nazaretu. Żywię podziw dla świadectw chrześcijańskiej kultury w malarstwie, rzeźbie i muzyce. Uznaję większość nakazów, reguł chrześcijańskiego kodeksu wiary i norm

współzycia (w istocie wspólnych wszystkim religiom, mitom i legendom).

Neguję jednak prawo Kościoła do roszczeń, jakoby był on Kościołem jedynie zbawczym, ponieważ nie uważam — żeby wymienić choćby przykładowo — nauk i reguł religii Buddy czy Mahometa za mniej wartościowe.

Miliony chrześcijan nie wiedzą nic albo zgoła niewiele o rodowodzie Biblii. Z pokolenia na pokolenie przyjmuje się Biblię za słowo Boże i uważa Jezusa za głosiciela oryginalnej nauki. A tymczasem dowie-

dziono, że Jezus przejął, delikatnie mówiąc, filozofię i naukę esseńczyków. Chrześcijańskie dogmaty zapożyczone są ze starszych religii, co potwierdza dokumentacja udostępniona mi przez dr. Roberta Kehla:

„Biblia nie zawiera ani jednej myśli religijnej czy moralnej, która nie byłaby już w jakiejś formie wyrażona w świętych pismach wcześniejszych religii albo jej współczesnych. Podstawą, żeby nie powiedzieć: zbrojownią czy arsenałem gminy «chrześcijańskiej», jej życia kultowego były przede wszystkim (w dużej mierze przez nią przejęte z kultów egipsko-orientalnych) misteria hellenistyczne. W dzisiejszych obrzędach Pawiowego chrześcijaństwa można odnaleźć też prawie wszystkie elementy liturgii kultów Attisa, Dionizosa, Mitry i Izydy” [a].*

Główną postacią poszczególnych kultów misteryjnych była zawsze postać „syna boga”, nazywanego „panem”, odpowiadająca „zbawicie-

lowi" czczonemu przez Pawłowych chrześcijan. Wszędzie też znaczącą rolę odgrywało cierpienie i śmierć owego „bożego syna”. Jest nawet mowa o bogach ukrzyżowanych. Zstąpienie boga do piekieł („...zstąpił do piekieł...”) było wyobrażeniem powszechnie znanym, podobnie jak we wszystkich kultach misteryjnych, wniebowstąpienie należało do każdej historii zbawienia. W dawnym Egipcie, jak również w kulturach misteryjnych, znana była „trójca” (współistotność w trójcy, równość w trójcy). W imię Mitry i Dionizosa uzdrawiani byli chorzy, wskrzeszani zmarli, uspokajane wzburzone morze, woda przemieniana w wino itd. Była też Wielkanoc (święto zmartwychwstania), przy czym akt zmartwychwstania różnych bogów dokonywał się tak samo jak w późniejszym chrześcijaństwie (zmartwychwstanie trzeciego dnia po śmierci, pusty grób, odsunięty kamień grobowy). Nauka o zbawieniu, która uchodzi za

„specjalność” religii chrześcijańskiej, istnieje ze wszystkimi szczegółami również w innych religiach. Nawet podstawowy chrześcijański dogmat o grzechu pierworodnym nie był w zasadzie niczym nowym (Mitra). W religiach hellenistycznych znany był chrzest poprzedzany postem i ćwiczeniami puryfikacyjnymi. Również uroczysty wspólny posiłek (stół Pański) jako „uczta błogosławionych” czy „uczta świętych” odpowiada w dużej mierze (późniejszej) chrześcijańskiej Ostatniej Wieczerzy. Posiłek ten także symbolizował spożywanie ciała i picie krwi boga (komunia). Chleb przy Ostatniej Wieczerzy podawany był po części w postaci hostii ze znakiem krzyża. Wiadomo, że i „stół

* Fragmenty oznaczone literami a—i zostały omówione w bibliografii (przyp. aut.).

Pański" pojmowany był jako sakramentalne, bezkrwawe odnowienie „ofiarowania Boga". Nawet słowa wypowiedane w dzisiejszej mszy katolickiej podczas przemienienia są zapożyczone: „Powiedz siedmiokroć: ty jesteś winem, nie jesteś winem, lecz krwią Ozyrysa, trzewiami Jaó".

Dzięki „posiłkowi błogosławionych" wierni „odradzali się". W przeciwieństwie do zgubionego świata, którego udziałem miał być zły los, oni uznawani byli za „zbawionych", uratowanych, nieśmiertelnych. Wtajemniczeni przez spożycie posiłku stawali się „dziećmi boga". Bóg zamieszkał w nich, jednoczyli się z bogiem. Sam „posiłek" rozumiany był jako współuczestniczenie w uczcie z samym bogiem.

Historia życia każdego z synów bożych bądź twórców religii — nie tylko w kultach misteryjnych, lecz również w religiach Bliskiego i Dalekiego Wschodu z czasów przed

narodzeniem Chrystusa — wykazuje zadziwiającą zgodność z życiorysem Jezusa. Zaczyna się od prorocत्व o nadejściu „zbawiciela”, „wybawcy ludzkości” [bj. Wyznawcy zoroastryzmu mówią: „Świat pełen jest oczekiwania na Niego, jest to prorok Mazda”. Jest również mowa o nadnaturalnym sposobie spłodzenia [c] boga zbawiciela, przy czym dziewicze poczęcie znane było przed narodzeniem Jezusa, dotyczy na przykład Buddy czy Zaratustry. Poczęcie Buddy dokonało się za sprawą boskich promieni, które przeniknęły do ciała jego dziewiczej matki. Jeszcze bardziej frapuje zgodność w opisach narodzin twórców religii [d]. Przychodzili oni na świat w stajenkach, kładziono ich w żłobkach owiniętych w pieluchy, a miejsce narodzin „opromieniała światłość”. Pojawiały się niebiańskie chóry i rozbrzmiewał „cudowny śpiew”, nawet nie brakło modlących się pastuszków. Podobnie jak w

przypadku Jezusa, po przyjściu na świat Kriszny (ósmie ziemskie wcielenie Wisznu, jedna z głównych boskich postaci w hinduizmie) doszło do zgładzenia wszystkich noworodków płci męskiej z rozkazu zawistnego króla. Nie brak też historii z dzieckiem w świątyni, wszyscy twórcy religii przebywali na „pustkowiu” (pustyni), gdzie oddawali się postom, byli kuszeni przez diabła [e], przy czym szczegóły zgodne są z opisem biblijnym: diabeł najpierw oferował im jedzenie, a jeśli nie ulegli — władzę nad światem.

Podczas chrztu Buddy nastąpiło trzęsienie ziemi, a bóg oznajmił: „Nieśmiertelność została znaleziona” (w przypadku Jezusa: „Ten jest mój Syn, którego sobie umiłował”). Zdziwiająca podobieństwo sytuacji można również stwierdzić przy śmierci osób boskich, sławionych jako zbawiciele świata. Przy okazji śmierci Cezara mówi się

o ciemności i o tym, że „ziemia otwierała się” i „zmarli wracali” [f]. Zmartwychwstanie synów boskich, którzy chodzili po tej ziemi, znane było w starożytności na długo przed narodzeniem Chrystusa. Również, z martwych powstały Apoloniusz, współczesny Jezusowi, postać będąca niejako jego sobowtórem, ukazał się swoim uczniom.

W religiach misteryjnych, a przedtem w kulturach egipskich i kulturze babilońskiej, znane były zarówno sentencje: „jestem winną latoroślą”, jak również motyw pasterski: „jestem dobrym pasterzem” [g]. Prześladowania „innowierców” miały miejsce nie tylko w historii chrześcijaństwa. Wysztydzanie cierpiącego Dionizosa zdumiewająco przypomina wyszydzanie Jezusa. Twórcy religii i synowie boscy, jakich znała starożytność *przed* Chrystusem (w tym również świat dalekowschodni), byli na ogół jak On

cudotwórcami [h]. Cud z winem ma swoją paralelę w legendzie o Dionizosie. Poza tym: uzdrowieni chorzy, podskakujący rześko starcy, nakarmieni głodni, ślepcy, którzy odzyskują wzrok, sparaliżowani, którzy zaczynają chodzić, a niemi — mówić. Zdarzały się też uzdrowienia na odległość. Chorzy, odzyskawszy zdrowie, wynoszą swoje nary, cichnie wzburzone morze, następuje nawet cudowne nakarmienie 300 tysięcy ludzi i wiele innych cudów.

W buddyzmie też występuje niedowiarek Piotr. Budda, jak Jezus, nazywa siebie „Prawdą”. Zaratustra zapowiada, że „wróci ze świętymi aniołami”, wreszcie Kriszna, który oznajmia, że „świat go nie rozpozna” [i]. Oto niektóre fragmenty sformułowań, wybrane ze świętych pism dawnych religii, zestawione z Biblią, a zwłaszcza z ewangeliami.

Objaśnienia skrótów: B — buddyzm, T — taoizm, H — hinduizm, Z — zaratustryzm, M —

religie misteryjne.

Biblia: **Teksty z innych**
świętych pism:

Nie ma równego tobie między bo- Nikt nie jest
Tobie równy w świę-
gami Panie (Ps. 86, 8) cie (H)

Albowiem twoje jest Królestwo Twoje jest
panowanie i Twoja jest i moc, i chwała na wieki
wieków, władza, o, Mazdo (Z) Amen (Mat. 6,
13)

Ale Ty pozostaniesz ten sam i nie O, Ahura
Mazdo, który jesteś wie-skończą się lata twoje
(Ps. 102,28) cznie ten sam (Z)

Drogi krzywe wyprostowane (Łuk. 3, 5)	świata (Jan 8,12) Wypełnił się czas (Mar. 1,15)
Gdyż dziś narodził się wam Zbawiciel (Łuk. 2, 11)	Idźcie tedy i czyńcie uczniami wszystkie narody [...] ucząc je przestrzegać
Błogosławionaś Ty między niewiastami (Łuk. 1, 28)	wszystkiego, co wam przykazałem (Mat. 28, 19 n.)
Kto mnie widzi, widzi tego, który mnie posłał (Jan 12, 45)	Kto ma uszy, niechaj słucha (Mat. 13,9)
Nie przyszedłem bowiem sądzić świata, ale świat zbawić (Jan 12, 47)	Kto szuka, znajduje (Mat. 7, 8)
Ja jestem światłością	Który przyłoży rękę do pługą i ogląda się wstecz, nie nadaje się

do Królestwa Bożego Co krzywe jest,
(Łuk. 9, 62) zostanie wyprostowane

Gdyż wszyscy

zgrzeszyli (Rzym.
3,23)

(T)

Dziś narodził się
Zbawiciel, Dziewica go
porodziła; światło stało
się jaśniejsze (M)

Wyniesiona nad
wszystkie ziemskie
niewiasty [mowa o
matce Buddy] (B)

Kto mnie widzi, ten
widzi mądrość (B)

Logos [Herakles] jest
nie po to, aby szkodzić
czy karać, lecz ratować
(M)

Jestem okietn świata

(B) Kto szuka, natrafi na
niego [tao] (T)

Czas się dopełnił
(Assurbanipal) Albowiem kto
[rzeczami tego świata
Co widzieliście i nadal] zajmuje się, nie
dowiedzieliście się ode nadal daje się do objęcia
mnie, macie głosić Królestwa (T)
ludziom (H) Grzech nad nimi

Kto uszy ma, słyszy panuje (H)
słowo i wierzy (B)

1

1

3

Choć wasze grzechy będą czerwone jak szkarłat, jak śnieg zbieleją [...], staną się białe jak wełna (Iz. 1,18)	Błogosławieni miłosierni (Mat. 5,7)
Jeśli Bóg za nami, któż przeciwko nam? (Rzym. 8, 31)	Miłujcie nieprzyjaciół waszych, dobrze czyńcie tym, którzy was nienawidzą [...] Ojcze, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią (Łuk. 6, 27 i 23, 34)
Wszystko, cobyście chcieli, aby wam ludzie czynili, to i wy im czyńcie [złota reguła] (Mat. 6, 12)	A jeśli pożyczacie tym, od których spodziewacie się zwrotu, na jaką wdzięczność zasługujecie? (Łuk. 6,34)
Będiesz miłował bliźniego swego jak siebie samego (Mat. 22, 39)	Jeśli się [...] nie staniecie jak dzieci

(Mat. 18, 3)

A kto się będzie
wywyższał, będzie
poniżony (Mat. 23, 12)

Który by opuścił dom
czy żonę [...] czy dzieci
(Łuk. 18, 29)

Gdybyś nawet był
złoczyńcą, trawia
poznania z łatwością
przewiezie cię przez
każde morze grzechów
(H)

Czerpiemy z Boga siłę,
kto chce być przeciwko
nam? (Z)

Nie czyni bliźniemu, co
tobie niemiłe [sentencja
występująca we
wszystkich religiach]

Innych należy kochać
jak siebie samego (M,
T, B)

Kto walczy
miłosierdziem, ten

zwycięża (T)

Nawet jeśli poszarpią
jego ciało, uczeń myśli
o wyzwoleniu tych,
którzy go poszarpali, i
nie skaleczy ich nawet
w myśli (B, H)

Wyświadczaj ludziom
przysługi, nie oczekując
od nich za to niczego
(T)

Porzuć myśli i
myślenie, i bądź
całkiem jak dziecko (Z)
Kto się nazbyt wynosi,
nie będzie
wywyższony (T)

Prawdziwa wiedza jest
tylko taka: uwolnienie
się od przywiązania do
kobiety i dziecka, do
dachu i zawodu (H)

Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą
(Jan 17,23)
(Mat. 5, 8)

W domu Ojca mego
wiele jest mieszkań
(Jan 14, 2)

Królestwo Boże jest

Wykonało się (Jan 19, 30).

Wykonało się (M).

pośród was (Łuk. 17,
21)

Jeśli kto chce pójść za
mną, niechaj [...] bierze
krzyż swój na siebie i
[...] naśladuje mnie.
(Łuk. 9, 23)

Błogosławiony tu i
błogosławiony po
śmierci czystego serca
(Z)

Wezmę na siebie ciężar
wszystkich cierpień,
nie odwrócę się i nie
ucieknę przed nimi (B)

Anioł miłości [...]
przygotował dla nas
piękne mieszkanie (Z)

Pozostań przy mnie, w
mojej duszy (M)

Niebo jest w tobie (B)

Nie rozpaczaj matko;
albowiem w niebo
wstępuję (H)

Bodhisattva [istota
doskonała, która w
przyszłości ma się stać
Buddą] postanawia:

Weź mego ducha,
proszę, do gwiazd
(M)

Powszechność wiary chrześcijańskiej

Roland Pucetti, profesor filozofii i teologii w Singapurze, rozważa kwestię zasadniczą dla religii chrześcijańskiej, a mianowicie: czy można

usprawiedliwić jej roszczenie do powszechności.
„Gdyby roszczenie to uznać — mówi prof. Pucetti — to okazałoby się ni mniej, ni więcej, że większa część ludzkości byłaby pozbawiona łaski zbawienia, ponieważ nigdy nie miała okazji poznać i włączyć do swej nauki dobrej nowiny o Jezusie". Pucetti twierdzi, że gdyby nawet ewangelia głoszona

była powszechnie na naszej planecie — a oczywiście nie jest — to i tak tylko nieznaczna część wszystkich istot inteligentnych we Wszechświecie dowiedziałyby się o niej. Tymczasem w idei powszechności zaciera się również obowiązek i misja udostępniania wszystkim istotom rozumnym nauki o zbawieniu oraz zapewnienia im szansy skorzystania z niej [28].

Profesor E. L. Mascall twierdzi, że w tradycji teologii chrześcijańskiej specjalnie podkreśla się znaczenie faktu, iż Syn Boży utożsamiał się z istotami, które chciał zbawić. Syn Boga stał się człowiekiem — rozważa dalej Mascall — aby przez niego ludzie mogli stać się dziećmi Boga. Ale nie ma co się przerażać perspektywą niezliczonych jego wcieleń we Wszechświecie. Gdyby bowiem tak było — dowodzi teolog — „to sam fakt, że na naszej planecie dokonało się w końcu zwycięskie zbawienie ludzkości przez zmartwychwstanie Chrystusa, tłumaczyłby

możliwość powtarzania się tego w innych miejscach [...]. Innymi słowy: jeśli w jednym miejscu stało się możliwe zespolenie w jednej osobie doczesnego z wiecznym, dlaczego nie miałyby to być możliwe i w innych przypadkach?"[29]

Ile wcieleń Syna Bożego?

Kontynuując tę myśl, profesor Pucetti dochodzi do twierdzenia, że jedna osoba cielesna może być — z pewnością — nie więcej niż tylko jedną osobą cielesną, bez względu na to, ile mogłaby ona mieć w tym samym czasie postaci bezcielesnych... „Istoty bezcielesne mogą znajdować się równocześnie wszędzie, w przeciwieństwie do cielesnych, które w określonym czasie mogą przebywać tylko w jednym miejscu Wszechświata". Pucetti — jak na teologa bardzo odważnie — wprowadza do swej religijno-filozoficznej interpretacji najnowsze

poglądy naukowe i próbuje zanalizować podstawowy problem: „Czy byłoby możliwe, żeby Syn Boży stawał się wielokrotnie [we Wszechświecie] człowiekiem — może w 10^{18} miejscach, nie będąc równocześnie osobą cielesną”. Dochodzi do wniosku, że naturalnie nie byłoby to możliwe, ale mówi: „Gdyby opierać się na podanej powyżej liczbie domniemanych pozaziemskich społeczności istot cielesnych, zamieszkujących znane galaktyki (byłaby to mniej więcej jedna dziesiąta wszystkich galaktyk), i gdyby przyjąć, że czas życia Jezusa z Nazaretu odpowiada czasowi trwania jednego wcielenia Syna Bożego, to upłynęłoby 34×10^{18} lat, nim Syn Boży zdołałby przebyć na każdej z tych planet kolejno

całe życie od narodzin do zmartwychwstania. Przewidywany czas trwania gwiazd, których systemy planetarne stwarzałyby przesłanki do bytowania istot rozumnych, wynosi w naszej Galaktyce tylko $(1-5) \times 10^{10}$ lat. Przyjmując zatem tę liczbę za średnią dla pozostałej znanej nam przestrzeni międzygalaktycznej, musiałoby od dziś do wypełnienia się czasu życia na wszystkich tych gwiazdach dokonać się *jednocześnie* około 680 000 000 do 3 400 000 000 wcieleń! Po odliczeniu wcześniejszych inkarnacji liczba byłaby mniejsza, ale nie na tyle, by miało to istotne znaczenie [...]" [28].

Gdyby Bóg każdemu objawionemu wcieleniu chciał przydawać nie tylko cechy fizyczne właściwe dla danego gatunku, lecz przez swego Syna w każdym przypadku przybierać też „jego naturę” (dzięki czemu przekazywałyby temu gatunkowi „swoją osobowość”), to w rezultacie we Wszechświecie znalazłoby się *równocześnie*

wiele cielesnych osób, które byłyby istotami boskimi. Co oznaczałoby to dla chrześcijaństwa, wynika z następującego przykładu: przyjmijmy, że zdołaliśmy nawiązać kontakt z cywilizacją odległą od nas o pięćdziesiąt lat świetlnych i przekazalibyśmy tam tekst Nowego Testamentu. W odpowiedzi otrzymalibyśmy obraz „telewizyjny” *ich* Chrystusa: ma on dziewięć palców u każdej ręki, cztery nogi, grubą niebieską skórę, długie kości. Trudno byłoby nam odpowiedzieć: „Tak, to jest Chrystus!”, chyba że mówiąc to, myślelibyśmy: „Oto jest Syn Boga, jaki *wam* się objawił”, co byłoby z kolei czystym doketyzmem*. Z drugiej wszakże strony nie moglibyśmy kwestionować Jego boskości (przyjmując, że wygłosił swoje Kazanie na Górze, że umarł na krzyżu za *ich* grzechy i zmartwychwstał), miałby On bowiem takie samo prawo do tego, jak Jezus z Nazaretu. Cóż zatem moglibyśmy zrobić? *My* mielibyśmy swojego

Jezusa z Nazaretu, a *oni* swojego Chrystusa X. Obydwaj usynowieni przez Boga, przy czym obydwoj obdarzeni przymiotami Chrystusa wspomnianymi w słowie Bożym byłiby raz „istotą ludzką”, drugi raz „istotą X”. To znaczy, że istnieliby jako dwie odrębne osoby cielesne... Skoro jednak Syn Boga jest jeden, w jaki sposób mógłby równocześnie być w pełni człowiekiem i w pełni Iksem, czyli egzystować jako dwie różne osoby cielesne? Dwie osoby cielesne nie są jedną osobą cielesną. Do tego mielibyśmy akurat tyle samo powodów, żeby modlić się do owego domniemanego „Chrystusa X”, jak do naszego Jezusa Chrystusa: w nauce chrześcijańskiej nie byłoby już Trójcy, ale „Czwórca”.

* Doketyzm (z gr. *dokein* — wydawać się) — pogląd z czasów wczesnego chrześcijaństwa, wedle którego Jezus był człowiekiem jedynie pozornie.

Ryzyko dla chrześcijaństwa

Nie jest to moje zdanie (aczkolwiek i ja tak myślę), ale naukowca, teologa Pucettiego, który niepokoi się o przyszłość chrześcijaństwa: „Jedyne, co chrześcijaństwo może uczynić, to pominąć milczeniem prawdopodobieństwo istnienia pozaziemskich istot inteligentnych [...]. Mogłoby istotnie dojść do tego, że przez nawiązanie kontaktów międzyplanetarnych chrześcijaństwo — będące być może jedyną żywą wielką religią — okazałoby się nieprawdziwe" [28].

Jezus-kosmonauta

W prasie i w odnośnej literaturze od pewnego czasu straszy jak potwór z Loch Ness raz akceptowana, raz odrzucana teza, jakoby Jezus był kosmonautą. Autorem tego najnowszego poglądu jest radziecki filolog dr Wiaczesław

Zajcew z uniwersytetu w Mińsku. Twierdzi on, że Jezus przybył z Kosmosu, że był przedstawicielem wyższej cywilizacji i to tłumaczy też po części jego nadnaturalne siły i umiejętności. Zajcew pisze: „Innymi słowy, zstąpienie Boga na Ziemię jest w gruncie rzeczy wydarzeniem kosmicznym”.

Artykuły Zajcewa o „statku kosmicznym w Himalajach” i „aniołach w statkach kosmicznych”, zamieszczone w radzieckim czasopiśmie „Sputnik”, były powodem, dla których udałem się w 1968 roku do Moskwy. Nie jestem zorientowany w najnowszych hipotezach Zajcewa.

„Udowodnić” można wszystko

Zajcew powołuje się na teksty biblijne. Czegóż na ich podstawie *nie* udowodniono? Jezus to bojownik, wódz, król, politolog, czarownik lub jasnowidz, kaznodzieja sekty, wreszcie *last not*

least — Syn Boga. Można „udowodnić” nawet, że Jezus był astronautą. Jak kto chce.

Na jakiej podstawie Zajcew wysunął swoje hipotezy? Może oparł się na Mateuszu, który mówił, że Józefowi ukazał się „anioł Pański” (1, 20)? Czyżby anioł był astronautą?

Albo relacja o „niepokalanym poczęciu”? W wersji astronautycznej byłaby „oczywiście” odczytana jako sztuczne zapłodnienie. Bo cóż innego?

A może chodzi o głos z nieba, który się odezwał, gdy Jan chrzczył Jezusa? (Mat. 3, 17). Czyżby był emitowany na Ziemię ze statku kosmicznego?

Albo dwaj mężczyźni „w lśniących szatach”, ukazujący się u Łukasza (Łuk. 24, 4)? Może astronauty?

A może anioł u Mateusza, którego „oblicze było jak błyskawica, a jego szata biała jak śnieg” (Mat. 28, 3), był ubrany w kombinezon ochronny nie z tej Ziemi!

A słowa Jezusa: „W domu Ojca mego wiele jest mieszkań” (Jan 14, 2) może należy interpretować tak, że we Wszechświecie istnieje niezliczona ilość zamieszkałych planet.

Wreszcie stwierdzenie Marka: „A wtedy ujrzą Syna Człowieczego, przychodzącego na obłokach z wielką mocą i chwałą” (Mar. 13, 26). Prosta sprawa: wódz naczelny wyśle swego syna w statku kosmicznym.

Dosyć!

Listę można dowolnie przedłużać i podbudowywać „dowodami”.

Kompletna bzdura

Co o tym myślę?...

1) Trzeba *wierzyć* tekstom ewangelicznym, żeby wydobyć z nich domniemaną wiedzę, że Maria dziewiczo poczęła Jezusa, że niebiosa otwarły się nad Panem i dał się stamtąd słyszeć głos, że anioł w lśniących szatach siedział przy grobie, a Jezus rzeczywiście dokonywał cudów i wypowiadał słowa, jakie „włożono” w Jego usta po śmierci. Kto *nie wierzy* każdemu słowu tekstów, kto wie, jak powstało słowo Boże, nie może uważać tych relacji za prawdziwe. Kto próbuje z ewangelii wydedukować, że Jezus był astronautą, popełnia ten sam błąd, jaki popełniłby sędzia ferujący wyrok na podstawie

sfalszowanych dowodów. (Dla Zajcewa, obywatela ZSRR, „wierzenie" stanowi *contradictio in adiecto*)

2)Jakie zadanie miałyby do spełnienia na Ziemi Jezus-astronauta? Wprowadzenie religii, chrześcijańskich reguł i norm etycznych? Nie wniósł niczego nowego. Z analizy tekstów z Qumran oraz z ewangelii wiadomo, że istota tego, czego Jezus nauczał, wywodziła się z nauk esseńczyków. Wszystko inne było dodatkiem, nie postępem. Po to, żeby grozić karami, szerzyć strach, z piekła robić końcową stację dla innowierców, nie potrzeba było przysyłać Jezusa z Kosmosu.

3)Kosmonauci działali według precyzyjnego programu, ale pomoc-

nicy ze statku kosmicznego przybyli za późno, aby uratować od śmierci ważnego dla nich człowieka. Gdyby Jezus astronautów mógł liczyć na to, że bracia z Kosmosu przybędą we właściwym czasie (o czym musiałyby wiedzieć), nie mówiłby przez całe życie o nieuchronnej śmierci. Insynuowanie kosmitom, że zostawili na lodzie ważnego, specjalnego wysłannika, byłoby równoznaczne z ich niedocenianiem.

4) Absurdem jest podawać zmartwychwstanie jako dowód. Gdyby mimo wszystko przyjąć, że kosmitom dzięki wysokiej wiedzy i umiejętnościom medycznym udało się przywrócić życie Jezusowi (konserwowana krew, transplantacja etc), to czy wówczas przepuściliby szansę publicznego zademonstrowania swej władzy nawet nad śmiercią? Tylko nieliczni — a i ci wątpili — wiedzieli o cudzie zmartwychwstania. Gdyby kosmitom udał się taki eksperyment, czyż nie

skierowaliby Jezusa na powrót do Jerozolimy, aby dalej głosił nauki? Gdyby nie zademonstrowali swych umiejętności, ich rewelacyjne dokonanie przeszłoby bez echa. Zgodnie z relacją apostołów, zmartwychwstanie Jezusa nie miało żadnych następstw. Jego zakłopotani uczniowie nie mieli nawet odwagi pokazywać się wśród ludzi.

5) Przedstawiciele pozaziemskich cywilizacji, którzy wyruszali w podróże międzyplanetarne, nie byłoby na tyle nierozsądni, żeby lądować tylko w *jednym* miejscu na Ziemi w celu spełnienia jakiejś lokalnej misji religijnej. W celu maksymalnie skutecznego działania kierowaliby się w różne regiony, co dawałoby im szansę dokonania dużej operacji — wprowadzenia religii. W księgach historycznych na obszarze Judei nie odnotowano lądowania czy obecności statków kosmicznych, UFO lub podobnych osobliwości

w czasach Jezusa. Fantazje rozpowszechniane w świecie przez fanatyków religijnych *po* śmierci Jezusa — Jezus w Indiach, Jezus w Ameryce Środkowej — należy odrzucić jako wymysły, ci bowiem „badacze religii” powołują się znów na wielokrotnie fałszowane teksty ewangeliczne, które — dopiero one — czynią z Jezusa „Syna Boga” i „Zbawiciela”. Nie był ani jednym, ani drugim.

6) Gdyby Jezus-astronauta, znacznie przewyższający intelektualnie mieszkańców Judei, chciał odwoływać się do przyszłości, musiałby z pewnością zawrzeć w swych przypowieściach słowa, formuły, szyfry, które byłyby zrozumiałe dla późniejszych pokoleń. „Słuchajcie, synowie i córki — mógłby powiedzieć — kiedy nadejdzie czas, gdy wasi uczeni będą umieli podzielić najmniejszą cząstkę materii, objawi się wam z niebios Syn Boży.” Nawet naukowcy nie zaprzeczają, że

kosmiczni planiści musieliby zapoznać Jezusa-kosmonautę z aktualną wiedzą na temat rozwoju intelektualnego na naszej planecie w przyszłości. Gdyby

więc w Ewangeliach zawarta była jedna choćby formuła, krótka jak Einsteina: $E = mc^2$ — byłbym po stronie Zajcewa.

7) Gdyby kosmici rzeczywiście wysłali do Jerozolimy swego człowieka, Jezusa, żeby kosztem zaangażowania dużych środków technicznych rozpowszechniał naukę religii, to trzymaliby ten obszar pod kontrolą i dbali o krzewienie prawdy głoszonej przez Niego. Nauki Chrystusowe jednak nie mogły być kontrolowane. Chrześcijaństwo bujnie wyrosło ponad program Pawłowy i w niedługim czasie zapamiętało się w dzikim okrucieństwie.

Nie tylko Rzymianie, jak czyta się z dreszczykiem grozy w religijnych książkach, prześladowali chrześcijan. Miłosierni chrześcijanie sami zaczęli mordować innowierców i odstępców od przekazanej im

wiary. Nie ma listy niechrześcijańskich świętych męczenników — byłaby pewnie za długa...

Nie. Powinniśmy szybko zapomnieć o koncepcji Jezusa-astronauty. Nie było kogoś takiego, jak nigdy nie było Jezusa Zbawiciela.

Cztery punkty

Zależało mi na wyjaśnieniu czterech kwestii dotyczących postaci Jezusa, jaką nam przedstawia Kościół. Uważam bowiem, że:

- 1) Jezus nie był, „jednorodzonym Synem Boga”, ponieważ wszechmocny Bóg, „Stwórca nieba i ziemi”, nie miał synów ani Córek.
- 2) Jezus nie mógł spełniać posłannictwa „Zbawiciela”, gdyż idea zagrożonego karami i aktami zemsty „grzechu pierworodnego”, który można i trzeba było „zmazać” tylko przez krew i męczeństwo, nie godzi się z wzniosłym

wyobrażeniem Boga wszechmocnego i wiekuistego.

3) Cudowne czyny, kazania i nauki Jezusa, jeśli zostały poprawnie przekazane, nie pochodzą z inspiracji Boga. Głoszone były wcześniej, przed (domniemanymi) czasami Jezusa.

4) Jezus nie był (uwzględniając też najnowszą hipotezę) astronautą. Jest to najbardziej absurdalna myśl ze wszystkiego, co na ten temat powiedziano w ciągu dwóch tysięcy lat.

Jezus i zapoczątkowane Jego ziemską wędrówką chrześcijaństwo nie mają boskiego rodowodu, podobnie jak Biblia nie zawiera słowa Bożego. *Skoro więc ta podstawa odpada, nie można ani Bogu Ojcu, ani Synowi Bożemu, ani Matce Boskiej przypisywać objawień.*

Trzeba je wytłumaczyć inaczej.

III. CUD — ukochane dziecię WIARY

„To nie
duch żaden,
wszystko to
tresura...”

(Goethe,
Faust)

Jeśli Jezus nie był jednorodzonym Synem Boga, jeśli Bóg wszechmogący nie miał synów ani córek, jeśli Maria nie może się zaliczać do personelu boskiego, zaś aniołowie czy archaniołowie do dalszego kręgu Chrystusowej Rodziny, to opisywane w ewangeliach postacie nie wchodzą w rachubę jako bezpośredni sprawcy objawień. Tym samym przypisywanie owych zjawisk świętym chrześcijańskim, czemu

tak chętnie daje się wiare, byłoby co najmniej pozbawione podstaw. Tymczasem prawdą jest, że w miejscach objawień obleganych przez chrześcijan dokonują się cuda i uzdrowienia trudne do wytłumaczenia z punktu widzenia medycyny. Czy fenomeny te nie są *jednak* dowodem oddziaływania „sił niebieskich”, a równocześnie podstawą do uznania „prawdziwości” objawień, do czego uzurpuje sobie prawo duchowieństwo chrześcijańskie?

Po przestudiowaniu wszystkich interpretacji, wykoncypowanych za pomocą zawilej rabulistyki teologicznej, rozumowanie to wydaje mi się oparte na kruchych podstawach. Jeśli jakieś objawienie (z udziałem Marii Panny, Jezusa czy archaniołów) nie zostało uznane za „prawdziwe”, ponieważ widziane przez

wizjonerów uosobienia nie potwierdzają tożsamości postaci, to w jaki sposób w *ich imię* (rzekomo objawionych) mogły się dokonywać jednak „cuda” i „cudowne uzdrowienia”?

Lourdes

Zrobiłem rozpoznanie na miejscu.

Lourdes, położone we francuskich Pirenejach, jest najbardziej znanym w świecie miejscem pielgrzymek religijnych. Każdego roku przybywa tu do pięciu milionów pątników ze wszystkich zakątków świata.

Z Tarbes — stolicy departamentu Hautes-Pyrenees — prowadzi do Lourdes szeroka autostrada, ale można tam również dotrzeć koleją lub samolotem.

Kto przypuszcza, że zobaczy miasto owiane tchnieniem Ducha Świętego, dozna dużego rozczarowania. Lourdes ma charakter wielkiego jarmarku, gdzie jako atrakcję — jeśli się komuś poszczęści — oferuje się cuda. Nawet w nocy ulice Lourdes wypełnia nieustannie przesuający się tłum. Ale to nie *striptease* powoduje pełne napięcia oczekiwanie.

Interes z cudem kwitnie tu od stu dwudziestu pięciu lat i ciągle wykazuje wysoką koniunkturę. W sklepach można kupić najrozmaitsze krucyfiksy i figury Madonny, produkowane seryjnie we wszystkich rozmiarach — dla domu i do ogródka. Nie ma różańców standardowych, demokratycznych — są bardzo drogie dla bogatych i tanie dla biednych. Które działają

skuteczniej, nie wiem. Mnogość oferowanych rzeczy oszałamia: wizerunki świętych, drewniane saboty, torby, dzwonki i talerze, okulary słoneczne, zegarki, breloki, świece we wszystkich odmianach: cienkie i grube, długie i krótkie, koloru lila i różowe, ciągnięte i kunsztownie pokręcone, ze złotymi napisami. Na wszystkich bez wyjątku *madę in Lourdes* i Madonna! Konterfekt Madonny na świecach któregoś dnia rozpułnie się w woskowych łzach. Na talerzach i sabotach jest trwalszy.

Znam bary na całym świecie, nawet ten w Acapulco, szczycący się tym, że stoją tam wszystkie rodzaje butelek — z zawartością — produkowane dosłownie wszędzie. Jednak żaden lokal rozrywkowy nie może, moim zdaniem, konkurować z Lourdes, jeśli idzie o różnorodność kształtów butelek. Pękate i krągłe jak balony, czworokątne i trójkątne, kieszonkowe, litrowe i galonowe. O różnej pojemności, we wszystkich

kolorach. Takiej kolekcji nie widziałem nigdzie. W przeciwieństwie do butelek w Acapulco z nęcącą zawartością, tu wszystkie bez wyjątku napełnione są „cudowną wodą z Lourdes”.

Kupcy wiedzą, do czego zobowiązuje reputacja miejsca, co i w jaki sposób zapewni i podwyższy ich dochody. Sklepy noszą nazwy: „Raj”, „Naszej Drogiej Pani Bożego Narodzenia”, „Pod św. Otylią”, „Pod św. Kamilą”, „Pod Ojcem św. Pawłem X”, „Pokój światu”, „Pod świętym Różańcem” i bezkonkurencyjny w swej prostocie: „Pod świętą Panią Groty”. Odkąd dziewczynę, której objawiła się Madonna, uznano za świętą, *wszystko* w Lourdes, wdzięcząc się świętoszkowato, zostało święte. Nawet hotelom nie nadano zwykłych nazw ziemskich zajazdów, lecz na przykład: „Hotel du Yatican”. Panowie z Rzymu

czegoś takiego nie widzą, a w Świątym Oficjum nie zarumieni się z tego powodu żaden z kardynałów. Interesy handlowe w Lourdes są genialnie zsynchronizowane.

Pełen wstrętu do tak ekshibicjonistycznego biznesu zostawiam samochód w świętym garażu świętego hotelu za nieświęte pieniądze. W nadziei, że mimo wszystko spłynie na mnie jasność ducha, wchodzę w tłum przed bazyliką. Przynajmniej tu, na tym „świętym terenie”, nie ma straganów i krążących przekupniów. Oduurzadym świec i kadzideł. Ze stereofonicznych głośników rozbrzmiewają swojskie i międzynarodowe pieśni kościelne, przeplatając się i mieszając z modlitwami. Wrażenie oszałamiające. Na co najpierw patrzeć?

W prawdziwie kilometrowej kolejce suną chorzy na jednakowych wózkach, pchanych lub ciągniętych przez pomocników. Rozbrzmiewa *Pater noster*. Na rozległej łące formuje się

procesja z chorągwiami, krzyżem i figurą Matki Boskiej na czele. Ksiądz inicjujący modlitwy posługuje się ręcznym megafonem. Inscenizacja gigantyczna, powtarzana co dzień wielokrotnie.

Po dziesięć osób w rzędzie przesuwa się naprzód, krok po kroku, pełni nadziei ludzie szukający uzdrowienia, a ja wśród nich, czekają cierpliwie aż dotrą do wpuszczonych w mur kranów i będą mogli napełnić swoje kolorowe butelki z plastyku świętą wodą z Lourdes. Wielu pije, nabiera wodę w dłonie, obmywa nią głowy i stopy. Mimo że wszystko dzieje się na otwartej przestrzeni, nastrój jest uroczysty, jak w nawie katedry. Dookoła płoną świece, setki, tysiące migotliwych świateł, słysząc szepty, śpiewy, modlitwy. W wielu miejscach wielojęzyczne napisy na tablicach obwieszczają, że jest to ziemia święta, a ten, kto miałby o tym zapomnieć, zostanie natychmiast napomniany przez surowych policjantów, którzy pilnują też,

żeby najbardziej niecierpliwi nie przepychali się do przodu.

I ja docieram do strumienia wody, nie mam butelki, nadstawiam więc dłonie. Obserwuję stojących obok mnie. Na ich naznaczonych cierpieniem twarzach widać skupienie, uniesienie, szczęście i dumę, że wreszcie się tu znaleźli. Tak blisko cudu. Napętnia się wodą galony, dziesięciolitrowe butle. Czy na własny użytek? A może po powrocie do domu woda zostanie rozprzedana po kilka kropel, aby w ten sposób częściowo zwróciły się koszty podróży?

Pełen nadziei, uduchowiony tłum pielgrzymów posuwa się uroczyście, krok po kroku, ku wielkiemu celowi, ku grocie. Grota ma 8 metrów długości, 6 wysokości, jej szerokość wynosi 12 metrów. Na wysokości około trzech metrów z prawej strony od wejścia stoi posąg Matki

Boskiej wykonany z białego marmuru: postać odtworzona została prawdopodobnie w pozie, w jakiej ukazywała się między 11 lutego a 16 lipca 1858 roku małej Bernadecie Soubirous [1]. Na ścianach groty po%|M|f wilgoć, wierni z wyrazem zachwytu na twarzach wpatrują się w marmurową figurę, modlą się, niektórzy głośno płaczą. Od czasu do czasu ktoś wrzuca kopertę do metalowego kosza umieszczonego w tylnej części groty — to prośba na piśmie skierowana do Matki Boskiej. Wolna od opłat pocztowych. Na środku groty znajduje się ołtarz; przed ołtarzem palą się świece, setki świec. Od ich dymu wilgotne powietrze nagrzewa się, dławi. Ta wielka iluminacja trwa bez przerwy od 18 lutego 1858 roku. Jeśli istnieje „wiekuiste światło”, to właśnie w tej grocie, w Lourdes.

O ile mierzył mnie ten orientalny bazar w mieście, o tyle tu, u celu wędrówki, ogromne wrażenie wywarła na mnie atmosfera nabożnego

skupienia. Nie ma człowieka na tyle twardego, aby nie poddał się uczuciu wzruszenia na widok tego, co dzieje się przy kranach, w grocie, na wielkim placu i w bazylice. Ileż tu trosk dźwiga się ze sobą, ile bólu, ile nadziei, która łączy tych wiernych! Ileż rozczarowań zabiorą ze sobą z powrotem niby ciężki bagaż... Siadam na murze oddalonym o sto metrów od groty. Spędzam tu dziesięć godzin. Z nastaniem ciemności zmniejsza się strumień pielgrzymów, za to blask świec dookoła przybiera na jasności, staje się jednym wielkim płomieniem, oślepia. Wracam do mego hotelu, a z groty ciągle jeszcze dobiega płacz jakiegoś nieszczęśliwego bliźniego.

Święta Bernadetta — magnes Lourdes

Jaki magnes ma tak niezwykłą siłę, aby każdego roku przyciągać miliony pielgrzymów?

Osiemnaście razy Madonna ukazywała się w grocie czternastoletniej pasterce Bernadecie

Soubirous (1844—1879) i zlecała jej różne misje. 8 grudnia 1933 roku Bernadetta została uznana przez papieża Piusa XI za świętą. Aktem tym Kościół uznał zarówno „prawdziwość” objawień, jak również cudownych uzdrowień odnotowanych w Lourdes. Centrala w Rzymie nie mogła podjąć skuteczniejszej akcji propagandowej na rzecz Lourdes. Jak daleko sięga ramię Kościoła, we wszystkich diecezjach zaczęto organizować pielgrzymki i specjalne pociągi (ze zniżką dla pątników).

W roku 1858 zarejestrowano ponad sto objawień, z czego siedem

Święte Oficjum uznało za „cudowne” (według definicji katolickiej pojęcie „cud” tłumaczono zawsze jako „przełamanie praw przyrody”, ponieważ jednak dziś objaśnienie takie byłoby, z punktu widzenia nauk przyrodniczych, wątpliwe, Kościół interpretuje obecnie „cud” jako „coś całkowicie nie wyjaśnionego”).

Od 1886 roku wiadomości o uzdrowieniach były na bieżąco ogłaszane w „Journal de la Grotte”. Wśród tysięcy rzekomych uzdrowień Kościół uznał oficjalnie 63 za cud. Dr Alphonse Olivier, długoletni prezes Bureau des Constatations Medicales, oświadczył w 1969 roku, że po dziś dzień rejestruje się przeciętnie 30 uzdrowień rocznie [2]. Biuro medyczne w Lourdes nie dysponuje zapewne pełnymi informacjami o rzeczywistych czy domniemanych uzdrowieniach, ponieważ dane dotyczą jedynie chorych, którzy zostali zarejestrowani przez schronisko Notre Dame lub szpital Matki Boskiej

Bolesnej. W 1970 roku znalazło tam pomieszczenie dokładnie 49 036 chorych, a w 1971 — 44 731.

Jak dokonuje się cud?

Jak przebiega „cud uznany przez Kościół”?

Pani Alice Cousteault wyjechała w maju 1952 roku z pielgrzymką z Poitiers (Francja) do Lourdes. Miała trzydzieści cztery lata i od trzech lat cierpiała na stwardnienie rozsiane (*sclerosis multiplex*). Podróż pociągiem, wśród ludzi ciężko chorych, była dla niej torturą. Bez przerwy odmawiano modlitwy, śpiewano pieśni maryjne, zawodzono. Cierpiącymi opiekowali się krewni i osoby towarzyszące. Atmosfera bólu i niedoli przytłaczała, lecz podtrzymywała na duchu nadzieja pokładana w Lourdes. Pani Cousteault po przybyciu na miejsce od razu poczuła się lepiej.

O świcie 15 maja panią Cousteault, która nie mogła chodzić ani mówić, przetransportowano na

wózku do basenu. Kiedy ją zanurzano, była bliska omdlenia, czuła ból w całym ciele. Po kąpieli poczuła, jakby wstąpiło w nią nowe życie. Odwieziono ją na wózku do schroniska. Po południu tego dnia przeszła o własnych siłach przez salę, choć żaden lekarz nie sądził, że jest to w ogóle możliwe.

Późnym popołudniem wzięła udział w procesji z Najświętszym Sakramentem, podczas której wszyscy pielgrzymi otrzymali błogosławieństwo. Pani Couteault odniosła nagle wrażenie, że chyba mogłaby mówić, ale nie zaryzykowała próby z obawy, że „będzie źle wypowiadała słowa i narazi się na śmieszność”. Pielęgniarze odwieźli ją do

hotelu. Przed głównym wejściem wstała z wózka i nie korzystając z niczyjej pomocy, o własnych siłach weszła do środka.

16 maja pani Couteault stawiała się w biurze medycznym. Stan pacjentki badali lekarze różnych narodowości pod kierownictwem prezesa biura, dr. Alphorisa Olivieriego. (Każdy lekarz przybywający do Lourdes może uczestniczyć w konsyliach.) Odczytano zaświadczenia i diagnozy lekarzy, którzy leczyli panią Couteault *przed* wyjazdem na pielgrzymkę. Było tam orzeczenie chirurga, dr. Chauveneta, neurologa, dr. Delmas-Marsalata i profesora Beauchanta z jej rodzinnego Poitiers. Do akt dołączone były analizy laboratoryjne. Ostateczna diagnoza brzmiała jednoznacznie: *sclerosis multiplex*, choroba nieuleczalna. Tegoż 16 maja lekarze podali do protokołu: „chód i postawa przy chodzeniu są normalne. Nie pojawiają się przykurcze. Odruchy kolanowe w normie...”

W ciągu następnych lat pacjentka była stale poddawana badaniom w Lourdes, a jej uzdrowienie zostało potwierdzone medycznie. 10 maja 1955 roku 15 lekarzy uczestniczących w badaniach zapewniło, że „wszystkie subiektywne symptomy choroby ustąpiły”.

Otego rodzaju przypadkach uzdrowień powiadamiany jest między narodowy komitet, do którego należy około 10 000 lekarzy, stomatologów, studentów medycyny, farmaceutów itd. Za każdym razem coraz większa grupa otrzymuje szczegółowy opis choroby i uzdrowienia w Lourdes. 15 sierpnia 1955 roku profesor Thiebaud z uniwersytetu w Strasburgu stwierdził: „Badanie nie wykazało u pacjentki żadnych zakłóceń funkcji. Zwłaszcza słyszy ona i widzi dobrze, jej artykulacja

jest prawidłowa".

23 czerwca 1956 roku zebrała się w Poitiers komisja, powołana przez monsignora Viona, biskupa Poitiers. Komisja, opierając się na orzeczeniach lekarzy, uznała uzdrowienia pani Couteault za „wykraczające poza prawa przyrody".

16 lipca 1956 roku monsignore Vion uroczyście oznajmił: „Na podstawie autorytetu udzielonego nam w tym względzie przez Sobór Trydencki [natchnienie przez Ducha Świętego] i po przedłożeniu naszego orzeczenia autorytetowi papieża niniejszym uroczyście oznajmiamy, że uzdrowienia pani Alice Couteault, które zdarzyło się 16 maja 1952 roku w Lourdes, jest cudowne i musi być przypisane szczególnemu objawieniu Przenajświętszej Maryi Panny, Matki Bożej".

I co na to powiedzieć?

***Countdown* nim cud się dokona**

Wiadomo, że biuro medyczne przeprowadza bardzo ścisłe i dokładne badania i że wśród lekarzy są niewierzący i sceptycy. Nie bierze się pod uwagę żadnego przypadku uzdrowienia, jeśli obraz choroby *przed* uzdrowieniem nie był opisany i poświadczony przez lekarzy. Man-kamentem tych świadectw jest fakt, iż rzadko przedstawiają one aktualny stan chorego, często pochodzą sprzed paru tygodni, które poprzedzały decyzję udania się z pielgrzymką do Lourdes. Nasuwa się też pytanie, czy lekarze w ogóle są w stanie postawić „bezbłędną” diagnozę z uwzględnieniem wszystkich symptomów choroby? Jaką na przykład wartość diagnostyczną ma stwierdzenie, że pani Couteault owego 16 maja 1952 roku sprawiła wrażenie osoby uzdrowionej? Orzeczeniu biura medycznego w Lourdes można by przypisywać wysoką rangę

naukową, gdyby *ci sami* lekarze, którzy *osobiście* po dłuższej obserwacji stwierdzają fakt spontanicznego uzdrowienia, przez dłuższy czas zajmowali się chorym, nim „cud” się dokonał. Ale przestrzeganie tak ścisłej naukowej metody przy tysiącach chorych, którzy ściągają do Lourdes z całego świata, byłoby niemożliwe.

Od czasu, gdy najpierw w Ameryce, a później w Niemczech F. G. Alexander i V. von Weizsacker rozwinęli naukę o psychosomatyce i wprowadzili ją do medycyny, udowodniono w wielu klinicznych eksperymentach, że na procesy fizyczne i na dolegliwości organiczne bezpośrednio oddziałują bodźce psychiczne. Dzięki sugestii (hipnozie) można korygować funkcjonowanie mięśni, czynności serca, oddziaływać na układ pokarmowy.

Szczegółowe obserwacje wykazały, że często w krytycznych sytuacjach życiowych ujawniają się choroby organiczne, uzależnione od określonych

stanów psychicznych. „Psychosomatyka odnosi się do osobników, którzy sami stwarzają sobie chorobę, nie zaś do tych, którzy zachowując bierną postawę zostali przez chorobę zaatakowani. Każda choroba znajduje istotny wyraz w psychicznych reakcjach żywego organizmu.”

Diagnoza określa symptomy znamienne dla stanu chorego i na ich podstawie pozwala zastosować potencjalnie skuteczną terapię. Diagnoza nie zawsze może i musi wskazywać *przyczynę* schorzenia lub dolegliwości, a przecież dopiero jednoznaczne rozpoznanie daje pewność wyleczenia. Gdyby lekarze mogli zawsze rozpoznać przyczyny wszystkich chorób, nie byłoby chorych.

Komisja lekarska w Lourdes, porównując orzeczenie sprzed i po uzdrowieniu, porównuje dwa różne stany. Na tej podstawie mimo najusilniejszych starań nie sposób wskazać *przyczyny* zaistniałej zmiany.

Czy sama nadzieja uzdrowienia w Lourdes nie przyczynia się do „cudu“?

Zanim cierpiący zdecyduje się na uciążliwą podróż, długo przed tym dręczą go pytania, wątpliwości i nadzieje. Przecież od dawna pogodził się z losem. Przecież odwiedzał wszystkich polecanych mu lekarzy. Bez rezultatu. Miałby zatem odważyć się na pielgrzymkę, na tę ostatnią próbę odwrócenia złego losu? Czy istotnie cud mógłby uwolnić go od cierpień? A może to walka wątpliwości i nadziei, w której dojrzewa decyzja udania się na pielgrzymkę, stanowi początek cudownego uzdrowienia? Przecież wtedy następuje zmiana w psychicznym nastawieniu do choroby.

Dr Alphonse Olivier mówi o takiej możliwości: „Hipoteza autosugestii czy heterosugestii nie miałyby tu żadnych szans prawdopodobieństwa”. Olivier powołuje się też na panią Couteault, która zdawała sobie sprawę, że cierpi na nieuleczalną chorobę, ale dodała, iż „od chwili wyjazdu i w czasie pielgrzymki odczuwała bezgraniczną ufność, że kąpiele w Lourdes okażą się skuteczne” [3].

W słowach tych tkwi zasadnicza sprzeczność. Z jakiego powodu wykluczać autosugestię czy heterosugestię jako przyczynę uzdrowienia, skoro równocześnie przyznaje się, że „chory odczuwał bezgraniczną ufność” w skuteczność kąpiele? Ale „bezgraniczna ufność” to prawie akademicki opis pojęcia „wiary”. A „wiara”, jak twierdzi Kościół, to osobisty pogląd. „Wierzenie” jest zatem wmawianiem czegoś sobie, czyli autosugestią. Dlaczego więc o tak podstawowej kwestii w badaniach przyczyny uzdrowienia mówić w

sposób zakłamany?

Rewelacyjny przypadek Gabriela Gargama

Cudowne uzdrowienie Gabriela Gargama ma w annałach Lourdes szczególną rangę, ponieważ Gargam był człowiekiem niewierzącym, a mimo to został uzdrowiony.

17 grudnia. 1899 roku na trasie Bordeaux-Paryż pociąg ekspresowy najechał na inny, który zatrzymał się z powodu awarii na stacji Angouleme. Konduktor poczty kolejowej Gabriel Gargam wypadł na śnieg dwadzieścia metrów od zmiążdżonego wagonu pocztowego.

Dopiero kilka godzin później znaleziono go nieprzytomnego i odwieziono natychmiast do szpitala. Lekarze nie zauważyli u pacjenta złamań kości ani urazu kręgosłupa, stwierdzili natomiast porażenie kończyn dolnych, uraz w okolicy lędźwiowej, złamany obojczyk i mnóstwo ran ciętych.

Gargam leżał w szpitalu kilka miesięcy. Nie mógł łykać, odżywiano go sztucznie, wychudł, wyglądał jak szkielet, nie miał czucia w nogach. W sierpniu 1901 roku wypisano go ze szpitala, ponieważ nie zgodził się na operację. Od państwowej kolei francuskiej otrzymał tytułem odszkodowania 60 000 franków i roczną rentę w wysokości 6000 franków [4]. Ulegając namowom rodziny, zwłaszcza matki, Gargam zgodził się, choć z dużymi oporami, aby go zawieziono do Lourdes. 20 sierpnia zanurzono go w basenie. Zemdlął. Podczas popołudniowej procesji z Najświętszym Sakramentem nagle

wstał z noszy i chwiejąc się na nogach zaczął chodzić, po czym zażądał jedzenia. W ciągu trzech miesięcy przybrał na wadze 10 kilogramów. Jego uzdrowienie stało się faktem.

Przypadek Gargama różni się zasadniczo od przypadku pani Cou-teault. Ona przejawiała „bezgraniczną ufność”, a zatem gotowość do autosugestywnego uzdrowienia, on natomiast nie wierzył i wbrew własnemu przekonaniu pozwolił się zawieźć do Lourdes. Więc jednak cud?

Dr Franz L. Schleyer [5], który wykorzystując całą dostępną wiedzę medyczną przebadał 232 przypadki uzdrowień, doszedł do wniosku, że u Gabriela Gargama „zapewne wskutek ciężkiego urazu ciała (szok z reakcją psychofizyczną) uruchomiły się mechanizmy psychogenne”, których oddziaływania całkowicie ustąpiły w Lourdes, przy czym organiczne skutki urazu udało się już wcześniej w znacznym stopniu zlikwidować.

Zaburzenia psychogenne zależne są od czynników psychicznych. Podczas długiego pobytu w szpitalu, a także potem, Gargam wykazywał wewnętrzne opory przed uzdrowieniem, był przygnębiony i przeświadczony, że resztę życia będzie musiał spędzić na wózku inwalidzkim. Poddał się temu. (Właśnie „ucieczka w chorobę” jest znamiennym zjawiskiem w naszych czasach!) U Gargama wraz z wyrażeniem gotowości udania się do Lourdes przełamany został ów psychiczny opór. Układ nerwowy stopniowo zaczął przejmować swą funkcję motoryczną. Szok wywołany kąpielą w wodzie basenu w Lourdes dokonał reszty: wola życia wróciła.

Cud? Koniec cierpienia dzięki środkowi, jakiego nie przepisze żaden lekarz.

Klientela: przeważnie kobiety

Dr Schleyer ustalił w swoich badaniach, że przeważającą część chorych w Lourdes stanowią kobiety w wieku 16—45 lat. Na 232 analizowane przypadki 185 to kobiety. Dr Schleyer tłumaczy to w następujący sposób:

„Wśród chorych z Lourdes najczęściej występuje bez wątpienia dosyć szczególny typ młodej kobiety, charakteryzujący się predyspozycjami do łatwego wyzwalania reakcji wegetatywnych. Są to asteniczki [osoby o szczupłej budowie ciała] cierpiące na długoletnie, uporczywe dolegliwości. W krótkim okresie stwierdzono u nich, bez wyraźnej przyczyny, rozmaite poważne choroby. Czasem zdumiewa, na ile przeróżnych chorób rzekomo cierpiała jedna tylko pacjentka, nim udała się z pielgrzymką do Lourdes" [5].

Najpierw z listy cudownych uzdrowień Kościoła

wyeliminował przypadki wyleczenia chorób nerwowych. Na tę decyzję wpłynął rozwój nauk medycznych. Odkąd medycyna wie, że nerwice mogą być spowodowane przez choroby somatyczne, a ich przyczyny łatwo jest wytłumaczyć warunkami i konfliktowymi sytuacjami chorego, że nerwice znajdują motywację w osobowości pacjenta i najczęściej nie można ich usunąć farmakologicznie ani chirurgicznie, „cudowne” uzdrowienie przestało być cudem. Wraz z postępem medycyny prawdziwe „cudowne” uzdrowienia będą się zdarzały coraz rzadziej. Przypomina mi się mądra sentencja Wergiliusza: *Felix, qui potlrit rerum cognoscere causas* — szczęśliwy, kto zdołał poznać praprzyczyny rzeczy!

Cudowna woda — woda do picia!

Woda (zwłaszcza nagle pojawiające się źródła) odgrywa w cudownych miejscach rolę

legendarną. Instytut Hydrologu zbadał cudowną wodę z Lourdes i 8 października 1964 r. przedstawił wynik analizy:

- pH (wykładnik jonów wodorowych) prawie obojętne;
- niska zawartość dwutlenku węgla;
- brak dwutlenku węgla w postaci gazowej;
- niewielka zawartość soli mineralnych, głównie węglanu wapnia;
- bardzo niewielka zawartość siarczanów i chlorków;
- zawartość żelaza i substancji organicznych w normie;

— nie stwierdzono zanieczyszczeń pochodzących z materiałów budowlanych i ścieków.

Wniosek: zwyczajna woda do picia, nie mająca żadnych specjalnych właściwości leczniczych!

Dlaczego nie cud prawdziwy?

Lourdes zyskało światowy rozgłos dzięki cudownym uzdrowieniom, ale nie jest odosobnionym przypadkiem. Tam, gdzie w miejscach objawień stawia się „cudowną Madonnę”, wkrótce dokonują się różnego rodzaju cuda i dochodzą wieści o przypadkach uzdrowień. Obraz może nieco uproszczony, ale ma tę zaletę, że oddaje prawdę: gdziekolwiek wizjonerom objawiły się święte postacie, tam zaraz wystrzelają w górę kaplice i kościoły. Ludzie nie mogą się wprost doczekać, chcą jak najszybciej dać odpowiednią oprawę temu, czego pragną, w co wierzą, czego oczekują. W

mgnieniu oka powstaje bigoteryjny świat, który należałoby określić mianem *schizofrenicznego* w znaczeniu „pękniętego życia duchowego”. Układa się i wysłuchuje modlitw z konkretnymi życzeniami. Tablice wotywnie, ładnie i naiwnie malowane, oraz podziękowania dla świętych, którzy sprawili cuda, zdobią rzędami ściany kościołów na potwierdzenie otrzymanych dobrodziejstw. To pokwitowania za małe i duże cuda. Ale nigdzie nie ma ściany z tablicami zażaleń tych wszystkich, którzy nie zostali wysłuchani. Z punktu widzenia świętej kongregacji jest to zrozumiałe: zawiedzione nadzieje to nie depozyt dla religii, dzięki której cuda, rzekomo, są dopiero możliwe.

Nie znam przypadku *prawdziwego* cudu, który by sprawił na przykład, że komuś po amputacji odrosła ręka czy noga. A przecież *prawdziwe* cuda przy tak znakomitych kontaktach cudotwórców, którzy jak jeden mąż powołują się

na Boga wszechmogącego, nie powinny być niemożliwe, a tym samym nie powinny być uważane za czarodziejskie sztuczki.

Wierzący kronikarze Lourdes [6, 7, 8, 9] przypominają, że nawet taki cud nie przekonałby sceptyków. Przecież Jezus wskrzesił Łazarza, a mimo to nikt z obecnych nie uwierzył w ten niesłychany cud (Jan 11, 1 nn.). Okoliczności powstania słowa Bożego mogą tłumaczyć, że sceptycyzm dosięgnął nawet Jezusa. Wśród niedowiarków mających wątpliwości, czy Jezus powstał z martwych, znajdował się też apostoł Tomasz: „Jeśli nie ujrzę na rękach jego znaku gwoździ i nie włożę palca

mego w miejsce gwoździ, i nie włożę ręki mojej w bok jego, nie uwierzę" \ (Jan 20, 25). Jezus ukazał się i rozkazał Tomaszowi, aby włożył swoje ręce w jego rany. Z ewangelii wynika, że Synowi Bożemu zdecydowanie ; zależało na przekonaniu sceptyka. A właściwie dlaczego, skoro przypisuje się sobie umiejętności dokonywania cudów *once for all!* — raz na zawsze — nie przekonać jakimś ewidentnym cudem nieufnego, kompetentnego lekarza, który zamiast *wiary* posiada dużą *wiedzę!*

Uzdrowienie czy euforia?

Od października 1917 roku w Fatimie (Portugalia), położonej 170 kilometrów na północ od Lizbony, dokonują się cudowne uzdrowienia. Oto tylko dwa, absurdalne zresztą, przykłady wzięte z akt:

Dwudziestodwuletnia panna Cecilia Augusta Goveia Trestes z Torres ! Novas od lat cierpiała na gruźlicę płuc oraz na zapalenie otrzewnej i i wodobrzusze, toteż rodzina, właściwie oceniając sytuację, zamówiła i dla niej trumnę. Lekarze nie mogli już jej pomóc, ale 13 lipca 1932 ro- i ku zawieziono pannę Trestes do Fatimy.

W cudownym miejscu nic się nie stało, jednak w drodze do domu chora, która dotychczas nie miała łaknienia, poczuła prawdziwie wilczy apetyt. Łakomie połknęła cały prowiant towarzyszących jej osób. Pół < godziny później Cecilia Augusta, do tej pory prawie niemowa, stała się rozmowna, a nawet zaczęła się śmiać i śpiewać. W tydzień później odzyskała zdrowie [10].

Czy ta zaskakująca zmiana — a wszystkie oznaki na to wskazują — to dobre samopoczucie ciężko chorej nie zostało przypadkiem | wywołane dobrze znaną medycynie euforią, o tym nie ma ani słowa i w aktach, brak również informacji, kiedy i

gdzie uwolniła się w końcu od cierpień.

Cud z wódką? Pomysł pijanego!

Trzydziestoletni Camara de Lobos z Madery był nałogowym alkoholikiem. Lekarze przepowiadali mu pewną śmierć na marskość ¹, wątroby. Młody człowiek złapał jednak dalej beztrosko butelkę wódki dziennie. Wreszcie wkroczyła do akcji jego wierząca małżonka: do \ codziennej porcji zupy dodawała parę kropel wody z Fatimy. O cudzie! ² Wkrótce pijakowi obrzydł alkohol. Dożył siedemdziesiątki [11].

Nie wierzę w cuda. Cuda nie dokonują się same, cuda się robi, zawsze mają przyczynę i najczęściej można ją wykryć. Ale cud z wódką nie pasuje do żadnego schematu, dlatego go przytaczam. W tym przypadku doszło do cudu nie za sprawą wiary, autosugestii, heterosugestii czy rozhisteryzowanej wyobraźni. A przecież byłby to szlagier na miarę światową: kilka kropel wody z Fatimy... i można by skreślić alkoholizm z listy nałogów, zestawionej przez Światową Organizację Zdrowia. Wreszcie zasadnicza reforma, która nic nie kosztuje.

Cuda z wódką to pomysły pijanego. Te fantastyczne opowiadania ludzi przejawiających skłonności okultystyczne dostały się do literatury, a także przy okazji, do urzędowych akt. Widziałem na własne oczy! Tego rodzaju uzdrowień nigdy nie da się sprawdzić, ale zaciekle bronią one swego miejsca w baśniowej literaturze o cudach. Osoby, które doświadczyły

łaski takich cudów i które miałyby się ochotę o to wypytać, od dawna nie żyją. Krewnym schlebia, że w ich rodzinie zdarzyło się cudowne uzdrowienie, potakują więc z rozjaśnionym wzrokiem: Tak, tak się mówiło o zmarłym...

Bądź co bądź cud z wódką jest i będzie materiałem do wykorzystania w odpowiednich „traktatach”.

Jasnowidzące dzieci w akcji

Od 1940 roku zarejestrowano w Fatimie równo 1500 uzdrowień — rzekomych uzdrowień. Podobnie jak w Lourdes, tak i tu komisji lekarskiej znana jest stosunkowo niewielka liczba „uzdrowień”, także i tu szacuje się, że proporcja przypadków uzdrowień kobiet i mężczyzn ma się jak 7:30. Dlaczego tak jest? Czy kobiety modlą się żarliwiej? A może córki Ewy mają więcej (urojonych) chorób, których nie znajdują u nich sceptyczni lekarze, za to potwierdza Madonna?

Dla jasności: w miejscach pielgrzymek niewątpliwie zdarzają się niezwykle uzdrowienia. I jeszcze raz dla jasności: członkowie Świętej Rodziny nie są *przyczyną* objawień, nie mogą oni zatem być *przyczyną* cudownych uzdrowień, jakie dokonują się przez objawienia.

Mimo to dzieją się cuda w imię świętych. Czasopismo „Dzieci z Fatimy” [12] przynosi na bieżąco wiadomości o uzdrowieniach potwierdzonych nowymi tablicami wotywnymi i cytatami z listów przysłanych przez osoby, które doznały pomocy lub uzdrowienia dzięki adoracji i odwoływaniu się do tych chrześcijańskich postaci. W tym czasopiśmie-biuletynie spotkać można nie tylko imiona

Marii, Jezusa, archaniołów i różnych świętych! Listy dziękczynne kierowane są często do nieżyjących już dzieci-wizjonerów, które — mimo że Kościół nie beatyfikował ich ani nie kanonizował, działają więc bez licencji i aprobaty Kościoła — szybko spełniają wszelkiego rodzaju prośby.

Chłopiec Francisco, który w roku 1917 był wraz z dziewczynkami Jacintą i Lucią świadkiem objawień w Fatimie, zmarł mając jedenaście lat 4 kwietnia 1919 roku. Wierni odwołują się w modlitwach do Francisca i twierdzą, że zostali uzdrowieni dzięki jego wstawiennictwu. Przykłady pracowitej działalności Francisca:

J. N. R. z Madery — dzięki wstawiennictwu pastuszka Francisca doznał łaski uzdrowienia dla swego ciężko chorego syna.

A. R. C. z Mino — modlił się do Francisca, żeby dzięki jego wstawiennictwu uniknęła operacji jego przyjaciółka. Prośba została

wysłuchana.

M. A. z Utrechtu w Holandii — zawieziono go do szpitala na operację, która dzięki wstawiennictwu Francisca okazała się niepotrzebna.

L. P. z Lubiany w Jugosławii — dzięki błaganiom Francisca ustąpiły bóle wątroby i pęcherza.

D. G. z Sydney w Australii — dzięki wstawiennictwu Francisca syn przeżył niebezpieczny dla życia wypadek samochodowy.

Francisco ma już na swoim koncie kilkaset przypadków skutecznej pomocy, odwoływano się też do jego przyjaciółki Jacinty, zmarłej w wieku dziesięciu lat. Ona również z nie mniejszą gorliwością spełniała prośby i życzenia pielgrzymów.

Kościół gromadzi dokumentację

Kościół starannie gromadzi wszystkie listy

dziękczynne, bo załączniki te będą potrzebne w procesach beatyfikacji czy kanonizacji. Wysłuchana prośba o wstawiennictwo to już nie poszlaka, lecz dowód, a więc każdy przypadek — do akt! Przygotowuje się materiały do kanonizacji Francisca i Jacinty. Żaden ze znawców materii nie wątpi, że dwójka małych wizjonerów zajmie poczesne miejsce na liście wybitnych świętych. Nim to nastąpi, upłynie pewnie dużo czasu i oboje będą musieli tymczasem pracowicie czynić cuda.

Kościół w newralgicznym
punkcie swej władzy
widzialnej

Kościół nie tylko rozstrzyga, które objawienia są „prawdziwe”, ale stwierdza autorytatywnie, co to jest „cud”. W 1870 roku w Watykanie sformułowano definicję zjawiska, które uchodzi za cud: „Cud jest zjawiskiem sprzecznym z prawami przyrody”. Kropka. Ta definicja liczy już sobie jednak sto lat, pokryła ją patyna wieku, jak wieże kościołów. Człowiek coraz lepiej poznaje tajemnice przyrody, a nawet uczy się sterować jej prawami według własnej woli. Dlatego żywię uzasadnioną nadzieję, że za następne sto lat niczego już nie będzie można nazwać „cudem”.

Tymczasem w Watykanie toczy się 1200 (!) przewodów beatyfikacyjnych i kanonizacyjnych. Poczet świętych obejmuje obecnie 12 000 (!)

osób.

Od roku 1738, kiedy papież Benedykt XIV ogłosił dzieło *O beatyfikowaniu i kanonizowaniu sług Bożych*, obowiązuje zasada, że każdy kandydat na świętego musi się *po śmierci* wykazać co najmniej dwoma cudami. Wszyscy, którzy znajdują się teraz na liście czekających, 1200 „prawie-świętych”, są w sytuacji o wiele trudniejszej od swoich poprzedników. To, co kiedyś łatwo uznawane było za cud, dziś potrafi pierwszy lepszy praktykujący lekarz. Zostać dziś świętym nie jest tak łatwo jak dawniej. Przypomina mi się szkolna sentencja: *Tempora mutantur et nos mutamur in Mis* — czasy się zmieniają i my wraz z nimi.

Ojciec Pio

Co robi Kościół, gdy jeden z jego sług za życia sprawia cud po cudzie? Gdy nie mając najwyższego błogosławieństwa Kościoła, jest

przez wiernych otaczany czcią jak święty. Gdy wierni modlą się do niego? Kościół to toleruje.

W kręgach wtajemniczonych uważa się za absolutnie pewne, że Francesco Forgione, który uzyskał światowy rozgłos jako ojciec Pio, zostanie przyjęty do społeczności świętych. Ojciec Pio dokonał za życia tylu cudów, że na długo przed kanonizacją został kreowany na żywego świętego.

Francesco Forgione urodził się 25 maja 1887 roku w Pietrelcina, zmarł 23 września 1968 roku jako ojciec Pio w klasztorze San Giovanni

Rotondo „niemal dokładnie w pięćdziesięciolecie ujawnienia się u niego po raz pierwszy stygmatów Pana" [13].

O młodości Francesca celowo czy przypadkiem wiadomo niewiele, on sam mówił o sobie, że był *maccherone senza sale* (mazgajowaty). Ojcowie kapucyni nic nie mówią o etapach rozwoju ich „świętobliwego brata", ale już w czasie, gdy odbywał nowicjat, rozeszła się wieść, że młody braciszek wyróżnia się „niezwykłymi przymiotami", że „ten blady i wychudzony nowicjusz przez wiele dni odmawia na przykład przyjmowania pokarmu [...]. W Venafro przez dwadzieścia jeden dni przyjmował tylko Najświętszą Komunię" [13]. Jego wątłe zdrowie pozwala mu jednak znosić nagłe ataki gorączki „tak wysokiej, że pękają wszystkie termometry w klasztorze". Ojciec pielęgniarz spróbował użyć termometru kąpielowego, który wskazał 48°C (!). Denerwujące były noce w celi klasztornej:

„Straszne potwory wyłaniały się ze wszystkich stron, gdy tylko on, posłuszny świętej regule, próbował nieco wypocząć" [13].

Stygmaty w winnicy

Ojciec Pio spędzał okres rekonwalescencji w gospodarstwie rodziców. 20 września 1915 roku matka zawołała go na obiad, wyszedł więc z chaty w winnicy, „przy czym wymachiwał rękoma, jak gdyby je sobie poparzył". Matka zapytała, co się stało, a Pio odpowiedział, że odczuwa w dłoniach słaby, kłujący ból. „W rzeczywistości jednak Pio otrzymał niewidoczne rany", dowiadujemy się z książeczki opatrzonej najwyższym kościelnym *imprimatur*. Te niewidoczne rany otworzyły się później i zaczęły krwawić, kiedy siedział w ostatnim rzędzie na chórze wśród braci. Pio wystąpił z szeregu, jego ręce krwawiły, pokazały się też rany na stopach i głęboka cięta rana. na prawym boku.

Padre Pio e un santo! — krzyczał tłum. —

Ojciec Pio to święty!

Zdjęcia ran dotarły do Świętego 'Oficjum (dziś — Biuro Kongregacji Wiary, dawniej Święta Inkwizycja). Ojcu- Pio nakazano, .aby dał się zbadać lekarzom i ukrył się przed ciekawością wiernych. Lekarze badali, pieczętowań bandażem na ranach. W końcu stwierdzono, że jest to „rodzaj skaleczeń”, które „nie kwalifikują się do medycznej interwencji”. Ojciec Pio każdego dnia tracił filiżankę krwi. W ciągu dnia osłaniał rany, widoczne na rękach, kasztanowobrazowymi rękawiczkami.

Wszechstronnie utalentowany

Ojciec Pio obdarzony był wieloma właściwościami, które dzisiejsza wiedza określiłaby ogólnie mianem „zjawisk parapsychologicznych”. Był w jednej osobie wizjonerem i prorokiem, praktykował telekinezę i telepatię, był cudotwórcą i posiadał umiejętność uzdrawiania na odległość. Ojciec Pio nie znał języka angielskiego, ale rozumiał, co mówili do niego Amerykanie. Z góry wiedział, co spowiadający się zechcą mu wyznać, a co przemilczą. Pewnemu mężczyźnie powiedział, że nosi się on z zamiarem zabicia swojej żony. Pewnej kobiecie, którą czekała ciężka operacja ginekologiczna, ustały krwotoki, ojciec Pio przepowiedział jej zaś, że urodzi syna. W rok później kobieta ta przyniosła do klasztoru chłopczyka. Alberto de Fante, oficjalny kronikarz San Giovanni Rotondo, relacjonuje, że pewien

człowiek, klęcząc w konfesjonale, poprosił ojca Pio, aby pomógł jego nie wierzącemu bratankowi, który walczy ze śmiercią, a lekarze nie dają mu nadziei na wyzdrowienie. Dwadzieścia cztery godziny później bratanek powstał dzięki „niekwestionowanemu” uzdrowieniu.

Pewnej kobiecie, która chcąc skrócić wyznaczony jej przez biuro zapisów trzydniowy czas oczekiwania na widzenie z ojcem Pio (a czekało się zwykle tygodniami) wepchnęła się w tłum z głośnym płaczem, ojciec Pio nakazał iść do domu, gdzie — jak powiedział — wszystko jest już w porządku. Kobieta wróciła do domu, gdzie okazało się, że jej chory mąż został uleczony.

Liczba relacji o „cudach” jest duża. Jakiś mężczyzna po spowiedzi wyszedł z klasztoru. Deszcz lał jak z cebra, więc postanowił przeczekać ulewę. Ojciec Pio podszedł doń i

rzekł, żeby szedł bez obaw, że on będzie mu towarzyszył. Nieznajomy wrócił do domu, a ludzie dziwili się, że wcale nie zmókł. Gospodarze od razu zorientowali się, o co chodzi: „No tak, jeżeli ojciec Pio panu powiedział...” Ale ojciec Pio umiał też czarować w drugą stronę. Pewnego zimowego poranka jedna z penitentek dobrnęła do klasztoru w ulewnym deszczu. Pio dotknął jej ramienia i ku zdumieniu obecnych ubranie *signory* „wyschło w jednej chwili”.

Bilokacja* też, jak widać, nie była obca ojcu Pio. Autorka relacji opatrzonej *imprimatur* podaje, że ojciec Pio, ku wielkiemu zdumieniu oczekującego go tłumu, potrafił „przejsć przez zamknięte drzwi”, gdy

* Jednoczesna obecność fizyczna w dwóch różnych miejscach.

chciał w elegancki sposób uniknąć nękających go natrętów. „Gdzie ojciec był, ojciec Pio? Wszędzie ojca szukano!” — ojciec Pio uśmiechnął się i rzekł: „Spacerowałem przed wami, a wy tego nie zauważyliście”.

Cierpiący ojciec Pio („cierpię, kiedy nie cierpię” — mawiał) umiał również wyczarowywać miłe zapachy w dusznych pomieszczeniach. Lekarz dr Romanelli uważał za niestosowne, że ojciec Pio —jak sądził— używa perfum. Pewien kapucyn wyjaśnił mu jednak, że to krew ojca Pio ma „taką woń”. Kiedy dr Festa wiozł do Rzymu bandaż nasiąknięty krwią ojca Pio, aby zbadać to zjawisko w laboratorium, jego towarzysze podróży pytali, co tak ładnie pachnie. W lipcu 1930 r. w pokoju w Bolonii zapachniało nagle różami i narcyzami. To pewna chora wróciła właśnie z San Giovanni Rotondo. Niebiańska woń utrzymywała się przez kwadrans, po czym dziewczyna zaczęła poruszać

chorą ręką. Zjawisko zapachów jest bezsporne, ponieważ w ciągu czterdziestu lat potwierdziło je wielu świadków. Trzeba powtórzyć za Faradayem (1791—1867): „Nie ma nic tak cudownego, aby nie było prawdziwe”.

A papież Benedykt XV antycypował wszystkie procesy oznajmieniem: „Ojciec Pio jest zaprawdę człowiekiem Boga”.

Stygmatyzm

Ojciec Pio nosił rany Chrystusa, co widzieli jego współcześni. Sławny poprzednik ojca Pio, Franciszek z Asyżu (1181—1226), zgodnie z zachowanymi przekazami, też był naznaczony stygmatami. Dwa lata po śmierci został kanonizowany. Jego rany stały się legendą. Święty, „który rozmawiał z ptakami”, od dawna już śpiewa w chórze aniołów. Od czasów Franciszka było podobno około 350 podobnie naznaczonych. Nie wszyscy stygmatycy mają

„prawdziwe" rany. Na przykład Therese Neuman (1898—1962) z Konnersreuth w Górnym Palatynie w Niemczech była podobno oszustką. Teolog dr Josef Hanauer podejrzewa, że Therese sama kaleczyła sobie ręce, bo najpierw wypraszała obecnych z pokoju, a potem pokazywała im krwawiące rany. Stygmaty wystąpiły u niej podczas świąt w 1926 roku, a potem ślady Męki Pańskiej pojawiały się na jej rękach w piątki z wyjątkiem świąt chrześcijańskich [14].

Relacje o bogobojnych ludziach, którzy nosili na dłoniach i stopach, a także poniżej serca, rany Chrystusa, są zbyt częste i potwierdzone przez zbyt wielu świadków, żeby kwitować je słowem: bzdura.

„Rany Chrystusa" podobno sprawiają ból odpowiadający bólowi biczowania, koronowania cierniową koroną, przybijania do krzyża,

broczą krwią, szczególnie w piątki i —jak się podaje — nie można ich wygoić w normalny sposób.

Czy stoimy przed cudem będącym twierdzą nie do zdobycia? Od razu należy powiedzieć, że nie ma *jeszcze* jednoznacznego wytłumaczenia zjawisk stygmatyzmu, otacza je zbyt gęsty, do tego szczelny okultystyczny woal.

Święta choroba

Trzeba wiedzieć, że w dawnych czasach wokół ludzi opanowanych jakoby przez demony często powstawały obrzędy kultowe i religijne. *Epilepsja* określana była mianem *morbus sanctor* — święta choroba, ponieważ dotknięci nią ludzie miewali widzenia Lucyfera, duchów, bogów i aniołów. „Wiadomo, że również Mahomet cierpiał na ataki padaczki i dlatego uważany był nieomal za boga. W *Koranie* sam pisze o swym pobycie w raju" [15]. Profesor O. Prokop

twierdzi, iż epileptycy w stanach chwilowego zmącenia świadomości miewają omamy, często natury religijnej, i przejawiają skłonności do ascezy (charakterystyczne dla stygmatyków!). Dzięki odpowiedniej technice oddychania — „wskutek przesunięcia równowagi kwasowo-zasadowej” — potrafią oni wywoływać owe demoniczne napady.

Trzy obrazy choroby

Również *katatonia* (jedna z postaci schizofrenii), przejawiająca się osłupieniem i podnieceniem, oddziałuje na fiksatów religijnych przez rozwijanie u nich szczególnych, specyficznie ukierunkowanych predyspozycji. „Fascynacja jest tym skuteczniejsza [...], im bardziej schizo-frenik oddziałuje na otoczenie.”

Profesor Prokop i inni wymieniają na trzecim miejscu *histerię* jako schorzenie natury

psychicznej. Histerycy „są szczególnie wrażliwi na okazywane im dowody szacunku i uznania. Czerpią satysfakcję mogąc przyciągać ludzi i uzależniać ich od siebie [...]. Tym też można tłumaczyć fakt, że męczennicy religijni nie tylko znoszą zadawane im przez prześladowców cierpienia, ale nawet z radością wychodzą im naprzeciw". Ponadto dowiedziono, że histerycy są prawie całkowicie odporni na ból.

Opisy wymienionych chorób i schorzeń zawierają, moim zdaniem, istotne odniesienie do stanu osobników nawiedzonych stygmatami. Wszystkie przedstawione stany chorobowe wskazują na zaburzenia w czynności układu nerwowego. Nawet zwykłe poradniki określają stygmatyków jako ludzi z nadwrażliwym układem nerwowym (stygmatycy wegetatywni). Są oni podatni na schorzenia, które powstają pod wpływem zadziałania silnych bodźców na ich psychikę (stygmaty). Układ przywspółczulny (część wegetatywnego układu nerwowego) reaguje na bodźce, a dyspozycje przekazywane z mózgu, np. reakcje źrenic, łzawienie, wydzielanie śliny, działają pobudzająco na narządy płciowe etc.

W stanach podwyższonego napięcia (*wagotonia*) narządy unerwione przez układ parasympatyczny reagują nawet na słabe bodźce (*dystonia*), co jest typowe dla osłabionego

wegetatywnego układu nerwowego; może się to objawiać przekrwieniami i wybroczynami na skórze. Podsumowując ten skrótowy wykład medyczny, należy jeszcze wspomnieć o *hiperestezji* — przeczulicy, która manifestuje się chorobliwie wzmożoną wrażliwością na dotyk, a powstaje wskutek najróżniejszych schorzeń układu nerwowego.

Klucz do rozwiązania?

Zreasumujmy. We wszystkich znanych mi opisach stygmatyków wspomina się zarówno o występującej u nich pobudliwości mimowolnej, jak i o tym, że są oni zdolni do rozwijania szczególnych umiejętności. Nie ulega wątpliwości, iż — mimo woli czy w sposób zamierzony — fascynują otoczenie. Czy nie odczuwają również patologicznej satysfakcji z „okazywanego im szacunku, uwielbienia, czci, aprobaty otoczenia”? Nie mogliby zaprzeczyć, że

dzięki osobliwym cechom ich stanu (stygmaty, uniewrażliwienie na ból) budzą ciekawość ludzi i przyciągają ich do siebie. Czyż nie podporządkowują swych funkcji fizycznych impulsom i nakazom układu nerwowego?

Zmiany chorobowe — w moim przekonaniu — powodują u stygmatyków sytuacje stresowe wpływające bezpośrednio na cały organizm. Profesor dr Hans Selye, autor książki *Stres życia*, dyrektor Instytutu Medycyny i Chirurgii Doświadczalnej uniwersytetu w Montrealu, opisuje taki stan następująco: „Stres objawia się zawsze przez syndrom, to jest przez zespół objawów chorobowych, a nie przez jedną dolegliwość psychiczną lub fizyczną. Dlatego oddziaływanie terapeutyczne

na jeden tylko narząd byłoby równoznaczne ze szkodzeniem lub pobudzaniem do wzmożonej aktywności" [16]. Wystarczy na marginesie wspomnieć, że zgodnie z obecnym poziomem wiedzy wszelkie możliwe rodzaje bodźców mogą się złożyć na ostateczny efekt dzięki autosugestii — chociażby przez trening autogenny.

Biofeedback

14 października 1973 roku rozmawiałem w hotelu Plaža w Nowym Jorku z profesorem dr. Josefem Brudnym z uniwersytetu nowojorskiego, ekspertem w dziedzinie rehabilitacji.

—Wyleczył pan bez interwencji chirurgicznej młodego człowieka, który z powodu złamania kręgosłupa od lat był przykuty do wózka inwalidzkiego. Czy jest pan lekarzem-cudotwórcą?

—Z cudem nie ma to nic wspólnego. Gdyby w

tym kontekście mówić o siłach wyższych, to chyba o supremacji mózgu nad ciałem. Myślę, że mózg jest ostatnią nieposkromioną bestią na tej Ziemi.

—W jaki sposób mógł pan wyleczyć pacjenta z paraliżu?

—Podłączyłem go do skomputeryzowanego elektromiografu zwrotnego* i wspólnie mozolnie „pracowaliśmy”.

—A co to za maszyna?

—Jest to urządzenie elektroniczne, które najłatwiej byłoby porównać z elektroencefalografem. Rejestruje ono pewne stany biologiczne, np. rytm serca czy ciśnienie krwi, daje pacjentowi sygnały, ilekroć wystąpi zmiana w ustalonym rytmie. Na przykład: serce zaczyna nagle bić wolniej, wtedy pacjent odbiera przez słuchawki dźwiękowy sygnał odpowiadający prawidłowym interwałom. Mózg reaguje na to natychmiast i nakazuje

sercu, żeby biło w sugerowanym rytmie.

—A więc mózg nakazuje sercu, jak szybko ma bić?

—Organizm ludzki, podobnie jak system cybernetyczny ze swymi mechanizmami sterowniczymi i regulacyjnymi, stanowi zamknięty obieg funkcji. Mózg niejako nakazuje mięśniom, aby reagowały tak lub inaczej. Sam otrzymuje informacje za pośrednictwem różnego rodzaju sensorów: przez dotyk, wzrok, węch, słuch, ból etc. Na przykład: ustaje praca serca, wówczas mózg natychmiast rejestruje sytuację alarmową. Wydaje intensywne dyspozycje do mięśnia ser-

* Dosł.: *zasilanie zwrotne*. Sprzężenie zwrotne funkcji kontrolnych systemu sterowniczego z wykonawczymi, zmysłów z narządami wewnętrznymi.

cowego, a ten „słucha”, jeśli wyjątkowa sytuacja, powiedzmy zator tętniczy, nie uniemożliwi mu wykonania takiego nakazu. Mojemu koledze, doktorowi B. Engelowi z wydziału lekarskiego uniwersytetu kalifornijskiego w San Francisco, udało się doprowadzić do tego, że wielu pacjentów własnowolnie, a więc za pomocą sugestii, mogło zwalniać lub przyspieszać rytm serca. Osoby poddawane próbom widzą przed sobą czerwone, zielone i żółte sygnały świetlne. Żółty oznacza aktualną pracę serca pacjenta. Eksperymentator nakazuje przyspieszenie rytmu, włącza więc czerwoną lampkę i równocześnie nadaje sygnał dźwiękowy (odbierany przez pacjenta przez słuchawki), symulujący rytm przyspieszony. Osoby poddawane eksperymentom ulegają audiowizualnej fascynacji: chcą spełnić rozkaz przekazywany za pomocą czerwonej lampki i dźwięku. W kilka sekund potem kardiograf wykreślający krzywą

rytmu daje zapis z rytmem szybszym niż zwykle występuje u danej osoby. W ten sposób można zwalniać tętno, kontrolować ciśnienie krwi, zmieniać temperaturę skóry... albo, jak w przypadku młodego człowieka z niedowładem, sukcesywnie zwalczać porażenie. Są to doświadczenia potwierdzone klinicznie, nie żadne cuda. Nazywamy to metodą *biofeedbacku*.

Życzenie, wola, sugestia

Nie można doprawdy mieć pretensji do stygmatyków, że nie wiedzieli i nie wiedzą, skąd się biorą ich rany, a *biofeedback*, który pozwala na uzyskanie bezpośrednich rezultatów, jest dla nich metodą nieznaną.

Ludzie żyjący w religijnej ascezie nie wiedzą, że ich stan psychiczny, fascynacja uwielbianymi przez nich i czczonymi pierwowzorami (maniakalne upodobnianie się do ich postaci) stopniowo powodują trwałe zmiany w

komórkach i tkankach. Codzienna, przez lata praktykowana heterosugestia (która staje się tak naturalna, że nieświadomie jest częścią egzystencji) może w końcu spowodować rany i zjawisko to całkowicie mieści się w możliwościach organizmu.

Zarówno „cudowne uzdrowienia”, jak stygmatyzm w przeważającej mierze dotyczą kobiet. Możliwe motywacje zostały już podane. Jeśli fanatyk religijny, kobieta czy mężczyzna, żarliwie pragnie otrzymać rany Chrystusa, to „bestia-mózg”, stymulowany przez *sygnały optyczne*, podsuwające mu stale obraz zranionego Pana na krzyżu, oraz pobudzany przez *sygnały akustyczne*, opisujące w modlitwach i śpiewach Ukrzyżowanego, usłucha w końcu i da rozkaz żyłom i naczy-

niom krwionośnym, by tak obficie wypełniły się krwią, aż — *happy endl* — nabrzmiały, przepuszczają przez naskórek małe, czerwone kropelki. Nad wszystkim dominuje *wola cierpienia* i wewnętrzne pragnienie odczuwania bólu Zbawiciela.

Wybitny angielski chirurg Richard Serjeant pyta: „Czy dla osiągnięcia zbawienia duszy konieczne trzeba cierpieć? [...] W laickiej hierarchii chrześcijańskiego nieba armia męczenników stoi na trzecim miejscu za apostołami i prorokami. Męczeństwo jest zatem dla zwykłego człowieka jedynym sposobem dostania się do raj” [17].

Wola wejścia do społeczności świętych przez cierpienie, ból, ascezę, słowem przez męczeństwo, stanowi bezsprzecznie u stygmatyków istotę motywacji. Stygmatycy to ludzie o żelaznej woli.

Stygmaty — atrakcja *show*

Opuśćmy religijne enklawy, żeby pokazać, czego może dokonać żelazna wola... W latach dwudziestych w zagłębiu węglowym na zachodzie Niemiec wskutek burzy runął strop sztolni, w której został zasypany górnik, August Diebel. Dwa dni i dwie noce czekał na ratunek. Prawe przedramię i noga uwięzły mu między głazami. Górnik wmawiał sobie, że nic go nie boli, ale kończyny drętwiały i robiły się zimne. Skoncentrował więc całą siłę woli, żeby „skierować” do nich dopływ krwi. Najpierw odczuł silny ból, którym się nie przejął. Po chwili stwierdził, że w kończyny wraca ciepło i czucie. Po uwolnieniu go badanie lekarskie wykazało, że ręka i noga są dobrze ukrwione, dzięki czemu uniknął amputacji.

Nieszczęśliwy wypadek pozwolił górnikowi odkryć u siebie pewną umiejętność — przy

intensywnym wysiłku woli był w stanie znieczulić pewne części ciała (jak fakir!). Doskonaląc tę umiejętność, stał się atrakcją międzynarodowego *show*. To, że artyści na scenie pozwalali się dźgać igłami i mieczami, nie było niczym nowym. Człowiek ten jednak przez maksymalną koncentrację, kiedy publiczność z emocji wstrzymywała oddech, potrafił wywoływać na swoim ciele klasyczne stygmaty. I to na każdym spektaklu! W środy i niedziele, po dwa razy dziennie.

Ale atrakcja *show* — August Diebel — załamał się nerwowo. Chytry menedżerowie chcieli przedobrzyć przedstawienie — artysta miał płakać krwawymi łzami. Mimo największego wysiłku krew nie chciała przeniknąć przez rogówkę. Oszuści sprowadzali więc przed każdym spektaklem

okulistę spod ciemnej gwiazdy, który dokonywał niewielkiej perforacji w gałce oka. August Diebel kilka razy istotnie zapłakał krwawymi łzami, potem nerwy odmówiły mu posłuszeństwa. W tej ponurej historii nie chodzi o łzy, lecz o dowód, że człowiek o żelaznej woli może sam wywołać rany na swym ciele.

Przyjemność bycia świętym

Profesor dr H. J. Campbell, fizjolog z uniwersytetu w Londynie, dowiódł przekonywająco [18], że mózg człowieka i zwierzęcia dąży do osiągnięcia przyjemności. Embrion zaczyna życie płodowe ze stosunkowo wielką głową, której szara substancja nakazuje ciało rosnać według zakodowanego wzoru. Już przy urodzeniu układ nerwowy nastawiony jest na odbieranie odczuć przyjemnych. Od pierwszego krzyku małego człowieka zaczyna się proces doświadczeń z reakcjami na doznania

sprawiające przyjemność lub wywołujące przykrość.

Rodzice, wujkowie, ciotki, nauczyciele i księża karmią nieprzerwanie i dosyć bezwzględnie komputer „bestia-mózg” — wzorcami zachowań oraz zasadami moralnymi. Poza tym wszystkie informacje, jakie przekazują mózgowi narządy zmysłowe, muszą być zmagazynowane w jego drobnusieńkich komórkach. Z „meldunków” docierających do mózgu zaprogramowane zostaną reakcje składające się na przyszłe zachowania, na postawy takie, jak: tego ci robić nie wolno, a to robić musisz, to ci wolno mówić, a tego nie, temu masz wierzyć, a tamtemu nie itd. Albo doświadczenia: to jest gorące — poparzysz się, tamto jest zimne — zmarzniesz, śpiewaj — bo to cię rozweseli, powąchaj różę — bo jej zapach jest przyjemny itd. Niezależnie od wychowania, nauki i wiary, u człowieka nadal dominuje dążenie do osiągnięcia przyjemności,

dlatego też Campbell twierdzi, że komputerowi-mózgowi naszych praprzodków dany był jeden tylko nakaz: dążenie do osiągnięcia przyjemności. Campbell używa pojęcia „przyjemność” w znaczeniu ściśle naukowym i rozumie przez to wzmożoną stymulację górnych obszarów mózgu, odpowiadających za uczucie przyjemności. W tym sensie myślenie może prowadzić do „tworzenia i przemiany uprzywilejowanych dróg przebiegów impulsów mózgowych. Daje ono człowiekowi możliwość świadomego kształtowania swego ducha”. Każdy człowiek sam, według własnych upodobań, rejestruje i dokonuje wyboru tego, co sprawia mu przyjemność. Badania profesora Campbella, zapraszanego do współ-

pracy z Instytutem Badań Mózgu Maxa Plancka oraz z College de France w Paryżu, zawierają rewelacyjne odniesienia do interesującego nas tematu.

Religia źródłem przyjemności

Chrześcijaninowi wmawia się od początku, że jest czymś nadzwyczajnym, ponieważ za niego umarł Zbawiciel. Dla niego zarezerwowane są szczególne laski u Boga, a za życie miłe Bogu i Kościołowi zapewnione ma niebo. Wszystko to dystansuje innowierców. Ponadto wierny ma w swym doczesnym katolickim życiu nieomylną instancję — papieża, który rozstrzyga, co jest złem, a co dobrem.

To doktrynalne „wychowanie” idzie w parze z sugestywnym, wizualnym oddziaływaniem nauki Kościoła na wyobraźnię przez ilustracje w książkach do religii, z których dziecko się uczy, przez przedstawienia stacji Drogi Krzyżowej,

przez dawanie z okazji pierwszej komunii słodziutkich wizerunków Maryi. Wnętrza kościołów przedstawiają ziemską wersję Królestwa Niebieskiego z kunsztownie rzeźbionymi lub wykutymi w marmurze wizerunkami Pana na krzyżu, którego rany zwykle ociekają naturalistycznie „krwią”. Wszędzie widać posągi Matki Boskiej i obrazy Marii z Dzieciątkiem i bez Dzieciątka, Marii klęczącej u krzyża, na Kalwarii albo trzymającej na kolanach głowę Udręczonego. Pod szkłem leżą ornaty męczenników i patronów. A wszędzie widoczny jest doskonały graficznie znak krzyża. *Sygnaty wizualne* jedynej zbawczej nauki nie odstępują wiernych. Uczestniczenie w tym świętym życiu jest *przyjemnością*.

Ogrom kościołów, w których człowiek czuje się mały, podobnie jak przytulna atmosfera kaplic skłaniają do zachowania całkowitego spokoju, do relaksu, do medytacji, do „oddawania się

rozmyślaniom". Szmer modlitw ludzi klęczących w ławkach działa usypiająco. Fascynująca reżyseria spektakli podczas mszy skłania obecnych do uważnego uczestnictwa w misterium transsubstancjacji, przeistoczenia chleba i wina w ciało i krew Pana. Przy tak drobiazgowo wypracowanej scenerii efekt jest bezbłędny. Liturgia (zespół obrzędów religijnych i ceremonii kościelnych) „uprzytamnia dzieło Chrystusowego zbawienia przez Kościół”. Są też *sygnały akustyczne*: śpiewy księży i wiernych na przemian, wzmocnione i atakujące wiernych brzmienie organów (wykorzystywanych nieomal wyłącznie przez Kościół i dających wspaniałe rezultaty). Teksty pieśni wprost pławią się w cierpieniu, kapią

wiernych w uczuciu, które każe odczuwać ból jako sposób osiągnięcia przyjemności, ból, dzięki któremu możliwe jest zbliżenie się do Zbawiciela. Wreszcie, na ogół w refrenie, pojawia się też obietnica niebiańskiej szczęśliwości! Cierpienie i uczestnictwo w bólu jest *przyjemnością*.

Cuda można wytłumaczyć

Sygnały optyczne i akustyczne, jakimi posługuje się nowoczesna medycyna przy *biofeedbacku*, oraz udowodnione przez fizjologa Campbella pragnienie osiągnięcia przyjemności, zaprogramowane w mózgu człowieka, daje również — w moim przekonaniu — wiarygodne przesłanki do wyjaśnienia „charakterystyk” podawanych ze szczegółami do protokołów przez jasnowidzące dzieci (także przez nielicznych dorosłych wizjonerów). Oglądane przez nich „wizje” są wyobrażeniami postaci podsuwanych

im od dzieciństwa, zaś „posłannictwa” zawierają teksty i słowa z języka teologicznego, które przeniknęły do ich świadomości. Wygłaszane z ambon i szkolnych katedr, zostały powtórzone w dzieciennym uproszczeniu. Dzieci często nie pojmowały sensu tego, co słyszały i czego ich uczono, przekreślały więc nieco treść kazań i katechizmu. Stąd zagadkowe, niezrozumiałe doniesienia, pomieszane z abstrakcyjnymi myślami, przepowiedniami, prorocत्वami.

Kto zna dziecięcą psychikę, tego nie zaskakuje, że objawienia bywają przede wszystkim udziałem najmłodszych. Dzieci żyją w lęku przed „miejscem oczyszczenia”, „ogniem oczyszczającym” — przed czyścem, gdzie przebywają ci, którzy nie odpokutowali za swoje grzechy. Dzieci boją się, że dostaną się tam za karę. Starają się więc robić wszystko, aby uniknąć piekielnych mąk. Z naiwną gorliwością i niepohamowaną dziecięcą wyobraźnią wznoszą

się coraz wyżej w pełnych fantazji myślach i działaniach, niczego bardziej nie pragnąc niż bezpośredniego obcowania z cudownymi postaciami kościelnego świata. Codziennie słyszą wzruszające i piękne legendy o błogosławionych, którzy zetknęli się z członkami Świętej Rodziny. Legendy takie opowiada im ksiądz i katecheta, funkcjonariusze Kościoła, a Kościół przecież nie kłamie. Każdy psycholog wie, że okrutne bajki mogą wywoływać u dzieci nerwice lękowe. Z fantazji rodzi się zatem *pragnienie* cudownego przeżycia. Dzieci odczuwają nieprawdopodobnie realistycznie *sen-jawę*, gdzie występują postacie wypowiadające słowa

usłyszane w Kościele. Obiekty z tego snu-jawy, od dawna zarejestrowane w psychice, stają się nieoczekiwanie „objawieniem rzeczywistości podświadomościowej” (Herder). Spełniło się dążenie do *przyjemności*, a w przypadku dzieci — przyjemności z „widzenia”.

Niesłuszne byłoby negowanie subiektywnej „prawdy” przekazywanej przez jasnowidzące dzieci. Jeżeli Kościół generalnie nie życzy sobie objawień, musiałby zmienić albo skasować trening przygotowujący do tego rodzaju przeżyć, do pragnienia konfrontacji ze Świętą Rodziną. Ale nie czyni tego, ponieważ tzw. prawdziwe cuda są mu bardzo potrzebne do akcji reklamowej. Cytowany już hagiograf Walter Nigg pragnie powrotu świętych i wyraża nadzieję odnoszącą się w tym samym stopniu do „konieczności” cudów: „Wprawdzie obecnie są oni [święci] jakby zapomniani, nie mówi się o nich wcale albo rzadko. Ale nie będą milczeć

stale i kiedyś znów przemówią do ludzi". Kościół ma też swoje specyficzne pragnienie przyjemności, *przyjemności z cudu*.

Zaczyna świtać!

Do obrzędu pomnażania przyjemności płynącej z wiary włączone zostały bardzo skuteczne tricki. Amerykanin Leslie M. LeCron [19] jest zdania, że do stymulowania heterosugestii (a czymże jest nabożeństwo?) najbardziej nadaje się zapalona świeca; powinna być tak ustawiona, żeby można ją było wygodnie obserwować. „Migotliwy płomień świecy działa hipnotycznie." Campbell eksperymentalnie dowiódł, że białe światło z jego mnóstwem drgań wywołuje intensywne uczucie zadowolenia: „Jasność jest przeciwieństwem nudnej monotonii otoczenia, dlatego budzi przyjemne odczucia".

Oczywiście mądrzy twórcy katolickiego kultu

religijnego nie dysponowali żadnym akademickim uzasadnieniem umieszczenia nad ołtarzami kościołów wiecznej lampki na znak, że Jezus jest „światłością świata” i że kto idzie za Nim, „nie będzie chodził w ciemności” (Jan 8, 12). Kościół w swej dwutysięcznej historii dowiódł, jak nieomylnie wyczuwa skuteczność oddziaływania na zmysły wzroku i słuchu. Od dawna w kościołach płoną „wieczne lampki”, a świece jarzą się już przy wejściu. Nie znam takiego kościoła, w którym nie paliłyby się niezliczone ilości świec przed głównym ołtarzem, przed wizerunkami Madonny i świętych. Blask świec wyzwala większe uniesienie, co jest pożądane. W miejscach religijnych pielgrzymek orgie świateł stwarzają

orficzne misteria, w których morze płomyków świec rodzi oczekiwanie cudu. Procesje ze świecami rozpoczynają wielkie święta, kościelne. Z punktu widzenia dzisiejszej psychologii *jest* to skuteczny sposób stymulowania podniosłego nastroju. Nawet cuda mają wówczas sz.anse, że się w nie uwierzy.

Psychodrama

Niezwykłe zjawiska, szczególnie cudowne uzdrowienia, które ściągają na plan tyłu widzów, dostarczając im wspaniałych przeżyć zbiorowych, należy uważnie zbadać w celu wykrycia istniejącego między nimi związku. Chciałbym rzucić nieco światła na jeden mały wycinek niezmierzonej dziedziny psychologii. Sądzę, że pozwoli to znaleźć odpowiedź na wiele pytań — mam na myśli metodę terapii, jaką jest psychodrama. W improwizowanym przedstawieniu grupa pacjentów w toku dyskusji,

wymiany zdań i doświadczeń wyjawia swoje przeżycia i konflikty, uwalniając się od frustracji i nerwic. Metoda ta daje pozytywne efekty w leczeniu.

Tę tak, zdawałoby się, nowoczesną metodę można znaleźć u greckiego filozofa Arystotelesa (384—322 prz. Chr.). Arystoteles twierdził, iż wszelka myśl jako siła motoryczna działania funkcjonuje nie poza ciałem, lecz w nim samym. Jego koncepcja *entelechii* (niematerialnej siły celowo kształtującej materię), którą przeniósł do nauk przyrodniczych i zastosował w etyce, przetrwała stulecia. W myśl tej koncepcji duch jest niematerialną energią, główną siłą kształtującą. Według Arystotelesa *katharsis* (oczyszczenie), uzyskiwane na przykład pod wpływem tragedii scenicznej, a pomagające w rozstrzygnięciu wyboru między złem a dobrem, przynosi skutek cudownie uzdrawiający. (Psychodrama!)

Istotę tego zjawiska wyjaśnia docent dr Ploeger: „Nie wyjawiana, myślą przewodnią jest, aby uczestniczący zidentyfikowali się z bohaterami, których działania aprobuja, odnajdując ideały i motywacje zgodne z ich własnymi" [20]. (Taka identyfikacja z członkami Świętej Rodziny dokonuje się we wszystkich miejscach pielgrzymek.) Uzdrawiające, dramatyczne wyrażenie konfliktów w rozumieniu Arystotelesa przynosi takie rezultaty, jak praktykowana dziś w różnych krajach Zachodu i Wschodu psychodrama.

**Uzdrowienie przez *tao* —
wieczny porządek
Wszechświata**

W filozofii chińskiej czwartego i trzeciego wieku przed Chrystusem istniało pojęcie *tao*, co znaczy „droga”. *Tao* było wiecznym porządkiem Wszechświata, źródłem wszelkich zjawisk, których rozumowe poznanie nie było możliwe. W filozofii tej zasada *in-jang* (ciemność-światło) odpowiadała kryteriom dobra i zła. Jak pisze prof. Iza Veith w eseju *Psychiatric Thought in Chinese Medicine* [21], Chińczycy, w przeciwieństwie do innych ludów cywilizowanych, nie wyobrażali sobie stwórcy jako postaci, która żądałaby od nich posłuchu i modlitwy. Chińczyk, którego spokoju pierwotnych związków nigdy nie zakłócał żaden karzący czy mściwy bóg, w dopełniającej sile jednomyślnych „dusz”, w gronie rodziny i przyjaciół, szukał pokrzepienia duchowego i uzdrowienia przez

autohipnozę. I tu oddziaływał duch zbiorowości złączonej jedną myślą, a uzdrowienie uważane było za cud.

Są to stopnie ewolucji, prowadzące aż do psychodramy z jej „mechanizmami stosunków międzyludzkich” [22].

Trening autogeny i sen w świątyni

Dawną tradycję ma też trening autogeny. Neurolog Johannes Heinrich Schultz (1884—1970) upowszechnił autohipnozę. Pacjent odpręża się poprzez odpowiednie nastawienie wewnętrzne, czego odpowiednikiem jest praktykowana przez starożytnych inkubacja — sen w świątyni. Sen w świątyni przynosił choremu wizje bóstw, uleczal (łac. *ineubare* — leżeć na czymś, wylegać). W starożytności inkubację tego rodzaju poprzedzano — dla odprężenia — kąpielą. (Lourdes i inne!) „Właściwa inkubacja odbywała się w *abatonie* — najświętszym miejscu świątyni.” (Czy kościoły i

ołtarze oddziałują inaczej?) Dr von Schumann [23] twierdzi, że przy inkubacji (jak przy treningu autogennym) powinna istnieć ścisła korelacja między odprężeniem fizycznym a przeżyciami sennymi. Pacjenci „bezkrytycznie nastawieni na religijno-magiczne uzdrowienia, wierzący i łatwo poddający się sugestii” mogą być całkowicie uwolnieni od zaburzeń. Przy inkubacji człowiek szukający uzdrowienia zachowuje się biernie i „oczekuje [...], że bóg Eskulap uzdrowi go w sposób magiczny”. Gdyby tak na przykład zamiast „boga Eskulapa” podstawić

nazwisko Bernadetty Soubirous, można by pomyśleć, że czyta się relację z Lourdes.

Dobrzy bogowie uzdrowiciele

Bóg Asklepios (Eskulap) działał w poświęconym mu miejscu w świątyni w Epidauros, słynnym mieście nad Zatoką Saronką, „pracował” również w świątyniach w Knidos, Kos, Pergamonie, Naupaktos, Sikionie i Atenach. Działał w wielu miejscach i leczono tam wszystkie choroby. Przychodzili ślepcy, paralitycy i głusi, ludzie z puchliną wodną i ze schorzeniami organicznymi, ci, którzy mieli tasiemca, i tacy, którym wypadały włosy. Pracowity bóg ciągle dokonywał cudów..., jak dziś święte figury w cudownych miejscach. Rabbi Ben Akiba zwykł mawiać: „Wszystko już było...”

Świątynia w Epidauros z inskrypcją: „Przyjdź jako człowiek dobry, odejdź jako lepszy” od 500 roku prz. Chr. stanowiła jakby Lourdes „złotego

wieku" kultury greckiej. Poza szefem Eskulapem także inni „dobrzy bogowie uzdrowiciele" czynili cuda podczas uzdrawiającego snu.

Kurt Pollack pisze: „Cudowne uzdrowienia w pierwszej kolejności dotyczyły ślepców, głuchych, paralityków, cierpiących na bezsenność, a także chorych, których *dziś można zaliczyć do wielkiej rzeszy nerwicowców i stygmatyków wegetatywnych*. Boski lekarz uzdrawiał tych, którym ziemscy lekarze nie mogli pomóc [...]. Dobrzy kapłani Eskulapa byli doświadczonymi znawcami psychiki ludzkiej i znakomicie opanowali sztukę oddziaływania na dusze chorych. Byli oni w pewnym sensie, sami o tym nie wiedząc, poprzednikami dzisiejszych psychoterapeutów" [24].

Czy trzeba komentować ten rodzaj cudów dawnych i dzisiejszych? Kościół zna historię.

Uzdrowianie muzyką

Już pitagorejczykom (VI w. prz. Chr.) znane było psychoterapeutyczne działanie muzyki. (Wprost słyszę zawodzące śpiewy w Lourdes!) Syryjski filozof Iamblichos przekazał taki opis:

„Pitagorejczycy stosowali muzykę jako lek. Były określone sposoby leczenia cierpień psychicznych: jedne uchodziły za najskuteczniejsze przy dręczących troskach, melancholii, inne przy silnych emocjach

i wszelkiego rodzaju duchowym zamięcie. Pitagoras znalazł środek uspokajający oraz leczący duszę i ciało określonymi tonami i rytмами, dzięki którym poprawiał się stan ducha chorych, a nawet wracał do pierwotnego ładu".

Jakże podobne do siebie są te obrazy!

Cuda, jakie dziś czynią święci i ich pomocnicy, w podobny sposób i przy użyciu takich samych metod czynił w Epidauros bóg Eskulap (choć bez pomocy chrześcijaństwa) ze swoimi pomocnikami.

Uzdrowieni w starożytnych świątyniach czuli się — tak jak uleczeni w miejscach objawień — obowiązani do wyrażania podziękii. Na szczęście zachowały się tablice wotywnie z odpowiednimi inskrypcjami. Grecki pisarz Pauzania z Magnezji w Azji Mniejszej stał w roku 165 po Chr. przed ruinami Epidauros. W drugiej księdze swego *Przewodnika po Helladzie (Periegesis tes*

Hellados) zanotował:

„Wewnątrz ogrodzenia świątyni stało w dawnych czasach więcej tablic z inskrypcjami. Teraz pozostało tylko sześć. Wymienione są na nich nazwiska mężczyzn i kobiet, którzy zostali uzdrowieni przez Asklepiosa, oraz choroby, na które cierpieli i jak zostali z nich uleczeni. Inskrypcje wyryte są w języku doryckim". W roku 1928 podczas prac archeologicznych w Epidauros znaleziono owe sześć kamiennych tablic z dziękczynnymi inskrypcjami:

„Ambrosia z Aten, jednooka. Przybyła, by ubłagać boga. Kiedy obchodziła świątynię wokoło, śmiała się z niektórych tablic, uważając je za nieprawdziwe. Nie wierzyła, że paralytyk i ślepiec uzdrowieni zostali tylko dlatego, że mieli sen. Później sama po śnie w sanktuarium odzyskała zdrowie.

Euphippos przez sześć lat miał wbity w szczękę czubek ostrza włóczni. Zasnął w sanktuarium.

Gdy się obudził, mógł wyjść trzymając czubek w rękę. Hermodikos z Lampsakos, sparaliżowany. Tego uzdrowił Asklepios, śpiącego w sanktuarium, a nakazał mu po wyjściu przynieść do świątyni kamień, największy, jaki znajdzie. Przyniósł więc kamień, leżący teraz przed świątynią.

Alketas z Halieis. Ten był ślepy i zasnął w sanktuarium. Gdy nastał dzień, wyszedł stamtąd zdrowy.

Arate z Lakonii, puchlina wodna. Zamiast niej spała matka, a ona sama spała w Lakedemonie, matka zaś miała sen... Gdy wróciła do Lakedemonu, znalazła córkę zdrową; ona też miała taki sen. Aristokritos z Halieis. Ten wypłynął w morze i zanurkował, skąd nie było wyjścia. Za niego w sanktuarium Asklepiosa spał jego

ojciec, który nie natknął się na chłopca w trakcie poszukiwań... Z sanktuarium wyszedłszy... znalazł chłopca po dniach siedmiu" [24].

Dostojne towarzystwo

500 lat prz. Chr. cudownie uzdrowieni zachowywali się podobnie jak dziś, nawet cuda były identyczne. Chociaż chrześcijańscy strażnicy „prawdziwych” cudów przyznają to z niechęcią. Bóg Asklepios nie jest jedynym koronnym świadkiem cudownych uleceń w okresie przedchrześcijańskim — znalazł się jednak w doborowym towarzystwie.

Często się nie pamięta, że Apollo był nie tylko bogiem młodości, poezji i muzyki, ale także lekarzem, bogiem wróżbitów i wyroczni... oraz ojcem Asklepiosa. Apollo czczony był jako bóg sztuki lekarskiej, któremu w VIII wieku prz. Chr. wzniesiono w Delfach świątynię, gdzie naturalnie

dokonywały się cuda: niemi zaczęli mówić, kamienie nerkowe w tajemniczo-naturalny sposób same wychodziły przez cewkę moczową, łyśsi błagali o cud i ich głowy porastały bujnym włosiem [25]. (Pewien sprytny gracz giełdowy powiedział mi, że po wynalezieniu igły do szycia i zamka błyskawicznego został tylko jeden wynalazek, dzięki któremu można zostać milionerem: środek na porost włosów. Od czasów najbardziej gadatliwego balwierza świata, jakim był mozartowski Figaro, nie da się sprzedawać modlitw do papy Apollina i Asklepiosa jako cudownych środków kosmetycznych.)

W wielkich świątyniach Teb, egipskiego miasta umarłych, czczono boga sztuki lekarskiej — Amphiaraoasa. W świątyni Ptaha w Memfisie znaleziono kamienie wotywno, na których uzdrowieni sławią swoich bogów. Są na nich uwiecznione stopy, nogi i ręce — wyrazy

wdzięczności utrwalone w materiale odpornym na działanie czasu. Obok wizerunku Ptaha w Memfisie wyryto w kamieniu 376 uszu [26]. Chyba poliklinika otologiczna czyniła tu cuda systemem taśmowym.

Terapia grupowa

Wspólną cechą wszystkich starożytnych „lecznic” była terapia grupowa. Widzę w tym pierwowzór praktykowanej dziś psychodramy w takim sensie, jak opisuje terapię grupową dr Samuel L. Werner:

„Terapia grupowa często bywa szczególnie pomocna, ponieważ

ułatwia ona nawiązanie kontaktu i stwarza sytuację: ręka rękę myje [...]. Terapia ta nie ogranicza się do oddziaływania na sferę intelektualną, lecz obejmuje również życie uczuciowe.

Osobowość kształtują bowiem przeżycia emocjonalne, które wywierają wpływ na reakcje gruczołów i wywołują różne uboczne zjawiska somatyczne. Aby przez stosowanie tej terapii spowodować zasadniczą zmianę osobowości, trzeba oddziaływać na nią intensywnymi, powtarzającymi się przeżyciami emocjonalnymi. W ten sposób ciągle atakowana sfera osobowości podda się, ulegnie zmianie" [27]. W miejscach pielgrzymek, jak widziałem, wyczuwało się, że przeżycie zbiorowe jest nakierowane na jeden cel.

Tęsknota do cudu — jako wspólnego przeżycia emocjonalnego—wyzwalała wśród zupełnie sobie obcych ludzi potrzebę wzajemnej informacji narzekaniem i płaczem. Ludzie, introwertycy z natury, zmieniali swoją osobowość, poddając się

bez żadnych zahamowań wspólnemu przeżyciu.

Tu, u celu ich nadziei, w masie bezimiennych cierpiących następowała zmiana ich stosunku do własnego cierpienia. Tu albo nigdzie mogli się od niego uwolnić. Ekstazyjne emocje w miejscach pielgrzymek są gruntem, na którym przypadkiem może się zdarzyć i to, co wydawałoby się nie do pomyślenia.

Święci chiroteci

W związku z tym należy krótko wspomnieć o „magnetyzmie zwierzęcym”, praktykowanym przez lekarza Franza Antona Mesmera (1734—1815). Mesmer wpatrywał się długo w oczy pacjentów i przez dotyk ręki przenosił na chorego siłę emanowaną przez żywe organizmy. (Jezus też uzdrawiał przez nałożenie rąk. Kościół katolicki uznał 35 chirotetów — nakładaczy rąk — za świętych.) Angielski chirurg James Braid (1795—1860) orzekł, że przy osiągniętych tą metodą

uzdrowieniach nie chodzi o żaden okultystyczny hokus-pokus. Braid nazwał tę metodę *hipnozą* (gr. *hypnos* — sen). Mesmeryzm stał się plagą wielu krajów Europy, ponieważ ubijali na tym interes ci, którzy nie dysponowali uzdrawiającą siłą magnetyczną.

Jak dalece sugestia i hipnoza zbiorowa może przyczyniać się do „cudownych uzdrowień”, wynika z relacji [28] napisanej w roku 1784.

Cudowny wiaź z Soissons

Markiz de Puiseaur, fanatyczny zwolennik metody Mesmera, pragnąc dopomóc ludziom szukającym uzdrowienia, urządził w swoim zamku koło Soissons „magnetyczny zakład leczniczy”. Napływ chorych był tak wielki, że komnaty zamku nie mieściły już chętnych. Co robić? Markiz wpadł na zadziwiający pomysł: namagnetyzował okazały wiaź rosnący we wsi! „Do tego magnetycznego drzewa każdego dnia przybywały rzesze cierpiących z jednej i z drugiej strony Renu jak do cudownego obrazu.” *No comment!* Bo przecież nie tylko relikwie, święte mumie i cudowne posągi mogą sprawiać cudowne uzdrowienia. Może to być chociażby stary wiaź, jeśli tylko szukający uzdrowień weń „wierzy”. Pasuje tu jak ulał zdanie Fausta: „Cud jest ukochanym dzieckiem wiary!”

Sugestia, autosugestia, hipnoza

Czy Kościół chce, czy nie (także przy wydawaniu atestów na „prawdziwe” cuda), to w cudownych miejscach i przy cudownych uzdrowieniach odgrywają rolę sugestia oraz hipnoza jako odmiana sugestii. Sugestia to oddziaływanie na myśli i przekonania człowieka. Pod jej wpływem przyjmuje on przekonania, opinie, sugerowane zachowanie bez racjonalno-logicznej argumentacji. W przypadku żarliwie manifestowanych uczuć (a w miejscach pielgrzymek tryskają one nawet przez dziurki guzików!) „człowiek otwiera się bezwiednie [...], przyjmuje ideę i sposób postrzegania zjawiska. Zbiorowość, a także stan spotęgowanego wzruszenia oddziałują w sposób wzmożony [...]. Autosugestia to oddziaływanie sugestią na siebie samego poprzez żarliwe oczekiwanie i pragnienie spełnienia”. A co może hipnoza? Może „łatwo

wywoływać złudzenia i halucynacje. Większość ludzi może być poddawana hipnozie".

Definicje te są diagnozą stanu, w jakim pielgrzymi znajdują się w świętym miejscu.

Co na to Kościół?

Kościół twierdzi, że „istnienie wielkich cudów w Kościele katolickim musi być niezaprzeczalnym faktem dla bezstronnego badacza" [29]. Uważam tę zarozumiałość Kościoła za co najmniej niezręczną. Jeśli w naszych czasach, tak przeładowanych dolegliwościami nerwicowymi i szkod-

liwymi dla zdrowia depresjami, we wszystkich cudownych miejscach — dzięki sugestii, autosugestii i zbiorowej hipnozie — donosi się każdego roku choćby o 100 uzdrowieniach (nawet jeżeli nie są one „cudami”), to właśnie media kościelne — Madonny, relikwie, cudowne źródła itd. — służą dobremu *cudownemu* celowi! Kościół nic na tym nie traci.

Już ludy pierwotne знаły cudowne uzdrowienia

Cudowne uzdrowienia znane były od prawieków. Profesor D. Langen pisze: „Hipnoza jako metoda terapii przy leczeniu zaburzeń psychicznych znana była od niepamiętnych czasów i można odnaleźć ją zarówno w medycynie kultur ludów prymitywnych (szamani), jak i w wysoko rozwiniętej kulturze Egiptu, Grecji i Rzymu [...]. W średniowieczu ślad się gubi [...]. Wraz z Franzem Antonem

Mesmerem zaczyna się nowy okres, który przez teorie emanacji i magnetyzmu zwierzęcego po dużych perturbacjach doprowadził do nie uznawanej dziś jeszcze teorii sugestii, hipnozy [...]. Jest to stan wywołany sztucznie przez hipnotyzera, polegający na tzw. hamowaniu częściowym. Aktywne natomiast pozostają ośrodki czuwania, za których pośrednictwem możliwy jest kontakt słowny z osobą pogrążoną w śnie hipnotycznym [...]. Innymi słowy, świadomość zostaje obniżona z wyjątkiem ośrodka zmysłowego, nakierowującego się na dany punkt albo zespół pojęć. Medytacja jest zatem wyłączeniem procesu myślenia przy jednoczesnej koncentracji jednego lub kilku zmysłów na wybranym przedmiocie medytacji" [30].

Na wszystkich 12 tysięcy świętych! Czyż w miejscach objawień nie widać, jak tłumy wpatrują się nieruchomym wzrokiem w jeden punkt, na przykład w figurę Madonny? Jak dzięki

autosugestii popadają w stan hipnotyczny? Czy nie wyczuwa się wszystkimi nerwami, że w tym czasie świadomość ulega obniżeniu, a równocześnie wyczula się na cud? Prawie każdy z pielgrzymów od początku poddaje się zbiorowej sugestii. Wciąga ona nawet osoby stojące z boku. „Ludzie oddziałują na siebie przez *sensorium commune* (wspólne odczuwanie)" [31].

I nie są to bynajmniej przypuszczenia pana von Dänikena, lecz logiczny łańcuch dowodów skonstruowany przez lekarzy na podstawie badań. Kościół też wprawdzie dopuszcza „naturalne" wyjaśnienia, mimo to rezerwuje dla siebie uznawanie „prawdziwości" cudownych uzdrowień, jakie sprawił cud *via* objawienia przy współudziale Świętej Rodziny, łącznie z wszystkimi śpiewającymi „Alleluja".

Niechrześcijańskie uzdrowienia dzięki woli, koncentracji i „wierze”

Paramahansa Jogananda był jednym z najślawniejszych joginów naszych czasów. Założył on w 1917 roku organizację pod nazwą Self-Realization Fellowship, reprezentującą nad wyraz rozsądne poglądy, koncentrujące się wokół sedna nauki jogi:

„Bóg pomaga tym, którzy pomagają sobie sami. Dał On wam siłę woli i koncentracji, wiarę, rozum i zdrowy rozsądek, abyście sami mogli sobie pomóc. Wszystkie te umiejętności musicie wykorzystywać, prosząc Go równocześnie o pomoc. Kiedy modlicie się albo oddajecie się uzdrawiającym medytacjom, zawsze powtarzajcie, że potrzebna wam jest *wasza* siła, dana wam od Boga po to, aby wyleczyć siebie lub innych” [32].

Jogananda dokładnie znał prawa psychologii:

„Nigdy nie można przewidzieć, kiedy zostanie się uzdrowionym. Nie czas, lecz *wiara* zadecyduje, kiedy przyjdzie uzdrowienie. Końcowy wynik zależy od właściwego pobudzenia siły witalnej oraz od świadomych i nieświadomych stanów ducha zainteresowanego" [32]. Prawdy jogi, które nie znają wody święconej (jedno z sakramentaliów), jak ksiądz katolicki szczęścia małżeńskiego, dotyczą istoty cudownych uzdrowień. Wywodzą się one na pewno z niechrześcijańskich wierzeń, z ich filozofii i *wiedzy* o leczniczym działaniu autosugestii. Jogananda daje swoim uczniom wskazówkę, powszechnie praktykowaną w miejscach objawień i cudów: „Nie zapominajcie, że uzdrawiające słowa macie wypowiadać z właściwą intonacją, najpierw głośno, potem coraz ciszej, aż do szeptu; że konieczna jest przede wszystkim głęboka koncentracja i oddanie. W ten sposób przekazujecie *za pośrednictwem zmysłu*

sluchu do świadomości [...], a stamtąd do podświadomości albo świadomości automatycznej myśli o prawdzie, o której jesteście najgłębiej przekonani. Kto ma w sobie konieczną wiarę, dzięki tej metodzie zostanie uzdrowiony [...]" [32].

Nigdy nie słyszałem — i nie sędzę — żeby Jogananda był kiedykolwiek w Lourdes, w Fatimie czy w innym miejscu objawień. Ale jego metoda jest tam praktykowana: tłum ludzi zgromadzonych na wielkich placach śpiewa pełnym głosem pieśni, głośno odmawia różaniec lub powtarza modlitwy. W miarę zbliżania się do cudownego miejsca głosy chóru cichną, gdyż to, czego pragną, „musi przeniknąć przez zmysł

słuchu do świadomości". Potem jest już tylko szept. Pieśni ledwie słychać. „Wiara” została pobudzona, skoncentrowana i uaktywniona.

W większości przypadków wystarczy *wiara* w *skuteczność* metody leczenia, a w miejscach pielgrzymek — wiara w cud. Podświadomość rzeczywiście uruchamia chemiczno-elektryczne funkcje mózgu: „Kiedy impulsy nerwowe [...] docierają do mózgu, wyzwalają różne reakcje chemiczne” (Campbell).

Prawda, że sama wiara w skuteczność leku może powodować uzdrowienia, potwierdza się bardzo często przy klinicznych próbach nowych preparatów farmaceutycznych. Pacjentów dzieli się wówczas na dwie grupy: jedna grupa otrzymuje nowy lek, druga — *placebo* (obojętną w działaniu substancję, najczęściej „przyprawione” nieco do smaku cukrowe pigułki tego samego kształtu i barwy, co testowany lek). Leslie M. LeCron mówi o wyniku: „Stwierdzono,

że większa część grupy kontrolnej reaguje na *placebo* tak samo, jak ci, którzy przyjmowali prawdziwy preparat. Reakcję taką należy przypisać sugestii".

To, co Paramahansa Jogananda określa jako siłę woli i koncentrację w celu uzyskania efektów leczniczych, medycyna nazywa sugestią. Jogin i lekarz dalecy są od chrześcijańskiego kokietowania cudem, ale wiedzą, jak się dokonują „cuda”.

Paracelsus wiedział o tym przed 450 laty

Zupełnie nie potrafię zrozumieć tego tępego uporu i częściowej ślepoty. Bo przecież to wszystko, czego teolodzy nie mówią w jasny sposób o „cudach”, było znane już 450 lat temu.

Theophrastus Bombastus von Hohenheim (1494—1541), zwany Paracelsusem, prekursor nowożytnej medycyny, głosił prymat „duszy” nad ciałem w życiu zdrowego i chorego

człowieka. On pierwszy rozpoznał pomijane dotychczas patologiczne zależności i nowe obrazy chorobowe nerwic i psychoz. W centrum umieszczał człowieka, którego uważał za mikrokosmos. Głosił zasadę, że uzdrowienie jest dziełem siły witalnej i woli życia. O nowoczesności poglądów Paracelsusa świadczą cytaty z jego traktatu *Imaginatio {Wyobraźnia}*:

„Człowiek jest podporządkowany sile
wyobraźni, a wyobraźnia ta,
niewidoczna wprawdzie i niepojęta, oddziałująca
fizycznie w materii
i przez materię, jak gdyby sama materią była.
Wyobraźnia może spowodować chorobę,
straszliwą chorobę, ale
może też przynosić radość i zdrowie.

Z tego wynika, że wyobraźnia jest czymś ponad naturą, gdyż nią rządzi, usuwa cechy wrodzone w sposób, jakiego nie zna niebo ani ziemski przyroda.

Z tego wynika, że lekarz nie wszystko może, a im silniejsza jest wyobraźnia chorego, tym mniejsza skuteczność działania lekarza.

Dlatego wielu odzyskuje zdrowie wierząc w wyobraźni, ale też wielu ulega chorobie.

Dzięki wyobraźni [budzi się] wiara zarówno w cuda świętych, jak i w leki..., że uzdrowienie przypisują świętym i cudom [...], chociaż wszystko bierze się z wiary w wyobraźnię. Jakąkolwiek byłaby ta wiara, słuszna czy fałszywa, wszystko zależy od wyobraźni.

Jeśli nawet pojawiłby się fałszywy prorok,
którego ludzie uważaliby
za błogosławionego albo świętego i
przypisywaliby mu cudowne
czyny i pokładali w nim nadzieję, to i tak będą
się dokonywały cuda.

Nie przez jego moc, lecz przez siłę tych, którzy
wzbudzili w sobie
tak silną wiarę.

Wiemy też, że ci, którzy przez wiarę czynią
cudowne „znaki” i mówią
przy tym w imieniu Jezusa: „Wstań i bądź
uzdrowiony” — też
rozumują błędnie, cuda bowiem, jakich
dokonują, biorą się nie od
Boga, lecz z siły chorych. Chorzy odzyskują
zdrowie nie dzięki
szczególnym darom tego, w kim pokładają
nadzieję, lecz przez wiarę,
jaką on w nich obudził.

Dlatego nie tylko u chrześcijan są święci, lecz także u Turków, Daków etc. Dlatego nie ma istotnego znaczenia osoba proroka czy świętego, lecz silna wiara tego, kto został uzdrowiony bez fałszywej wiary, bo taka byłaby bałwochwalstwem. Nie ma organicznych schorzeń, które byłyby nieuleczalne, prócz tych, jakie podsuwa wyobraźnia. Bo wielkie niezrozumienie i nieznajomość natury jest u owych, każdego dnia można się przekonać o tym, ile niepotrzebnego rodzi się w głowach, którym brak rozumu" [33].

Christian Science

Podsumujmy:

—co przeczytał około 2100 roku prz. Chr. autor

zawartego w *Upa-niszadach* traktatu
„Zmęczonego życiem rozmowy ze swą
duszą”...

—co Arystoteles (384—322 prz. Chr.) podniósł
do rangi nauki swoją psychologią grupową, a co
my odtwarzamy dopiero teraz...

—co Kartezjusz (1596—1650) i Baruch Spinoza (1632—1677) postulowali w swych filozoficznych tezach na temat „własnego myślenia człowieka”...

—co Gottfried Wilhelm Leibniz (1646—1716) objaśnił jako istnienie spontanicznych jednostek substancji duchowych przez wprowadzenie pojęcia „harmonii wprzód ustanowionej”...

—co John Locke (1632—1704), zajmując się analizą pochodzenia wiary ludzkiej, wywodził z doświadczenia (sensualizm) oraz refleksji, negując koncepcję idei wrodzonych...

—co jego rodak David Hume (1711—1776) w *Traktacie o naturze ludzkiej* przypisywał wrażeniom jako jednemu źródłu poznania...

—co Wilhelm Wundt (1832—1926), twórca psychologii eksperymentalnej, wysuwał na pierwszy plan w swych badaniach nad określeniem woli i świadomości ludzkiego istnienia...

—co Wilhelm Dilthey (1830—1911) sprawił twierdzeniem, że „człowiek w przeżyciu istniał pierwotnie jako całość”...

—co Sigmund Freud (1856—1939) rozwinął jako nowe teorie, opierając się na swoich doświadczeniach w leczeniu nerwic...

—oraz co Carl Gustaw Jung (1875—1961), twórca kierunku zwanego psychologią analityczną oraz typologią osobowości, wniósł do dyskusji jako teorię energii psychicznej, rozwoju odrębności (indywidualnej osobowości), jak również wiedzy o jednostkowej i zbiorowej nieświadomości...

Otóż na podstawie tego, co ci uczeni myśleli, badali i czego dowiedli, można wytłumaczyć wszystko, czego rzekomo nie da się wytłumaczyć. Jeśli nawet nie zna się twórców teorii i uczniów kontynuujących ich dzieło, to idee te i doświadczenia stały się częścią naszego powszedniego dnia. A jednak podany niżej

przykład dowodzi, iż mimo istnienia nauk ścisłych, ciemnota mas jeszcze dziś pozwala „twórcom religii” odnieść sukces.

Mary Baker-Eddy

Mary Baker-Eddy urodziła się 16 lipca 1821 roku w Bostonie i tam zmarła 3 grudnia 1910 roku. Można ją nazwać wielką twórczynią religii nowych czasów. W roku 1866 założyła kościół Christian Science. Społeczność ta, zorganizowana w kościele macierzystym z własnym obrządkiem, posiada ponad 3000 gmin na pięciu kontynentach, wydaje znakomicie redagowaną gazetę „Christian Science Monitor”, ma kilka

milionów wyznawców i własną biblię *Science and Health (Nauka i zdrowie)*, której wydania osiągnęły astronomiczne nakłady.

Mother Mary — matka Mary, gdyż tak się mówi o córce farmera z New Hampshire, jest przykładem, jak dzięki niesłabnącej energii, ogromnej ambicji i niezawodnej umiejętności oddziaływania na masy, a także słabości do brzęczącej monety, można nawet w tak rzekomo oświeconym naszym stuleciu stać się twórcą nowiutkiej religii z całą jej pompą, obrządkiem i obietnicą zbawienia (pewnie łącznie z cudami!).

Zdaniem lekarzy Mary Baker była „przypadkiem” psychopatologicznym. Siódme dziecko w purytańskiej rodzinie było „obcym ciałem”. Dziewczynka na każde skarcenie czy wypowiedzianą nieco głośniejszą wymówkę reagowała histerycznie — poznaliśmy symptomy hysterii — i rzucała się na podłogę. Wiemy, że osobnicy o takich predyspozycjach mogą

bezwiednie wywoływać u siebie drgawki (dzięki zaburzeniom równowagi kwasowo-zasadowej). Mary potrafiła to doskonale, ilekroć chciała. Rodzina przez długi czas martwiła się o nią, a nawet uważała małą histeryczkę za osobkę niezwykłą, póki lekarz nie orzekł, że jest ona zupełnie zdrowa, zaś drgawki wywołuje sama przez autosugestię.

Diagnoza na nic się nie zdała. Przez lata mała Mary naginała wszystkich do swojej woli, a kiedy osiągnęła cel, stawała się uosobieniem słodczy. Rodzina farmerów była uszczęśliwiona, kiedy biznesmen Washington Glover poślubił dwudziestodwuletnią ekscentryczną panienkę. Ale radość Bakerów z uwolnienia się od Mary trwała tylko dwa lata. Glover zmarł w 1844 roku na żółtą febrę.

Mary została sama, wzięła ją więc do siebie jej siostra Abigail. Mary zaczęła jak dawniej praktykować „ucieczkę w chorobę”. Stała się

utrapieniem dla otoczenia. Tak dalece pograżyła się w urojonej chorobie, że nawet mięśnie odmówiły jej posłuszeństwa, a lekarze podejrzewali *myelitis* (zapalenie rdzenia kręgowego). Tajemnicę, ile w tym było przez całe życie prawdziwej choroby, a ile autosugestii, „*The holy Mary*” zabrała ze sobą do grobu.

W każdym razie miała jeszcze dosyć bezprzykładnej energii, aby pewnego dnia wstać z łoża boleści w celu zasięgnięcia porady u wędrownego lekarza-cudotwórcy, Pattersona. Mary zwykła zawsze osiągać to, co sobie postanowiła, więc i teraz nie skorzystała wyłącznie z medycznej konsultacji. Przywołała na pomoc cały swój wdzięk — i cudotwórca w końcu ją poślubił. Miała wtedy trzydzieści dwa lata. Podczas wojny domowej (1861—1865) Pattersona powołano do wojska, potem został internowany i nie dawał znaku życia. A u Mary ani śladu boskiej inspiracji!

Wróciła więc z upodobaniem do swoich chorób. Zawsze jednak czuwały nad nią jakieś dobre, troskliwe duszki. Znów dowiedziała się o cudownym lekarzu, niejakim Phineasie Quimby, właścicielu dobrze prosperujących „gabinetów” w śródmieściach większych miast. Quim-by, kiedy zajmował się jeszcze zegarmistrzostwem, był świadkiem seansu przeprowadzanego przez jednego z mesmerystów, który hipnotyzował swych pacjentów. Zegarmistrz stwierdził wówczas, że on też by to potrafił, powiesił więc zegary na kołku i został lekarzem--cudotwórcą. Wymizerowana Mary zebrała pieniądze na podróż i kolejną pojechała do Portland — tym razem rzeczywiście pomocnicy mistrza musieli wtaszczyć ją do gabinetu zabiegowego. W tydzień później Mary była zupełnie zdrowa.

W jaki sposób Quimby sprawił „cud”, że ozdrowiała?

Lecz się sam, a będziesz zdrowy

Quimby wcale nie dokonał cudu. Mary wybrała się w tę ostatnią podróż w takim stanie psychicznym, jak pielgrzymujący do cudownych miejsc. Oto ostatnia stacja, teraz albo nigdy dokona się cud uzdrowienia. A Quimby nie robił nic innego niż Emile Coue (1857—1926), który dawał chorym sugestywne rozkazy, że powinni, że muszą wyzdrowieć. Zasadę tę Coue odwrócił, doradzającym chorym, aby stosowali autosugestię, wmawiając sobie: „Będę zdrow. Już czuję się lepiej. Jestem zdrow!” (coueizm w latach dwudziestych był tak popularny, że jego „recepty” autosugestii stały się sloganami i przeszły do języka potocznego).

Mądry pan Quimby przejrzał ludzi szukających uzdrowienia. Wielu przychodziło z chorobami *urojonymi* (jak Mary!) i *ich* oczywiście mógł uzdrowić autosugestią.

Szcześliwa godzina Mary

Były to dobre czasy dla pomysłu Mary o uzdrawianiu, bo cała ta *Christian Science* nie jest niczym innym, jak wykorzystywaniem sugestii, wzbogaconej dymem kadzideł i religijnej magii. Recepta była wzruszająco prosta: Ulecz się sam! Mary nie została wcale natchniona przez Ducha Św., jak nieugięcie twierdziła, ideą misji uzdrawiania ludzi. Był to stary, ale wiecznie aktualny problem. Ona sama chciała uwolnić się

od chorób, które sobie wmówiła. Wyzdrowiała, *rozpoznała przyczynę* i zrobiła z tego — wierna przez całe życie przyświecającemu jej pragnieniu dokonania czegoś niezwykłego — zapowiedź zbawienia. Schwycenie dobrej okazji w przywykłej do *publicity* Ameryce jest czymś bez porównania łatwiejszym niż w regionach cudownych objawień pilnie strzeżonych przez strażników w sutannach.

Wspinanie się Mary na szczyty kariery religijnej było uciążliwe i żmudne, podobnie jak — według nie pisanych prawideł — bywały zapewne wszystkie kariery głosicieli zbawienia, świętych i jasnowidzów. Naciągała ludzi na pożyczanie wszystkiego, co było jej potrzebne do życia, i ani na chwilę nie traciła z oka zamierzonego celu. W wieku pięćdziesięciu lat zaczęła pisać swoją „biblię”. Terroryzowała każdego, kto chciał jej wejść w drogę, przez ogłoszenia szukała uczniów (apostołowie!),

którym za wysokie honoraria wtlaczała do głów swoją naukę zbawienia. W ten sposób zgłasza się dwudziestojednoletni robotnik Richard Kennedy, który koniecznie chce zainwestować swoje oszczędności. Mary zawiera z nim umowę na warunkach podziału *fifty-fifty* przyszłych dochodów i tak ćwiczy „doktora” Kennedy’ego w *principles of science*, iż już niedługo może przygotowanego do głoszenia nauki *holy Mary* adepta przedstawić klienteli.

Mary zaczyna wkrótce zazdrościć uczniowi, gdyż młody robotnik — „doktor” Kennedy — również odnosi sukcesy. Próbuje więc powiększyć armię apostołów, aby pozbyć się kompleksu. *Mother Mary* organizuje przyspieszone kursy ranne, popołudniowe i wieczorowe (płatne od 100 do 300 dolarów). Temat szkolenia: *moral science*. Z tego terminu robi później pokupny towar ze znakiem *Christian Science*. Napływ zainteresowanych jest

tak duży, że Mary otwiera filie, które później staną się kościołami.

Biblia *holly Mary* zdobywa rynek

W roku 1875 ukazuje się drukiem pierwszy tekst biblii *Science and Health*. (Biblia Mary ma też, jak przystoi, „tekst pierwotny”, który będzie na bieżąco korygowany.) Na każdym egzemplarzu, wydanym własnym nakładem, głosicielka zbawienia zarabia jednego dolara, a w roku 1875 było to mnóstwo pieniędzy. Wszystko rozwija się pomyślnie (jak w każdej gminie religijnej mającej w programie cuda). Płyną dolary. Mary wygłasza kazania, za które pobiera honoraria. W roku 1877 wychodzi za mąż za Gilberta Eddy'ego (przy którego

łożu jej cudowne leczenie całkowicie zawodzi, bo Eddy jest rzeczywiście chory i umiera). Introwertyczka, zapatrzona w swoje posłannictwo, żyje z niewyczerpanego kapitału potężnej energii i umiera jako posiadaczka kilkumilionowej fortuny.

Przedtem zdołała jeszcze zaspokoić jedno pragnienie: ogłosiła zbiórkę pieniędzy na budowę macierzystego kościoła w Bostonie (wzorowanego na katedrze florenckiej). W ciągu dwu miesięcy zgromadzono na kontach budowy ponad dwa miliony dolarów, budowla mogła zatem być wyższa, większa i droższa niż jakakolwiek inna (w owym czasie) w Bostonie.

„Po raz pierwszy w czasach nowożytnych wierni wzniesli żyjącej kobiecie świątynię — nic dziwnego, że wkrótce nazwą ją świętą...” [34] pisze Stefan Zweig w znakomitym eseju biograficznym „Mary Baker--Eddy” w książce *Uzdrowienie przez ducha*. Zweig charakteryzuje

naiwną „naukę” *mother Mary*, założycielki religii:

„[...] jest to strasznie proste: Bóg, jak wiecie, jest synonimem dobra. Człowiek może być zatem tylko istotą boską, a że wszystko, co boskie, jest dobre, jakże więc w tej kopii obrazu Boga mogłoby zamieszkać coś tak złego, jak choroba, słabość, śmierć i starość? Człowiek może sobie co najwyżej wmówić, może ewentualnie dzięki zwodniczemu zmysłom wyobrażać sobie, że jego ciało jest chore” [34]. *Holy Mary* wypróbowała to na sobie, musiała więc wiedzieć. Tymczasem *my* wiemy, że ta zmerkantylizowana religijna metoda leczenia nie jest bynajmniej pozbawiona sensu.

Mimo wszystko warto się zastanowić: jeśli ambitna kobieta *naszych* czasów, wiedząc o leczniczym oddziaływaniu sugestii i autosugestii leczy, zyskuje rozgłos (cuda) i tworzy nową, przyjętą przez wielu na świecie *religię* (!), to o ile łatwiej powinny dokonywać się cuda w miejscach

pielgrzymek, w dymach kadzideł, przy
wypróbowanych w ciągu dwu tysięcy lat
obzędach ze wszystkimi optycznymi i
akustycznymi dodatkami...

Widać łąd!

Nowoczesne środki komunikacji i powszechna
chęć podróżowania zbliżyły ludzi do siebie.
Obecnie wie się o sąsiadach znacznie więcej, niż
kiedykolwiek przedtem. Młodociany tramp, który
rankiem stoi przed bazyliką w Fatimie i
uczestniczy w cudzie, wzrusza z lekceważeniem
ramionami: „Co to jest? Cztery tygodnie temu
widziałem to już w Karaczi!” Hindus Swami,
który karmi swych spragnionych

słuchaczy cudownymi opowieściami, od dawna ma konkurencję w instytutach zajmujących się parapsychologią, są one bowiem w stanie dokładnie ogołocić z cudowności jego bajki. Co w krajach Dalekiego Wschodu może być jeszcze sprzedane jako cud i boska inspiracja, na Zachodzie od dawna jest już trzeźwą wiedzą.

Wyznawcy prymitywnych religii mogą jeszcze wierzyć, że bogowie zsyłają choroby i tylko bogowie mogą je oddalać, ale medycyna krok po kroku będzie eliminowała religijne przesady, również w regionach, dokąd na razie nie dotarła jeszcze cywilizacja. Człowiek prymitywny nie potrafił sam dokonywać uzdrowień, dlatego szukał kapłana, który miał pośredniczyć między nim a dalekim, nieznanym bóstwem. Dla człowieka światłego „pośrednikami” w usuwaniu chorób są lekarze: ogólni, specjaliści, psychologowie i psychoterapeuci. Ich praktyki pachną eterem, chloroformem, nie potrzebują

odurzającego dymu kadzideł. Leczą bez robienia wielkiego szumu. Mówię otwarcie: *kto dziś tworzy religie dlatego, że umie leczyć, jest oszustem.*

Czy można to powiedzieć bardziej wprost, bez owijania w bawełnę, niż Richard Serjeant w swojej książce *BóP*.

„Wszystkie religie obiecują przyszłe życie, wszystkie głoszą, że określone osoby, dzięki określonym naukom czy ćwiczeniom, mogą osiągnąć bezpośredni dostęp do wyższych stanów bytu. Osobami takimi są kapłani, wtajemniczeni, święci itd. Tego rodzaju wyjątki są charakterystyczne dla prymitywnych przesądów, dla greckiej mitologii, buddyzmu, katolicyzmu i większości religii [...]. Skoro tylko jakaś religia próbuje być racjonalna czy realistyczna, traci swą władzę.”

Żądni cudów są zawsze gotowi

Wielu ludzi *naszych* czasów gotowych jest ciągle jeszcze iść na lep różnych „twórców religii” oraz sekt, jeśli te niezłomnie twierdzą, że swą wiedzę i poznanie czerpią wprost od Boga, że ich droga — a za chęć, żeby na nią wstąpić — jest pierwszą i jedyłą, i gwarantuje błogosławionym zbawienie. Te „nowoczesne” sekty [35], czyniące cuda, istnieją na całym świecie. Oto niektóre z nich: Maharashi Ji (Misja Boskiego Światła) Kościół Szatana

Dzieci Boga

Zakon Psiej Krwi

Lud Jezusowy

Źródła Świata

Kościół Życia Powszechnego

Kościół Sądu

Ostatecznego

Filognozja

San Myung Mun

Dzieci Lou i Mień

Hare Krishna

Scientology itd., itp.

Jest to lista bardzo niekompletna. Liczba pobożnych, żadnych cudów sekciarzy nie jest dokładnie znana. Wiadomo za to, że sprytni „twórcy religii” inkasują, inkasują, inkasują..., idąc za wzniosłym przykładem twórców wielkich religii. Wydaje się interesujące, że założyciele sekt na Zachodzie w ostatnich czasach ciągle jeszcze przyznają Jezusowi status istoty nadnaturalnej, chociaż sami *nie chcą* uchodzić za chrześcijan. W swym fanatycznym despotyzmie twórcy sekt zapewne zapominają, że znalazłszy się w wartkim prądzie rzeki, nie tylko konie, ale również ludzie zmieniają kierunek, drogę i cel.

U świętych źródeł

Bezpośredni związek z objawieniami mają

często pierwsze widoczne cuda: wizjonerka albo wizjoner odkrywają źródło! „Nagle” wytryskująca z ziemi woda, która później prawdopodobnie będzie sprawiała cudowne uzdrowienia, nie jest jednak „cudem” objawionym dzięki zrządzeniu niebios.

Nie wdając się w spory naukowców na temat fenomenu różdzkar-stwa, powiem, że skuteczność różdżki była znana, odkąd istnieje ludzkość.

Mojżesz wyczarowuje wodę ze skały

Mojżesz wiódł synów Izraela przez pustynię, a nie było wody. Lud szemrał i domagał się jej od Mojżesza, który przed wyjściem z Egiptu obiecał, że ugasi ich pragnienie.

„I rzekł Pan do Mojżesza: Przejdź się przed ludem i weź z sobą kilku ze starszych Izraela. Weź także do ręki laskę swoją, którą uderzyłeś Nil, i idź! Oto Ja stanę przed tobą na skale, tam,

na Horebie, a ty uderzysz w skałę i wytryśnie z niej woda, i lud będzie pił" (II Mojż. 17, 5—6).

Skąd Mojżesz wiedział o paranormalnych właściwościach różdżki? Werner Keller opowiada o nowoczesnym odpowiedniku tego wydarzenia:

„Podczas pierwszej wojny światowej brytyjski korpus ekspedycyjny na półwyspie Gallipoli w Turcji cierpiał na brak wody w palącym skwarze. Sapper S. Kelley z Melbourne, w cywilu inżynier, wziął wygięty miedziany drut i zaczął przeszukiwać okolicę. W pobliżu kwatery sztabu dywizji różdżka odchyliła się gwałtownie. Zaczęto tam kopać i natrafiono na źródło, które w ciągu godziny dawało 10 tysięcy litrów czystej, chłodnej wody. Kelley szukał i znalazł w ciągu tygodnia trzydzieści dwa podziemne źródła. Odkryte zasoby wody wystarczyły do zaopatrzenia stu tysięcy ludzi w codzienne racje, wynoszące cztery i pół litra na głowę" [36].

Trzeba mieć taki dar

Można się spierać, *jak i dlaczego*, ale wiadomo, że umiejętność posługiwania się różdżką jest *darem wrodzonym*, a więc nie można się tego

nauczyć. Profesor J. Walther sądzi, że 10—15% ludzi posiada taki dar, choć nie wiedzą o tym. Wiadomo również, że ludzie uwrażliwieni medialnie muszą często chodzić w te same miejsca, żeby uzyskać wynik pozytywny. (Także źródła w miejscach objawień „wytryskują” po kilkakrotnej bytności tam wizjonera.)

Pobożnemu różdżka niepotrzebna

Moim zdaniem nie jest ważne, czy różdżka zrobiona jest z drewna, fiszbinu czy z drutu; mnie ciekawi pogląd jezuitę Athanasiusa Kirchera (1601—1680), który w książce *De arte magnetica* powiada, iż działa tu „motoryczny wpływ oparów i pary”, oraz bardzo interesujące stwierdzenie mineraloga Agricoli (1494—1555) w książce *De re metalika*, że „pobożnemu górnikowi nie jest potrzebna różdżka” [37].

Żaden z naukowców nie zaprzeczy, że istnieją nie wyjaśnione dotąd zjawiska z dziedziny fizyki. Nikt dotychczas nie był w stanie wytłumaczyć, w jaki sposób np. do człowieka znajdującego się w klatce Faradaya docierają fale elektromagnetyczne. Czy można poważnie negować radiestezję, wrażliwość na promieniowanie? Dlaczego ludzie

obdarzeni taką wrażliwością nie mogliby reagować w terenie, gdzie znajduje się źródło, na występujące tam pionowe spadki potencjału fal elektromagnetycznych?

14 miliardów neuronów (komórek nerwowych) łączy się w mózgu z setkami innych. „Pobudzenie neuronu [...] dokonuje się prawdopodobnie przez jony. Wysyłany prąd stały zmienia się przejściowo w prądy zmienne, które przekazują sygnał aż do najodleglejszych krańców pobudzanej drogi” [38].

Nie ma dwu osób identycznych. Kto ma odwagę kwestionować możliwość istnienia szczególnych cech tylko dlatego, że ich obecności nie można poprzeć dowodami? Prawdopodobnie istnieją „cząsteczki energii pozbawione masy”, które mogą kontaktować się z nerwami mózgu. A czy nie mogą one wywoływać z naszego komputera-mózgu zakodowanych tam informacji? Jeśli taka

możliwość istnieje, to istnieje też nie zidentyfikowane jeszcze naukowo pole sił. Andreas i Kilian wskazują na wyniki badań eksperymentalnych, które pozwalają domyślać się istnienia nie określonych jeszcze dotąd mikrocząsteczek, dopomagających w bezpośrednim docieraniu informacji do naszej świadomości — „mikrocząsteczkowej transmisji informacji przekraczającej możliwości współczesnej techniki”.

„Tropiciele” świętych źródeł

Wizjonerki i wizjonerzy są indywidualnościami wysoce uwrażliwionymi. W *takim i tylko w takim* sensie można ich nazwać wybrańcami natury. Kilkakrotnie powracają na miejsca swoich objawień, pogrążeni w ekstazie przebywają tam wiele godzin, oddając się modlitwie, medytacjom, ulegają autosugestii. Ciągnie ich zawsze do *tego* miejsca, właśnie tylko do tego i

tylko tam miewają widzenia. Czy wybór miejsca jest uzależniony od wyczuwanej podświadomie żyły wodnej? Czy należy domyślać się tam radiacji — energii podobnej do elektrycznej? Czy właśnie tam natrafiają na potrzebną im częstotliwość drgań? [39] Nie, wizjonerom nie są potrzebne różdżki do wykrywania świętych źródeł. Ściślej mówiąc: nie są im potrzebni różdżkarze, ponieważ według prawideł ideomotorycznych*, są oni właściwie „optycznymi wzmacniaczami minimalnych zmian napięcia" w mięśniach.

* Nauka o motorycznej sile wyobrażeń.

Cud z gruszą Mamy Rosy

Wy tłumaczenie „cudu” znalazłem dosłownie na skraju drogi. Kiedy wiosną przejeżdżałem koło Jeziora Bodeńskiego wśród bajkowo pięknych, kwitnących sadów, przypomniała mi się moja marcowa wizyta w San Damiano u Mamy Rosy i cud, jaki sprawiła tam „piękna Pani” z gruszą rozkwitłą w październiku 1964 roku — widocznym znakiem niebios w tym atrakcyjnym spektaklu.

Zatrzymałem samochód na poboczu i w telegraficznym skrócie przedstawiłem napotkanemu sadownikowi fakty, pytając, czy może się zdarzyć coś podobnego: równocześnie dojrzałe owoce i kwiaty. Człowiek ów skinął twierdząco głową, ale powiedział, że nie potrafi tego wyjaśnić. Bądź co bądź dowiedziałem się, że kwitnąca w październiku grusza Mamy Rosy nie jest zjawiskiem wyjątkowym, „przełamaniem

praw przyrody" w rozumieniu cudów uznawanych przez Kościół.

Informacje uzyskane u botaników.

Grusza i śliwa (która także zakwitła w październiku) zaliczają się do rodziny różowatych (*Rosaceae*). Grusza należy do długokorzennych, potrzebuje ciepłego gruntu, zakorzenia się na głębokość około trzech metrów. Nie powinno tam być wody podskórnej, gdyż grusze są na nią uwrażliwione. Śliwie najlepiej służy gleba w miarę wilgotna, ale podobnie jak spokrewniona z nią grusza, potrzebuje ciepłego klimatu. Obydwu drzewom wystarcza roczny opad około 600 mm. W takich warunkach owoce dojrzewają w jednej porze roku; szczególnie korzystne warunki klimatyczne są na południowy wschód od Mediolanu.

Rytm ten może być zakłócony przez nie spotykane o tej porze roku opady i chłody, po których — jak jesienią we Włoszech — przy-

chodzi pogoda umiarkowanie ciepła. Wskutek szoku wywołanego chłodem i deszczami — jedno i drugie miało miejsce w roku 1964 — drzewa „nastawiły się” na wiosenną wegetację (chłód i wilgotność gleby powodują zahamowanie biochemicznych procesów przemiany materii) i wytworzyły hormony kwiatowe. Jeśli zdarzy się nawrót ciepłej jesieni, dochodzi wówczas do botanicznego „cudu” — obok dojrzałych owoców zakwitają jesienne kwiaty. Zakwitają one „nagle” i równie szybko opadają, nie dając owoców, bo nie ma już pszczoł, a trzmielce dawno zaczęły okres zimowania.

Jeśli nawet zależność enzymów i hormonów w procesie wzrostu roślin pozostaje nadal zagadką, to pewne jest, że kwitnąca grusza i śliwa Mamy Rosy to nie cud, który dokonał się za sprawą sił niebieskich,

lecz zjawisko dające się wyjaśnić, a które szwajcarski sadownik nazwał po prostu „kwiatami jesieni”. Tak szybko opadają cuda z drzewa poznania!

Choroba — dar od Boga?

„Człowiek chory jest dla nas darem Boga, bezpośrednią łaską, i tak powinien być przez nas przyjmowany. Jest on dla nas łaską przede wszystkim dlatego, że daje nam możliwość okazania wrażliwości serca, która nazywa się miłosierdziem” — twierdzi jezuita Ladislaus Boros, wykładowca religioznawstwa w Innsbrucku [40]. Wobec takiego teologicznego bajdurzenia ten, kto nie jest jeszcze chory, powinien zachorować. Oto rodzaj wątpliwego masażu duszy, jaki aplikuje się nam od przedszkola. Nad wszelkim działaniem kładzie się niby cień irrealistyczne pojęcie „grzechu

pierworodnego" („*sine metu Dei, sine filducia, cum concupiscentia*” — bez bojaźni Bożej, bez ufności, z pożądaniem), wpajane chrześcijaninowi na każdym kroku. Wychowanym w tej nauce potrzeba niesłuchanej odwagi, żeby mogli uwolnić się wewnętrznie od wszystkich tych grózb.

Już czas poruszyć temat seksualnych zahamowań chrześcijan. Do aktu samowyzwolenia należy chyba *także* i to, choć nie jest kluczem, którym dałoby się otworzyć bramy osobistej wolności i odpowiedzialności wobec zasad moralnych. Rewolucyjna (w swoim czasie) teza Sigmunda Freuda, jakoby wszystko bez wyjątku znajdowało wytłumaczenie w życiu seksualnym, dzięki nowym badaniom jest już od dawna przestarzała.

Chrześcijańska tradycja z całym wyrafinowaniem swych dogmatów od dwu tysięcy lat tkwi w niewiedzy. Wzruszające

legendy o Jezusie z cierpiącą Marią, cierpiącymi apostołami i świętymi cierpiętnikami zakodowane są w szarych komórkach nawet nie praktykującego chrześcijanina.

Dla praktykującego chrześcijanina ów zakodowany wzorzec oznacza stałą gotowość do wierzenia w cuda i cudowne uzdrowienia, pojmowane jako przejawy łaski Boga. Nim jednak jakiś wierzący „Łazarz” uda się z pielgrzymką do świętego miejsca, poddawany jest praniu mózgu: wszyscy, cała jednomyślna rodzina, przyjaciele i księża natarczywie przekonują chorego, tłumacząc, dlaczego uczestnictwo w pielgrzymce jest dla niego „ostatnią deską ratunku”. Od tej chwili, udręczony cierpieniem, dniem i nocą żyje zaszczerpioną mu nadzieją na cud.

W końcu kurczowo chwyta się zbawiennej myśli: skoro innym pomogły dzieci z Fatimy czy mała Bernadetta z Lourdes, dlaczego nie miałyby pomóc także jemu? I jest to skuteczna terapia. Przy łóżku chorego śpiewa się pieśni maryjne, odmawia różaniec, oblicza i obiecuje stosowny grosik za ewentualne uleczenie. Chory nawet nie przeczuwa, że być może od tej właśnie chwili zaczyna się proces samouleczenia i że to on sam uruchomił ów mechanizm *psychofeedbackul*

Wszystko, co zostało tak zmyślnie przygotowane w pokoju chorego, w miejscu pielgrzymek oddziaływa znacznie silniej przez ogólny nastrój, wspólne uczucia łączące bezimienny, przepojony jedną myślą tłum wierzących w cud. Już to opisywaliśmy. U celu podróży, mającej przynieść wyzwolenie, bardziej „wyczuwa się” Jezusa, Marię i świętych, niż w powszednim chrześcijańskim dniu, w swoim kościele. Gdzie indziej również zdarzają się

uzdrowienia, jednakże oparte na innych przesłankach i regułach.

Lekarze ducha

W Ameryce, Europie i Azji działa kilka tysięcy „lekarzy ducha”. Wśród tuzina, których poznałem, spotkałem ludzi chętnych do niesienia pomocy innym, często nieśmiałych, zawsze skromnych, wykonujących swój fach bez obrządku religijnego i krygowania się. Za prowadzoną działalność biorą oni naturalnie zapłatę, nie są to święci — *oni* nie mogą żyć powietrzem i miłością. Odnosiłem się sceptycznie do ich możliwości nie dających się zdefiniować z fizyczno-medycznego punktu widzenia. Dlatego też umówiłem się w restauracji w Aarau z pewnym młodym, rozgarniętym i znanym w mojej ojczystej Szwajcarii człowiekiem, Marcusem Broglerem, „leczącym ducha”. Podśmiewałem się z niego i zapytałem, czy sam

wierzy w swoje czary? Marcus podniósł się z miejsca i stanął za mną. — Co tam robisz? — zapytałem. — Siedź jak siedzisz. Nie dotknę cię. — Popijałem piwo. Nie upłynęła minuta, gdy poczułem, jak gdyby ktoś przesuwiał mi wzdłuż kręgosłupa gorące żelazko. Odwróciłem się. Marcus wrócił na miejsce, zamówił następną kolejkę i drwiąco spytał: — Poczuleś czary?

Żyjemy przecież w labiryncie cudów i czarów. Wychodzą one z pieca wielkiej koniunktury jak gorące bułki, upieczone i nie dopieczone, mniej lub bardziej smaczne, ściślej mówiąc: spod pras drukarskich wychodzą książki, które opowiadają nam o tajemnych mocach telekinezy i telepatii, próbujące zaoferować nam cuda.albo wytłumaczyć, jak je

robić, książki zawierające relacje z działalności filipińskich „chirurgów” na Filipinach lub przekopujące się przez rozległe obszary parapsychologii. Gdybym więc jeszcze ja chciał dorzucić kolejny przyczynek z tej dziedziny, miałyby to tyle samo sensu, jak eksportowanie snów do Aten, precyzyjnych chronometrów do Genewy, elegantek do Paryża czy piwa do Monachium. Nie wyjdę poza granicę wyznaczoną chorągiewkami, pozostanę przy OBJAWIENIACH.

Ciała zmarłych nie ulegają rozkładowi

Paramahansa Jogananda, który tyle mądrych rzeczy napisał na temat leczenia sugestią, zmarł 7 marca 1952 roku w Los Angeles. Podano, że jego ciało — jak podobno często bywa z doczesnymi szczątkami świątobliwych osób — po trzech tygodniach nie wykazało żadnych oznak rozkładu. Harry T. Rowe, dyrektor cmentarza Forest Lawn Memorial Park w Los Angeles,

wystawił dokument, w którym stwierdził, co następuje:

„Brak jakichkolwiek oznak rozkładu ciała Paramahansy Joganandy jest najbardziej niezwykłym przypadkiem w naszej praktyce [...]. Nawet po upływie dwudziestu dni od jego śmierci nie odnotowano też zapachu towarzyszącego procesowi rozkładu" [41]. Oto materiał, na którego podstawie kreuje się świętych! Inge Santner donosi w zuryckim „Weltwoche" [42] o odczycie wiedeńskiego psychiatry i neurologa dr. Gerharda Kaisera, docenta medycyny sądowej na uniwersytecie w Salzburgu, wygłoszonym w Wiedeńskiej Akademii Katolickiej.

Dr Kaiser dowodził, dlaczego zwłoki świętych nie ulegały zmianie przez dziesiątki, a nawet setki lat po śmierci. Kurt Tucholsky w książce *Księga Pirenejów* zamieszcza znakomitą relację z Lourdes: „Teraz, po jej beatyfikacji w ubiegłym

roku, ekshumowano zwłoki Bernadetty Soubirous: ciało było dobrze zachowane, lewe oko, od strony, gdzie miały miejsce objawienia, było podobno otwarte, a grób tak pachniał kwiatami, że — jak się mówi w Lourdes — pachniały nawet włożone tam listy" [43].

W owym czasie Bernadetta nie była jeszcze świętą, została beatyfikowana dopiero w roku 1933.

Zdaniem wiedeńskiego naukowca nie trzeba cudów, żeby zakonserwować cielesną powłokę tak, aby przetrwała dziesiątki czy setki lat bez widocznych oznak rozkładu. Dr Kaiser badał niżej wymienione przypadki:

Franciszek Salezy zmarł w 1622 roku. Przy ekshumacji w roku 1632 znaleziono go „jak żywego”. Zwłoki rozpadły się w proch dopiero w roku 1656, „wydzielając niezwykle przyjemny zapach”.

Franciszek Caracchiola zmarł w 1608 roku. Przy ekshumacji w roku 1628 ciało i ścięgna okazały się zachowane w stanie niezmiennym. Po nacięciu skóry wypłynęła krew.

Karol Boromeusz, zmarły w roku 1584, zgodnie z opinią lekarzy wydaną w 1606 roku, mimo nieszczęsnej trumny zachował ciało „cudownie elastyczne”. Jeszcze 250 lat później, a więc w roku 1880, jego wygląd pozostał niezmienny.

Jan od Krzyża, który zmarł w roku 1591, znaleziony został przy ekshumacji (w 1859 roku!) ze skórą zaróżowioną, zwłoki zaś zwilżone były substancją o przyjemnym zapachu.

Maria Magdalena Pazzi zmarła w 1607 roku. Przy ekshumacji w roku 1663 znaleziono ją

wprawdzie z poczerniałą skórą twarzy, ale rysy zachowały nadal „nadzwyczaj łagodny wyraz”.

Bernadetta Soubirous zmarła w 1879 roku. Po wyjęciu ciała z grobu wyglądała, jak gdyby spała, twarz jej lekko pociemniała, ale nawet suknia przetrwała w stanie nieuszkodzonym.

Cud należy wykluczyć

Zdumiewające i niesamowite cudowne orzeczenia? Dr G. Kaiser mówi: „Wszędzie, gdzie możliwe jest odtworzenie okoliczności, przesłanki cudowności należy z całą pewnością wykluczyć”.

A oto fakty naukowe:

Nie jest czymś niezwykłym, że po śmierci trwają jeszcze niektóre funkcje pewnych tkanek. Ustanie czynności serca nie oddziałuje na wszystkie tkanki równocześnie: pewne grupy komórek przeżywają *exitus* o wiele godzin. Plemniki poruszają się do 28 godzin po śmierci

organizmu. Znane jest niesamowite wzdychanie zmarłych, gdy ciało przy ubieraniu na ostatnią drogę zostanie poruszone. Często przerażeni krewni stwierdzają zmiany w położeniu ciała, co bywa powodowane upałem. Śmierć pozorna? Kiedy umiera kobieta ciężarna, płód wskutek gazów towarzyszących procesowi gnilnemu może zostać wypchnięty z brzucha. Śmierć pozorna? Nie. Proces fizyczno-chemiczny.

Normalnie po pojawieniu się pewnych oznak śmierci (oziębienie ciała, stężenie pośmiertne, brak oddechu i czynności serca, niebiesko-czerwone plamy opadowe na skórze, brak zapisu w aparaturze) następuje

gnilny rozkład ciała, mikroorganizmy powodują brudnozielone zabarwienie. Szybko następuje pęcherzowate wzdęcie skóry, tworzą się gazy, często pod dużym ciśnieniem w jamach ciała.

Na proces rozkładu oddziałuje przede wszystkim *powietrze* i zawarte w nim *bakterie*, *enzymy* etc. *Wilgoć* i *ciepło* przyśpieszają gnicie, wreszcie robaki oraz drapieżne i padlinożerne chrząszcze dokonują reszty zniszczenia. Mrówki potrafią oczyścić szkielet w ciągu trzech dni! Miękkie części ciała rozkładają się całkowicie w ciągu trzech do czterech lat, tłuszcz w kościach znacznie dłużej. Tkanki i błony mózgu mogą przetrwać dziesiątki lat, zaś białko w kościach sto lat, a nawet dłużej. W końcu po zmarłym pochowanym w *zwykłym grobie* pozostaje tylko szkielet.

Groby specjalne

Ludzi, którzy za życia swymi spektakularnymi

dokonaniami dali dowody, że są niezwykli, nieomal święci, z pewnością nie chowa się w zwykłych grobach czy mogiłach. Jest to istotny punkt w rozważaniach dr. Kaisera, który wyprowadza stąd przekonywające wnioski.

Najważniejszym warunkiem zachowania zwłok jest odizolowanie ich od bakterii —jeśli uniemożliwi im się albo ograniczy dostęp, to proces rozkładu ulegnie zahamowaniu. W jakim jednak stopniu odpowiednie warunki pozwalają ograniczyć lub uniemożliwić dostęp owym niszczycielskim mikroorganizmom?

Wiadomo, że w miejscu przewiewnym lub w powietrzu suchym następuje naturalna mumifikacja, przy czym zachowują się części ciała ubogie w tkankę mięśniową (uszy, nos, palce u rąk i nóg).

Zimna woda przepływająca w pobliżu miejsca pochówku wychładza zwłoki i nie dopuszcza much i robaków. Konserwujące własności chłodu

można spotęgować zamrażaniem (z lodowców dobywa się po latach zwłoki nie tknięte rozkładem). Znane są przypadki odnajdywania zwłok w dołach po smole — miały wprawdzie zmienioną barwę skóry, ale zachowały się w stanie nie naruszonym. Wiadomo też, że ciała grzebane na terenach bagnistych nie ulegały rozkładowi dzięki antygnilnym kwasom próchnicy. Tlenek węgla zapobiega krzepnięciu krwi — u zatrutych tlenkiem węgla długo po śmierci może dobywać się krew z naciętej skóry.

Metalowe trumny dzięki solom metali przedłużają proces rozkładu do dziesięciu lat. Sole mineralne ziemi (arszenik z żelazistych źródeł)

lub sole morskie w połączeniu z suchym klimatem sprawiają, że na przykład setki czaszek z epoki Inków, znalezionych podczas prac wykopaliskowych w Limie, miały zachowaną tkankę mięśniową i pełne owłosienie. Konserwowanie zwłok przez poddawanie ich działaniu natrytu, asfaltu i preparatu z cedru znane było jeszcze w Egipcie — 3000 lat prz. Chr. (Dziś robi się to prościej: mumifikuje się ciało formaliną, środkiem zabijającym wszelkie mikroorganizmy.) W wielu amerykańskich *Memorial Parks* krewni mogą wyjmować z krypt swoich zmarłych i oglądać ich w pełnym makijażu — „pięknych i jak żywych”... Śmierć a la Hollywood!

Doktor Kaiser nie wątpi, że większość świętych, których zwłoki zachowały się nie tknięte rozkładem, chowano w takich właśnie warunkach.

Nie ma wątpliwości, że w przypadku Rosy z

Limy właśnie sole przyczyniły się do zakonserwowania ciała. Zakonnica przez półtora roku leżała w ziemi bogatej w sole, w takiej samej znaleziono głowy Inków.

Ciało św. Klary z Monte Falco uległo mumifikacji w suchym powietrzu; ekshumowano ją z „wyjątkowo piękną twarzą”. Nad nią wisiało jako relikwia jej wycięte serce, które podobno „wyschło i ukazywało oblicze ukrzyżowanego Chrystusa”. Zwłoki „uwędzone-go” księdza z St.Thomas koło Blasenstein w Dolnej Austrii stały się niezniszczalne dzięki chemikaliom — pochodnym smoły.

Czy było dziełem przypadku, że świętych chowano w miejscach tak sprzyjających konserwacji zwłok? Nie brak dowodów, że odpowiednimi sposobami próbowano święte ciało zachować w całości. Kapucyni we Włoszech i Morawianie tak budowali krypty w klasztorach, aby zapewnić tam stały przepływ

suchego powietrza. Dr Kaiser przypuszcza ponadto, że ciała wielu świętych nie tylko namaszczano esencjami, wonnymi olejkami i maściami, ale można uznać za pewne, że znane były nawet kosmetyki o działaniu konserwującym.

Wzrok profanów niszczy cuda

Zdaniem dr. Kaisera w żadnym razie nie można uznać za „znak Boga”, jeśli rozpadnie się dobrze nawet zachowane ciało, gdy spocznie na nim wzrok profana. Otwarcie grobu jest równoznaczne ze zmianą warunków, jakie stworzono przy pochówku. Na przykład szczątki św. Wincentego a Paulo rozpadły się prawdopodobnie wskutek nagłego

wtargnięcia powietrza do trumny, gdy otworzono ją po dwudziestu pięciu latach. „Odkryte groby prostych Etrusków, nigdy przez nikogo nie uznawanych za świętych, dowiodły tego samego. Odnaleziono dobrze zachowane, leżące na kamiennych narach zwłoki, które jednak w czasie badania komór grobowych rozpadły się w proch. Podobno kryptę wypełniał przyjemnie pachnący, złotawy opar.”

Gdyby zasobny Kościół katolicki, tak dbały o nietykalność i boskie dostojęstwo swoich świętych, wyasygnował fundusze, aby przeprowadzić na dużą skalę badania pośmiertnego stanu świętych szczątków, uznałbym to wówczas za świetny pomysł i śmiałe przedsięwzięcie.

Wówczas pewnego dnia można by odpowiedzieć na chytre pytanie wiedeńskiego badacza: „Dlaczego Bóg miałby oszczędzać ciała właśnie tych ludzi, których dusze przyjął do siebie najkrótszą drogą?”

Nawet Jezus nie wierzył w cuda

Nawet Jezus, Mistrz, nie wierzył w cuda..., ale nie było Mu obce działanie sugestii!

Św. Marek pisze (5, 23 nn.), że przyszedł do Jezusa pewien człowiek mówiąc, że córka jego kona. Sława cudownych uzdrowień wyprzedzała pojawienie się Jezusa, przygotowując wszędzie grunt pod nowe cuda. Prosił, aby przez położenie rąk uzdrowił kobietę, bo od dwunastu lat cierpiała na krwotoki i całe swe mienie wydała na lekarzy, a oni nic jej nie pomogli. Pełen oczekiwania tłum jak zawsze otaczał Mistrza: *Zobaczyć cudl Chory dozna cudownego uzdrowienia]*

„Jeśli się dotknę choćby szaty jego, będę uzdrowiona" (Mar. 5, 28). Gotowość chorego — warunek, aby cud się dokonał, został spełniony. „I zaraz ustał jej krwotok, i poczuła na ciele, że jest uleczone z tej dolegliwości" (Mar. 5, 29).

Jezus dobrze wiedział, jak dokonał się przypisany Mu cudowny czyn, gdyż „zwrócił się do ludu i rzekł: Kto się dotknął szat moich?" (Mar. 5, 30)

Cudotwórca bardzo nowocześnie i trafnie wytłumaczył zagadkowe uzdrowienie:

„Córko, wiara twoja uzdrowiła cię, idź w pokoju i bądź uleczona z dolegliwości swojej" (Mar. 5, 34).

Nazarejczyk *nie wiedział* o mechanizmach działania auto- i hetero-sugestii, ale wyczuwał ich oddziaływanie na ludzi. Gdyby dzisiejsi lekarze ducha traktowali Biblię jako podręcznik, mogliby znaleźć tam

wiele praktycznych i wypróbowanych wskazówek. „Nikt nie cierpi chętnie ot tak sobie. Być może wcale nie cierpi, tylko masochistycznie się z tego cieszy. Rozkoszuje się razami, jak czymś nieodzownym dla orzeźwienia ducha. Cierpiętnicze spojrzenie jest więc nie tylko wyrazem pogodzenia się z losem, ale także podzięką. I właśnie ta podzięką wydaje się obłudna" — mówi Ernst Bloch [44], a jego stwierdzenie pokrywa się z moimi obserwacjami.

Wierzę w Boga

Gdyby mi ktoś zarzucał, że powinienem bardziej poważać religię, to mogę zapewnić go z

całego serca i z pełnym przekonaniem, że szanuję *każdą* religię, *która szanuje wiernych*.

Tam jednak, gdzie nie zwraca się uwagi na niewiedzę wiernych i bezwstydnie się ją wykorzystuje, gdzie robi się hokus-pokus z cudami, które cudami nie są, gdzie z wiary wpajanej od dzieciństwa ciągnie się zyski, a groźbami kar na tamtym świecie religie wywierają presję na wyznawców w ich życiu doczesnym — we wszystkich takich przypadkach nie mam szacunku dla religii, bez względu na ich rodzaj. Staram się być szczery i chciałbym dopomóc tym, którzy jak ja od dzieciństwa byli pod urokiem religii, od której pewnie nie ma

ucieczki, chyba za cenę wiecznego potępienia.

Uwolnienie się od konfesjonalnych więzów nie oznacza w żadnym razie wyrzeczenia się wiary w Boga jako siły pierwotnej wszelkiego bytu.

Nie! „Cudowne uzdrowienia” nie są dowodem prawdziwości cudu.

Aby wnieść światło w mroki misteriów rzekomych cudów, trzeba podjąć próbę prześledzenia zjawisk objawień, one powinny to umożliwić.

IV. Objawienia istnieją

[...] a to dopiero
początek ich dzieła.
Teraz już dla nich nic
nie będzie niemożliwe,
cokolwiek zamierzą
uczynić. (I Mojż. 1, 6)

Objawienia istnieją.

Objawienia powstają w inteligentnym mózgu.

Każdy inteligentny mózg ma możliwość
wywoływania objawień.

Impuls do wywołania objawienia jest
nieziemski.

Objawienie o treści *religijnej* powstaje z
wyidealizowanego obrazu, zasugerowanego

przez religijne środowisko i utrwalonego w świadomości wizjonera.

Czy moje tezy kryją w sobie sprzeczności? Początkowo może się tak wydawać. Aby ułatwić zrozumienie, muszę logicznie powiązać przesłanki i dowody oraz zbudować swoją teorię od podstaw.

Astrofizyka proponuje dziś głównie trzy teorie [1] powstania Wszechświata: teorię Wielkiego Wybuchu, teorię *steady-state* (Wszechświata stacjonarnego) i teorię oscylacji. Żadna z tych trzech (albo więcej) teorii nie tłumaczy pochodzenia owej tajemniczej pramaterii i tego, co było, zanim ona powstała. Z NICZEGO nie powstaje NIC.

Dla moich tez nie jest kwestią znaczącą, które z

uzasadnionych po części naukowo, po części spekulatywnych teorii będzie można w końcu przyjąć za obowiązujące. Nieważne jest, czy powstanie Wszechświata dokonało się pięć, dziesięć czy dwadzieścia miliardów lat temu, również nieistotne wydaje mi się zagadnienie skończoności lub nieskończoności materii i jej ewentualnej odnowy. Moje pytanie brzmi: z *czego* powstała pramateria i co było *przedtem*'}

Trochę *science fiction*

Swój pogląd na ten temat wyjaśniałem w dyskusjach na uproszczonym, obrazowym przykładzie. Zachęcałem, aby wyobrazić sobie komputer wyposażony w sto miliardów jednostek pamięci (w języku fachowym — bitów), który potrafi myśleć, a zatem ma „własną świadomość” (prof. Michie z uniwersytetu w Edynburgu). Świadomość ta, zarejestrowana w miliardach jednostek informacji, zostałaby unicestwiona, gdyby komputer sam wysadził się w powietrze. Przyjmijmy, że nasz modelowy komputer jest urządzeniem posiadającym najwyższą inteligencję i olbrzymie możliwości kombinacyjne oraz wie absolutnie wszystko.

Mimo świadomości i wszechwiedzy, myślący komputer nie jest „szczęśliwy”, ma bowiem doskonałą wprawdzie konstrukcję, ale jest coś, czego nie potrafi sam wymyślić, wykalkulować,

wykombinować: DOŚWIADCZENIE. Ale chciałby zebrać materiał empiryczny. Nie zna jednak konkurenta, który dorównywałby mu lub przynajmniej był na tyle podobny, aby ten materiał uzyskać. Decyduje się więc poprzez eksplozję własnej masy wysłać na rekonesans sto miliardów bitów, wiedząc, że tym samym utraciłby ostatecznie własną świadomość..., gdyby *przedtem* w swej niedoścignionej mądrości nie zaprogramował przyszłości po wysłaniu bitów informacji.

Zanim więc bity zostały wyekspediowane w tę wielką podróż poznawczą, mądry komputer zaprogramował zawarte w nich elektryczne impulsy w taki sposób, że na sygnał spotkają się w oznaczonym miejscu X i w czasie Y. Gdy wybije ta godzina, miliardy bitów posłusznie wrócą do skomplikowanej aparatury, każdy z „własną osobowością” i — jak pszczoły do ula — zniosą zebrane *doświadczenia*.

Od momentu eksplozji do chwili powrotu żaden z bitów „nie wiedział”, że zawierał w sobie drobnutką cząstkę większej świadomości, której częścią składową stanie się ponownie. Gdyby poszczególne bity w swej ograniczonej zdolności myślenia były w stanie zadawać sobie pytanie: Jaki jestem, jaki jest cel mojej podróży? Kto mnie stworzył i skąd się wziąłem? — nie byłoby odpowiedzi. Tak więc owa gwałtowna podróż była początkiem i końcem aktu, czymś w rodzaju „stworzenia” świadomości, zwielokrotnionej o czynnik doświadczenia.

Tym śmiałym porównaniem, zaczerpniętym z arsenału *science fiction*, posłużyłem się w rozumowaniu, aby wytropić to, co było przed pramaterią. *Terrible simpliflcateur*. Proszę wybaczyć mi wielkie uproszczenie, ale to nam pomoże.

Na początku był tylko „duch”

W historii ludzkości nie ma przekazów, w których by nie zapewniano, że *na początku*, a więc nim powstała materia, był przede wszystkim „duch” (rozumiany jako Bóg). Ów praduch postanowił, że stanie się materia, że ulegnie przemianie. (A słowo ciałem się stało...) „Duch” nie może się zmaterializować, nie da się go wymierzyć za pomocą aparatury, instrumentów. Jak zatem go sobie uzmysłwić? W postaci gazowej? Niepodobieństwo, gdyż cząsteczki gazu są materia. Możliwe wprawdzie, że „duch” — to tajemnicze, nieznanne coś w pierwszej fazie swej materializacji było skupiskiem gazu.

Przypuszczenie to nie ma jednak nic wspólnego z *science fiction*, ponieważ *każda* astrofizyczna teoria powstania Wszechświata, jego budowy i ewolucji zaczyna się od pramaterii w postaci gazowej — od molekuł gazu, które powoli i

nieustannie wiążą się w większe struktury. Skoro więc wiadomo, że pierwotną formą [2] wszelkiej materii był gaz — na początku był „duch” — oznacza to bez wątpienia, iż wszelką materię „wypełniał” praduch. Takie twierdzenie występuje w doktrynach wszystkich religii teozoficznych i ezoterycznych. Można by w dużym uproszczeniu powiedzieć: materia była duchem skryształizowanym przez sublimację.

Nie jest sprawą istotną, jakiego rodzaju materię ma się na myśli — lawę, skałę, rośliny, zwierzęta czy istoty ludzkie. Wszelka materia wywodzi się z jednego stanu pierwotnego. Co więcej: nie ma znaczenia, czy chodzi o powstanie naszej planety, Jowisza, gwiazdy Alfa Centauri czy mgławicy Andromedy. Materia jest Wszechświatem sama w sobie, a zarazem produktem Wszechświata.

Materia przechodziła miliony ewolucji. Kamień, produkt mający identyczny rodowód, nie może zadawać sobie pytań. Jednak *życie* rozwija się z „martwej” materii — z naukowego punktu widzenia nie ma co do tego najmniejszej wątpliwości. *Żyjąca* materia, na przykład komórka, ewoluowała przez miliardy lat, aż stała się skomplikowanym organizmem. Rozwój i reakcje organizmów sterowane są przez mózgi dysponujące miliardami komórek, które dzięki procesom przemiany materii tworzą „świadomość osobniczą”, a dopiero po niej inteligencję, która posiada zdolność zadawania pytań. (Kartezjusz: *Cogito ergo sum* — myślę, więc jestem.)

Inteligencja, z punktu widzenia jej historycznego rozwoju, podporządkowuje sobie wszelką materię leżącą w zasięgu jej świadomości.

Dominuje nad nią. Inteligencja jest bliższa praduchowi niż martwa materia. Istoty inteligentne umieją się porozumiewać między sobą i zadawać pytania: Kto mnie stworzył? Jaki jest sens istnienia? W moim utopijnym modelu myślowym bity ze swymi sensorami szukają kontaktu z pierwotną świadomością nie rozumiejąc, że same są częścią składową tej świadomości, chciałyby szukać „ducha”, tego CZEGOŚ, CO jest synonimem Stwórcy lub Boga, lecz nie „wiedzą”, że to, czego szukają, jest wokół nich i w nich samych.

Absurdalna idea?

Pozostawmy odpowiedź naukowcom.

Tworzywo świata

Sir Arthur Eddington (1882—1944), angielski astronom i fizyk, dyrektor obserwatorium astronomicznego w Cambridge, stworzył podstawy teorii budowy wewnętrznej gwiazd.

Jako pierwszy zastosował w tym celu teorię równowagi promienistej i ugruntował naukowy pogląd na temat teorii pulsacji cefeid. Eddington głosił „subiektywizm selektywny” prawidłowości natury, zakładając, że struktura procesu poznania decyduje w sposób istotny o podstawowych prawach fizycznych, i twierdził:

„Tworzywo świata jest tworzywem ducha” [3].

Filozof i badacz przyrody, Bernhard Bavink (1879—1947), który usiłował zlikwidować przepaść dzielącą nauki przyrodnicze i religię, reprezentował pogląd następujący: „Materialny porządek świata wydaje się nam dziś być może przejściową formą materializacji koncepcji całkowicie duchowej” [4]. Max Planck (1858—1947), który swoją teorią kwantów wskazał nowe drogi fizyce, a w roku 1918 otrzymał nagrodę

Nobla w tej dziedzinie,
oznajmił:

„Jako fizyk, a więc człowiek, który przez całe życie służył najbardziej trzeźwej nauce, mianowicie badaniu materii, nie będę chyba posądzony o to, że jestem fantastą. Otóż po moich badaniach atomu powiem państwu: nie istnieje materia jako taka! Wszelka materia powstaje i trwa jedynie dzięki sile, która wprawia w ruch cząsteczki atomu i sprawia, że tworzą jakby atomowy mikroukład słoneczny. Ponieważ we Wszechświecie nie ma ani inteligentnej, ani wiecznej siły jako takiej, musimy przyjąć, że za tą siłą kryje się

świadomy, inteligenty duch. Duch ten jest prapoczątkiem wszelkiej materii".

Sir James Hopwood Jeans (1877—1946), angielski matematyk, fizyk i astronom, który otworzył nowe horyzonty przede wszystkim w dziedzinie termodynamiki, dynamiki gwiazd stałych i kosmogomi, zyskał rozgłos zwłaszcza dzięki swej teorii powstawania planet. Sir James stwierdził: „Dziś prawie zgadzamy się, a z punktu widzenia fizyki istnieje całkowita jednomyślność co do tego, że strumień wiedzy dopływa do niemechanicznej rzeczywistości — Wszechświat coraz bardziej wygląda raczej na wielką myśl, niżli na wielką maszynę" [5].

„Duch" = energia

Jeśli więc materia jest produktem „ducha" i odwrotnie — duch jest produktem materii, wobec tego duch i materia miałyby tę samą jakość, ale w innym stanie skupienia? Przed pięćdziesięciu laty

pytano, czy można energię zamienić -w materię? Formuła Einsteina $E = mc^2$ dała odpowiedź zmieniającą świat. Bomby wodorowe są tego dowodem — niesłychanym i umykającym wszelkiej ocenie. Dziś można zapytać, czy da się wyodrębnić „skrytalizowaną” postać ducha? Analogiczny wniosek gotowy: materia jest zarówno formą energii, jak „skrytalizowanym” duchem, zatem duch równy jest energii, a energia duchowi. Świadomość określana jako niewątpliwie spokrewniona z „duchem” *musi* być inną (choć jeszcze nie znaną) formą energii.

Energia nie ginie

Holenderski fizyk i matematyk Christiaan Huygens (1629—1695) uchodzi za twórcę „teorii ruchu”, zgodnie z którą cała energia Wszechświata jest niezmienna, a *wszystkie formy energii mogą wzajemnie przechodzić jedna w drugą*. Hermann von Helmholtz (1821—1894) i

Albert Einstein (1879—1955) uzupełnili to fundamentalne twierdzenie. Jeśli uznać świadomość za formę energii (wszystkie prowadzone badania potwierdzają tę opinię), należy również zastosować do niej teorię ruchu Huygensa. Ponieważ energia w całości musi pozostać niezmienna, wobec tego oznacza to ni mniej, ni więcej, że świadomość (niektórzy nazywają to „duszą”) jest nieśmiertelna. Energia nie ginie, nie może „umrzeć” czy rozplynać się w nicość — stale się zmienia.

Przekształcona energia stanie się czymś innym. Śmierć wygasi wprawdzie pierwotną aktywność energetyczną świadomości, która przestanie być „świadomością”, ale pozostanie w dalszym ciągu przekształconą energią. Stan skupienia pary jest inny niż lodu, a lodu inny niż wody. Parę, lód i wodę można bez większych trudności zamienić w każdą z tych postaci, ale ich właściwości są całkiem inne.

Zatem *ultima ratio*: WSZYSTKO jest JEDNYM i JEDNO jest WSZYSTKIM? Jeśli tak — a cóż przemawia przeciw temu logicznemu stwierdzeniu — to czy *świadoma*, inteligentna forma energii nie musi oddziaływać na *nieświadomą*! Za sprawą techniki i mechaniki dzieje się wokół nas w każdej minucie mnóstwo rzeczy: jeśli drwal ścina drzewo, wykorzystuje świadomą inteligencję, żeby powalić drzewo nie dające się poruszyć w inny sposób; kowal, który wykuwa podkowę, sięga po inne formy energii (ogień, młot,

kowadło).

Świadoma inteligencja wykorzystuje zawsze znane i w danym przypadku celowe formy przeobrażenia energii. Jeśli w technice i mechanice dzięki świadomej inteligencji dokonuje się proces przemiany energii, to czy świadoma, inteligentna forma energii powinna być zdolna do zmuszenia innych jej form, aby reagowały w sposób przez nią zamierzony?

Pytanie jest retoryczne, bo przecież w historii ludzkości takie reakcje były stale wyzwalane i dokonują się dziś. Zawsze istnieli (i są) ludzie, którzy tropili tajemnice „bestii-mózgu”, aby potem świadomie lub nieświadomie zdumiewać i wzbogacać swoje czasy nowymi zdobyczami nauki i możliwościami. Jeśli jednak dziś wykorzystuje się tego rodzaju doświadczenia i umiejętności w celu kreowania nowych i „odświeżania” dawnych mistycznych religii, to w moim przekonaniu chodzi o najbardziej

nikczemny rodzaj nowoczesnego gangsterstwa, bo jest to w istocie bezwzględne wykorzystywanie laików.

Zjawiska materializacji

Dr Albert von Schrenck-Notzing (1862—1929) uchodzi za twórcę cieszącej się dziś taką popularnością parapsychologii. Był on w pełni świadomy, na jakie ataki się naraża, gdy opublikował artykuł na temat zmaterializowanych wizji (zjaw), jakie w obecności medium ukazały się w postaci mglistej masy (tele- albo ektoplazma). Dr Schrenck-Notzing, lekarz, w Rzymie i w Paryżu osobiście współdziałał w demaskowaniu szarlatanów i mediów, którzy, posługując się różnymi pomocniczymi środkami, wodzili za nos naiwnych uczestników seansów.

Ewa C. była obiektem obserwacji lekarza. W roku 1909 seanse z jej udziałem odbywały się w paryskim mieszkaniu dramaturga Aleksandra Bissona (1848—1912). Za każdym razem — jak zresztą i później w Monachium i Londynie — uczestniczyło w nich wiele osób, wśród nich lekarze. Ubranie Ewy C, a także oświetlenie pomieszczenia, zamki u drzwi, ściany itd. były nieustannie kontrolowane. Przed rozpoczęciem seansu Ewa C. pokazywała się bez ubrania. Pani Bisson badała ją ginekologicznie, sprawdzano krocze i odbył: „Przed każdym seansem dramaturg sprawdzał jej włosy na głowie, dziurki nosa (kazał jej wydychać powietrze nosem), uszy, jamę ustną, zęby, pachy, stopy, stawy rąk i paznokcie..., zatem podejrzenie, że medium mogło mieć gdzieś ukryte małe, zwinięte kuleczki, wydawało się bezpodstawne”.

Po tych niebywale dokładnych oględzinach biedna Ewa C. była „obszywana” w czarną szatę,

której przedtem nie dotykała. „Zwracano uwagę, aby medium nie miało na ciele niczego białego (ani koszuli, ani chustki do nosa), aby tym lepiej było widać szare i białe zmaterializowane twory.”

Schrenck-Notzing wykorzystał techniczną nowinkę swojej epoki — zdjęcia wykonywane przy świetle magnezji. Te fotografie, wzbudzające niekiedy obrzydzenie, dołączono jako dowód do jego książki *Zjawiska materializacji* [6].

Cóż działo się na tych mediumistycznych seansach?

Bez siatki zabezpieczającej i podwójnego dna

Kilka wyjątków z protokołów:

„17 maja 1910 r. [...] przy głębokich oddechach i kurczowym napięciu mięśni, bezpośrednio przed moimi oczyma pojawiła się duża smuga puszystej substancji, która jakby wypływała jej z ust, powiększała się i gęstniała. Twór miał

zapewne 5—8 cm szerokości i 40—60 cm długości. Przybliżyłem twarz na odległość 15—20 centymetrów, aby przyjrzeć się temu dokładniej, i zobaczyłem, że masa składa się z mnóstwa drobniutkich szarych pasemek, znajdujących się w ciągłym ruchu. Masa z wolna zaczęła opadać. To samo następowało po każdym ruchu głowy medium i wydawało się, że się od niej odłącza [...]. Ku naszemu zdziwieniu nie mogliśmy dojrzeć rysów twarzy medium, ponieważ całą głowę otulał duży, tajemniczy obłok, z którego jasne strzępki i kosmyki zwisały na piersi i sięgały aż do kolan.

Na naszych oczach obraz ten się ulotnił, mgła jakby się rozplynęła, odsłaniając twarz medium. [...]

1czerwca 1910 r. [...] przy kolejnym eksperymencie jasne światło najpierw wyszło z łona i prawego biodra [...]. Usta nie miały żadnego kontaktu z tkaniną, o czym przekonałem się, wprowadzając palec do jamy ustnej medium [...].

2września 1910 r. [...]. Pani Bisson urządziła spotkanie — Ewa C. nie miała na sobie innej garderoby poza szlafrokiem [...]. Pani Bisson poleciła medium, będącemu w śnie hipnotycznym, żeby rozpięła szlafrok i po raz pierwszy miałem sposobność obserwowania na nagim ciele emanacji teleplazmy [...], która wypływała przede wszystkim z otworów ciała, z ust, sutków, genitaliów, układając się w rodzaj obłoków, z których formowały się twory, przybierające kształty podobne do wszystkich

możliwych części ciała [...]"

Badania w Paryżu i Londynie

5 listopada 1910 r. odbyło się w Paryżu posiedzenie z udziałem profesora Charlesa Richeta (1850—1935), francuskiego lekarza, odkrywcy obronnych reakcji krwi u zakażonych zwierząt doświadczalnych oraz anafilaksji (wstrząs po powtórny wstrzyknięciu obcego białka). W 1913 roku Richet otrzymał za to nagrodę Nobla.

„Dziś seanse rozpoczęły się od razu osobliwymi zjawiskami [...]. Tam, gdzie proces zagęszczania się szarej skupionej masy przebiegał szybciej, widzimy biały, mieniący się różowo cień, jakby z szyfonu czy tiulu [...].”

W Paryżu w każdym niemal seansie brali udział

lekarze wszelkich specjalności, a także przyrodnicy, jak profesor Fontenay, który badał spostrzeżone zjawiska fizyczne. Na seansie w Monachium dr von Schrenck-Notzing zaprosił docentów: dr. Spechta i dr. Kafkę.

W ciągu roku Ewa C. „produkowała” zarysy postaci, które można było fotografować, i dające się wyraźnie rozróżnić twarze. Sceptyczni lekarze paryscy i londyńscy badali medium najdokładniej, jak było można, sprawdzali jej bliskie otoczenie, zjawiska jednak powtarzały się w najrozmaitszych okolicznościach.

Ewa C. żyła zwyczajnie, nie miała problemów finansowych, nigdy nie występowała odpłatnie i stawała nie tylko przed gronem lekarzy, lecz również przed dziennikarzami. Na listach uczestników seansów znajdują się takie nazwiska, jak: prof. Eck Duzmaer van Twist

(Towarzystwo Psychologiczne z Hagi), prof. Courtier (dyrektor Laboratorium Fizjologii na Sorbonie), a nawet sir William Crookes (1832—1919), członek Brytyjskiego Towarzystwa Badań Psychicznych. Crookes odkrył w roku 1861 tal, a w roku 1874 wynalazł radiometr. Towarzystwo brytyjskie zaprosiło Ewę C. do swej siedziby w Londynie przy Hannover Square 20. Przeprowadzono tam seanse przy zachowaniu ściśle naukowych zasad.

Na posiedzeniu zorganizowanym 10 maja 1920 roku użyto czterech kamer, w tym kamery stereoskopowej. Jedno ze zdjęć pokazywało „małą rękę na lewym ramieniu medium”, inne zaś „migotliwą, świetlistą masę”. 28 maja opięto głowę Ewy C. welonem i „rozpoznano twór, który przez tkaninę welonu wypłynął z jej ust”.

Byli niedowiarkowie i sceptycy, ale i oni nie wiedzieli, jak objaśnić te zjawiska. Towarzystwo brytyjskie ogłosiło sprawozdania zarówno w

swym czasopiśmie, jak w publikacjach specjalistycznych.

W Paryżu w pokazach z Ewą C. uczestniczyli prof. H. Clararede z Genewy i prof. de Fontenay z Sorbony oraz czołowi lekarze paryskich szpitali.

Lekarz piszący raport, dr Bourbon, stwierdził:

„Wszystko, co widziałem na licznych seansach, wystarczy aż nadto, aby przekonać mnie, że stoimy wobec zjawisk, które pochodzą z całkiem nie znanych jeszcze obszarów biologii...” Laureat nagrody Nobla Charles Richet napisał do doktora von Schrenck-Notzinga:

„Jeśli idzie o moje dawniejsze eksperymenty [...], nie cofam ani słowa. Powołam się na wielkiego uczonego, sir Williama Crookesa, który niedawno temu tak się wyraził: «Nie odwołuję niczego, co powiedziałem:^. Krytyka jest nauce niezbędna. Prawda w całym swym pięknie wyjdzie na jaw pewnego dnia, nie stanie się to jednak dzięki osobom

niekompetentnym, ignorantom, którzy nic nie widzieli, niczego nie sprawdzali, niczego nie badali i nigdy nawet nie czytali dokładnie protokołów badań. Stanie się to raczej dzięki takim uczonym, którzy rzeczywiście pracowali i bezustannie eksperymentowali, dzięki tym, którzy prawdę przedkładają nad prawdopodobieństwo [...]. Chyba to nie nasza wina, że obszar metafizyki niesie ze sobą tak wiele elementów nieprawdopodobnych i sprzecznych [...]".

:

Jeśli chodzi o dostępną dokumentację przypadku Ewy C, wypaaa ; stwierdzić obiektywnie, że nie do przyjęcia jest insynuowanie oszustw, j Ewa C. spełniała wszystkie życzenia naukowych zespołów, zaś liczba I osób, które widziały i potwierdziły fakt materializacji, znacznie prze- J

kracza setkę. Argument, jaki dr von Schrenck-Notzing pominął, wydaje mi się jednak istotny: po co Ewa C. miałyby się poddawać opisanym wyżej przykrym badaniom, nie mając z tego tytułu żadnych korzyści? Dla kogóż byłaby ta komedia? Jest wiele rzekomych zjawisk materializacji. Przypadek Ewy C. zajmuje do dziś specjalną pozycję, ponieważ inne nie były rejestrowane i dokumentowane z tak pedantyczną drobiazgowością. Dlatego też pojawia się on stale jako przykład w literaturze naukowej z dziedziny parapsychologii.

Jeszcze podsumowanie przypadku Ewy C., pióra profesora Mikuski (uniwersytet w Genui):

„Zbadanie powiązań ducha i materii u żywych i zmarłych pozostanie zagadką, którą rozwiąże okultystyczna biologia przyszłości. Już dziś pokazuje nam ona, że *duch*, *myśl*, *wola* są czynnikami motorycznymi w powstawaniu telepatycznych form, i — mam nadzieję — w

niedalekiej przyszłości przybliży nas do wielkiego misterium, jak *przez twórczą wolę ducha świata powstaje Wszechświat wraz z procesami kosmicznymi w nieskończoności i doskonałości swego rozwoju*".

Czy zmarli emitują przeobrażoną energię?

Materializacje, jakie często miały miejsce w przypadku Ewy C, nie mają nic wspólnego ze spirytyzmem*, a także bardzo niewiele z okultyzmem**, ponieważ owe zjawiska były widzialne, wyczuwalne oraz można je było fotografować. Wszystko, co dotyczy opisanego przypadku, nie jest z pewnością faktem unikatowym. Zjawisko miało miejsce i można je powtórzyć. Nie wątpię w udokumentowane sprawozdania doktora von Schrenck-Notzinga i uczestniczących w seansach naukowców, ale zastanawiam się nad kwestią, która wówczas nie była rozpatrywana: jaka forma energii tu

działała? Ewa C. była wprowadzana podczas seansów w sen hipnotyczny, zatem znajdowała się w stanie świadomości wykluczającej możliwość, że kierowała się własną wolą. Podświadomość jako forma energii (w celu wywołania materializacji) jest możliwa, choć wtedy nie została udowodniona. A może

* Wedle spirytyzmu zjawiska takie polegają na ingerencji świata duchów w naszą rzeczywistość.

** Okultyzm (łac. *occultus* — ukryty) — wiedza, wedle której istnieją fenomeny przyrody i duszy nie dające się zaklasyfikować do współczesnej systematyki. Zjawiska okultystyczne próbuje się dziś badać metodami naukowymi.

chodzi tu o przeobrażoną formę energii zmarłych? *Pardon*, to wcale nie takie absurdalne przypuszczenie, raczej konsekwentne rozwijanie „twierdzenia o energii” w nieomal nie zbadanym do tej pory zakresie. Skoro wszystkie formy energii same w sobie ulegają przemianie — jest to jedno z nielicznych powszechnie uznawanych praw przyrody — to energia świadomości zmarłych też musi podlegać tym prawom. Przez całe tysiąclecia nie wiedziano — pomijając ryzykowne filozoficzne i religijne spekulacje — co dzieje się ze świadomością po śmierci. („Dusza” ulatuje do nieba. Zatem nieśmiertelność przypisywano zawsze świadomości!) Nowoczesne badania ostrożnie rozsuwają czarną zasłonę, okrywającą niemożliwe rzekomo do wy tłumaczenia misterium, udowadniając, że świadomość {*ergo*: energia świadomości) zmarłych nie jest bynajmniej „martwa”. Może taka właśnie energia świadomości zmarłych

ujawniła się w nocy 18 lipca 1962 roku w Carabandal, kiedy na języku dziewczynki o imieniu Conchita widać było coś przypominającego białą hostię? Co dziś wiadomo na temat tych zjawisk?

Wiadomości z „tamtego świata”

Śmierć pozorna objawia się zaburzeniami czynności oddechowych wskutek porażenia układu oddechowego (*asfiksja*), przy zawałach, urazach, zatruciach etc. Jak podaje Jean-Baptiste Delacour [7], wszyscy wyprowadzeni ze stanu śmierci pozornej potwierdzają, iż podczas okresowego przebywania „po tamtej stronie” zachowali wprawdzie świadomość, ale była to świadomość zupełnie innego rodzaju niż ich świadomość „za życia”. „Tamten świat” odbierali jako świat bez-czasowy, świat wibracji, harmonii i barw, jako świat, w którym zapewne niezliczone „świadomości” mogły się ze sobą

porozumiewać, prowadzić rozmowy i choć bezcielesne, nie posiadające narządów zmysłowych — „widziały” inne świadomości i mogły z nimi wymieniać wspomnienia. Przede wszystkim zaś ci, którzy wrócili „z tamtej strony”, odczuwali dotkliwą uciążliwość życia doczesnego, odbierali je jako coś nieprzyjemnego i przykrego. „Tam” wszystko było nieskończenie piękne.

Lekarze mówią, że tego rodzaju opisy ludzi przywróconych do życia, ich relacje o „tamnym świecie”, są niestotne i bezwartościowe, ponieważ w pniu mózgu pozornie zmarłego pozostają czynne ośrodki, które mogą wprowadzać do świadomości fantastyczne widziadła.

Gdyby medycy mieli słuszność, to nasuwa mi się okropna myśl: leżę

sobie w dole w „swoich czterech deskach”, robaki mnie żrą, a pewne piętra mego mózgu są nadal aktywne? Bardzo nieprzyjemne! I kto wie, jak długo pozostaną aktywne? Aż do momentu, gdy przeobrazi się energia świadomości? W przypadku rzeczywistego zejścia nastąpi to, chwała Bogu, szybciej niż przy śmierci pozornej...

Co się jednak dzieje z energią świadomości ludzi zmarłych przed laty, przed dziesiątkami lat?

Głosy transcendentalne

W roku 1964 Szwed Friedrich Jiirgenson stwierdził [8], że za pomocą mikrofonów i taśm magnetofonowych udało mu się nagrać głosy dawno nieżyjących ludzi. Zjawisko to zafascynowało parapsychologa, dr. Constantina Raudive. Raudive, urodzony w 1909 roku na Łotwie, będąc chłopcem opuścił swoją ojczyznę, studiował w Paryżu i Madrycie, gdzie spotkanie z

Ortegą y Gassetem (1883—1955) stało się dla niego niezwykle ważnym przeżyciem. (Ortega reprezentował doktrynę antropologiczną, że „duch” tworzy istotę osobowości.) Raudive kontynuował studia w Edynburgu i Uppsali, po czym wrócił do Rygi, przetłumaczył na język łotewski dzieła Miguela Unamuno, Ortegi y Gassetta oraz Goethego. W roku 1944 uciekł przez Polskę i Czechosłowację do Niemiec i osiedlił się w Badenii-Wirtembergii, gdzie do dziś prowadzi badania w Bad Krozingen.

Raudive poświęcił cztery lata na zweryfikowanie twierdzenia Szweda Jiirgensa. Urządził całkowicie dźwiękoszczelne studio nagrań i pracował używając płyt magnetyzowanych, które wykluczały zakłócenia spowodowane minimalnymi nawet szumami mikrofonów i głośnic magnetofonowych. W roku 1968 Raudive opublikował [9] wyniki badań, które bez wyjątku przeprowadzane były w

warunkach ściśle odpowiadających rygorom naukowym. Setki obserwatorów potwierdziło rzetelność jego metody, wśród nich takie osobistości, jak: prof. Hans Bender, kierownik Instytutu Badań Interdyscyplinarnych we Freiburgu, fizyk dr G. Rónicke, dr fil. Juliane Bieber, dr med. Arnold Reincke, dr med. Hans Naegeli, prezes Szwajcarskiego Towarzystwa Parapsychologicznego, prof. Atis Teichmanis, chirurg prof. Werner Brunner z Zurychu, prof. Alex Schneider ze St. Gallen, prof. Walter H. Uphoff z Boulder w USA, dr Jule Eisenbund z Denver w USA, dr Wilhelminę C. Hennequin, specjalista anesteziolog, dr R. Fatzer z Wadenswill w Szwajcarii itd., itd.

Constantin Raudive zarejestrował 72 tysiące głosów! Na temat wyników tych badań tak wypowiedział się Alex Schneider, prof. fizyki Wyższej Szkoły Technicznej w Szwajcarii:

„Z punktu widzenia fizyki nie ma jak dotąd zastrzeżeń, jeśli idzie o wychwytywanie głosów z Kosmosu. Ciekawe będą dalsze badania, głównie dlatego, że mogą one poszerzyć nasze poglądy na promieniowanie elektromagnetyczne”.

Każdy może polować na głosy

Każdy może bez wielkiego wysiłku polować w swoich czterech ścianach na głosy, choćby według takiej recepty:

Wybiera się czas i miejsce o niewielkiej liczbie zewnętrznych zakłóceń dźwiękowych. Eksperymentator sam lub w obecności dowolnej liczby osób bierze do ręki mikrofon i głośno przywołuje zmarłych (albo „duchy”), żeby się

zgłosili — taśma magnetofonowa powinna się już przesuwać. Należy chwilę odczekać, a po upływie pół minuty powtórzyć wezwanie. I znów czekać. Akcja przywoływania i poszukiwania nie powinna trwać dłużej niż pół godziny.

Potem trzeba taśmę cofnąć i sprawdzić, czy przy pierwszej próbie od razu uzyskało się kontakt, być może nawet już w ciągu kilku sekund, czy nie nałożyło się na siebie zbyt wiele głosów „z tamtego świata”, mówiących w różnych językach. Utrwalone fragmenty wypowiedziane są tak szybko, że początkowo trzeba zadać sobie trochę trudu, żeby z mieszaniny głosów, szumu i zakłóceń płynących z eteru wyłowić i zidentyfikować poszczególne słowa lub zdania. Dźwięki, słowa i fragmenty zdań będą często wypowiedziane sycząco, niekiedy cichym szeptem.

Należy zapisać, co się słyszy, ponieważ tylko wtedy można rozpoznać języki, dialekty, skróty.

Najlepsze rezultaty osiąga się przegrywając zidentyfikowane głosy na drugą taśmę po poprzednim wycięciu długich przerw, dodatkowych zakłóceń etc. Chciałbym rozwiać nadzieję, że w rozszyfrowanym tekście można zrozumieć, o czym mówią te głosy. W eterze panuje chaos: po Nitzschem zgłosi się pradziadek ciotki Emmy, a zaraz potem głos Carusa czy zmarłego przyjaciela. Znamienne jest, że jak widać, a właściwie jak słycać — żaden z głosów nie pozwala drugiemu nagadać się do syta. Po tamtej stronie też jest spory tłok...

A oto praktyczny sposób nagrywania głosów: podłącza się kabel mikrofonu do aparatu radiowego i wybierana skala przestrzeń między

dwiema stacjami. Słabością tego sposobu jest wprawdzie to, że głosy „obciążone” będą zakłóceniami atmosferycznymi, ale jego zaletą jest wykluczenie wszelkiego możliwego oddziaływania na Kosmos osób uczestniczących w eksperymencie. Dowiedziono, że głosy z eteru wyławia się spośród wszelkich atmosferycznych szumów [10].

Wesoła gra towarzyska, bardziej podniecająca niż tracenie pieniędzy na ecarte, bingo czy tryktraka!

Chodzi tylko o energię świadomości

Podczas eksperymentów w studio dr. Raudive'a nie było zakłóceń, naukowcy uczestniczący w seansach nie odzywali się ani słowem — rozpoznano głosy nieżyjących przyjaciół i krewnych. Jeśliby owe fenomeny miała wywoływać nad- czy podświadoma forma energii, działałoby się to w każdym razie

nieświadomie, co zresztą nie jest istotne. Tak czy owak są one dowodem przemiany energii świadomości w formę energii technicznego medium — magnetofonu!

Szacuje się, że na całym świecie zgromadzono kilkaset tysięcy protokołów z nagranyimi na taśmy głosami „stamtąd”. Dowodów byłoby zatem mnóstwo, ale ich interpretacja pozostaje sprawą otwartą. Najważniejsze, że dotychczas nie można powiedzieć z *naukową pewnością*, iż transcendentalne głosy są rzeczywiście głosami zmarłych. Jest bardzo prawdopodobne, że energia świadomości (w tym pod- i nadświadomość) ludzi żyjących może mieć bezpośredni wpływ na urządzenia elektroniczne. Może nawet być i tak, że gdzieś, ktoś, kto w ogóle nie uczestniczy w eksperymencie, poprzez kombinacje myślowe nieświadomie wyzwala energię, która przeobrażona w drgania elektromagnetyczne daje zapis na taśmie. *Moim zdaniem*, nie jest ważne

czy głosy żyjących, zmarłych oraz strzępki świadomości współczesnych nam ludzi zostaną utrwalone na taśmie; tak czy owaak istnienie energii świadomości, która takie efekty wywołuje, choćby „nieświadomie”, zostało dowiedzione.

Trwa dalej polowanie na głosy ze świata duchów. W maju 1974 r. dr Constantin Raudive napisał: „Po raz pierwszy w badaniach nad obiektem *post mortem* dysponujemy przesłanką, że można będzie je powtarzać, co należy uznać za przekonywający dowód na istnienie tego obiektu. W zależności od wyniku badań okaże się, w jakim stopniu słuszna lub błędna była ta lub inna hipoteza. Fakty są prawdziwym językiem nauki” [11].

Przez hipnozę w przeszłość?

Zażarte dyskusje i badania form świadomości istniejących po śmierci, pozbawione religijnych arabesek, nie ograniczają się bynajmniej do wypytywania „pozornie zmarłych” lub do trąbienia o upolowanych głosach transcendentalnych. Hipnotyzerzy, oddziałując sugestią, wywołują u osób poddawanych eksperymentom stan ograniczonej świadomości i przenoszą je nie tylko w czasy ich młodości, ale nawet w okres embrionalny, nim przyszli na świat.

Thorwald Dethlefsen [12], młody hipnotyzer z Monachium, dysponuje szczegółowymi protokołami świadków seansów hipnotycznych, podczas których „cofał” on osoby poddawane hipnozie najpierw do wieku niemowlęcego, a potem pytał je o okres *sprzed* ich narodzin. Ta hipnotyczna retrospektywa dotyczyła dwu albo

nawet trzech poprzednich urodzeń! Osoby poddawane hipnozie zapewniały, że przed ostatnim urodzeniem żyły pod innymi nazwiskami, w innych miejscach, niekiedy jako osobnicy innej płci — wymieniały nazwiska i daty urodzeń w „poprzednich wcieleniach” i mówiły również obcymi dla nich językami, a więc językiem kraju, w którym żyły przed kolejnymi dwiema albo trzema inkarnacjami. Ciarki człowieka przechodzą — te osoby opisywały własną, często kilkakrotną śmierć! Makabryczne badania!

Morey Bernstein [13] przeniósł dzięki hipnozie panią Ruth Simmons w czasy, kiedy ta miała trzy, cztery lata. Potem nakazał jej cofnąć się do lat przed urodzeniem. Nagle pytana zaczęła odpowiadać jako inna osoba — jako Bridey Murphy — mówiąc, że żyła w Irlandii w połowie XIX wieku. Wszystko, co mówiła Ruth Simmons, nagrano na taśmę, przepisano i po

uwzględnieniu historycznych różnic językowych (celtycki!) sprawdzono w księgach kościelnych i w aktach gminnych na miejscu w Irlandii... Opisy miejscowości i osób podane przez Ruth Simmons, *alias* Bridey Murphy, pokrywały się z uzyskanymi informacjami. „Ofiara” hipnozy, Ruth Simmons, nigdy naturalnie nie widziała tych starych akt, nie mogła również odebrać ich treści drogą telepatii. Zakurzonymi dokumentami od dawna nikt się bowiem nie interesował, a więc nie istniało żadne medium, które mogło być „nadawcą”.

Czy to, o czym opowiadała we śnie hipnotycznym, Ruth Simmons przeżyła naprawdę w ubiegłym stuleciu w innym wcieleniu? Zaakceptowanie tego faktu wydaje się zaskakujące, nasza przeciążona

fantazja i nasz realistyczny świat wyobraźni stawia nam zbyt duże wymagania. Jednakże: „To, co ktoś uważa za ustalone, najbardziej zasługuje na zbadanie”, powiedział fizyk Georg Christoph Lichtenberg (1742—1799).

Moja trójca

Stara to piosenka, że ci, którzy intensywnie starają się wyjaśnić takie zjawiska, wykorzystują czas nie na to, żeby przekonać materialistów, dla których to, co naprawdę metafizyczne, jest materialne, wszystko zaś, czego nie da się przedstawić za pomocą wzorów, praw czy jednostek wagi, odrzucają jako oczywisty nonsens. Myślę przy tym, że właśnie materialiści powinni zgodzić się na „moją” trójcę: DUCH — MATERIA — ENERGIA, bo przecież trafia ona gładko w sam środek ich światopoglądu. Chciałbym mego paradnego konia prowadzić na lonży, a nie zajeździć na śmierć, zwłaszcza że dostaje znakomitą paszę od Wernera von Brauna:

„Nauka dowiodła, że nic nie ginie bez śladu. W naturze nic nie ulega zniszczeniu, lecz przemianie" [14].

W przeciwieństwie do interpretacji religijnej („dusza" jest nieśmiertelna), uważam za bardzo prawdopodobne w sensie filozoficznym, że w naszym czterowymiarowym świecie istnieje energia świadomości zmarłych, przekształcona w inną formę energii. Jeżeli więc energia z „tamtego świata" może się nam ujawnić, musi istnieć droga w odwrotnym kierunku: Ziemia — „tamten świat". *Nasze* stany świadomości związane są z czwartym wymiarem, z przemijaniem czasu, z pewnikami, które, być może, po „tamtej stronie" nie mają wartości.

Cieszący się światową sławą pięćdziesięcioletni francuski jasnowidz Belline w 1969 roku stracił jedyne syna Michela w wypadku samochodowym. Przez 20 miesięcy próbował wykorzystać swoje telepatyczne umiejętności do

nawiązania kontaktu z Michelelem. Na próżno. Nagle jednak odczuł „niewidoczną bliskość” syna, co określił jako „trzecie ucho” albo „Jasnowidzenie”. Beline obawiał się, że ulega iluzji, spowodowanej rozpaczą. Zaczął nagrywać na taśmę rozmowy prowadzone z Michelelem podczas seansów hipnotycznych, a w 1972 roku opublikował je w książce [15], do której wstęp napisał Gabriel Marcel z Institut de France, laureat nagrody pokojowej niemieckich księgarzy, a 90 osobistości z kręgów nauki i sztuki zamieściło w niej swe poglądy na temat przeprowadzanych eksperymentów.

Protokoły wyraźnie potwierdzają nieskończoność czwartego wymiaru po tamtej stronie:

„8 kwietnia 1971 roku, 8⁰⁰rano.

Belline: Michel, jaki jest »tamten świat«?

Michel: To jest inny świat, sen, którego opisać słowami nie sposób. Mowa. Ruch, myśl, przejrzystość. Nie ma tu ani ziemskiego zła, ani ziemskiego dobra. Jest to jakby bezdomność, jakby sen w niezliczonych wymiarach i wibracjach... Tutaj czas, jak ty go sobie w tej chwili wyobrażasz, jest karykaturą. Nie mogę nic do tego dodać" [15].

Utopijne rzeczywistości?

Gdyby pewnego dnia udało się energię świadomości skierować stąd na „tamten świat”, aby przeobrażona w inne formy energii umożliwiła kontakt ze zmarłymi, trzeba by

energię z „tamtego świata” wypytać o dane z przeszłości oraz z przyszłości. Dlaczego? Ponieważ energia „po tamtej stronie” egzystuje w wymiarze nieograniczonym, jej stan nie wydaje się związany z przemijaniem czasu.

Z punktu widzenia fizyki możliwość taka jest całkiem realna. Różne stany energii — np. cząstki elementarne, które mogą przeobrażać się jedne w drugie: neutron w proton, elektron w neutrino — mają różną trwałość. Wiele z nich „żyje” tak krótko, że właściwie w ogóle nie istnieją. Czas „życia” pozytonu czy cząstki sigma wynosi jedną trylionową część sekundy. Co należy przez to rozumieć? Milion x milion x milion = 10 z 18 zerami! Neutralny mion „żyje” tylko 10^{15} sekundy, a złowieszczy neutrino w stanie spoczynku (masa spoczynkowa = 0), w ogóle *nie żyje*. Ale jeśli zostanie przyspieszony, „odżywa” znowu.

Mimo absurdalnie drobnych mas, cząstki

elementarne mają ładunek 10^{22} elektronowoltów. Emitowane są przez Słońce i planety, żeby przeobrazić się w miony i neutrina w stutysięcznej części sekundy.

Przed czterdziestu laty fizycy byli jeszcze przekonani, że odkryto najmniejszą cząstkę atomu. Dziś wiedzą, że istnieje świat cząstek drobniejszych od jądra atomu i zawierających więcej energii niż wszystko, co dotychczas można było sobie wyobrazić pod pojęciem „wyzwolonej energii”.

Pojęcie czasu zawodzi w tym *świecie cudów*. Fizycy nie wiedzą, jak i gdzie powinni zaszeregować elektrony, powłoki elektronowe, masę atomu. Przy matematycznie dowiedzionym istnieniu cząstek, mających

szybkość nadświatłą — jak teoretycznie wyliczone przez Geralda Feinberga tachiony, tardiony i luksiony — definitywnie upadają wszelkie pojęcia czasu: cząstki te bowiem zachowują się dokładnie odwrotnie niż nasze „normalne” cząstki elementarne.

Zamiast wykazywać przy osiągnięciu prędkości światła nieskończonej masy, a tym samym energii — jak obliczył Einstein — cząstki te, w miarę jak zyskują na szybkości, *tracą* na masie i energii. Trudno to sobie w ogóle wyobrazić: prędkość światła jest najniższą granicą ich przyspieszenia, powyżej niej mogą osiągnąć trylionowe wielokrotności prędkości światła. O ile za sprawą przyszłych lotów międzygwiazdnych nasze pojęcia czasu utraciły precyzję, o tyle badania cząstek o szybkości nadświatłej wprowadzą w nie całkowity zamęt. Każdy normalny człowiek wyznaje — dotychczas uzasadniony! — pogląd, że *nim*

dojdzie do działania, potrzebna jest przyczyna, która to działanie wyzwoli. Tymczasem świat stoi na głowie: przy cząsteczkach o prędkości większej od światła może *najpierw* występować działanie, a dopiero *po nim* przyczyna. Coś się dzieje, ale dokładnie nie wiadomo, co.

Tak jak fizyka powszechnie uznaje istnienie antimaterii*, można by w dalekiej przyszłości postulować też antyczas, „przeciwczas”, który w stosunku do „normalnego czasu” upływałby w kierunku przeciwnym. Wówczas nie istniałaby już — jak to sobie uświadomić? — przeszłość, terażniejszość i przyszłość. Wspomnienia z przyszłości to byłoby to, co dzieje się dziś, teraz, w tej chwili! Pojęcie czasu stanie się subiektywnym przebiegiem stanów świadomości. Jeśli w tym kontekście można jeszcze w ogóle mówić o świadomości...

Najpierw jest zawsze hipoteza

Zagadka wszelkich przepowiedni i prorocत्व byłaby rozwiązana, gdyby poza czasem istniała energia świadomości zmarłych i ziemską energią świadomości mogła nawiązywać z nią kontakt. W miarę rozwoju techniki to, co dziś jeszcze jest hipotezą, byłoby w przyszłości nie tylko dowiedzione, ale także zrealizowane. Przypuszczenia stwarzają przesłanki dla *każdego* rozwoju. Trzeba mieć odwagę, aby o nich mówić. Ja ją mam.

* Materia składająca się wyłącznie z antycząsteczek jest, w przeciwieństwie do normalnej materii, niezdolna do trwałej egzystencji.

Model myślowy

Świadomość z *tamtego świata*, z niewiadomych przyczyn zainteresowana oddziaływaniem na postępowanie jednego człowieka lub większej grupy ludzi (narodów, religii etc), opuszcza swój „bezczasowy stan” i nawiązuje porozumienie z jakąś *ziemską* świadomością. Droga odwrotna jest również prawdopodobna: energia świadomości człowieka (kogóżby innego, jeśli nie proroka!) mogłaby w konkretnych sytuacjach komunikować się ze świadomością „po tamtej stronie”. Może ona dowiedzieć się od zmarłego kolegi i jego zachowanej energii świadomości (niech mi tylko nikt nie mówi: „duszy“!), co będzie się działo w *przyszłości* — osoba ta wie z doświadczenia historycznego, że zasygnalizowane przez pozaziemską energię wydarzenie jeszcze nie mogło mieć miejsca, a zatem zapowiedziane zostało na przyszłość (,

przepowiedziane").

Paradoksem jest, że przepowiedzianego wydarzenia *nie można* ani zatrzymać, ani sprawić, aby się nie dokonało. Na tyle święty nie jest żaden święty.

Człowiek umiera. Jego świadomość (w formie energii) osiąga stan „niewymierności w czasie”. W tym stanie „widzi” on swoje rodzinne miasto w potopie. Ponieważ kataklizm nie wydarzył się za jego czasów, zatem wydarzenie *musi* nastąpić w przyszłości. Na *kiedy* jednak przyszłość wyznaczyła katastrofę, tego *bezczasowa* po śmierci świadomość nie wie. Świadomość „na tamtym świecie” ma (dzięki energii) powiązania z żyjącymi dziećmi, krewnymi czy przyjaciółmi, ponieważ chce ich ostrzec przed mającą się kiedyś wydarzyć katastrofą.

Uwikłani w zwykły bieg codziennego życia mieszkańcy Ziemi nie wyćwiczyli takich funkcji

mózgu, dzięki którym mogliby rejestrować tego rodzaju zjawiska, wypromieniowane poprzez przemianę materii impulsy „stamtąd” nie docierają więc do nich. Ci „z tamtej strony” muszą korzystać z pośrednictwa medium, które wyćwiczyło zdolne do odbioru sygnałów ośrodki mózgu. W transie, to jest w stanie, w którym ujawniają się paranormalne umiejętności, medium dzięki oddziaływaniu energii *widzi*, jak jego miasto zalewa potop, ale nie wie, *kiedy* to nastąpi; zabawne, bo tamci po tamtej stronie w swym beczasowym stanie też tego nie wiedzą. Kiedy więc medium (prorok, kapłan, wizjoner) mówi: — Módlcie się żarliwie, bo w przeciwnym razie wasze miasto zostanie zatopione! — jego przepowiednia jest prawdziwa, ale

apel zbędny, ponieważ miasto tak czy owak kiedyś zaleje potop. Gdyby było inaczej, „tamci” beczasowi nie mogliby przecież zapowiedzieć katastrofy.

Przećwiczmy ten przypadek w odwrotną stronę. Tutejszy prorok emituje przez przemianę materii na „tamten świat” swoje duchowe czujniki. „Widzi” wydarzenia, które mieszczą się *tylko w przyszłości*, ponieważ nie miały miejsca w historii. Znający się na rzeczy wizjoner i tak zatem się nie dowie, kiedy oznaczyć krzyżykiem w kalendarzu dzień X „widzianych” wydarzeń. Miałby cień szansy na precyzyjniejsze wyrażenie przepowiedni, gdyby „objawione” mu wydarzenia znał z autopsji. Tylko wtedy mógłby wydedukować mniej więcej czas spełnienia się przekazanej mu informacji. Jednego tylko nie mógłby mimo wszystko zrobić nawet najzręczniejszy i najbardziej medialnie wyćwiczony prorok: odwrócić „widzianego”

wydarzenia. Bo gdyby nie było ono zaprogramowane na nieokreśloną w czasie przyszłość, energia świadomości po „tamtej stronie” nie mogłaby go emitować, a ziemską „widzieć”. Informacja o wydarzeniach dawno zapisanych w księgach historii byłaby tyle warta, co zeszłoroczny śnieg.

Czy ta fizyczno-metafizyczna hipoteza nie tłumaczy, dlaczego doniesienia przekazywane przez „objawienia” zapowiadają wprawdzie przyszłe wydarzenia, ale nigdy nie mogą ich powstrzymać? A dlaczego wypowiedzi proroków i wizjonerów przekazujących posłannictwa są niezrozumiałe, tajemnicze i wieloznaczne? Wizjonerzy i prorocy dzięki własnej energii świadomości wyczuwają przyszłe zdarzenia, ale nie mogą wiedzy o nich „spożytkować” inaczej, jak tylko w niejasnych i niemożliwych do sprawdzenia prorocत्वach.

Jan bez słownika technicznego

Objawienie św. Jana, zwane też Apokalipsą św. Jana, jest jedyną księgą proroczą Nowego Testamentu. Prorok przedstawia w niej obrazy skażenia środowiska, samoloty, helikoptery, eksplozje jądrowe itd. Wizje te opisuje własnymi słowami tak, jak je „zobaczył” za pośrednictwem energii świadomości:

„[...] I powstał grad i ogień przemieszane z krwią, i zostały rzucone na ziemię; i spłonęła jedna trzecia ziemi, spłonęła też jedna trzecia drzew, i spłonęła wszystka zielona trawa. [...] i spadła z nieba wielka gwiazda płonąca jak pochodnia, i upadła na trzecią część rzek i na źródła wód. [...] I jedna trzecia wód zamieniła się w piołun, a wielu

z ludzi pomarło od tych wód, dlatego że zgorzkniały [*stały się radioaktywne?—EvD*]" (Obj. 8, 7—11).

„Z wyglądu szarańcze te podobne były do koni [...]. Miały też pancerze niby pancerze żelazne, a szum ich skrzydeł jak turkot wozów wojennych i wielu koni pędzących do boju [...]. Miały też ogony podobne do skorpionowych oraz żądła [...]" (Obj. 9, 7—10). „A takimi widziałem w widzeniu te konie i tych, którzy na nich siedzieli: mieli pancerze czerwone jak ogień, granatowe jak hiacynt, żółte jak siarka; a łby końskie były jak łby lwów, a z pysków ich wychodziły ogień i dym, i siarka" (Obj. 9, 17).

Niezrozumiałe wydawać się może, dlaczego Jan tak dokładne opisy ze *swojego* świata pojęć przekazał *własnymi* słowami? Po prostu nie znał słownictwa technicznego. Ciekawe, że fizyk jądrowy Bernhard Philberth [16] dał nowoczesną interpretację Apokalipsy Św. Jana. Szkoda, że w

swej technicznej egzegezie wszystkich proroczo-apokalip-tycznych wizji ciągle trudzi Pana Boga we własnej osobie. Nie podoba mi się to. Po prostu nie lubię, gdy Boga — ostateczną i najwyższą instancję wszelkiego istnienia — angażuje się wszędzie tam, gdzie odwołując się do zdrowego rozsądku, można samodzielnie dojść do celu.

Justinus Kerner i jasnowidząca z Prevorst

Przy wyjaśnianiu objawień somnambulicznych dużą rolę odgrywa czas interpretacji zjawiska i aktualny stan wiedzy.

Justinus Kerner (1786—1862), *poeta*, był główną postacią tzw. szwabskiej szkoły poetyckiej. Wiele jego wierszy przetrwało do dziś w podręcznikach szkolnych, wiele zyskało popularność dzięki pieśniom ludowym. Justinus Kerner, *lekarz*, poświęcił się szczególnemu kierunkowi badań zjawisk ponadzmysłowych, a

swoje obserwacje zapisywał z naukową dokładnością w dzienniku. Przez długie lata obiektem jego obserwacji była żona kupca, Friederike Hauffe, której somnambuliczne objawienia opisał w dwutomowym dziele *Jasnowidząca z Prevorst*. Mam pierwsze wydanie z 1829 roku, nie muszę zatem powoływać się na fragmenty prac Kenera zamieszczone w publikacjach naukowych, które często do nich nawiązują.

Friederike Hauffe pochodziła ze wsi Prevorst w pobliżu wirtemberskiego miasta Lówenstein, położonego w górzystej okolicy, której mieszkańcy —jak podaje Kerner — podatni byli na wpływy magnetyczne i sydereczne (odnoszące się do gwiazd). Ojciec Hauffe był leśniczym.

Friederike odebrała wychowanie „proste i naturalne”. Nigdy jej nie rozpieszczano, była dzieckiem zdrowym i radosnym. W przeciwieństwie do zrównoważonej dziewczynki, jej rodzeństwo miało „humory”. U Friederike stopniowo zaczęła się rozwijać zdolność przeczuwania zdarzeń, objawiających się w snach dziewczyny. Została żoną rzemieślnika, miała dzieci, prowadziła mieszczańskie życie, ale jej psychika osiągała coraz wyższy stopień wrażliwości, „z największej nawet odległości czuła wszystko i słyszała”. Zaczęło ją razić światło: kiedy pewnego razu krewny otworzył w południe okiennice, przez trzy dni występowały u niej objawy tężca.

Impulsy energii świadomości z tamtego świata?

„W tym czasie czuła każdego wieczoru o godzinie siódmej, przez siedem dni, że widziany

tylko przez nią duch wprowadza ją w sen hipnotyczny. Dokonywało się to za pomocą trzech palców, którymi duch emitował promienie." (Prawdopodobnie przygotowanie i pierwsze próby odbioru energii świadomości z tamtej strony.)

Wskutek namagnetyzowania duchowego Friederike zapadała w głęboki sen. Była pewna, że żyje tylko dzięki owej energii. Przeświadczona o tym — relacjonuje Kerner — za każdą widzianą osobą dostrzegała równocześnie drugą, „także o ludzkiej postaci, ale jak gdyby unoszącą się w promiennym blasku". (Zjawisko, o którym mówiło wielu wizjonerów.)

„Chciałbym wyznać — pisze lekarz — iż podzielałem wówczas jeszcze powszechną opinię, że ona kłamie, i próbowałem dać jej do zrozumienia, że stan czuwania sennego nie może trwać tak długo." 25 listopada 1826 roku Kerner

zabrał do swego domu panią Hauffe „zupełnie wycieńczoną”. Oznajmił jej, że , jest mu obojętne, co ona mówi we śnie, i wcale nie chce tego wiedzieć, że powinna wreszcie skończyć z somnambulicznym życiem, które trwa już tak długo i doprowadza wszystkich do rozpacz”. Po wielu tygodniach intensywnej kuracji spytał ją, gdy zapadła w głęboki sen, czy czuje, że „ponowne regularne leczenie magnetyczne mogłoby przynieść jej ratunek? Odrzekła, że odpowiedzi na to może udzielić po tym, gdy następnego wieczora o siódmej otrzyma siedem linii magnetycznych... [Czyżby zapowiedziała się energia świadomości z tamtego świata?] Siedem linii magnetycznych przyniosło taki rezultat, że nazajutrz rano, ku jej ogromnemu zdumieniu — bo sama nie

wiedziała, jak to się stało — mogła podnieść się na łóżku i poczuła się silniejsza niż po wszystkich dotychczas stosowanych środkach."

Kerner rozpoczął kurację magnetyczną* przez kreślenie na ciele pacjentki siedmiu magnetycznych linii od skroni do serca.

„Pani Hauffe dzięki stosowanej hipnozie pogrążona była w tak głębokim stanie somnambulicznym, że właściwie nigdy nie była całkiem przytomna, choć sprawiała takie wrażenie. Zapewne była przytomniejsza od innych ludzi, bo najdziwniejsze, że tego stanu, który jest właściwie *czuwaniem*, nie można określić przytomnością w potocznym rozumieniu tego słowa. Jest to jakby wewnętrzna przytomność."

Wizjonerka o swojej sytuacji

W omawianej literaturze nie ma żadnych danych na temat psychicznego stanu wizjonerów.

Friederike Hauffe napisała w protokole: „Często wydaje mi się, jak gdybym była poza sobą, unoszę się nad własnym ciałem i myślę o nim. Nie jest to dla mnie uczucie przyjemne, ponieważ ciągle wiem, że mam ciało. Gdyby tylko moja dusza była silniej przywiązana do ducha nerwów [!], byłaby wtedy silniej przywiązana do samych nerwów, ale więź z moimi duchami nerwów staje się coraz luźniejsza”.

Pani Hauffe widywała w śnie magnetycznym także fragmenty swego ciała:

„Kiedyś [...], zapewne w stanie czuwania, opadły jej powieki i nie chciała otworzyć oczu. Powiedziała, że widzi teraz słońce w okolicy żołądka, które porusza się wolno, chciałaby móc otworzyć oczy, aby nie widzieć tego słońca. Widzenie słońca w okolicy splotu słonecznego powtarzało się często. Był to punkt, jak gdyby *małe słońce*, z którego *wychodziły promyki*. Im bardziej je odczuwała,

tym bardziej czuła, że wraca do życia".

Kerner przez lata notował wiele przykładów jasnowidzenia, dotyczyły one licznego kręgu znajomych chorej, a także osób jej nie znanych. Kerner konsultował każdą wypowiedź ze znajomymi lekarzami. Proroctwa pani Hauffe zawsze się spełniały. „Wszystkie teksty i objawienia świadczyły o istnieniu jej wyzwolonego ducha nerwów...”

* Najśłabszy prąd elektryczny powoduje powstawanie pola magnetycznego. W przypadku prostego przewodnika (a takim jest ręka) linie pola tworzą koncentryczne okręgi.

Udokumentowany przykład prekognicji

Nie znam żadnej wcześniejszej naukowo-medycznej dokumentacji przypadku podobnego do tego, który przedstawił lekarz Justinus Kerner w swej książce napisanej bez mała sto pięćdziesiąt lat temu. Będąc lekarzem i przyrodnikiem, początkowo badał on zjawiska obserwowane u Friederike Hauffe jak objawy chorobowe. Przeprowadził wywiad dotyczący jej młodości, pochodzenia, warunków życia, nawyków. Chciał dotrzeć do sedna sprawy. W wyniku wszystkich tych zabiegów doszedł w końcu do wniosku, że sen magnetyczny wyzwała szczególne umiejętności, a mianowicie zdolność jasnowidzenia. Każdy przypadek prekognicji*, który dla niego graniczył z cudem, badał z precyzją i wytrwałością godną detektywów ze Scotland Yardu. Zamiast dziesiątków przypadków przedstawię jeden, opisany przez

Kenera.

25 listopada 1826 roku Friederike Hauffe przybyła do domu Kenera. Nie знаła tej miejscowości i nie miała tam też znajomych. Mieszkanie lekarza mieściło się na parterze domu usytuowanego w pobliżu siedziby sądu. Niejaki K., który zmarł przed kilkoma laty w tym domu, prowadził interesy pana F. i to do tego stopnia na niekorzyść tego ostatniego, że groziła mu licytacja. Hauffe w śnie hipnotycznym powiedziała: „A ten znów tu jest i przeszkadza mi... Co on mi pokazuje? Kartkę papieru, mniejszą niż arkusz i pełną cyfr. Prawy górny róg kartki jest trochę zagięty, a w lewym rogu jest cyfra... Kartka leży pod wieloma aktami i nikt nie zwraca na nią uwagi. On chce, żebym powiedziała o tym memu lekarzowi, a ten ma ostrzec... Ta kartka znajduje się w budynku stojącym w odległości sześćdziesięciu kroków od mego łóżka. Widzę tam duży, a potem mały

pokój. W tym pokoju na górze znajduje się wysoki mężczyzna, który siedzi przy biurku i pracuje. Właśnie wychodzi, teraz wraca. Za tym pokojem jest jeszcze jeden, większy, w którym stoją podłużne skrzynki. Widzę jedno pudło stojące przy wejściu — drzwi są trochę uchylone... Na stole stoi coś drewnianego..., a na tym leżą papiery, widzę je ułożone w trzech stosach. Plik z prawej strony nie jest ważny, ale czuję, że coś jest w środkowym. Wyczuwam, że jest tam kartka, która go niepokoi..."

* Prekognicja — postrzeganie pozazmysłowe, jasnowidzenie przyszłości.

Kerner rozpoznał wprawdzie z opisu budynek sądu, ale uznał wizję za senny majak. Chcąc uspokoić chorą, którą dręczyła ta historia, udał się do sędziego i opowiedział mu o wszystkim. Ten był zdumiony, bo rzeczywiście wychodził wtedy z pokoju.

Ale wizje ukazywały się dalej, dane były coraz precyzyjniejsze. Kerner wraz z przewodniczącym sądu przeszukali każdy plik, każdą teczkę. Efekt poszukiwań był taki, o jakim mógłby marzyć inspektor służby kryminalnej: „Znaleźliśmy w kopercie, która wyglądała dokładnie tak, jak opisała ją wizjonerka, kartkę z notatkami pisanymi ręką zmarłego mężczyzny. [Hauffe przecież ją „widziała“!] Kartka zawierała dowód, i to jedyny, że K. prowadził drugą, tajną księgę, której po jego śmierci nie znaleziono, a w której prawdopodobnie zapisywał wiele rzeczy, które nie powinny wyjść na jaw...”

Friederike Hauffe podyktowała w półśnie list

do żony zmarłego F. z zapewnieniem, że może się nie obawiać licytacji. Sędzia sporządził odpowiedni „wpis do akt”, mający wartość dowodu. Pani Hauffe po zakończeniu sprawy poczuła się „jak wyzwolona”.

Jasnowidząca z Prevorst zmarła 5 sierpnia 1829 roku w dokładnie takich okolicznościach, jakie opisała 2 maja w śnie hipnotycznym.

Wnioski wyciągane z mojego punktu widzenia

W jaki sposób znakomity lekarz Justinus Kerner mógł przed stu pięćdziesięciu laty przeczuć czy wiedzieć cokolwiek o wynikach nowoczesnych badań? O czasowej przemianie materii w energię? Bo cóż „objawiło” się wówczas jasnowidzącej, jeśli nie energia świadomości zmarłego pana F., który chciał uchronić swoją żonę przed licytacją? Kto poza panem F. znał stopy akt i dokument wielkiej

wagi?

Przypadek przedstawiony przez Knera jest czymś więcej niż jasnowidzeniem, jest dokładną wiedzą o minionych wydarzeniach. Nic dziwnego, że relacja na temat jasnowidzącej z Prevorst stale pojawia się we współczesnej literaturze naukowej. Kerner uTORował drogę do eksperymentów i ich oceny badawczej, możliwej w jego czasach.

We wszystkich wypowiedziach wizjonerki stale powtarza się, że wszelkie wrażenia i wizje spływały na nią od „ducha nerwów”. Mam chęć zaryzykować śmiało twierdzenie, że Kerner dostarczył pierwszego „dowodu” dla mojej hipotezy, iż energie świadomości szukają... i znajdują media, które wydają im się odpowiednie!

Prorocy zapowiadają głównie nieszczęścia

Ludzkość nie może się uskarżać na brak proroków i przekazywanych przez nich wieści budzących trwogę. Faktem jest, iż przepowiednie spadały zawsze jak grom z jasnego nieba i zapowiadały nieszczęścia. Czy „tamtejsze” i „tutejsze” energie świadomości miałyby nawiązywać w czasie kontakt, aby donieść o samych radościach? — Działki, nadejdą wspaniałe czasy! Radujcie się! Podatki zostaną zmniejszone! To, co macie dziś, będziecie też mieli za dwadzieścia lat! Kochajcie się, bo żaden cień nie padnie na wasze życie! Nigdy już nie będzie idiotycznych wojen, uściskajcie się! — Nie, dla takich radosnych wieści nie trzeba uruchamiać energetycznego aparatu informacyjnego.

„Duchy z tamtego świata” przekazywały (i przekazują) prawie wyłącznie opisy mających

nadejść groźnych kataklizmów, wieści o końcu świata, o kłopotach i klęskach głodu, które staną się udziałem Ziemi. Paskudna działalność radiotelegraficzna, ale przed radościami nie trzeba przecież nikogo ostrzegać.

Co „objawi” nam krótki przegląd annałów proroczych?

Grecki kapłan Peregrinus Proteus w swych wędrówkach po kraju głosił najpierw naukę chrześcijańską, potem zaczął mieć wątpliwości i zmienił światopogląd: stał się cynikiem, jednym ze zwolenników szkoły filozoficznej, która głosiła ideał skromności, brak wszelkich potrzeb, aż do nieuznawania żadnych autorytetów. (Cynikom zawdzięczamy pojęcie „cynik”. Też coś!) Konwertyta nie był jednak szczęśliwy. „Widział” i naturalnie jako prorok przepowiadał zagładę ludzkości. Nie chcąc uczestniczyć w tym masowym wydarzeniu, podczas Igrzysk Olimpijskich w 165 roku rozstał się z życiem

przez samospalenie.

Frygijski prorok Montan (zm. ok. 180 r. po Chr.), należał do pierwotnej sekty chrześcijańskiej, która budziła w ludziach nadzieję na rychły powrót Jezusa. Żeby być do tego dobrze przygotowanym, prorok zachęcał swoich zwolników do najsurowszej ascezy, ponieważ należy oczekiwać „bliskiego końca świata”.

Rzymski ojciec apostolski Hermas nawoływał chrześcijan w swym napisanym w 140 r. po Chr. *Pasterzu* (przez pewien czas zaliczanym do Nowego Testamentu) do korzystania z szansy pokuty jako ostatniego ratunku „przed bliskim już Sądem Ostatecznym”.

Przed ponad czterystu laty ukazała się opublikowana *post mortem* księga *Les Propheties* {*Proroctwa*} [17] francuskiego lekarza, zasłużonego w zwalczaniu dżumy, Michaela Nostradamusa (1503—1566). Jego

przepowiednie, sięgające aż po czasy nowożytnie, według opinii ludzi zajmujących się tym naukowo, opisują zdumiewająco dokładnie zapowiedziane fakty, przynoszą listę nieustannych wojen, pomorów i nieszczęść. Słabą pociechą jest, że większość wydarzeń ma następować zgodnie z ustalonym planem.

Darujmy sobie kolekcję proroczych zapowiedzi, miałyby one objętość nowojorskiej książki telefonicznej, poza tym nie jest miło grzebać w okropnościach. Przyjemność sprawia natomiast spotkanie z prorokinią i możliwość rozmowy z nią.

Jeane Dixon z Waszyngtonu

Jeane Dixon jest Amerykanką, zalicza się do dobrze sytuowanej klasy średniej, mieszka w szeregowcu z czerwonych cegieł w Waszyngtonie i wraz z mężem Jimem — energicznym handlowcem — stanowią

przykładne, szczęśliwe małżeństwo. Jeane kocha swego kota Mike'a, modnie się ubiera i jest prokurentką w firmie James L. Dixon and Comp., zajmującej się sprzedażą nieruchomości. Poza dziesięciogodzin-ną pracą w biurze ma swoją stałą rubrykę w 200 amerykańskich gazetach, otrzymuje tygodniowo około 3000 listów, obok obowiązków służbowo-reprezentacyjnych wygłasza prelekcje. Obliczyła, że pracuje o 217 dni w roku'więcej niż inni Amerykanie: składają się na to 52 niedziele, 52 soboty, 9 dni świątecznych (oprócz Bożego Narodzenia), 14 dni urlopu (którego praktycznie nie ma) i 90 dni, które wynikają z sumy przepracowanych nadgodzin. Jeane Dixon jest wesoła i głęboko religijna.

Jej nazwisko pojawia się na pierwszych stronach gazet całego świata.

W 1944 roku przepowiedziała, że Chiny staną się krajem komunistycznym. Stało się to w 1949

roku.

W lecie 1947 roku przepowiedziała, że Mahatma Gandhi zostanie zamordowany w ciągu najbliższych sześciu miesięcy. 30 stycznia 1948 roku zastrzelił go fanatyczny hindus.

W 1961 roku przepowiedziała samobójstwo Marylin Monroe. Mon-roe zmarła 5 sierpnia 1962 roku wskutek przedawkowania tabletek nasennych.

Na początku września 1961 roku „zobaczyła” śmierć swego przyjaciela Billa Rowallo, który należał do asysty sekretarza generalnego ONZ Daga Hammarskjolda. (Hammarskjold i towarzyszące mu osoby

straciły 18 września 1961 roku życie w nie wyjaśnionej katastrofie lotniczej koło Ndola w Rodezji.)

Renę Noorbergen opisał [18] „dramatyczną przepowiednię śmierci prezydenta Johna Kennedy'ego" — Jeane Dixon przewidziała ją na jedenaście (!) lat przed zamachem z 12 listopada 1963 roku. Próbowwała wszelkimi możliwymi sposobami powstrzymać Kennedy'ego przed podróżą do Dallas. Jeane Dixon twierdzi, że z rodziną Kennedych łączy ją szczególnego rodzaju związek. W styczniu 1968 roku przewidziała, że Robert Kennedy nie zostanie prezydentem USA, „ponieważ w czerwcu tego roku padnie ofiarą zamachu w Kalifornii". 5 czerwca Bishara Sirhan zastrzelił senatora w hotelu Ambassador w Los Angeles. Jeane Dixon określiła również miejsce tego zdarzenia.

Renę Noorbergen rozmawiał o Jeane Dixon z dr. Clydem Backs-terem, specjalistą od wykrywania

kłamstw i kierownikiem naukowego instytutu badawczego. Backster prezentował pogląd, że Jeane Dixon wtargnęła w sferę częstotliwości, która umożliwia jej komunikowanie się z Kosmosem. Backster: „Uważam za pewnik, że ten rodzaj środków porozumiewania się zawsze istniał. Tylko my sami wskutek przesądów zablokowaliśmy w sobie nasze ponadzmysłowe postrzeganie. Sami mydlimy sobie oczy — a nauka i otoczenie w tym pomagają — że poza zwykłymi zmysłami, taki zmysł nie istnieje. Jeane Dixon ma całkowity dostęp do umiejętności, jaką w prawiach powszechnie się posługiwano...”

Wywiad z jasnowidzącą

W niedzielę 5 maja 1974 roku spotkałem się z Jeane Dixon w jej waszyngtońskim mieszkaniu.

—Proszę pani, jak to jest, że pani dowiaduje się o swych prorocत्वach? Co się wtedy dzieje? Czy wiadomość jest pani przekazywana, ma pani

wizje, objawienia?

—Doznaję cudownego uczucia, kiedy widzę przyszłość. To nie jest zjawy, bo wówczas widziałabym jakąś widmową postać. Nie-jest to też objawienie, gdyż zależy ono od woli Boga. Ja widzę los, jaki Bóg panu albo komukolwiek innemu przeznaczył, i tego losu nie można odwrócić. Powiedziałam o tym panu Richardowi Nixonowi już w 1959 roku.

—Co dzieje się z panią w takiej chwili? Co się dzieje w pani mózgu?

—Przeżywam stan łaski, jestem na to zawsze przygotowana. Zmienia się moje samopoczucie, mój stosunek do otoczenia, zdolność

logicznego myślenia, sędzę, że nawet stan mego zdrowia. Pewnego ranka czuję nagle, że zbliża się czas natchnienia. Ten czas jest nieporównywalny ze zwykłym czasem.

—Czytałem, że jest pani bardzo religijna. Czy jest pani osobą praktykującą?

—Tak, dziś rano o siódmej byłem w kościele.

—A jak ustosunkowuje się Kościół do pani proroctw?

—Powinien pan przeczytać, co o mnie piszą niektórzy księża! Najlepiej tym się nie przejmować i modlić się za nich.

—Czy rzeczywiście była pani atakowana?

—Naturalnie, byłem atakowana całkiem serio i to przez dosyć wysokie instancje. Zawsze jest się atakowanym przez tych, którzy niczego nie rozumieją, ale zachowują się jakby wszystko rozumieli. Tacy krzyczą zwykle najgłośniej...

—Dlaczego była pani atakowana przez Kościół? Przecież nie powiedziała pani nic

przeciwko chrześcijaństwu?

—Miałam wizje Jezusa, ale tych nie da się porównać ze stanem jasnowidzenia.

—Czytałem w tych dniach w gazecie, że jest pani przeświadczona o istnieniu UFO. Czy może pani coś na ten temat powiedzieć?

—Muszę panu powiedzieć, że w moim życiu nie zdarzy się już nic nowego. UFO od lat, od dziesiątków lat, nie jest mi obce. Ludzie pytają: kiedy po raz pierwszy dowiedziała się pani o istnieniu UFO? Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie, ponieważ o UFO wiem, od kiedy zaczęłam stawiać pierwsze kroki. Czy zastanawiał się pan od kiedy i dlaczego umie pan chodzić?

—Pani zdaniem UFO jest zatem rzeczywistością. Skąd pochodzi?

—Wkrótce dowiemy się, że pochodzi z jakiejś nie odkrytej planety naszego Układu Słonecznego. Naważemy oficjalne kontakty z

załogami i od nich nauczymy się, jak prościej i lepiej wykorzystać istniejącą energię.

—Proporcje grawitacji w naszym Układzie Słonecznym są wyważone. Dla nieznanej planety nie ma tam miejsca. Poza tym sondy kosmiczne penetrowały również przestrzeń poza Słońcem, ale nie odnotowano żadnej nowej planety.

—Stwierdzenie takie nie zmienia faktu, że wkrótce odkryjemy nową planetę! Planeta ta znajduje się w pobliżu Jowisza.

—Jowisz jest bardzo oddalony od Słońca. Ta wielka planeta nie zalicza się już do ekosfery naszego Układu Słonecznego. Jak w takim zimnie miałyby powstać inteligencja?

—Spokojnie! A nawiasem mówiąc, nieznanne obiekty latające są kierowane przez kobiety...

—Jak pani do tego doszła?

. — Czuję wibracje, one są rodzaju żeńskiego...

—Zna pani moje książki. Co pani myśli o moich teoriach?

—W wielu punktach ma pan bezsprzecznie słuszność.

—Sądzi pani, że znów będziemy mieli wizyty istot pozaziemskich?

—Tak, oczywiście. W przeszłości odwiedzały nas, jak pan twierdzi... Proszę mi dać na chwilę rękę. Widzi pan, tu, w opuszkach pana palców, mogę wyczuć energię pana nadświadomości. Widzi pan, panie von Däniken, następny ważny etap pańskiego życia...

W tym miejscu Jeane Dixon odmówiła dalszego nagrywania wypowiedzi i zakazała też publikowania treści naszej rozmowy, która trwała jeszcze dwie godziny. Na zakończenie

zapytałem:

—Pije pani czasami alkohol?

—W ciągu całego życia nie wypilałam ani kropli. Nie piję też kawy ani herbaty. Czy pamięta pan, że w wieku dziewiętnastu lat nastąpił w pana życiu wielki zwrot? Przecież wówczas nie pan sam spowodował tę zmianę, stało się to niejako ponad panem. Będzie pan miał w dalszym życiu wrogów, ale więcej sił kierujących, które panu pomogą. Niech pan nie nadużywa swego talentu. I niech pan rzetelnie przedstawi naszą rozmowę! Ale gdyby sprawy, o których tu mówiliśmy, miały być przedstawione w sposób wypaczony, byłby to ostatni wywiad w życiu, jakiego udzieliłam...

„Coś”

„Coś” emanuje z naszych obszarów świadomości, „coś” widzi obrazy przyszłych zdarzeń, „coś” emanuje z obcej, „tamtejszej”

świadomości do naszego mózgu i produkuje wizje. Czyżby tylko urojenia? Proroctwo nie istnieje, a nieliczne trafne przepowiednie to jedynie przypadki powstałe w ludzkim umyśle, produkty zaś proroctw wyolbrzymiają sami wizjonerzy. Czy sprawdziło się *wszystko*, co przepowiedziała Jeane Dixon i inni? Pewnie nie, ale czy to kogo dziwi? Jeśli przyjmiemy, że świat po drugiej stronie tego, co (dotychczas) udało się pojąć, jest „bezczasowy”, to „adresaci” wypromieniowanych energii mogą je wprawdzie odbierać, ale jest prawie niemożliwe, a w każdym razie bardzo trudne, by mogli taki „strzał w dziesiątkę” umieścić w konkretnym czasie.

Formy świadomości tych „po tamtej stronie”, którzy szukają z nami kontaktu, mają charakter emocjonalny lub są nielogiczne (bo znajdują się niejako poza ziemską empirią i prawidłami czasu). Albo jedno i drugie. W przeciwnym razie nie ostrzegałyby nas przed rzekomymi przyszłymi wydarzeniami, które miały już miejsce w „stanie bez-czasowym” i niczego w tym nie można zmienić.

A może jest tak:

Formy świadomości „tutejszych” przenikają do „innego świata” i ich nadawcy *mają nadzieję*, że mogą odwrócić „widziane” zdarzenie. Byłaby to wprawdzie próba, przedsięwzięcie jednostkowe. Tamci „po tamtej stronie” nie mieliby zatem nic wspólnego z ostrzeganiem o zagrażających nam w przyszłości wydarzeniach.

Druga hipoteza odpowiadałaby mi bardziej, pozwalałaby bowiem bez trudu wyjść „tamtym” naprzeciw. Wówczas energia świadomości

wyprodukowana przez nasze mózgi byłaby zdolna w określonych odstępach czasu nawiązywać łączność ze „światem odwróconym w czasie" (tachiony!) i w ten sposób uzyskiwać od „tamtejszych" świadomości przepowiednie.

Mitologia i kontakty z tamtym światem

Dla stworzenia hipotezy o odwiedzinach kosmitów na naszym globie czerpałem wiele informacji z mitologii. Wiedza dawnych kronikarzy fascynuje, ponieważ udostępnia ludzkości opis *faktycznego stanu* rzeczy i treści, których znaczenia i doniosłości pisarz tamtych czasów nie mógł ocenić. Otóż, jeśli idzie o kontakty pomiędzy tym a „tamtym" światem, mitologia jest kopalnią informacji. Kilka przykładów:

Celtowie, lud indoeuropejski, został przez Germanów wyparty z pierwotnych siedzib w dorzeczu Renu, po czym opanował m.in. Wyspy

Brytyjskie. Ci wyspiarscy Celtowie w pierwszych wiekach chrześcijaństwa obcowali blisko z wrózkami, pięknymi, umiejącymi czynić czary demonicznymi istotami — z duchami, które nieustannie wędrowały ze świata naturalnego do nadnaturalnego. Zdziwiwały one wyspiarskich Celtów znajomością przyszłości, a że obrały sobie akurat Ziemię za miejsce czasowego bytowania, wzbudzały wielki respekt, ponieważ wabiły do swego „królestwa” wybrańców, choćby na pewien czas, i pozwalały im stamtąd wracać na Ziemię.

Północni Germanie byli niezłomnie przekonani o istnieniu „drugiego ja”, które nazywali Fylgia albo Fylgjur — towarzyszyło ono

człowiekowi jak cień. Fylgia należała do osobniczej świadomości, ale mogła się też od niej oddzielać i pojawiać w dowolnym miejscu. Dla Skandynawów Fylgia była swojskim duchem opiekuńczym, który zgodnie z potrzebą, zwłaszcza przy zagrażającym niebezpieczeństwie, robił skok „na tamtą stronę”, aby powrócić z mnóstwem informacji, dzięki którym mógł wyciągnąć człowieka z kłopotów.

U druidów, dawnych pogańskich kapłanów ludów celtyckich, tylko ten uznawany był za nosiciela kultury i proroka, kto mógł okazać tak zwany „kocioł druidów”, rodzaj kotła cudów, przygotowany przez „ducha z zaświatów”. Proroctw, jakie pichcili jasnowidze druidów w swoich kotłach, nie dałoby się dziś wyczarować z najlepszego garnka, nie zrobiłby tego nawet Uri Geller.

W noc duchów Samhuina (zjawiska ze staroindyjskich *Wed*) miały się jakoby otwierać

granice między tym a tamtym światem. Podobno z niczego powstawały najrozmaitsze straszliwe postacie.

W okultystycznej literaturze wszystkich epok „ciało astralne” odgrywa dużą rolę; ten osobliwy twór jest jakoby „delikatną otoczką” ciała i duszy. Gnostyczno-mityczna religia, uzależniająca szczęście człowieka od jego znajomości tajemnic świata, rozpowszechnia pogląd, iż ciało astralne przenika ludzkie ciało. Jest więc czymś w rodzaju ogniwa łączącego jego doczesną formę z inną, „wyższą”.

Ciało astralne, aura, prasiła

Kto mówi: ciało astralne, musi powiedzieć: aura. Słowo „aura” oznacza w języku greckim powietrze, tchnienie, powiew. Istnieje ono nie tylko od dawien dawna w języku potocznym, ale dziś ta — ogólnie mówiąc — niewidoczna otoczka wokół istoty żywej stanowi przedmiot

badań parapsychologicznych. (Mówi się, że tego czy owego poetę, uczonego, a nawet polityka otacza „pewna aura” w sensie charyzmy!)

Nie będę opisywał, jakimi etapami odkrywano nie dającą się bliżej określić aurę. Na dowód, że wybitni naukowcy zajmują się tym zjawiskiem, można wymienić przyrodnika i chemika Carla-Ludwiga barona von Reichenbacha (1788—1869), który odkrył w smole drzewnej parafinę i kreozol. Reichenbach był tak dalece przekonany o istnieniu niewidocznych, ale dających się unaocznic pierwotnych sił, które nazwał *Od-Kraft* (z germańskiego *od* — pierwotny), że poświęcił dwadzieścia lat badań na ich odkrycie. Reichenbach, podobnie jak Franz Anton Mesmer, wierzył, że pierwotną siłę można przenosić z jednego czło-

wieka na drugiego. Dziwna sprawa, ale obecnie ciało astralne, aura czy siła pierwotna znalazły się przypadkiem w zasięgu możliwości szczegółowych studiów i badań dzięki rozwojowi techniki.

Efekt Kirliana

W drugiej połowie lat czterdziestych rosyjski inżynier Siemion Dawidowicz Kirlian z Krasnodaru spostrzegł, że między ciałem pacjenta a elektrodami stosowanej w elektroterapii aparatury o wysokiej częstotliwości dochodzi do wyładowań elektrycznych. Kirliana zafrapowało zagadnienie, czy widziane zjawisko można sfotografować. Wraz z żoną Walentyną wzięli się do żmudnej pracy wywoływania filmów. Znane dziś powszechnie zdjęcia tego zjawiska nazywa się fotografiami kirlianowskimi. W polach prądu zmiennego o wysokiej częstotliwości,

nieszkodliwego dla ludzi, zwierząt i roślin, ciała wykazują luminescencję, zjawisko świecenia powstające bez podwyższania temperatury. Nazywa się to „zimnym świeceniem”.

Jedno zdjęcie przedstawia na przykład roślinę o wielu kwiatach, drugie tę samą roślinę, z której odcięto gałązkę z kwiatami. W miejscu, gdzie były kwiaty, pojawia się na ułamek sekundy kontur każdego kwiatu, którego tam już przecież nie ma. Według metody Kirliana wykonano dotychczas na całym świecie mnóstwo zdjęć, które pokazały m.in. niedostrzegalne gołym okiem zjawisko promieniowania ciała ludzkiego.

Pacjentowi wykonano zdjęcia po amputacji ręki i zarys odjętej kończyny utrwalony został na kliszy. Albo jeszcze dziwniejsze: człowiek położył się na sofie, po czym wstał i odszedł. W tej samej chwili wykonano zdjęcie sofy, które pokazuje zarys ciała tego człowieka w pozycji, w jakiej na niej leżał. Wyzwała się tu zapewne

nieznana siła, zjawisko fizyczne. Możliwe, że w przyszłości powstanie nowy system identyfikacji ludzi (konsystencja fotografowanej „aury” — cokolwiek by to było — bywa bowiem różna).

Gdzie zaczyna się świat duchów?

Zawsze czuję się zaskoczony, ilekroć stwierdzam, że niezrozumiałe niegdyś przekazy zawarte w mitach i świętych pismach coraz częściej odczytuje się jednak jako rzeczywiste fakty.-

Była mowa o aurze, o blasku świetlistym, jaki otaczał pewne postacie — i oto są! Nawet można je sfotografować. Jak powstaje efekt Kirliana, jest w zasadzie jasne. Fizycy nie zaprzeczają, że każde ciało promieniuje, mniej lub bardziej intensywnie. Kirlian wynalazł metodę fotograficznej rejestracji tego zjawiska.

A co z odpowiedzią na pytanie, w jaki sposób ciało, którego już nie ma (ścięty kwiat, amputowana ręka, człowiek, którego na zdjęciu nie ma), może być „aktywne” na dawnym miejscu i może promieniować jeszcze przez pewien czas? Źródłem promieniowania jest w końcu (tak należy rozumować) właśnie to ciało. (A może z aniołami jest na odwrót?) Skąd zatem promieniuje energia?

Każde promieniowanie jest, w sensie fizycznym, zjawiskiem „materialnym” — odnosi się to również do promieni światła (kwanty) oraz wszelkiego rodzaju promieniowania korpuskularnego. Wypromienio-wana energia ulega rozproszeniu.

Według praw, którym podlega energia, nie może jednak rozproszyć się w *nicość*. Jest to zasada, do której doszła nawet fizyka jądrowa: wykrycie pewnych cząstek elementarnych po przemianie ich w energię nie jest możliwe. Fizyk zatrudniony w Europejskim Instytucie Badań Jądrowych CERN w Genewie powiedział mi (prosząc o nieujawnianie nazwiska):

„I tu zaczynają się dla nas sprawy «nieziemskie». Odnotowujemy pewne reakcje, próbujemy ustalić prawidłowości. Nie znamy jednak źródeł tych reakcji. Tu chyba zaczyna się świat duchów”.

Co czuł dr Leonid L. Wasiliew, profesor zwyczajny psychologii uniwersytetu leningradzkiego (odznaczony orderem Lenina), gdy mówił:

„Odkrycie energii postrzegania pozazmysłowego będzie miało takie

samo znaczenie, jak odkrycie energii atomowej".

Czy objawienia są związane z miejscem i czasem?

Droga przez zjawiska parapsychologiczne do objawień to tylko pozorne nakładanie drogi. Objawienia są zjawiskami parapsychologicznymi. Za każdym objawieniem kryje się energia. Skąd się ona bierze? Co jest powodem (w sensie: co sprawia), że kilka miliardów atomów skupia się w *określonym czasie i określonym miejscu* w kształt widzialny, demonstrując przy tym rozumne działanie? Dlaczego nieliczne tylko osoby „widzą” objawienia? Dlaczego setki i tysiące innych, obecnych przy tym, nic nie widzą? Dlaczego postrzegane przez wizjonerów

objawienia powtarzają się w wybranych, zawsze tych samych miejscach? Czy nie mogą zmieniać raz obranej lokalizacji? Wizjonerzy są wzywani z zastanawiającą precyzją do stawienia się w określonym miejscu i w określonym czasie. Czyżby boskie zjawy nie mogły pojawiać się, gdzie i kiedy mają na to ochotę?

Matka Boska z mgły i obłoku

Już z niewielkiego wyboru opisanych przeze mnie objawień można dowieść na podstawie protokołów, że w jedenastu przypadkach wizjonerzy nie widzieli od razu całej zjawy, raczej objawiała się im *najpierw* „mglista, trudna do opisanie szarobiała masa”. Dopiero starając się intensywnie (autosugestia), dopatrywali się w tej „masie” zjawy.

Mały Albert z Beauraing, który 29 listopada 1932 roku „ujrzał” Matkę Boską, oznajmił *najpierw*, że zobaczył „białą chustę”, która

uformowała się w wizerunek Madonny. Mateusz Laszut, czeski wizjoner z Turzovki, w trakcie pierwszego objawienia „widział” Najświętszą Panią w białawej „lekkiej i delikatnej mgiele”. Dziewczynki z Heroldsbach podczas objawienia 12 października 1949 roku „widziały” tylko biały blask, który dopiero później przybrał kształt postaci „białej Pani”, widocznej zresztą tylko dla nich.

Również Mama Rosa z San Damiano twierdziła, że najpierw ujrzała „mglisty twór”, który potem „zagaścił się” i ukazała się postać Matki Boskiej. (Przypomina to jezuitę Athanasiusa Kirchera, który „mgły i opary” uważał za pomocne, kiedy chodził z różdżką w miejscach obfitujących w wodę.)

Objawienia z wyładowań elektrycznych

Z lektury protokołów przesłuchań dzieci-wizjonerów z Fatimy można domyślić się

pewnych zjawisk fizycznych. Objawienia „zapowiadały się błyskawicami”, przy czym wyładowaniom elektrycznym towarzyszyły szumy i trzaski. Mała Lucia zeznała, że zawsze, kiedy zjawa się oddalała, słychać było dźwięk, jak gdyby gdzieś daleko pękały race sztucznych ogni. Kiedy 13 września 1917 roku dzieci z Fatimy przeżywały piąte objawienie, tysiące ludzi widziało wyraźnie świetlistą kulę, która powoli, majestatycznie wzniosła się ku niebu. 13 maja 1924

roku pielgrzymi zauważyli nad dębem, w miejscu, gdzie stale miały miejsce objawienia, „dziwny biały obłok”. Mówili też, że podobno z góry spadło coś białego, wyglądającego jak płatki śniegu, które rozpląły się tuż nad ziemią. Lucia opowiedziała później, że zjawa Matki Boskiej zbliżała się zawsze w „blasku światła”, a oczom dzieci Madonna ukazywała się dopiero wtedy, gdy ów świetlisty punkt zatrzymywał się nad dębem. Kiedy podczas przesłuchania zapytano Lucię, dlaczego w czasie objawienia często spuszczała wzrok, zamiast wpatrywać się bez przerwy w Najświętszą Marię Pannę, odpowiedziała: „bo mnie czasem oślebiała” [19].

Materializacje

W przypadku Lourdes podsuwa się człowiekowi wprost na tacy myśl o *materializacji nieznanej formy energii*. W pierwszych relacjach dziennikarskich, nie zafałszowanych- żadnymi

upiększeniami, Bernadetta Soubirous, wzięta w krzyżowy ogień pytań, oświadczyła, że „najpierw zobaczyła coś nieokreślonego”, coś jakby „powiewającą białą chustę albo worek po mące” [20], a ponadto przed grotą usłyszała jakiś stłumiony szum „jakby podmuch wiatru” (protokół lekarzy: Lacrampe'a, Balencie'a i Peyrusa z 27 marca 1858 roku). Takie dane Bernadetta podała również wobec innych osobistości [21].

Wnioski

Nasuwają mi się trzy wnioski:

1) Objawienie nie następuje nagle, widocznie musi najpierw uporządkować swoje atomy w „obraz”. W protokołach często powtarza się słowo „nagle”, co należy tłumaczyć tym, że dla wizjonerów preludium objawienia (mgła, białe chusty, obłok) nie jest ważne; odpowiadając na natarczywe pytania dążą wprost do celu, do

opisania samej wizji. Dlatego — przynajmniej w protokołach — objawienia występują „nagle”.

2) Podczas objawienia powstaje pole magnetyczne, prawdopodobnie silnie zjonizowane. Powietrze szybko jest wypierane, powstają przy tym drgania fal o zmiennej amplitudzie i natężeniu, „jak przytłumiony odgłos wiatru”. Powietrze zostało wyparte z grotu, jak wysane przez ekshaustor, ssawę wyciągającą gaz z zamkniętej przestrzeni.

3) Zjawy niknie, światło wpada w próżnię, która otwiera się po gwałtownym rozładowaniu pola magnetycznego. Dlatego w wielu miejscach objawień nawet bierni widzowie słyszeli „trzask”.

Już te skąpe wnioski pozwalają stwierdzić, że nieznane przyczyny objawień podlegają prawom fizyki. Czyżby wszechmocny Bóg, gdyby miał w ogóle uczestniczyć w tych zjawiskach, korzystając z pośrednictwa członków swojej rodziny jako swoich ambasadorów, musiał naginać się do tak prostych praw?

Relacje o rzekomych objawieniach, zmyślane przez religijnych fan-tastów czy też powstałe w umysłach histeryków nie poddanych leczeniu, należy wyjaśnić, a chorych odesłać do psychiatrii. Przyczyny mnożących się zjawisk objawień leżą chyba poza ludzkim rozsądkiem, poza możliwościami ludzkiego mózgu. Zjonizowane powietrze, głośne wyładowania i

trzaski, kuliste błyskawice etc. to fakty tak niezbite, że można sobie nad nimi długo łamać głowę. Kim jest wielki Manitu, potężny „duch”, który figlarnie wywołuje te zjawiska? Czy wolno mi twierdzić, że prawdziwe objawienia istnieją?

Atom społeczny

Wolno mi tak twierdzić. Tysiące ludzi, którzy słyszeli trzask, widzieli błysk czy obserwowali cud ze słońcem, to nie byli chorzy psychicznie. Ludzie idący za „wizjonerami” na miejsce objawień to nie tylko stado otumanionych, pobożnych owieczek. Byli wśród nich przecież naukowcy, często nastawieni sceptycznie, krytyczni dziennikarze i zawsze znaczna liczba nie zainfekowanych religijnie ateistów.

Ale zbiorowej sugestii „świętych wydarzeń” poddają się zawsze tylko pobożni, ci, którzy wierzą bez zastrzeżeń, w sposób przedstawiony przez Jacquesa Hochmanna [22], psychiatrę i

psychologa z kliniki uniwersyteckiej w Lyonie. Istnieje teoretyczny model „socjometrii”, w którego centralnym punkcie znajduje się atom społeczny. Atom ten należy rozumieć jako jądro, które tworzy się przez uczuciowe przyciąganie i odpychanie jednostki z jej otoczeniem; stosunek ten składa się z sieci interrelacjonistycznych* łańcuchów wywoływanych przez prądy emocjonalne. Homogeniczna wspólnota „atomów społecznych” tworzy się jednakże tylko w takich miejscach cudownych, jak Lourdes, gdzie

* Relacjonizm — nauka, wedle której możemy dojść do obiektywnego poznania tylko wzajemnej relacji przedmiotów albo poznawanego obiektu.

pielgrzymi z pewnością związani są ze sobą „prądem emocjonalnym”, nie występuje natomiast w miejscach, gdzie przemieszana ciekawość i nadzieja na cud rozproszona jest wśród masy ludzi.

Dlaczego miejsce i czas muszą być ustalone?

Zjawy przez swego rodzaju presję hipnotyczną sygnalizują wizjonerom swoje przybycie w sposób trochę bezradny — inaczej nie umiem tego wyrazić. „Zabezpieczają się”, podając miejsce i czas kontaktu.

„Chcę, abyście przyszli tu trzynastego następnego miesiąca...” nakazała zjawia trójce dzieci z Fatimy. Madonna ukazuje się w zapowiedzianym miejscu punktualnie. 13 lipca 1917 roku astronomiczne południe w Fatimie wypadało o wpół do drugiej. (Dlaczego?) I znów piękna Pani prosi dzieci o *rendez-vous* trzynastego następnego miesiąca i w tym samym

miejscu. Strumień informacji emitowany od zjawy (nadawcy) do wizjonera (odbiorcy) został uruchomiony.

No, dobrze. Ale dlaczego zjawy są związane z miejscem i czasem? Mogę tu zaproponować jedynie fantastyczne przypuszczenie, które — przyznaję — po części tylko przystaje do tak zwanych uznanych faktów. Wydaje mi się, że lepiej będzie zaproponować jakąś teorię niż tchórzliwie dać drapaka. Jestem przy tym całkowicie świadomy przestrogi, jaką historyk kultury, Egon Friedell (1878—1938) wpisał wszystkim śmiałkom do sztambucha:

„Oto prawdziwe cuda: ktoś bierze *tabu* i parzy sobie nie tylko palce,
ale i język — nie należy się dziwić, jeśli przez nieuwagę stanie
w płomieniach”.

Do kontaktu potrzebny jest partner

W jaki sposób mogą skontaktować się ze sobą istoty z tamtego świata z tutejszymi, jeśli dzieli je wiele lat świetlnych? Za pomocą fal radiowych czy impulsów radarowych? *Wszystkie* fale elektromagnetyczne ogranicza prędkość światła. Nawiązanie kontaktu radiowego czy radarowego trwałoby dłużej niż życie setek, tysięcy pokoleń; jest to perspektywa pociągająca jedynie w utopijnych rojeniach.

Fale nośne obrazu telewizyjnego są falami decymetrowymi* i po-

* Fale o długości 10—100 cm i częstotliwości od 1 GHz do 100 MHz.

dobnie jak promienie światła rozchodzą się tylko liniowo. Gdybyśmy za pomocą stacji przekaźnikowych skierowali dziś sygnał telewizyjny skupiony w wiązkę w kierunku gwiazdy Arktur w gwiazdozborze Wolarza, moglibyśmy oczekiwać odpowiedzi najwcześniej za osiemdziesiąt dwa lata, gdyż sympatyczny Arktur oddalony jest od Ziemi o czterdzieści jeden lat świetlnych. Nawet jak na dzisiejsze funkcjonowanie poczty byłby to nieprzyzwoicie długi termin doręczenia.

Gwiazdy Rigel czy Canopus, żeby wymienić jeszcze dwa adresy, oddalone są od nas jeszcze bardziej. Gdybyśmy zadali sobie trud rozpoczęcia „nadawania”, to nie wiedzielibyśmy nawet, czy obydwaj gwiazdni towarzysze w ogóle jeszcze istnieją. Światło pierwszej, które dziś do nas dociera, liczy sobie już 1304, drugiej — 181 lat. W tym czasie także i na tych gwiazdach mogło się zdarzyć mnóstwo rzeczy.

Ale dlaczego wysyłać sygnały właśnie tam? Nawet gdyby cieszyły się one jeszcze najlepszą kondycją oraz istniałaby tam cywilizacja techniczna, to echo naszego sygnału dotarłoby do nas najwcześniej za 362 lata. Kogo z nas mogłoby to interesować? Trzeba wynaleźć inne, nowe systemy łączności międzygwiazdnej, bo nie pomoże tu nawet radioastronomia stosująca wysokie częstotliwości, nadająca i odbierająca sygnały za pomocą gigantycznych anten parabolicznych. Nikt dotychczas nie zna właściwej długości fal! (Za szczęśliwy przypadek należy uznać spotkanie na Ziemi człowieka nastrojonego na tę samą długość fali!) Czy łączność między tak odległymi od siebie cywilizacjami jest w ogóle możliwa? Tak. Przez objawienia.

Przewyciężenie czasu i przestrzeni

Kto ma ochotę iść śladem moich

spekulatywnych kombinacji, niech odrobinę pomyśli. Może dzięki temu uda mu się zobaczyć teoretyczne zależności i powiązania.

Kiedyś, gdzieś w naszej Galaktyce wykształciła się pierwsza cywilizacja. Astrofizycy twierdzą, że istnieją układy słoneczne nieporównanie starsze od naszego, zatem przypuszczalnie — nie jest to poważnie i zdecydowanie kwestionowane — są również znacznie starsze cywilizacje. Te wcześniejsze cywilizacje (jak istotom rozumnym przystoi!) zaczęły zastanawiać się, w jaki sposób wzbogacić swoją wiedzę. Zanim pozaziemskie rozumne istoty zaplanowały podróż kosmiczną, prowadziły badania astrofizyczne i astronomiczne (podobnie czynili nasi specjaliści, nim wysłali w Kosmos pierwsze rakiety). Kiedy zaczęły

konstruować statki kosmiczne, ich matematycy i specjaliści od balistyki obliczyli, że przy dużych szybkościach statków kosmicznych czas planety, z której startują, i czas załogi statku będą różne.

Niezrozumiałe?

Od dawna udowodniono naukowo, że przy lotach międzygwiazdnych z wielkimi szybkościami obowiązują różne czasy. Dylatacja czasu, jak nazywa się to zjawisko, została odkryta wprawdzie w naszych czasach, ale jest to „odwieczna” reguła, która obowiązywała już pierwsze cywilizacje podejmujące podróże kosmiczne. „Cóż więc począć?” — pyta Jowisz w wierszu Fryderyka Schillera „Podział świata” (tł. H. Gałęcki). Co robić? — zastanawiają się pozaziemskie istoty inteligentne. Jak realizować cel ekspedycji poznawczej, jeśli po powrocie z podróży po Wszechświecie miałyby upłynąć tysiące lat? Jeśli tam, skąd wystartowali, nie żyłby już nikt, kto mógłby ocenić wyniki podróży?

Pozaziemscy naukowcy stwierdzili więc, że

przestrzeń i czas można przewyciężyć tylko wtedy, gdyby w wielu miejscach w Kosmosie zadbać w różnym czasie o potomnych — naturalnie potomnych „na *ich* obraz i podobieństwo”. Astronauci zostali więc przeszkoleni i otrzymali polecenie, aby podczas dalekiej podróży kierować się do wszystkich słońc rodzimego typu i tam lądować. Na dokładnie zbadanych planetach mieli za każdym razem wyodrębnić najbardziej wykształcone formy życia i przez celową „sztuczną” mutację uczynić je inteligentnymi. Według jakiego wzoru? Naturalnie, „na wzór i podobieństwo swoje”.

Sztafety „jednaki”

W ten sposób, za pomocą dosyć prostego triku, czas został pokonany. Od tej chwili na różnych planetach podobnych do macierzystej powstawały w różnym czasie grupy istot inteligentnych, przeobrażanych (przez mutacje) na „*ich* podobieństwo”.

Chronologiczne odtwarzanie gatunku umożliwiło, mimo dylatacji czasu, przekazywanie osiągniętych doświadczeń i wiedzy jakby w beczasowej sztafecie. Cel, jakim było pomnożenie wiedzy, został osiągnięty.

Domniemywanie, że w Kosmosie istnieje tylko jedna niepowtarzalna, nasza cywilizacja, byłoby pozbawione sensu. We Wszechświecie mogą istnieć miliony, miliardy różnych cywilizacji, jednak wysłannicy cywilizacji innych niż ta, której my zawdzięczamy swój rozwój, nie odwiedzali naszej planety. Cóż miałyby robić na Merkurym istoty

inteligentne z Jowisza, jeśli nie znajdowałyby tam dla siebie odpowiednich warunków? W *Odysei* Homera jest recepta dla kosmitów:

„...tak zawsze podobne
wiedzie bóg do podobnego...”*

W naszej Galaktyce istnieją podobne do nas istoty inteligentne, gdyż zgodnie z nakazem istoty pozaziemskie dokonywały w wielu strategicznych punktach mutacji, sztucznej mutacji zastanych tam form życia. Są zapewne, choć *jeszcze* o tym nie wiemy, inne cywilizacje, których przedstawiciele myślą, działają i czują tak jak my. Te blisko z nami spokrewnione rodziny kosmiczne łączą wspólne pochodzenie: przeobrażone zostały na podobieństwo obcych kosmonautów. Ich mózgi reagują na bodźce świata zewnętrznego *podobnie* jak nasze, niezwykle oszczędnie wykorzystywane aparaty myślenia. Czy to właśnie *one* są inspiratorami objawień?

Przyroda nie może czynić czarów

Można zapytać: dlaczego „ozdoba wszelkiego stworzenia” doszła do inteligencji nie poprzez selekcję, ewolucję i mutację, co twierdzą antropologowie? Ponieważ cała reszta rodziny małp (nasi przodkowie!) nadal jeszcze skacze w dżungli po drzewach! Ponieważ miała tyle samo czasu na proces ewolucji! Ponieważ liczba i forma chromosomów u nich nie jest identyczna z naszymi!

Nasi przodkowie hominidzi mieli 48 chromosomów Y. My mamy tylko 46 chromosomów X. Pokornie proszę genetyków (i antropologów!), żeby zechcieli wytłumaczyć mi „cud”, mianowicie w jaki sposób z 48 chromosomów Y doszło do 46 chromosomów X i jak „produkty” związku osobników posiadających niejednakową liczbę i formę chromosomów mogły się w dodatku skutecznie

rozmnażać? Może usłyszalibyśmy, że dwa chromosomy Y przypadkowo zrosły się i dały w rezultacie jeden chromosom X. Dlaczego nie? Ale jest jeden szkopuł: istota, której przytrafiłby się taki defekt genetyczny, obojętne, męskiej płci czy żeńskiej, „potem”, ze względu na nierówną liczbę chromosomów, nie mogłaby się łączyć z innym hominidem.

W tym tak groteskowo nielogicznym wyjaśnieniu tkwi jeszcze błąd matematyczny, a mianowicie ów czysto przypadkowy defekt z chromosomami mógłby powtórzyć się mniej więcej w tym samym czasie i owa

* Pieśń XVII, w. 200 — przekład Lucjana Siemieńskiego, Wrocław 1953.

druga „samorzutna mutacja” spotkałaby się — też przypadkowo — z pierwszą! PanoWie! Para składa się z dwojga istot i jeśli chcą się one rozmnożyć, każda z nich musi posiadać te same właściwości. Proponowanie takiego wyjaśnienia problemu jest nieprzyzwoite. Gdy ktoś zadaje kłopotliwe pytania, a nie wiadomo, co odpowiedzieć, stosuje się podobny wybieg.

Brytyjski genetyk Francis Harry Crick, który w 1962 roku otrzymał nagrodę Nobla za badania kodu genetycznego (DNA), opublikował w czasopiśmie „Icarus” [23] pogląd, że życie na Ziemi rozwinęło się dzięki genom pozaziemskiego pochodzenia. Ponieważ energicznie atakowano właśnie tę moją hipotezę, muszę wyznać, że artykuł naukowca cieszącego się światową sławą sprawił mi dużą satysfakcję.

Przypadkowy punkt TERAZ

Zanim będę kontynuował uzasadnianie,

dłaczego moim zdaniem powstanie naszej inteligencji za sprawą istot pozaziemskich może być *również* przyczyną prawdziwych objawień, muszę się rozprawić z najpoważniejszym zarzutem dotyczącym mojej teorii o kosmonautach.

Znani astronauta i egzobiolodzy (żeby wymienić tylko profesora Carla Sagana z Nowego Jorku) uważają za niemożliwe odwiedziny istot pozaziemskich na naszej planecie chociażby dlatego, że przy ogromnej liczbie planet, które mogłyby wchodzić w rachubę, kosmici nie byliby w stanie przewidzieć w rozwoju ludzkości w ciągu dziejów, przypadkowego momentu *TERAZ*, momentu, w którym człowiek stał się już istotą inteligentną. Gdyby przyjąć, że Ziemia przed trzema milionami lat była odwiedzana przez przybyszów z Kosmosu, to doniesienia o tym zdarzeniu nie mogłyby znaleźć odbicia w mitologii, jak

twierdzą w swoich książkach. Po pierwsze, kosmici nie mogliby wiedzieć, że nasza planeta jest celem godnym uwagi. Po drugie, nie wiedzieliby też, iż hominidzi osiągnęli w swym rozwoju stadium istot inteligentnych.

Homo sapiens stał się istotą inteligentną dopiero po wizycie kosmitów. Gdyby przed trzema milionami lat Ziemia była odwiedzana przez gości z Kosmosu, to z pewnością od trzech milionów lat istniałyby na niej istoty inteligentne. Gdyby zaś kosmici mieli nas odwiedzić w przyszłości, dopiero za paręset tysięcy lat, moment TERAZ zaistniałby wówczas. Przyjmowanie jakiegoś konkretnego czasu jest fikcją. Kiedykolwiek nastąpił przypadkowy moment TERAZ, to jest on w każdym razie

równoznaczny z momentem osiągnięcia inteligencji przez naszych przodków bez względu na to, w którym miejscu na prostej czasu byłby umieszczony punkt TERAZ.

Aby móc przedsięwziąć podróż w przestrzeń międzygwiazdną, trzeba wiedzieć o wiele więcej niż to, czym rozporządza obecnie nasza technika. Kosmici, którzy poprzez sztuczną mutację uczynili nas istotami inteligentnymi, wyprzedzali dzisiejszą ludzkość o setki lat nie tylko w technice — również ich wiedza o światach subatomowych i o *rzeczywistych* możliwościach mózgu musiała być nieporównanie bardziej rozwinięta.

Jeżeli do odkrytych już przez nas możliwości ludzkiego mózgu, dodamy umiejętności cywilizacji znacznie nas wyprzedzających, to możemy w przybliżeniu uświadomić sobie, jakimi kolosalnymi możliwościami dysponowali twórcy naszej świadomości. *Wszelkiego rodzaju*

postrzeganie pozazmysłowe nie jest *niczym nowym*. Co dziś odkrywamy z wielkim trudem znacznym nakładem kosztów, co dziś staramy się ogarnąć rozumem, zostało zaprogramowane w mózgu człowieka z chwilą przeprowadzenia pradawnej *celowej sztucznej mutacji*.

Od dawna powszechnie wiadomo, że tylko 10% masy mózgu człowieka jest aktywne. A co robi dominująca „reszta”, czyli 90%, którymi *moglibyśmy* jeszcze dysponować? Dlaczego selekcje, ewolucja i mutacje pozwoliły na wykształcenie mózgu o wadze 1300—1800 g, skoro człowiek wcale aż tyle nie potrzebuje? „Bestię-mózg” stać na nieskończenie więcej. Media, jasnowidze, telepaci, hipnotyzerzy, telekinetycy... i prorocy to potwierdzają.

Łączność międzyplanetarna

Nadając hominidom cechy swego gatunku i osobowości — metoda przyjęta w stosunkowo

małej jeszcze mierze w hodowli roślin i zwierząt — kosmici przekazali im również wysoko rozwiniętą umiejętność obserwacji, zgodnie z własnym obrazem. Zadali sobie trud uszlachetnienia (uczłowieczenia) hominidów bynajmniej nie z czystej bezinteresowności, miłości czy też — jak chcą religie — jako łaskawy dar wyciągnięty ze skarbca swojej wszechpotęgi.

Dla „obcych" była to sprawa niejako natury technicznej: pozyskiwali na bieżąco wiadomości, jakie chcieli zachować. Mając świadomość, że po powrocie na planety macierzyste zastaliby tam tylko prochy dawnych mieszkańców, tu składali w depozyt swoją wiedzę. Depozyty

były centrami łączności wszystkich „dzieci” sfabrykowanych „na własne podobieństwo”.

W wielu miejscach zostały więc zainstalowane jednakowe stacje nadawcze i odbiorcze. Ale za pomocą jakich środków można było zapewnić im łączność? Fale elektromagnetyczne przy tak wielkich odległościach i związanych z tym zakłóceniach nie wchodziły w rachubę. Nie było natomiast przeszkód w przekazywaniu myśli. Udowodnili to wystarczająco naukowcy naszych czasów przy próbach telepatycznego przekazywania „fal myśli” od medium nadającego do odbiorcy, oddzielonego od nadajnika o setki metrów wody morskiej. Badacze umieszczali nawet odbiorców w klatkach Faradaya, wyłożonych płytami z ołowiu, które miały ich izolować od zewnętrznego promieniowania elektromagnetycznego. Ale sygnały telepatyczne przenikały bez przeszkód.

Trudnością nie do pokonania przy tego rodzaju

telepatycznym przekazywaniu wiadomości okazał się mimo wszystko język. Mądrzy kosmiczni specjaliści od mutacji przewidzieli, że wykształcą się różne języki. Precyzyjnie wzorując się na „własnym obrazie”, wiedzieli, że między zróżnicowanymi pododmianami nowej rasy będzie dochodzić do wojen. Dlatego w tworzącej się rodzinie ludów nieuniknione było istnienie różnego rodzaju tajemnych szyfrów, jako formy zabezpieczenia się przed wrogiem.

W różnych językach powstaną różne kryteria moralności i etyki, według różnych kluczy językowych będą formułowane prawdy naukowe i techniczne. Bariera językowa utrudni zrozumienie wiadomości emitowanej przez nadawcę X do odbiorcy Y. Pozostaje więc jedynie droga telepatii emocjonalnej i obrazowej. Przekazywane *uczucia* miłości, ufności, nienawiści czy zagrożenia wszędzie byłyby powszechnie rozumiane.

Uczucia, obrazy, muzyka i symbole jako media

Każde prawdziwe objawienie zaczyna się od odebrania uspokajającej informacji: Pokój z tobą! Nie lękaj się! Miłość nade wszystko! Tego rodzaju *emocjonalny* przekaz telepatyczny między istotami inteligentnymi jest możliwy i skuteczny. W żadnym z języków nie emituje się słów takich, jak „miłość” czy „pokój”, nie byłyby one bowiem wszędzie zrozumiałe (esperanto zamknięte jest w getcie językowego laboratorium!). Dlatego emituje się nie słowa, lecz *uczucia* miłości i pokoju. Emocjonalny wyraz jest wzmacniany, kondensowany przez

emisję obrazów i symboli. Obraz ma wymowę międzynarodową i międzycosmiczną. Uśmiech Mony Lisy cieszy i Paryż, i Tokio.

Jako trzecią częstotliwość wykorzystuje się *muzykę* (dźwięk). Wibracje i następujące jedne po drugich akordy drgań mają pobudzać neurony mózgu i wyzwalają ich przemianę energetyczną.

Starsze pokolenie często drażni nowoczesna muzyka, nie możemy jej „zrozumieć”. U młodzieży naszych czasów otworzyła się niejako nowa świadomość odbioru tych osobliwych drgań — odtwarzane elektrycznie kosmiczne wibracje przenikają do nich i jak środek farmakologiczny aktywizują w mózgu obszary pod- i nadświadomości. Należy zwrócić uwagę, że na płytach najpopularniejszych wśród młodzieży zawsze słychać organy i syntezatory; ich wibrujące dźwięki spełniają rolę stymulatorów poszerzających świadomość. Dziwne tylko, że tego rodzaju nowe „światy”

otwierają się wszędzie i równocześnie, choć nie są związane ze specyficznym narodowym gustem.

Jaka to siła *nagle* nakazuje tworzyć podobną muzykę kompozytorowi w Korei i jego kolegom w Zurychu, Paryżu, Nowym Jorku czy Berlinie? Co sprawia, że w malarstwie zaczyna nagle dominować nadrealizm czy abstrakcja? Skąd biorą się w pewnych epokach wyraźne impulsy tego rodzaju? Czy dlatego, że istnieje moda i zapotrzebowanie na nowy rodzaj malarstwa czy muzyki? Walc też kiedyś był modny i lubiany w krajach Zachodu, ale nie zaakceptowali go Hindusi i Indianie. Czy nie przeniknął w głąb ich świadomości, gdzie zaprogramowane jest tylko jedno *wspólne* dla wszystkich odczucie?

Molekuły pamięci

Mimo kilku luk w łańcuchu dowodów, uważam za dowiedzione, że ludzki mózg może

rejestrować trudniejsze i subtelniejsze drgania niż jakiegokolwiek wymyślne przyrządy pomiarowe. Żaden aparat nie zarejestrował nigdy „miłości”, choć przeżywają ją nawet wielcy badacze i nie da się zaprzeczyć, że miłość istnieje. W dziedzinie fizyki i chemii przemiana pierwiastków jest faktem niezaprzeczalnym. Czy w odniesieniu do mózgu człowieka mają obowiązywać inne kryteria?

Profesor George Ungar z Teksasu (Baylor Medicine College, uniwersytet w Houston) na podstawie tysiąca eksperymentów wykonywanych na zwierzętach dowiódł, że impulsy elektryczne, oddziałując na chemiczną aktywność komórek mózgowych, wytwarzają nowy produkt — molekuły pamięci. Profesor Ungar: „Czy nam się to podoba, czy

nie, musimy dziś uznać, że nasz mózg jest dla milionów molekuł pamięci pojemnikiem i urządzeniem odtwarzającym" [24].

Molekuły pamięci są elementami, z których zaprogramowana informacja może być odtwarzana. Są one materialne. Wprawione w drgania, oddziałują na mikrocząsteczki niematerialnego świata. To, co fizycy uzyskują w synchrotronach (przyśpieszacz naładowanych cząstek elementarnych), w ludzkim mózgu sprawiają emocje. Każdy z nas ma w sobie takie przetwarzacze energii: nienawiść, miłość, radość, smutek, współczucie, zawiść. W sytuacjach normalnych bodźce emocjonalne reagują normalnie. Trans wywołany hipnozą czy sugestią wzmacnia odbiegające od normy możliwości mózgu. *Jest* to dowiedzione, choć siły, które tu działają, nie zostały jeszcze do końca poznane.

Lewitacje

Angielski fizyk i chemik sir William Crookes — była już o nim mowa — przeprowadzał w swoim laboratorium eksperymenty z medium Danielem Douglasem Home'em. Sir William reprezentował pogląd, że istnieje siła, która w nie zbadany jeszcze sposób wpływa na ciało ludzkie. D. D. Home był podczas eksperymentów unoszony przez tę nieznaną siłę na wysokość wielu stóp. Fizyk Crookes relacjonuje:

„Osobliwe zjawisko [...] wystąpiło w słabym świetle nie raz czy dwa, ale dokonywało się setki razy we wszelkich możliwych warunkach [...]. Home unosił się raz aż na wysokości 70 stóp (21 metrów) — wypłynąwszy z pokoju przez jedno okno, powrócił doń przez drugie. Wielce szanowne osoby, jak lord Dunraven, lord Lindsay i kapitan Wynne, jako naoczni świadkowie gotowi byli poświadczyć to pod przysięgą" [25].

Podobnie było w 1938 roku z angielskim medium

Collinem Evansem w obecności 300 widzów. Lewitacje* fotografowano w wielu stadiach. Spekulowało się i będzie się nadal spekulować na temat sił powodujących takie zjawiska. Nie chciałbym grać w ruletkę (która też wyzwala pewien rodzaj energii), bo za dużo jest tam możliwości, a za mało szans trafienia. Czy nie wystarczy wiedzieć, że siły takie istnieją, rejestrować je i udowadniać? Ich istnienie całkowicie wystarcza, aby właściwie ocenić zjawisko unoszenia się postaci występujących w wi-

* Lewitacja — swobodne unoszenie się ciała ludzkiego. Umiejętność ta jest przypisywana niektórym świętym; znane jest również unoszenie się przedmiotów.

zjach, jak gdyby nic nie ważyły. Czy z posąg z Lourdes lewitował w ogrodzie Beauraing? Czy również w innych miejscach objawień podobne przedmioty lewitowały dzięki psychokinezie? W programie prowadzonych obecnie badań należy zająć się nie wyjaśnionymi zagadnieniami.

Błąd planowania kosmitów?

Pozostańmy przy założeniu, że kosmici odwiedzali również inne układy słoneczne, a na planetach odpowiadających ich celom pozostawiali istoty zmutowane na „swój obraz i podobieństwo”. Niektóre grupy tych istot mają nad nami przewagę: oswoiły, rozwinęły i wytrenowały „bestię-mózg” wcześniej od nas. Ci uprzywilejowani uczniowie albo dojrzalsze pod względem inteligencji istoty przesyłają do nas, braci i sióstr tego samego pochodzenia, energetyczne impulsy myśli, które mają poszerzyć naszą świadomość. Moim zdaniem

tym właśnie tłumaczą się niepowodzenia wszelkich prób podejmowanych przez dyktatury świeckie czy kościelne, które dążą do zawężania ludzkiej świadomości i tresowania jej w jednym tylko kierunku.

Zastanawiam się, dlaczego arcyważnicy kosmici podczas pobytu na Ziemi nie pozostawili aparatury, za pomocą której za naciśnięciem guzika można by o każdej porze nawiązywać kontakt z krewniakami?

Ale astronauci nigdy nie zabierają ze sobą ciężkiej aparatury w długą podróż, poza konieczną do celów nawigacyjnych i obsługi własnego statku kosmicznego. W omawianym przypadku musieliby załadować setki aparatów nadawczych i odbiorczych, ponieważ zabawa w ucłowieczanie odbywała się w wielu miejscach Wszechświata. Oni naprawdę nie traktowali *nas* jako swojego jedyne dzieła, swego rodzaju ukoronowania ich twórczej inteligencji. Ale

dlaczego wobec tego nie budowali sprzętu, który umożliwiłaby łączność?

Chwila, w której przez mutację uczyniono z nas istoty inteligentne „na obraz swój”, zastała nas, dzięki hominidy, zupełnie na to nie przygotowanych. Zbudowanie tak skomplikowanej aparatury wiąże się z koniecznością stworzenia infrastruktury technicznej — skonstruowania maszyn do produkcji półprzewodnikowych układów scalonych, dokonywania syntezy jądrowej itd. Tego wszystkiego nie było w godzinie 0, w chwili „narodzin” naszej inteligencji. Nawet gdyby hipotetycznie przyjąć, że obcy brali ze sobą w podróż odpowiednie stacje nadawcze i odbiorcze, pewnie nie byłiby tak naiwni, żeby deponować

je na Ziemi, którą oczekiwały wstrząsy tektoniczne, potopy i wojny. Same choćby pory roku ze zmianami klimatu oddziaływałyby szkodliwie i niszcząco. Kable i aparatura pozostawione na Księżycu przez amerykańskich astronautów rozpadły się już w pył, a na Księżycu nie ma przecież atmosfery. Zniszczenia dokonały jedynie różnice temperatury — zimno i ciepło.

Obcy nie popełnili błędu w planowaniu. *Wiedzieli*, że wszystkie mechanicznie wytworzone i emitowane przekazy związane będą z szybkością światła, *wiedzieli*, że fale elektromagnetyczne nie dotrą do odbiornika z powodu ogromnych odległości międzygwiazdnych. Po cóż zatem bezsensowna i nieprzydatna maszyna?

Fenomen Leonarda da Vinci

Umysły prawdziwych wizjonerów sprawiają, że powolny zwykle rozwój rodzaju ludzkiego wykonuje nagle wielomilowe skoki. Dokonuje się

to w najróżniejszych dziedzinach i jest zawsze zaskakujące, ponieważ ich możliwości są niezwykle wszechstronne. Istotny jest dla mnie przy tym fakt, że *każdy* mózg może odbierać objawienia, jeśli tylko jest wyćwiczony przez specyficzne stałe punkty środowiska, które wywierają nań wpływ, jeśli tylko jest w stanie odbierać określone impulsy. Są to umysły zdolne do komunikowania się z pozaziemskimi polami energetycznymi.

Jeśli twierdzę, że wszystkie osoby wyćwiczone w sprawach centralnego *ego* mają predyspozycje do odbierania objawień, to zdarzają się (nieliczne) nadzwyczajne przypadki, będące dla istot pozaziemskich „odbiornikami tysiąclecia”. Są to geniusze, których częstotliwość szarych komórek pozwala na odbiór takich impulsów.

Takim „odbiornikiem tysiąclecia” był właśnie Leonardo da Vinci!

Urodzony w 1452 roku, zmarły w 1519, był znany powszechnie jako malarz, rzeźbiarz i architekt. Ale

niewielu wie, że był także równie wybitnym przyrodnikiem i technikiem. Badania nad jego spuścizną doprowadziły w ostatnich latach do fantastycznych wniosków. Jako malarz Leonardo da Vinci był przedstawicielem schyłku stylu klasycznego, jego szeroko rozumiana działalność przyrodnicza i wynalazcza była natomiast bliska naszym czasom.

Leonardo da Vinci był pierwszym technikiem w historii ludzkości. W swojej *Wzorcowej księdze o elementach maszyn* zajmował się hydrauliką, dynamiką i statyką.

Za Cesarego Borgii był pierwszym projektantem fortyfikacji, rysował mapy — najwcześniejsze świadectwa nowoczesnej kartografii.

Służył radą jako „inżynier wojenny”, przygotował projekty odwrócenia biegu rzeki Arno, co pozwoliłoby pozbawić Pizę, z którą Florencja prowadziła wojnę, głównego połączenia ze światem.

Przeprowadzał sekcje zwłok. Napisał traktat o anatomii człowieka.

Badał lot ptaków, prądy powietrzne... zaprojektował również samolot.

Jego notatki zawierają informacje o pierwotnych siłach przyrody, jest to cała kosmologia.

Od obserwacji geologicznych przeszedł do badań, dotyczących powstawania skamielin. Jego studia biologiczne sprawiły, że stał się pierwszym artystą parającym się ilustracją

naukową.

Opierając się na prawach ciężenia, wykazał, że nigdy nie uda się zbudować *perpetuum mobile*.

Dla sułtana Bajazyta II zaprojektował most nad Bosforem — „4000 metrów nad morzem, 200 metrów nad lądem” — most taki otwarto dla ruchu w 1973 roku.

Wymyślił raketę dwustopniową, która „mogła przelecieć ponad trzy mile”.

Wynalazł obrabiarkę do szlifowania cylindrycznych otworów wierconych; dziś stosowanie takich maszyn do produkcji łożysk kulkowych jest oczywiste.

Stworzył system żyroskopowy podobny do stosowanego dziś przez lotników w locie bez widoczności.

Jednym z projektów Leonarda da Vinci był wielolufowy karabin maszynowy. Dziś broń taką montuje się na pokładach myśliwców odrzutowych.

Leonardo da Vinci.

Przeżył 67 lat.

Był malarzem, rzeźbiarzem, architektem. Był genialny.

Mój opis dziedzin, jakimi się zajmował, jest niekompletny.

Każda z tych dziedzin nauki wymaga wielu lat studiów, a każdy wynik takich badań mógłby być dziełem jednego spełnionego życia.

Czyż w mózgu Leonarda *zapisano* ogromną, niewyobrażalną wiedzę, którą *wywoływały* kosmiczne impulsy nieznanymi energiami? Jakież światy rozciągają się między jego możliwościami artystycznymi a jego badaniami i projektami technicznymi?

Geniusz to nie tylko pracowitość i mądra głowa. Przypuszczalnie genialność polega przede wszystkim na umiejętności odbierania wy-

ćwiczonym umysłem energii płynących spoza Ziemi. Tylko istoty pozaziemskie *wiedzą*, jakie elementy pradawnej wiedzy zostały *zainstalowane* w szarych komórkach. Gdyby tego nie wiedziały, nie potrafiłyby rozpaścić błysku geniusza. Tak już jest.

Nadzwyczajne możliwości mózgu

Sposobem i środkiem komunikowania się był i jest „bestia-mózg”. Z dzisiejszych, permanentnych badań sypią się naukowe dowody na to, że człowiek rozporządza możliwościami parapsychologicznymi sprzecznymi z prawami natury. Dopiero u progu trzeciego tysiąclecia jesteśmy w stanie odkrywać nie znane dotąd możliwości mózgu, które potem — jest nadzieja — będą rozsądnie spożytkowane. Czynimy pierwsze nieśmiałe kroki ku obustronnej łączności.

Nieliczni „wybrańcy” — nie mówię o

postaciach związanych z religią — zawsze mieli dostęp do cudownej „podświadomej” wiedzy i czerpiąc z niej w sposób wizjonerski, obwieszczali wielkie odkrycia. Duński fizyk Niels Bohr (1885—1962), twórca podstaw teorii budowy jądra atomu, opowiedział, jak po latach daremnych poszukiwań w końcu wpadł na pomysł swego modelu atomu [26].

Śniło mu się, że siedzi na słońcu zbudowanym z płonącego gazu. Wokół, sycząc i prychając, pędziły planety, a wszystkie one wydawały się połączone cienkimi nitkami ze słońcem, wokół którego krążyły. Nagle gaz zestalił się, słońce i planety skurczyły się i stwardniały. W tej chwili — powiedział Niels Bohr — obudziłem się. Natychmiast pojął, że to, co *widział* we śnie, było modelem atomu.

Za tę wizję w 1922 roku Niels Bohr został

kanonizowany —*pardon!* Za ten sen otrzymał w 1922 roku nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki.

Wielki Niels Bohr nie był jedynym naukowcem przyznającym się szczerze do tego, że na idee, które wstrząsnęły światem, natrafił „we śnie”.

Żył sobie raz — a czym byłby świat bez przebłysku jego geniuszu?

— profesor chemii Friedrich August Kekule von Stradonitz

(1829—1896), najznamienitszy
dziewiętnastowieczny badacz podstaw
chemii organicznej. Kekule odkrył zjawisko
wielowartościowości

węgla, przyznał przy tym, że ten naprawdę
rewolucyjny obraz pierś
cienia benzenu (1865) pojawił mu się przed
oczyma nagle jak we śnie.

Ten *obraz*, skomplikowany dla laika, przedstawia
sześciocząłony

pierścień zawierający trzy wiązania podwójne. Wizja, która stała się dziś podstawą przemysłu organicznego.

Znany jest też — żeby wymienić tylko jeszcze jeden współczesny przykład — profesor fizjologii i farmaceutyki Otto Loevi (1873—1961), który najpierw wykładał w Grazu, a później wyemigrował do Nowego Jorku. Loevi prowadził badania w dziedzinie fizjologii przemiany materii, fizjologii i farmakologii wegetatywnego układu nerwowego. Znowu trzeba więc zadać pytanie, co stałoby się z ludzkością bez sennej wizji, która sprawiła, że Loevi jako pierwszy naukowiec wykazał, że sygnały przekazywane przez układ nerwowy mają *chemiczną* naturę (dotąd przypuszczano, że są to impulsy elektryczne). W 1936 roku Loevi otrzymał (za swój sen) nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny. Kiedy wyobrazimy sobie, że nasz udręczony stresami świat byłby

pozbawiony środków uspokajających i neuropsychotropowych, od razu byłoby wiadomo, jakie ogromne i epokowe znaczenie miała wizja, o której opowiadał Loevi. W chwili jej *odbioru* jego umysł był otwarty na przyjmowanie impulsów, które — moim zdaniem — istoty pozaziemskie wysyłają zawsze, gdy uznają, że nadszedł dzień X. Przepisali ludzkości środki uspokajające, gdy były jej niezbędne.

Muszę jeszcze powiedzieć o innym spostrzeżeniu. W 1968 roku z zapartym tchem czytałem, zafascynowany tematem, książkę *The Double Helix* — jest to bez wątpienia jedyna w swoim rodzaju praca przedstawiająca kolejne etapy odkrycia naukowego. Książka ta była (i jest) tym bardziej pasjonująca, że jej autor, profesor Uniwersytetu Harvardzkiego James Watson, i jego koledzy, Francis Crick i Maurice Wilkins, odkryli jedną z największych tajemnic życia: strukturę cząsteczki DNA, która zawiera

wszystkie informacje genetyczne i plany budowy komórek istoty żywej. W 1962 roku naukowcy ci zdobyli nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny.

Podzielałam zdanie recenzenta „Nature”, że gdyby Watson nie otrzymał nagrody Nobla w dziedzinie medycyny, to czekałaby nań ona w dziedzinie literatury. Ale co to wszystko ma wspólnego z naszym tematem? Lektura tej książki wywarła na mnie niezatarte wrażenie, zdawało mi się, że sam uczestniczę w dokonywaniu odkrycia. Ponieważ problem ten był dla mnie wciąż aktualny, po siedmiu latach znów wziąłem książkę do ręki i przeczytałem powtórnie, będąc pod wpływem swoich wieloletnich prób wyjaśnienia zjawiska objawień. Teraz ujrzałem w zupełnie innym świetle sekwencję sygnałów inspirujących badaczy. Watson opowiadał, jak błyskawicznie, często w formie fantasmagorii, przychodziły mu na myśl wskazówki dotyczące możliwości

rozwiązania problemu, niezależnie od tego, czy akurat grał w tenisa, flirtował, czy spędzał cudowny weekend. Bez zapowiedzi, bezwiednie (zajmowała go bowiem akurat rozrywka) w jego mózgu „odzywał się” sygnał do podjęcia tematu badań, bez przygotowania — w sytuacjach diametralnie różnych od atmosfery uniwersyteckiego laboratorium... „Przykucnąwszy jak najbliżej kominka śniłem, że wiele łańcuchów DNA łączy się w sposób piękny i logiczny z punktu widzenia nauki.” Albo: „Wkrótce po wybiciu północy zaczęło mi się robić coraz przyjemniej. Jak często, przez jak wiele dni Francis i ja martwiliśmy się, że struktura DNA okaże się w końcu okropnie nudna [...]. Ale teraz ku mojej radości i zdziwieniu okazało się, że rozwiązanie jest nader interesujące. Przez dwie godziny nie mogłem zasnąć, ale szczęśliwy widziałem oczyma wyobraźni wirujące pary łańcuchów adeniny. Tylko niekiedy zdejmowała mnie trwoga, że tak dobry pomysł jest może do

niczego [...]".

Nie są to dwa cytaty wyłowione z książki Watsona z trudem, bo te przebłyski prowadzące do celu sprawiają, że książka jest pasjonująca. Patrząc pod kątem mojej hipotezy dotyczącej objawień, w króciutkiej relacji Watsona znalazłem potwierdzenie mojego przekonania, że razem z zespołem badawczym o niezwykle wytrenowanych umysłach był on prowadzony coraz dalej za pośrednictwem serii impulsów i myśli rozwiązujących problem, impulsów i myśli napływających „znikąd”, od jakiejś świadomej, energetycznej siły. Ludzie ci, myślący za pomocą wzorów i kodów, wyobrażający sobie struktury cząsteczkowe, „dojrżeli” nagle do tego, że istoty pozaziemskie wydobyły odkrycie z ich podświadomości. Oczywiście jest to jeszcze dziś spekulacja, jestem jednak głęboko przekonany, że od najdawniejszych czasów, od chwili, gdy *homo sapiens* stał się inteligentny po dokonaniu na nim sztucznej mutacji genowej, z umysłów wybrańców

wydobywa się zgromadzoną tam wiedzę. Zawsze w dniu X.

Impulsy tego rodzaju, takie „sny” mają dla mnie wartość objawień. Fizycy czy specjaliści w dziedzinie medycyny mają *swój* świat, całymi dniami mają przed oczyma swoje *obrazy*, wzory, diagramy, zdjęcia rentgenowskie różnych narządów, struktury układu nerwowego i odruchy ludzi zdrowych i chorych. Są to *sygnały optyczne*, towarzyszące im na każdym kroku. Zawsze wokół interesujących ich problemów krążą *sygnały akustyczne*: dialogi i dyskusje z kolegami, asystentami, studentami. Stres wywołany pracą przynosi *psychofeedback*, od którego nigdy nie mogą się uwolnić. Dlatego *ci* właśnie ludzie mogą mieć wizje (czyli sny) ze swojego świata. Inspiracje te określają

mianem idei, a jeśli nie obawiają się opinii kolegów, zmarszczywszy czoło, mówią nierzadko otwarcie w laboratoriach albo gabinetach o snach wiążących się z efektami ich badań naukowych.

Moim zdaniem sny, jakich kilka przykładów podałem, były spowodowane przez impulsy spoza Ziemi. Wydobywały one ze sfer podświadomości zaprogramowane tam „obrazy”, bo umysły tych ludzi były przygotowane na takie ekstremalne przypadki. Wiemy, skąd gorliwcy religijni biorą swoje sygnały optyczne i akustyczne.

Trzeba się wyzwolić od bezsensownej myśli, jakoby objawienia były przywilejem religii. Można w to wierzyć tylko wtedy, gdy uzna się aroganckie roszczenia religii. Wielcy uczeni nie są na tyle cyniczni, żeby ze swych objawień wyciągać korzyści. Oni umieli po prostu nagle wpaść na pomysł..., „ujrzeli” nagle wyraźnie

„przed oczyma” rozwiązanie od dawna rozważanego problemu. Niewiadome „coś” szepnęło im do ucha i to był ów „wewnętrzny głos”, który z nimi rozmawiał. Syndrom wielu wizji określają zwyczajnie jako „genialny pomysł”. Jakiegoż to świętego musiałyby zrobić kościelna organizacja z Alberta Einsteina, gdyby on, jako jedna z jego (Kościoła) owieczek, nagle, dzięki natchnieniu, wpadł na swoje genialne twierdzenie!

Jego teoria względności jest tak niesamowita, że latarnia, jaką rozświetla się ostatnie tajemnice, musiała chyba stać w szopie któregoś z członków. Świętej Rodziny.

Co widzą wizjonerzy?

Sytuacja wydaje mi się jasna. *Impulsy pozaziemskie* nakazują mózgom niejako stworzenie objawienia. Samo objawienie *nie jest*

zjawiskiem pozaziemskim. Jest tylko obrazowym odtworzeniem tego, czego pragnie wizjoner. Arabski wizjoner „widzi” Mahometa albo jego młodszą córkę Fatimę, Hindus „widzi” Brahme, Wisznu czy Śiwę, Indianin swego Manitu... Katolicki wizjoner „widzi” Jezusa, Matkę Boską, anioły i świętych, łącznie z kościelnymi rekwizytami. Każdy odbiorca objawień odtwarza świat religijnych wyobrażeń, jaki wpojono mu przez wychowanie.

Kiedy dostatecznie tajemnicza i atrakcyjna wiadomość o objawieniu *chrześcijańskim* dociera do opinii publicznej, bywa uznawana przez Kościół (jeżeli pasuje do tradycyjnego schematu) albo też radykalnie odrzucana, jeśli wizjoner nie godzi się na wersję sugerowaną mu w odpowiednio sformułowanych pytaniach. .

W momencie, gdy wizjoner wpada — że tak to nazwę — w sferę działania pozaziemskich impulsów, staje się medium. Nie może uciec przed impulsami, które docierają do jego mózgu. Mózg zaczyna wytwarzać obrazy postaci widoczne tylko jemu. Zjawy mogą być niematerialne lub materialne (materializacje ekto plazmowe), ale dla wizjonera są zawsze *prawdziwe*. To niesłychane, że instytucja stojąca z boku uzurpuje sobie prawo orzekania, które z objawień są prawdziwe, a które nie! To nie Matka Boska żąda: Odmawiajcie różaniec! Ten plakatowy apel jest stałym mottem duchowego życia wizjonera-chrześcijanina. Stąd czerpie on też obrazy „pięknej Pani”, archaniołów i świętych, którzy stają się później postaciami jego wizji.

Co odczuwają dzieci-wizjonerzy?

Co dzieje się w mózgach licznych dzieci-wizjonerów? „Coś” błyska w mózgu (wywołane impulsem wysłanym spoza Ziemi), to „coś” się

powtarza, dziecko odczuwa lęk. Szuka oparcia. Potem niepostrzeżenie ogarnia je uczucie spokoju i bezpieczeństwa. „Widzi” mgłę, cienki, poruszający się welon, powietrze zdaje się migotać, pojawia się jakieś światło. Nierealne majaki przybierają „nagle” kształty, w których dziecko chciałoby rozpoznać znane wizerunki Pana Jezusa czy Matki Boskiej. W końcu widzi w tym zagadkowym obrazie znajome postacie. Chętnie „słyszy”, że mówią o miłości, pokoju i ufności. Dziecko doznaje uczucia szczęścia, chce się przytulić do tych postaci.

(Drgania szybsze od prędkości światła dotarły do podświadomości, łączność z istotami pozaziemskimi została nawiązana. Impulsy wywołały jedynie obrazowe, nie wyrażone słowami wyobrażenia pokoju, miłości i bezpieczeństwa, które mózg dziecka odnalazł w postaciach Świętej Rodziny.)

W protokołach z przesłuchań wizjonerów wygląda to tak:

—Mam absolutną pewność, że miałem objawienie.

—Wiem, że objawienie najpierw mnie zaniepokoiło (strach), a potem uspokoiło (miłość, pokój).

—Czułem, że zjawa była silna i potężna, była piękniejsza i większa niż wszystko, co kiedykolwiek widziałem.

—Zjawa właściwie nic nie mówiła, ale ja czułem jej wolę i pragnienie głoszenia pokoju.

(Objawienia zdarzające się w czasie wojny były w odczuciach wizjonerów zawsze apelami o pokój — zgodnie z powszechnym pragnieniem!)

Myślę, że wszyscy ludzie solidaryzowaliby się z takim apelem. (Idea istot pozaziemskich: na początku byliśmy jednością.)

Trzeba zwrócić uwagę na jedno:

Dzieci nie są, że tak powiem, „wybrańcami” istot pozaziemskich. Te bowiem nie wiedzą, jaki odbiornik znajdzie się w zasięgu ich impulsów. Dokładnie mówiąc, czystym przypadkiem byłoby to, że dzieci tak często mają objawienia, gdyby nie fakt, że to właśnie dzieci są najlepiej przygotowane — przez intensywne wychowanie w religii, przez swoją introwersję, mającą za wzór postacie z kręgów wiary — do odbioru sygnałów spoza Ziemi. Umysł dziecka pełen jest naiwnej wiary, kłębią się tam chrześcijańskie wizerunki, sentencje, opowieści i pieśni. Kiedy w to wszystko wnikają energie pozaziemskie, powstają objawienia religijne, *wyłącznie* religijne. Dzieci więc są niejako predysponowane przez religijne środowisko — warunki te nie zostały stworzone przez istoty pozaziemskie.

Alternatywa: DOBRO albo ZŁO

Wizjonerzy nie wiedzą, w jaki sposób dochodzi do wizji, i nie powinni tego wiedzieć, ponieważ wówczas pozaziemskie pole impulsów mogłoby być zakłócone przez reakcje obronne. Dla wizjonera istnieje tylko alternatywa: wizje dobre albo złe. Jeśli dobre, to mogło chodzić jedynie o manifestacje Boga pod postacią Jezusa, Marii, Buddy, Siwy, Mahometa..., jeśli złe, zjawa może pochodzić tylko od diabła, a ten ma setki budzących grozę twarzy i złych słów na ustach. Jeśli religijny wizjoner przejawia sceptycyzm przy identyfikacji widzianych postaci, wówczas wielce zainteresowane tym otoczenie zadba już o całkowitą jasność i rozproszy jego wątpliwości.

Skąd bierze się życzenie, wyrażane przez objawiające się postacie, żeby w miejscu objawienia stanął kościół, do którego przybywaliby pielgrzymi? Przyczyny mogą być dwie. Wizjoner doznał w

miejscu objawienia uczucia wielkiego szczęścia, przeżył tu najpiękniejsze chwile. Poruszonemu do głębi tą sensacją (w sensie: wrażenia) udaje się tak wspaniale opisać, co widział, że wszyscy, pragnąc choćby uczestniczyć w przyszłych cudach, chcą zbudować świątynię. A żaden kościół nie wystąpi przeciw inicjatywie wzniesienia budowli dzięki funduszom zebranych od wiernych!

Dla wizjonera jest to wspaniała sprawa: będzie stale wracał na miejsce, gdzie doznał szczęścia..., jak zakochani, którzy stale odwiedzają

„swoją" ławkę w parku, aby uchwycić raz jeszcze przeżyte niegdyś chwile. Można też hipotetycznie przyjąć, że pozaziemscy partnerzy wyszukali takie szczególnie dogodne miejsca i chcieliby je wykorzystywać do podtrzymania dwustronnych kontaktów. Może dlatego objawienia prawie zawsze dokonują się w miejscach pozbawionych zakłóceń radiowych? Nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby ustawić anteny radioastronomiczne w regionie przemysłowym.

Advocatus diaboli

Będę obrońcą własnego diabła.

Dlaczego w ogóle objawienia muszą, mogą albo powinny mieć coś wspólnego z istotami pozaziemskimi? Czy objawienia nie są po prostu wytworami psychopatów? A może jednak prawdziwe (sfotografowane) zjawy są wywoływane przez nie znane siły ludzkiego

mózgu? Dlaczego trudzić tym istoty pozaziemskie?

Ilekcroć dochodzi do kontaktu wizjonera z objawieniem, *każda* zjawa mówi o sobie, że jest „nieziemska”. W języku chrześcijańskim brzmi to następująco:

„Jam jest Matką Wszechświata”;

„Jam jest Królową Niebios”;

„Jam jest niepokalane poczęcie”. (Czyżby wykwintne określenie pierwotnej sztucznej mutacji?)

Wizjoner opisuje „nadany” mu zespół symboli własnymi słowami i analogicznymi obrazami.

Samo stwierdzenie zjawy, że jest nieziemskiego pochodzenia, nie byłoby dowodem wystarczającym. Osiemnastoletniemu Josephowi Smithowi, twórcy religii mormonów, ukazuje się anioł, który oznajmia, że zna tajemne miejsce, gdzie ukryte są tablice z opisem historii

ludzkości. Następnie okazuje się, że owe tablice rzeczywiście znajdują się w oznaczonym miejscu. Sądzę, że istoty pozaziemskie przekazały Josephowi Smithowi wiadomość, która mogła być *im tylko* znana. (Ponieważ przed tysiącami lat sami wybrali ten schowek na naszej planecie!) To, co potem uczyniono z objawieniem (to był Jezus!), należy włożyć między bajki, wymyślone przez religie. „Nie brak wiary jest niebezpieczny w naszym społeczeństwie, lecz wiara" (G.B. Shaw).

Co zawdzięczamy objawieniom?

Prawdziwe objawienia w dużej mierze przyczyniły się do otwarcia ludzkiej świadomości. *Wszyscy* twórcy religii inspirowani objawieniami szli do ludu i głosili, że nie przemawiają sami, lecz przemawia przez nich „ten we mnie i nade mną”. *De facto* często mówili ludziom o tym, co znacznie wykraczało poza stan ich ówczesnej wiedzy i doświadczeń.

Ale — chwała Bogu — nie tylko twórcy religii

i ich adepci byli nawiedzani przez objawienia. Czerpanie z idei istot pozaziemskich podczas kontaktów z nimi wymaga szczególnego daru. Mówimy o geniuszach. Są to ludzie wybrani, zdolni do kontaktów, tacy, którzy potrafią przetwarzać pozaziemskie impulsy w molekuly pamięci. Wykształcony i badawczy umysł, który rozumie symbole i potrafi przemieniać je w nowe prawdy, nie mówi o objawieniach. W historii ludzkości tu i ówdzie bywały w biografjach wielkich ludzi chwile, w których nagle widzenie,

ośnienie czy natchnienie powodowało wielki zwrot, przynosiło znaczące odkrycia i postępowe idee. Dokonania tych wybitnych ludzi dla dobra ludzkości są potwierdzeniem objawień.

Religiom, a zwłaszcza ich twórcom, objawienia są potrzebne niby „okruchy, które spadają ze stołu panów ich” (Mat. 15, 27). Objawienia religijnie nieużyteczne, wizje i ośnienia umysłu, jakie z natchnienia ducha stają się udziałem geniuszów, przyczyniają się do postępu.

W to wierzę.

Kalendarz objawień

Nikt nie zna przeogromnej liczby objawień, które — odkąd ludzkość potrafi myśleć — miały rzekomo miejsce. Aby choć w małym stopniu unaocznic czytelnikowi, jak różnorodna jest paleta objawień (w nowej erze dominuje Maria), przedstawiam kalendarium przypadków, których daty i opisy wpadły mi w ręce podczas pracy nad tą książką. Gdyby podjąć akcję na skalę światową i spisać wszystkie objawienia, z pewnością wyszłaby z tego księga o objętości wielokrotnie większej niż *Encyclopaedia Britannica*.

A oto skromny wykaz:

Mitologia

Mitologia	Sudenice, słowiańskie bożki losu, zjawiały się po narodzeniu dziecka,
Mitologia	pokazywały się też często we trzy o północy
Mitologia	Borowit, słowiański bóg lasu, pokazywał się pod postacią pasterza lub wilka Chorwatom, Słoweńcom i
Mitologia	Białorusinom ukazywał się często wysoki, zielony, obwieszony wodnymi roślinami Wodnik
Mitologia	Csodasiuszarvas, rodzaj latającego jelenia, ukazywał się Węgrom w promienistym blasku Bodb,
Mitologia	irlandzka bogini bitew, ukazywała się niekiedy w postaci wrony
	Irlandzkie boginki-matki Machy

ukazy
wały
się
bohater
om w
szkarad

nej postaci. Jeśli bohaterowie nie
spełnili ich żądań, przemieniały się w
piękne dziewice

Rzymski bóg wojny Mars ukazał się
Numie Pompiliuszowi, drugiemu
królowi Rzymu (715—673 prz. Chr.)

Mitolo ok. 500 r. prz. Chr. 204 r. prz. Chr.

gia

Mitolo ok. 287 r. po Chr. ok. 300 r.

gia

Mitologia

Mitologia

ok. 5000 r.

prz. Chr.

ok. 4000 r.

prz. Chr. ok.

3500 r. prz.

Chr. ok. 1500

r. prz. Chr.

727—722 r.

prz. Chr.

ok. 550 r.

prz. Chr.

Walkirie ukazywać się wszędzie
ukazywały Majom ukazywał się, poza
się na wieloma innymi bogami, bóg
latających Huracan, „wielki biały z nieba”, i
dzikich pouczał ich
koniach i Prarodzicom Adamowi i Ewie
wkraczały do często ukazywali się aniołowie i
walki archaniołowie, a kilkakrotnie
Celtowie także latające, wirujące wielkie
wierzyli, że koła Enme-Kar, władcy Uruku,
ich bohater ukazywała się boska siostra
Finn mógł Inanna i udzielała mu rad, jak
przez podbić miasto Aratta
przekręcenie Królowi Uruku Gilgameszowi
czapki ukazywały się różne bóstwa i
przemieniać służyły mu dobrą radą Sumeryjski
się w jelenia ogrodnik Szukallituda ujrzał
Mongana i boginię Inannę, wypoczywającą w
tak jego ogrodzie Gdy Manu
przeobrażony przetrwał potop na szczycie

Himalajów, przysłanego przez Boga ukazał mu się archanioła Rafaela Ahura Mazda, bóg Brahma i najwyższy bóg i „Pan Światła”, podyktował ukazał się twórcy religii „Prawa Zaratustrze wśród błyskawic i Manu” piorunów. Zjawia natchnęła Tobiasz, Zaratustrę do napisania 21 ksiąg bohater *Awesty*

apokryficzne Budda, oświecony, otrzymał w j Księgi widzeniach swą mądrość od ducha Tobiasza, duchów Ptolomeusz IV który postanowił zabić wszystkich egipcjasowo skich Żydów. W świetlistym przebywał u blasku ukazały się dwa „świetliste króla anioły o strasznych obliczach” i asyryjskiego poraziły atakujące wojsko Anioły Salmanassara pilnowały na otwartej przestrzeni , miał w zwłok świętego Wincentego z Mezopotamii Walencji (Hiszpania) Św. widzenie Erazmowi, biskupowi Antiochii,

wiele razy się anioły, które uwolniły go z
ukazywały więzienia

242

ok. 300 r. Św. Reginie ukazał się w karczerze
w Alice-St-

-Reine we Francji krzyż
Chrystusa, a także gołąb, który
obiecał jej niebieską koronę mę-
czennicy

ok. 303 r. Św. Julianie z Izmiru w Azji
Mniejszej diabeł

ukazał się pod postacią anioła

ok. 303 r. Św. Jerzemu z Lyddy (dziś Ludd
koło Jaffy

w Izraelu) ukazał się w więzieniu
Chrystus, pocieszał go i
pokrzepiał

ok. 303 r. Świętych Kosmę i Damiana anioł
uratował od

niechybnej śmierci w morzu
(Egea, Azja Mniejsza)

ok. 303 r. Św. Tymoteusza z Rzymu
pocieszały anioły, ujrzał

on otwarte niebo i koronę
męczenników, którą przygotował
dla niego Chrystus

ok. 304 r. Sw. Dorocie z Cezarei ukazał się
złotowłosy

chłopczyk w sukience haftowanej
w gwiazdy i z koszykiem pełnym
róż i jabłek

ok. 304 r. Św. Witowi anioły rozjaśniały na
Sycylii ciemności

więzienia

ok. 307 r. Św. Małgorzacie z Antiochii w
Azji Mniejszej

kusiciel ukazał się w więzieniu
pod postacią wielkiego smoka

ok. 311 r. Św. Katarzynie z Aleksandrii
biały gołąb przyno-

sił jedzenie do więzienia, a
pocieszał ją anioł. Katarzyna i
cesarzowa widziały anioły,

- namaszczone ich rany
- ok. 311 r. Św. Adrian ukazał się po śmierci swojej żonie
- ok. 312 r. Ciało św. Katarzyny z Aleksandrii zostało uniesione przez anioły na górę Synaj
- ok. 334 r. Św. Marcinowi z Amiens (Francja) ukazał się w nocy Chrystus okryty płaszczem
- 7.5.351 r. Mieszkańcom Jerozolimy w jasny dzień, o ósmej rano, ukazał się świetlisty krzyż
- 3 56 r. Gdy uczniowie grzebali św. Antoniusza z Heraklei (Egipt), ujrzeli wokół niego anioły
- ok. 356 r. Św. Serwacemu z Tongern (dziś Belgia) ukazał się św. Piotr i podał mu srebrny klucz

30.8.357 r. Św. Cyprian ujrział Boga Ojca
unoszącego się nad
chmurami

243

- ok. 398 r. Św. Onufremu wiele razy anioł
dawał komunię
 świętą w Goreme w Kapadocji
- 452 r. Attyła, wódz Hunów, ujrzał w
Mantui we Wło-
 szech obok św. Leona świętych
Piotra i Pawła z obnażonymi
mieczami
- ok. 458 r. Papieżowi św. Leonowi I ukazał
się w Rzymie św.
 Piotr i podał mu *pallium*
(starożytne nakrycie wierzchnie)
- V w. Św. Tarsilia ujrzał na łożu śmierci
zstępującego
 Jezusa i wołającego: Odstąpcie,
odstąpcie, Jezus idzie!
- 547 r. Bracia benedyktyni z Monte
Cassino widzieli, jak
 święty niesiony był do nieba
światlistą drogą. Benedykt widział

duszę św. Scholastyki wzlatującą
ku niebu pod postacią białej
gołębiczy

589 r. Grzegorz Wielki, papież Rzymu,
święty, skrył się

w pieczarze, ale odkrył go anioł,

610 r.

627 r.

ok. 648 r.

651 r.

który wspiał się ku górze po
światlistej kolumnie Mahometowi,
twórcy islamu, ukazywali się anio-
łowie Allaha

Św. Herakliusz, cesarz Bizancjum,
ujrzał anioła, który otworzył mu
bramy miejskie Jerozolimy

Św. Jodokusowi (St. Josse-sur-
Mer, Francja) trzykrotnie ukazał
się Chrystus jako żebrak Cuthbert,

święty Kościoła anglosaskiego i celtyckiego, pewnej nocy ujrzał w Irlandii na niebie światłość i wstępujące do nieba anioły, które niosły duszę

735 r. Pewnego ranka znaleziono

inskrypcję wykutą

przez anioły na grobie św. Bedy Venerabilis z klasztoru Yarrow w Anglii

ok. 750 r. Św. Alto (Włochy) podczas mszy ukazało się

Dzieciątko Jezus

814 r. Św. Ansgarowi, wielkiemu misjonarzowi Północy,

w noc Zielonych Świąt ukazał się Chrystus

819 r. Św. Cecylii z Rzymu ukazał się papież Pas-

chalis I, szukający jej grobu

970 r. Wilhelmowi z Ratyzbony ukazał
się w Einsiedeln
w Szwajcarii św. Otmar

244

973 r. 6 r.

ok. 981 r. 1170—1221 r.

1008 r. ok.

1020 r.

sierpień

1060 r.

16.1.—

17.4.1095

ok. 1100 r.

1100 r. ok.

1114 r.

1117 r.

1155 r.

117

0 r.

118

Cięzko wśród promieni Św. Wolfgangowi choremu ukazał się podczas modlitwy w św. kościele w Ratzbonie (Niemcy) Ulrykowi uciekający wilk i diabeł w Obecni w kościele w Valenciennes Augsburgu we Francji widzieli w czasie w pomoru objawienie Matki Boskiej Niemczech Św. Bernardowi z Hildesheim w ukazali się Niemczech anioł przyniósł dwaj podobno relikwiarz Sw. Albertowi aniołowie we wsi Espain we Francji ukazał z kieli- się Jezus z Królową Niebios chem i Wszyscy mieszkańcy miasteczka pateną Arras we Francji widzieli Królową (naczynie Wszechświata w obłokach Św. na hostię); Anzelm z Canterbury w Anglii ujrzał też widział wielokrotnie Marię błogosławi Św. Bernardowi z Clairvaux we ącą rękę Francji ukazała się Madonna z Boga aniołami

Podczas modlitwy św. Izydora w Madrycie widać było białe woły ciągnące pług, którymi kierował anioł W Cremonie we Włoszech przemówił o nagle roczne dziecko i

opisało bardzo piękną, nieobecną Panią Zbierające kłosa pobożne niewiasty z Clairvaux we Francji były świadkami „otwierającego się nieba” i ujrzały Marię w obłokach w otoczeniu świętych Podczas chrztu św. Dominika z Hiszpanii jego mamka ujrzała na czole dziecka złotą gwiazdę Św. Hugonowi z Lincoln (Anglia) podobno podczas mszy ukazał się łabędź z kielichem, z którego wyszło Dzieciątko Jezus Św. Dominik (1170—1221) z Hiszpanii ujrzał, że stoi naprzeciw Chrystusa, który dobył trzy miecze przeciw złu świata. Dominikowi ukazali się święci Piotr i Paweł. Dali mu łaskę i

księgę, Matka świętego widziała czarno-
polecając, białego pieska, który, trzymając w
aby głosił pysku płonąca żagiew, oświetlał
kazania. cały świat.

2

4

5

Maria wręczyła Św. Dominikowi różaniec i obja
śniła jego tajemnice

ok. 1180 r. Św. Feliksowi z Valois (1127—
1212) i Janowi

z Matha, Cerfroid (Francja) ukazał się jeleń
z niebiesko-czerwonym krzyżem na
porożu

2.8.1218 r. Piotrowi Nolascusowi ukazała się
w Barcelonie

(Hiszpania) Najświętsza Maria Panna i natchnęła
go, aby dla wykupienia jeńców założył zakon braci
miłosiernych

1219 r. Dziekanowi Reginaldowi
Orleańskiemu ukazała

się Królowa Niebios w asyście dwu pięknych
dziewic

ok. 1221 r. Św. Antoniemu z Padwy ukazała
się Maria

z Dzieciątkiem Jezus

7.10.1224 r. Małżonce Theobalda, hrabiego

Luksemburga,

nad zamkiem Branderbourg ukazał się Adam
— ojciec ludzkości — z siedmioma pięknymi
dziewicami wrzesień 1224 r.

Św. Franciszka z Asyżu Jezus nagroził swoimi
pięcioma stygmatami w klasztorze Alverna we
Włoszech

ok. 1225 r. Ludwik Turyński, małżonek

Elżbiety Turyńskiej,

zobaczył leżącego w swym łóżku ukrzyżowanego
Chrystusa

22.12.1226 r. Św. Egidiuszowi z Asyżu wiele razy
ukazywał się

Syn Boży

ok. 1228 r. Podczas gdy Św. Elżbieta

Turyńska zatopiona

była w modlitwie, anioł przystroił ją blaskiem
i klejnotami

ok. 1232 r. Hermannowi Josephowi podczas
nocnej służby

wartowniczej w Hoven w górach Eifel (Niemcy)

wiele razy ukazywała się Maria

Panna

ok. 1250 r. Św. Bonawenturze z Pizy anioł

podał komunię

1263 r. W kościele Św. Krystyny z

Bolseny (Włochy)

niemieckiemu kapłanowi podczas mszy kropla

z kielicha ukazała się na chuście

jako krew

ok. 1277 r. Św. Mikołajowi z Tolentiny we

Włoszech ukazała

się nad ołtarzem gwiazda, a za

ołtarzem anioł

ok. 1288 r. Angeli z Folgino we Włoszech

ukazywał się wiele

razy Chrystus i pokazywał jej

swoje rany

ok. 1299 r. Gertrudzie z Helfty (Niemcy)
często ukazywał się

w klasztorze Jezus

ok. 1315 r. Św. Brygidzie ze Szwecji już w
dzieciństwie często

ukazywała się Madonna

1320 r. Dotknięty zarazą św. Roch z
Piacenzy uleczony

został przez anioła

1328 r. W dniu prymicji św. Andrzeja
Corsini w Fiesole

we Włoszech ukazała mu się
Matka Łaski. W późniejszym
objawieniu Maria podobno
przepowiedziała mu rychłą śmierć

bez daty Św. Egidiuszowi ze St. Gilles we
Francji, który

modlił się przed ołtarzem, anioł
przyniósł kartkę z potwierdzonym
odpuszczeniem grzechów

ok. 1362 r. Św. Katarzynie ze Sieny Chrystus
wręczył podczas

modlitwy obrączkę

18.8.1370 r. Po wstrząsie wywołanym
objawieniem, na ciele

św. Katarzyny pojawiły się rany
Pana

3.10.1399 r. Choremu Wincentemu Ferrer z
Awinionu (Fran-

cja) ukazał się Chrystus, któremu
towarzyszyli święci Dominik i
Franciszek. Chrystus dotknął jego
policzków

ok. 1413 r. W Schiedam w Holandii Matka
Boska z Synem

ukazała się niejkiej Lidwinie

ok. 1424 r. Joanna D'Arc z Domremy we
Francji widziała

archanioła Michała i innych
świętych

26.5.1432 r. Gianetta di Pietro Vacchi
zobaczyła w Caravaggio

Marię, zwiastującą pokój

1438 r. Mieszkańcy Bolonii ujrzeli nad
dachami „piękną

Panią”

ok. 1440 r. Podczas kazania św. Bernarda ze
Sieny ukazały się

nad jego głową w pełnym słońcu
inicjały Chrystusa

2.3.1440 r. Św. Franciszka z Rzymu w ciągu
ostatnich dwu-

dziestu trzech lat życia stale
widziała u swego boku anioła

1449 r. W Anderlecht w Belgii pewnej
kobiecie ukazała

się Maria i wyraziła życzenie, aby
adorowano Ją jako „Damę de
grace”

ok. 1450 r. Podczas gdy św. Didacus,

hiszpański nowicjusz,

modlił się pogrążony w ekstazie,
w klasztornej kuchni anioły
przyrządzały dla niego posiłek

247

1463 r. Katarzyna z Bolonii ujrzała „Pana siedzącego na

światlistym tronie"

3.5.1491 r. Kowalowi Dietrichowi Schóre, który jechał kon-

no na targ w Niedermorschweier w Alzacji, ukazała się Maria w białym płaszczu, otulona welonem, w jednej ręce trzymała sopel lodu, w drugiej — trzy kłosa

10.8.1519 r. Robotnik Jean de la Baume ujrzał nagle Marię

Pannę stojącą nad wzgórzem Mont Vardaille we Francji

1521 r. Marcinowi Lutrowi podczas tłumaczenia Biblii na

zamku w Wartburgu koło Eisenach w Niemczech na ścianie pokoju w wieży pokazał się diabeł. Luter przepłoszył go,

rzucając weń kałamarzem

1550—1561 r. W Lizbonie Matka Boska stale ukazywała się

Sebastianowi Baraddas,
zachęcając go, aby wstąpił do
zakonu jezuitów

ok. 1564 r. Teresie z Avila (Hiszpania)
ukazali się Jezus i Św.

Piotr

XVI w. W diecezji Linz w Austrii
protestanci zrzucili

i zakopali cudowny obraz. Obraz
odnaleziono później w kościele
pod mrowiskiem dzięki tajem-
niczym promieniom światła.
Podobno mrówki dały się stamtąd
przepędzić dopiero wtedy, gdy
cudowny obraz znalazł się na
właściwym miejscu

ok. 1571 r. Annie od św. Bartłomieja ukazał

się w Avila

w Hiszpanii Jezus Chrystus i
zachęcał ją do walki z
niewiernymi

1572 r. Kapucynowi Piotrowi Urbinowi
ukazały się na

łożu śmierci „szatan i jego anioły”

ok. 1583 r. Annie od Św. Bartłomieja ukazał
się w nocy

w Alba de Tormes (Hiszpania)
Jezus w świetlistej aureoli

1582—1591 r. Kronikarz zakonu kapucynów
Zachariasz Bove-

rius przekazał, że przez wiele lat
wymienionym z imienia braciom
zakonnym, w liczbie trzydziestu,
ukazywały się w różnych
miejscach różne postacie Świętej
Rodziny

30.10.1593 r. Nad Zittau w Niemczech ukazał

się nieruchomy,

wielki orzeł „o lśniących piórach”

— ze wszyst-

248

kich stron strzelały do ptaka promienie, ale nie mogły mu nic zrobić. Po godzinie obraz zniknął

1594 r. W Quito w Ekwadorze ukazała się podobno

Indianom Madonna. Chcieli oni odstąpić od nowej wiary. Nie dopuściła do tego, odwracając od nich klęskę głodu

1596 r. Kapucyn Ambrozjusz z Zironu podaje, że w 1580

roku wielokrotnie widział „szczęśliwą Matkę Boską”, która zachęcała go, aby wstąpił do zakonu kapucynów

1600 r. Kiedy Araukanie przypuścili szturm na miasto

Concepción w Chile, cudowna figura Madonny opuściła podobno kaplicę i ukazała się na drzewie,

skąd obrzuciła atakujących Indian
grudami ziemi, zmuszając ich do
ucieczki

10.9.1602 r. Marinie z Escobar ukazał się
Chrystus pod po-

stacją serafina. Z ran Jezusa
wychodziły promienie

6.4.1604 r. Peter Jakob Rem z Ingolstadt w
Niemczech ujrzał

Marię unoszącą się nad ziemią

1605 r. Jezuitę Piotra D'Anasco zjawa
Marii „przycisnęła

do piersi"

1609/1610 r. W Chiavari we Włoszech obraz
Marii z Dzieciąt-

kiem zasłynał dzięki dwóm
cudownym objawieniom.

„Cudowne wydarzenia" się
powtarzały

15.12.1631 r. Na polu żyta pod Neapolem

ukazała się jezuitom

Królowa Niebios i zapowiedziała
bliski wybuch Wezuwiusza

3.11.1637 r. Bratu Fiacre ukazała się w jego
paryskiej celi

Madonna trzymająca Dzieciątko

1640 r. Jezuicie Brun-Brunowi,
czekającemu w etiopskim

więzieniu na wykonanie kary
śmierci, ukazał się Jezus Chrystus,
aby dodać mu odwagi

1647 r. Młodej wieśniaczce i pewnemu
braciszкови za-

konnemu odbywającemu nowicjat
ukazała się w Buenos Aires Matka
Boska. Wezwała ich, by nakłaniali
ludzi do czynienia pokuty

1654 r. Wieśniak Dietrich Muhlfahrt z
Aldenhoven koło

Akwizgranu podczas polowania

znalazł w koronie lipy cudowny obraz. Adorował go każdego wieczoru wraz z dwoma przyjaciółmi. Później zawsze

pojawiała się w tym miejscu
cudowna światłość. Dziś stoi tam
piękny kościół

8.11.1660 r. W Zgorzelcu ukazał się na niebie
krwawy miecz,

widziany przez wszystkich

1671 r. Małgorzata Maria Alacoque z
Francji miewała

objawienia Matki Boskiej. Po
wstąpieniu do zakonu salezjanek
objawiał się jej Chrystus

1679 r. Nad kościołem w Albendorf w
Niemczech często

objawiały się cudowne zjawiska
światłne

ok. 1682 r. Weronice Giuliani w Marcatello
we Włoszech

ukazał się Pan. Jego ciało pokryte
było ranami

1696 r. Ciężko chory biskup z Quito w

Ekwadorze doznał

cudownego uzdrowienia. Na wieczorną procesję wyniesiono cudowny obraz z Guapulo, a kiedy zaśpiewano „Gloria”, ukazała się Maria jako Królowa Niebios

21.9.1823 r. Josephowi Smithowi,
założycielowi religii mor-

monów, ukazał się anioł, który w świetlistym obłoku wzniosł się ku niebu. Późniejsze objawienia zaprowadziły Smitha do tajemnego miejsca, gdzie znalazł złote tablice, których treść przetłumaczył. Tak powstała *Księga Mormona*

1835 r. W Trinitapoli we Włoszech Matka Boska za-

trzymała sześciolatniego Józefa-Marię Leone, aby nie wpadł do

rowu. Powiedziała mu, żeby był grzeczny i nie zadawał się ze „złymi kolegami”

28.1.1840 r. Zakonnica Justyna Bisqueyburu ujrzała w Paryżu

Marię Pannę, która miała na sobie niebieski płaszcz, a na białej sukni płonące serce, przebite mieczem

8.5.1840 r. Proboszcz, św. Johan Vianney i Etiennette Durie

z Ars we Francji mieli w pokoju tego świętego męża objawienie Najświętszej Marii Panny w białej sukni usianej złotymi różami, w wieńcu z gwiazd na skroni, w Jej rękach lśniły diamenty

8.9.1840 r. Zakonnica Justyna Bisqueyburu miała następane

objawienie w Blangy/Seine-Inferieure (Francja). Zjawia

pokazała się jej w zielonej
narrzutce na habicie

20.1.1842 r. Alfons Ratisbonne,

przechrzczony żyd, ujrzał

w bocznej kaplicy kościoła św. Andrzeja delie

250

Fratte w Rzymie Madonę w wielkim blasku, dokładnie taką, jakiej wizerunek miał na medaliku, który od pewnego czasu nosił przy sobie

14.8.1842 r. Zakonnica matka Maria-Stanisława często miała

widzenia Matki Boskiej w klasztorze Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny w Celles koło Tournai w Belgii

19.9.1846 r. W La Salette, Iserre we Francji dzieciom Maxi-

minowi Giraud (11 lat) i Melanii Calvat (15 lat) ukazała się Madonna w białej, lśniącej szacie i rozmawiała z nimi

12.5.1848 r. Parobek Stichmayer z Obermauerbach w Bawarii

ujrzał pewnego razu na łące Marię

w różowej sukni, w białym welonie i ze złotą koroną na głowie. Siedziała nieruchomo i płakała

23.6.1848 r. Jedenastu wieśniaków z Montesse koło Lourdes

(Francja) wiele razy widziało Marię

17.6.1849 r. W Dolinie koło Poggersdorf-Gurk w Karyntii

w Austrii trzy pasterki miały wiele razy objawienia maryjne

19.5.1853 r. Veronika Nucci z Ceretto w Toskanii wiele razy

miała widzenia Madonny w niebieskiej sukni i w złotej koronie

22.7.1856 r. Marii-Fryderyce de Bray po cudownym uzdro-

wieniu wiele razy objawiała się w Asyżu Madonna jako Królowa

Niebios

11.2.1858 r. Św. Bernadetta Soubirous przeżyła
wiele objawień

Madonny w Lourdes; zjawa mówiła
o sobie „Niepokalane Poczęcie”

1860 r. W Green Bay w USA Adeli Brisse
ukazała się

Maria w białej sukni z żółtą szarfą

6.9.1860 r. Błogosławionej mistyczce Paulinie
Perie po wielo-

krotnych objawieniach Zbawiciela
ukazała się w kościele we
Francoules we Francji Matka
Boska; miała suknię usianą
gwiazdami, na głowie złotą koronę,
a w ręce trzymała biały kwiatusek

1863 r. Wielebnemu L. E. Cestacowi,
założycielowi klasz-

toru Notre Dame du Refuge w
Anglet we Francji, Maria Królowa

Aniołów przedstawiła wizję diab-
łów pustoszących świat

251

13.1.1866 r. Trzydziestoletnią Magdalenę Kade z Philippsdor-

fu w Czechach nawiedziła Maria. Nieuleczalnie chora kobieta wyzdrowiała

15.4.1868 r. Błogosławiona mistyczka i stygmatyczka Luiza

Lateau miała w Bois d'Haine w Belgii widzenie Jezusa, Marii, aniołów i świętych

2.12.1870 r. Na polu bitwy koło Potay-Loigny we Francji

rannemu generałowi de Sonis, byłemu dowódcy papieskich żuawów, ukazała się Maria, przynosząc mu pociechę

1871 r. Podczas objawienia Marii w Locherboden koło

Innsbrucka w Austrii Maria Kalb ujrzała w Inntal grootę

17.1.1871 r. W Pontmain we Francji

siedmioro dzieci ujrzało

Matkę Boską w ciemnoniebieskiej
todze w złote gwiazdy z szerokimi
rękawami Jakby u adwokata" i w
złotej koronie na głowie

4.8.1871 r. Chora i cierpiąca od młodości

Maria Franciszka

Decotterd przeżyła w Chapelles
koło Lozanny w Szwajcarii dwa
objawienia Marii

15.8.1871 r. Po wielu objawieniach maryjnych
dziewięcioletnia

Barbara Conrad w Walschbronn
we Francji niespodzianie
ozdrowiała

25.8.1871 r. Śmiertelnie chorej Teresie
Schaffer z.St. Louis

w USA ukazała się Maria w białej
szacie i w złotej koronie z gwiazd

5.12.1871 r. Siostra Teresa Emmanuela od

Matki Bożej miała

w Paryżu objawienia przyszlých mariańskich hufców, które miały towarzyszyć Niepokalanej Dziewicy

7.7.1872 r. Jedenastoletnia Klementyna G.

widziała w koś-

ciele w L'Hópital we Francji Najświętszą Pannę w złotej szacie i z kulami w dłoniach w otoczeniu niemieckich i francuskich żołnierzy. Objawienie trwało godzinę

1873 r. Wkrótce po powtarzających się wielokrotnie

nocnych objawieniach maryjnych w pobliżu Michelsbergu w Rixheim koło Miluzy zmarły dwie małe dziewczynki

10.3.1873 r. W Biding koło St. Avold we

Francji Katarzynie

252

Filljung ukazała się Maria w
niebieskiej szacie i białym
welonie

17.3.1873 r. Wielu ludzi w różnym wieku przez
dłuższy czas

przeżywało różne objawienia w
Wittelsheim w Alzacji

14.4.1873 r. Wielu ludzi, ale szczególnie Joseph
Hoffert w Wal-

bach w Alzacji miał objawienia
maryjne Naszej Drogiej Pani
Renu, która nawoływała do
czynienia pokuty oraz do
modlitwy

7.6.1873 r. Podczas pracy w winnicy w St.
Bauzille de la Sylvie

koło Montpellier we Francji
Augustowi Arnauld ukazała się
Maria i prosiła, aby wzniesiono
Jej posąg w winnicy i aby odbyła

- się tam procesja
- 19.2.1876 r. Śmiertelnie chorej dziewczynie Estelli Faguette z Pellevoisin, Indres (Francja) 15 razy objawiła się
- Maria
- 3.7.1876 r. W Hartewald koło Marpingen w Saarze troje dzieci i parę osób dorosłych wiele razy przeżyło objawienia licznych aniołów i gołębicy unoszącej się nad Dzieciątkiem Jezus
- 27.6.1877 r. Cztery wizjonerki w różnym wieku miały w Dietrichswalde (dziś Gietrzwałd pod Olsztynem) w ciągu dłuższego czasu 160 objawień Marii, siedzącej, bądź unoszącej się, a zawsze otoczonej świetlistym obłokiem i w asyście aniołów

21.8.1879 r. Piętnaścioro wizjonerów w różnym wieku widzia-

ło w Cnoc Mhuire w Irlandii Marię w białej sukni i koronie, milczącą i z rękoma złożonymi do modlitwy. Po jej prawej stronie stał św. Józef, po lewej św. Jan Ewangelista, dalej zaś był ołtarz, a na nim ofiarna owieczka

2.1.1882 r. Anna-Maria Coste, będąc w szpitalu w Lyonie,

ujrzała Marię siedzącą na obłoku, ubraną we wspaniałą płaszcz i diadem, miała w ramionach Dzieciątka Jezus, które trzymało kulę ziemską ze złamanym krzyżem

1884 r. Dziewięcioletnia Maria Lordeau z St. Columbin

we Francji mieszała często

widzenia Marii

29.11.1886 r. Dwudziestosiedmioletniej Marii-
Luizie Nerbol-

liers z Diemoz we Francji
objawiła się Madonna

253

23.3.1888 r. Dwie trzydziestoparoletnie
kobiety przeżyły

w grocie w Castelpetroso we
Włoszech objawienie Madonny
jako Piety i Matki Boskiej
Bolesnej

8.5.1890 r. Dzieciom Alfredowi i Marii
Caileaux ukazała się

w Signy we Francji w świetlistym
obłoku Maria w długim,
niesionym przez anioły welonie;
ręce miała złożone do modlitwy i
nic nie mówiła

1893 r. Berta Petit na mszy w czasie
Bożego Narodzenia

ujrzała w Enghien w Belgii
Ukrzyżowanego z Marią i Św.
Janem. Kilka lat później objawiło
jej się Najświętsze Serce Jezusa i
Marii przebite mieczem

1895 r. W Vellangany w Indiach
dwunastoletniemu cho-

remu Krishnannesti
Sankaranarayanam ukazała się
Nasza Droga Pani z Dzieciątkiem

18.3.1896 r. Pięćdziesięciu uczniom z Tilly sur
Seulles, Bayeux

we Francji ukazała się Maria z
aniołami i świętymi

1906 r. Profesorowi Charlesowi
Richetowi, laureatowi

nagrody Nobla, ukazała się biała
połyskująca kula, która unosiła się
nad podłogą

1906 r. Profesorowie i uczniowie, obecni
w auli kolegium

jezuitów „San Gabriel” w Quito w
Ekwadorze, ujrzeli jak Matka
Boska Bolesna na obrazie otwiera
i zamyka oczy oraz zmienia wyraz

twarzy

12.9.1914 r. Podczas wielkiej bitwy nad Marną wielu niemiec-

kich żołnierzy widziało na niebie biało ubraną postać kobiecą, która powstrzymała ich w zwycięskim marszu

13.2.1914 r. Chłopce Ewdokii Andrianowej z Poczinki jakiś

głos powiedział, że w Kołomienskoje koło Moskwy ukryta jest czarna ikona. Ikonę odnaleziono

13.5.1917 r. Po niespodziewanej błyskawicy troje pastuszków

w Fatimie w Portugalii ujrzalo Marię w świetlistej białej szacie z lśniącym wieńcem róż; postać unosiła się nad dębem

22.5.1918 r. W Muzillac koło Vannes we

Francji trojgu dzie-

ciom 65 razy objawiła się

Madonna

8.12.1921 r. W Bickendorf koło Trewiru w

Niemczech Annie-

-Marii Goebel wiele razy. ukazywał się Zbawiciel

254

10.12.1925 r. Siostrze Lucji w Couvent de Tuy
w Hiszpanii

ukazała się Maria z Dzieciątkiem
na jaśniejącym obłoku

lipiec 1926 r. Sześćioletnia Maria P. z
Marlemont we Francji

dwukrotnie widziała płaczącą
Marię. Obraz ten był tak
realistyczny, że wstrząśnięta
Maria P. próbowała podnieść z
ziemi Jej łzy

2.3.1928 r. W Ferdrupt w Wogezach we
Francji dzieciom

ukazała się Matka Boska w białej
sukni (bez płaszcza), z Jej rąk
spływały promienie

8.4.1930 r. Siostra Amalia, współzałożycielka
Instytutu Mis-

jonarek od Jezusa Ukrzyżowanego
w Campinas w Brazylii, widziała

- wiele razy Marię
- 22.6.1931 r. Wielu wizjonerów w różnym wieku (w tym nie-
wierzący) przeżyło w Ezquioga w Hiszpanii objawienie Matki Boskiej Niepokalanej i Bolesciwej w otoczeniu aniołów i świętych
- 29.11.1932 r. W Beauraing w Belgii pięcioro dzieci Degeimbre'ów widziało Marię w białej sukni i welonie, w złotej koronie, często ze złotym sercem w piersi
- 15.1.1933 r. Dwunastoletniej Marietcie Beco w Banneux w Belgii ukazała się Matka Niebios
- 16.7.1933 r. Dzieci w Crollon koło Mont-Michel we Francji ujrzały biało ubraną Marię z wieńcem róż na głowie
- 4.8.1933 r. Pani Nieke van den Dijk, matce

wychowującej

trzynaścioro dzieci, w Onkerzeele
(Belgia) wiele razy ukazywała się
Maria; 28.12.1933 roku ujrzała
ona wirujące zielono-czerwone
słońce

2.10.1933 r. Czterdziestoletni Jules de Vuyst
ujrzał w Herzele

w Belgii w swym pokoju Marię
otoczoną światłością

22.10.1933 r. W Olsene we Flandrii Maurice
Vandembroeck

ujrzał Marię w niebieskiej szacie,
w wieńcu z gwiazd

11.4.1936 r. Emelda i Adelina Pietcauin z
Ham-sur-Sambre

w Belgii ujrzały na błękitnym
niebie Marię w otoczeniu aniołów

1.11.1937 r. W Heede w Emsland (Niemcy)
cztery dziewczynki

w wieku 12—14 lat ujrzały na
cmentarzu Marię z Dzieciątkiem i
w złotej koronie

15.8.1938 r. W Bochum Ursuli Hibbeln wiele razy objawiła się

Maria jako „śnieżnobiała lilia
przenajświętszej Trójcy"

15.9.1938 r. Wieśniaczce Jeanne-Louise
Ramonet z Kerizinen

w Bretanii ukazała się „młoda
kobieta" wspaniale ubrana w
niebieskie szaty

9.12.1939 r. Mieszkańcy wsi Kerrytown w
Donegal (Irlandia)

przez dłuższy czas widywali
świetlistą postać Marii nad
skalistym brzegiem

13.5.1940 r. Szesnastoletniej Barbarze Ruess
z Pfaffenhofen

w Niemczech objawiła się
Królowa Różańca. W sześć lat
później miała dalsze objawienia

18.6.1940 r. Jeanette Tochet z Ortoncourt we

Francji miała

różne objawienia świętych
uosobień Marii

19.6.1940 r. Teresa Coat z Bodennou koło
Brestu we Francji

ujrzała w ciemnej chmurze Marię
z Dzieciątkiem

1943 r. Małżeństwo Debord z Paryża
ujrzało Pietę. Ma-

donna wpatrywała się w Syna

8.2.1943 r. Mieszkańcy litewskiej wsi
Grinakalnes ujrzeli wie-

czorem nad kościołem
Najświętszą Dziewicę w wieńcu z
promieni

13.5.1944 r. Adeli Roncalli w Bonate koło
Bergamo we Wło-

szech objawiła się osiem razy
Maria, która miała na sobie białą
suknię, niebieski płaszcz i

- kosztowny diadem na głowie
27.5.1945 r. Najpierw dziesięcioletniej
Marcelinie Barossa,
a potem dorosłym wielokrotnie
objawiała się Maria w różnych
wersjach uosobień Matki Boskiej
Bolesnej
- 11.6.1946 r. W Pasmań w Dalmacji dorośli i
dzieci widzieli
w obłoku Marię z koroną gwiazd
na głowie
- 22.8.1946 r. Przez wiele lat w Espis koło
Mossac we Francji
dorośli i dzieci obserwowali objawienia Marii,
aniołów i świętych; objawienia powtarzały się
zawsze trzynastego każdego miesiąca
- 10.10.1946 r. W Vilar-Chao w Portugalii chorej
Amelii Nahiri-
dade w obecności tysięcy osób objawiła się Maria
- 12.4.1947 r. Trzydziestoczteroletniemu

adwentyście Bruno

Cornacchioli i jego trojgu
dzieciom wiele razy ukazywała się
w grocie Tre-Fontane koło Rzymu

256

Madonna w białej sukni z różowym pasem, w zielonym welonie, w ręce trzymała książeczkę

27.6.1947 r. W Tyromesticach w Czechosłowacji trójce pas-

tuszków ukazała się Madonna. Czternaście dni później wielu ludziom było dane oglądać tam „cud słońca”.

27.6.1947 r. W Vorstenbosch w Holandii dzieciom, Antonowi

i Bertusowi van der Velden, ukazała się Maria w błękitnej sukni i w koronie ze złotych lilii

2.7.1947 r. Klarze Laslone w jej mieszkaniu w St. Emmerich-

-Berg na Węgrzech ukazała się Najświętsza Maria i wskazała jej źródło uzdrawiające chorych

4.7.1947 r. Angela Volpini miała w Varzi we Włoszech wiele

objawień maryjnych; Najświętsza Panna pojawiała się jej w różowej sukni, błękitnym płaszczu i białym welonie

23.8.1947 r. W Tannhausen w Schwabii czterdziestośmiolet-

nia Paula T. widziała kilkakrotnie Marię w wieńcu

z białych róż

16.11.1947 r. Pielęgniarce Pierinie Gilli ukazała się Maria jako

Rosa mystica na ulicy, potem w kościele klasztornym w Montichiari we Włoszech

26.12.1947 r. Dziewczynkom Teresie Le Cam, Annice i Monice

Goasguen z Pleskop koło Vannes we Francji ukazała się Maria

Niepokalana

19.5.1948 r. Najpierw czworgu dzieciom, a potem wielu mieszkańcom Marty koło Viterbo we Włoszech ukazała

się w grocie Maria

12.9.1948 r. Nowicjusze Teresie często ukazywała się w miej-

scowości Lipa na Filipinach Maria ubrana na biało, w złotym wieńcu z róż, ręce miała najpierw złożone, potem rozłożone

11.11.1948 r. Mężczyznom w Aspang w Austrii ukazała się

chmura, która zatrzymała się nad Königsbergiem, pojaśniała, a potem się rozdzieliła. Wynurzyła się z niej Maria w niebieskim płaszczu, w złotej koronie i z wieńcem róż w dłoniach

7.12.1948 r. Komunista Ludwik Mercier, ojciec rodziny, ujrzał

wraz z siedmioma innymi
mężczyznami w Liart w Ardenach
we Francji milczącą Madonnę

257

18.12.1948 r. Dwudziestotrzyletnia Łucja

Manceau z St. Jean-

-aux-Bois we Francji doznała
krótkotrwałego objawienia
maryjnego

1.5.1949 r. Podczas wojny domowej

chrześcijanie w Zo-se

w Szanghaju ujrzeli podczas mszy
nad kościołem Matkę Boską
Bolesną

12.5.1949 r. Senta Roos z Fehrbach koło

Pirmasens w Niem-

czech ujrzała Marię w długiej
białej sukni, w złotej koronie, z
wieńcem z białych i żółtych róż

lipiec 1949 r. W kościele katedralnym w

Lublinie statua Ma-

tki Boskiej przez dwa dni płakała
krwawymi łzami

9.10.1949 r. Najpierw cztery, potem siedem

dziewcząt, a wresz-

cie do 300 dorosłych miało w Heroldsbach-Thurn w Bawarii wiele objawień maryjnych; Maria pojawiała się najczęściej pod postacią królowej w długiej białej szacie i złotej koronie

14.3.1950 r. W Casalicchio we Włoszech
dwunastoletnia Tina

Mallia ujrzała Marię w szerokim białym płaszczu, z lśniącym diademem na głowie

7.4.1950 r. Anna Maria van.Hoof z Necedah
w stanie Wis-

consin w USA wiele razy miała widzenia Marii, która zlecała jej różne posłannictwa dla papieża, biskupów i księży

15.4.1950 r. W Casalicchio i Aquaviva we Włoszech tysiące

ludzi widziało podobno rozstępującą się chmurę, a w niej jasną gwiazdę albo matowo świecące słońce. Słońce obracało się wokół własnej osi i mieniło wszystkimi kolorami

11.9.1950 r. W Denver w USA piętnastoletniej uczennicy,

Mary Ellen, ukazała się na obłoku Maria otulona w welon; płakała, trzymając ręce skrzyżowane na piersi

30.1.1950 r. Zgodnie z oświadczeniem kardynała Tedeschini,

papież Pius XII wiele razy widział w ogrodach Watykanu wirujące słońce, podobne do obserwowanego w Fatimie

jesień 1951 r. W Arluno koło Mediolanu trzydziestodzieci-

letniej Luigii Nova ukazała się
Maria Pocieszyciel-ka Ubogich

258

19.8.1951 r. Trzem robotnikom zakładów
 1.7.1952 r. produkujących wapno w Dugny
 10.7.1951 r. we Francji ukazała się Maria z
 pocz. Dzieciątkiem. Miała białą suknię i
 1953 r. niebieski płaszcz
 Dwudziestosześcioletniej
 sierpień Anneliese Wafzig w obecności
 1953 r. około 60 osób ukazała się w
 19.7.1954 Rodalben w Niemczech biała
 r. jesień płócienna chusta z namalowanym
 1954 r. Jpwią sercem, kielichem i hostią
 1.7.1958 r. Siedmioletnia Rosetta Colmet w
 Gerpennes w Belgii ujrzała Marię
 w białej sukni ozdobionej nie-
 18.6.19 bieskimi czerwonymi sercami W
 61 r. Hydri^jient koło Calais we Francji
 29.9.19 dziesięcioletni O. Lavóisier, a
 61 r. potem ponad 50 osób dorosłych
 2.4.196 widziało w grocie Marię; była w
 8 r. niebieskiej szacie i białym welonie

Czterdzie- W Pingsdorfie w Niemczech
todziewięć Maria w promienistym wieńcu
cioletniem często objawiała się dwóm
u młodym służącym wyznania
kucharzo ewangelickiego W Eisenbergu w
wi, Ga- Burgenlandzie w Austrii sześcio-
lileo letnia Anna Lex widziała Marię
Sacrestani unoszącą się w błyszczącej kuli
emu, Czterdziestodwuletni strażnik
wiele razy leśny Mateusz La-szut z Turzovki
ukazywał w Czechosłowacji zapewniał, że
a się od 1 lipca do sierpnia 1958 roku
Madonna siedmiokrotnie widział Jezusa w
na górze trójkącie równoramiennym wy-
Monte pełnionym różami. Turzovka stała
Senario się miejscem pielgrzymek
koło W Carabandal w Hiszpanii przez
Bivigliano całe tygodnie czterem małym
we dziewczynkom objawiał się ar-
Włoszech chanioł Michał i Madonna. Cud

słońca	Królową Wszechświata i różne
Rosa	postacie Świętej Rodziny
Quattrini	Nad kairskim przedmieściem
z San	Zeitun przez wiele wieczorów nad
Damiano	kopułą koptyjskiego kościoła wy-
we	stępowało zjawisko świetlne,
Włoszech	zidentyfikowane przez wiernych
widziała	jako Matka Boska

2

5

9

12.4.1974 r. W kościele w Castalnaud-en-Guers
we Francji

wszyscy wierni widzieli na
welonie na kielich odbicie
„nieziemskiej" twarzy

Przypisy

I. Czy można mówić o objawieniach?

1. Franz Tengg, *Ich bin die geheimnisvolle Rose*, Wien 1973.
2. b.a., *Marienerscheinungen in Montichiari und Fontanelle (Immaculata)*, Luzern 1967.
3. E. Speelmann, *Belgium Marianum*, Paris 1859.
4. Maria Haesele, *Eucharistische Wunder aus aller Welt*, Zuriich 1968.
5. J. Ackermann *Der fromme Wallfahrter nach drei Aehren*, Colmar 1856.
6. Maria Haesele, *Eucharistische Wunder aus aller Welt*, Zuriich 1968.
7. Konrad Algermassen (et al), *Lexikon der Marienkunde*, Regensburg 1957.

8. *Ditto.*

9. *Die heilige Schrift des alten und des neuen Testaments* (Zwingli-Bibel), Zurich 1961.
Wszystkie cytaty biblijne w polskim tłumaczeniu według: Biblia to jest Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu. Nowy przekład z języków hebrajskiego i greckiego opracowany przez Komisję przekładu Pisma Świętego, Warszawa 1991.

10. Emil Kautzsch, *Die Apokryphen und Pseudoepigraphen des alten Testaments*, Hildesheim 1962.

11. Gustaw Mensching, *Die Sohne Gottes aus der heiligen Schriften der Menschheit*, Wiesbaden b.d.

12. H. J. Campbell, *Der Irrtum mit der Seele*,

Bern 1973.

13.Sanches-Ventura y Pascual, *Carabandal*,
Paris b.d.

14.*Ditto*

15.Sanches-Ventura y Pascual, *Die Ereignisse in
Carabandal*, Zurich b.d.

16.Odo P. Studinger, *Die Mutter mit dem
goldenem Herzen, ihre Erscheinungen in
Beauraing*, Weis 1950.

17.Odilo P. Flagel, *Marias Erscheinungen von
Beauraing und Banneux*, Altstadt 1960.

18.L. Arendt, *Novene zur Jungfrau von Banneux*,
Banneux 1958.

19.H. U. von Balthasar, *Wahrheit*, Einsiedeln
1947.

20.Konrad Altermassen (et al.), *Lexikon der*

Marienkunde, Regensburg 1957.

21.Christel Altgott, *Heroldsbach, eine mutterliche Mahnung Mariens*, Rheydt-Odenkir-chen 1969.

22.Paul Schneider, *Heroldsbach — ein geistiges Bollwerk gegen den Bolschewismus*, Frensdorf 1954.

23.Christel Altgott, *Heroldsbach, eine mutterliche Mahnung Mariens*, Rheydt-Odenkir-chen 1969.

24.Franz Grufik, *Turzovka, das tschechoslovakische Lourdes*, Stein am Rhein
b.d.

25. Josef Stockert, *Jungfrau der Offenbarung*,
Munchen 1970. B.a., *Die wunderbare Grotte
von Tre-Fontane in Rom*, Rom b.d.
26. Katharina von Siena, *Politische Briefe*,
Einsiedeln 1944.
27. Justinus Kerner, *Die Seherin von Prevorst*, b.
m. wyd. 1829.
28. Hoffmann i Grattan, *Geschichte der
Menschheit*, Hamburg 1961.
29. *Księga Mormona*, b. m. wyd. 1981.
30. „Stern”, nr 22/1968.
31. Jean Gabriel, *Presence de la tres Sainte
Vierge d San Damiano*, Paris 1968.
32. Walter Nigg, *Die Heiligen kommen wieder*,
Freiburg 1971.

II. Ewangelie + listy apostołskie + księgi prorocze + księgi historyczne = słowo Boże?

1. Joachim Kahl, *Das Elend des Christentums*,
Reinbek 1968.

2. Johannes Lehmann, *Jesus Report*, Dusseldorf 1970.

3. Friedrich Delitzsch, *Die grofie Tauschung*, Stuttgart/Berlin 1921.

4. Robert Kehl, *Die Religion des modernen Menschen*, Stiftung for universelle Religion, z. 6 a, Zurich b.d.

5. Jean Schorer, *Pourquoi je suis devenu un chretien liberal*, Genf 1966.

6. Robert Kehl, *Die Religion des modernen Menschen*, Stiftung fur universelle Religion, z. 6 a, Zurich b.d.

7. Eduard Schwartz, *Kaiser Konstantin und die christliche Kirche*, Berlin 1936.

8. Johannes Lehmann, *Jesus Report*, Dusseldorf 1970.

9. Joel Carmichael, *Leben und Tod des Jesus von Nazareth*, Munchen 1965.

10. Rudolf Augstein, *Jesus Menschensohn*,

München 1972.

11. Rudolf Pesch i Gunter Stacher (red.),
Augsteins Jesus, Einsiedeln 1973.

12. Brockhaus 1968.

13. Rudolf Augstein, *Jesus Menschensohn*,
München 1972.

14. Philo Judaeus Alexandrinus, *Die Werke
Philos Judaeus Alexandrinus in deutscher
Übersetzung von Leopold Cohn*, Breslau 1906.

15. Józef Flawiusz, *Wojna żydowska*. Warszawa
1992.

16. Eduard Lohse (red.), *Die Texte aus Qumran*,
München 1964.

17. Heinrich Alexander Stoli, *Die Hohle am
Toten Meer*, Hanau/Main 1962.

18. Andre Dupont-Sommer, *Die essenischen
Schriften vom Toten Meer*, Paris 1959.

19. Millar Burrows, *Mehr Klarheit über die
Schriftrollen*, München 1959.

20. Albert Schweitzer, *Geschichte der Leben-*

Jesu-Forschung, Tübingen 1972.

21. Emil Kautzsch, *Die Apokryphen und Pseudepigraphen des alten Testaments. Die Testamente der zwölf Patriarchen*, Tübingen 1900.

22. Joel Carmichael, *Leben und Tod des Jesus von Nazareth*, München 1965.

23. *Dino*.

24. *Ditto*.

25. Gunther Bornkamm, *Leben und Tod des Jesus von Nazareth*, Stuttgart 1960.

26. Norbert Greinacher, profesor teologii praktycznej Wydziału Katolicko-Teologicznego uniwersytetu w Tybindze.

27. Robert Kehl, Frymannstraße 82, 8041 Zürich.

28. Roland Pucetti, *Auferirdische Intelligenz in philosophischer und religiöser Sicht*, Düsseldorf 1970.

29. E. L. Mascall, *Christian Theology and Natural Science*, London 1956.

30.Ostrander-Schroeder, *PSI*, Bern/Munche
1971.

262

Dokumentacja dr.

Roberta Kehla

Przypisy od *a* do *i*.

W tym miejscu chciałbym podziękować panu doktorowi Kehlowi za cenną współpracę a zarazem zwrócić uwagę na jego pracę *Das Christentum war nicht Neues* (*Chrześcijaństwo nie było niczym nowym*), wydaną przez Stiftung für universelle Religion przy Blumenstraße 40, 4900 Langenthal w Szwajcarii. Poniższe przypisy dotyczą literowych oznaczeń w tekście.

a — te wywody opierają się przede wszystkim na pracach takich autorów jak Cumont, Deschner, Glasenapp, Heiler, Leipoldt, Mansching i Stauffer. *b* — trzeba tu zwrócić szczególną uwagę na: Deschnera, Falkego (s. 54), Jordana (s. 150 nn.), Heilera (s. 45, 183, 353, 383, 499), Menschinga (s. 43, 126) i „Taoteking” (s. 13).

c — por. naukę Buddy (s. 15 nn.), Deschnera (38), Falkego (s. 133), Heilera (s. 209, 323), Jordana (s. 154), Menschinga (s. 211) oraz „Universelle Religion” zeszyt 7/8 z 1973 r.

d — por. Falkego (s.54, 133, 135), Heilera (s. 379), Kellera (s. 34), Menschinga (s. 191) i „Universelle Religion” zeszyt 7/8 z 1973 r.

e — por. naukę Buddy (s. 143 nn.), Falkego (s. 54, 130, 136), Kellera (s. 34), Menschinga (s. 191) oraz „Universelle Religion” zeszyt 7/8 z 1973 r. f — por. Tredego (s. 98, 109 nn.) i

Kellera (s. 34 n.). g — por. Leipoldta *Die Religion des Mithra* i Menschinga *Dionysos* (s. 24). h — por. Falkego (s. 54), Jordana (s. 226), Leipoldta *Dionysos* (s. 51), Menschinga *Universelle Religion* zeszyt 7/8 z 1973 r. i — *Bhagawadgita* VII.

III. CUD - ukochane dziecko WIARY

1. Michael Faltz, *Bernadette, die Seherin von*

- Lourdes*, Fribourg 1954.
2. Alphonse Olivieri, *Y-a-t'il encore des miracles a Lourdes?*, Paris 1969.
3. Alphonse Olivieri, *Gibt es noch Wunder in Lourdes?*, Aschaffenburg 1973.
4. A. M. Friard, *Lourdes und seine Wunder*, Weis 1953.
5. Franz L. Schleyer, *Die Heilungen von Lourdes, eine kritische Untersuchung*, Bonn 1949.
6. René Lauretin, *Les Apparitions de Lourdes*, Paris 1966.
7. *Die geweihten Stätten der Heiligen Jungfrau von Lourdes*, Lourdes 1948.
8. Andreas Ravier, *Bernadette und ihr Rosenkranz*, Nevers b.d.
9. Andreas Ravier, *Lourdes. Land der frohen Botschaft*, Nevers b.d.
10. Apio Garcia, *Bodas de ouro de Fatima*,

Lissabon b.d.

11. Gilbert Renault, *Fatima, esperanza de mundo*, Paris 1957.

12. „Kinder der Fatima. Mitteilungsblatt über die Seligsprechungsprozesse von Franz und Jacinta" 2/1968-4/1974.

13. Maria Winowska, *Das wahre Gesicht der Pater Pio*, Aschaffenburg 1973.

Raoul Villedieu, *Das Geheimnis des Pater Pio*, Aschaffenburg 1966.

14. Josef Hanauer, *Konnorsreuth als Testfall*, München 1972. Johannes Steiner, *Theres Neumann von Kennersreuth, ein Lebensbild nach authentischen Berichten*, München 1967.

15. O. Prokop, *Medizinischer Okkultismus*, Jena 1973.

16. Hans Selye, *Stres*, Warszawa 1960.

17. Richard Serjeant, *Der Schmerz*, Bergisch-Gladbach 1970.
18. H. J. Campbell, *Der Irrtum mit der Seele*, Bern 1973.
19. Leslie M. LeCron, *Selbshypnose*, Genf 1973.
20. A. Ploeger, *Psychodrama-Therapie*, Paderborn 1970.
21. liza Veith, *Psychiatrie Thought in Chinese Medicine* (w:), *Journal of the History of Medicine and Allied Sciences*", vol. X 1955/3.
22. G. A. Leutz, *Obertragung, Einfuhrung und Tele im Psychodrama*, Paderborn 1970.
23. H. J. von Schumann, *Antike Inkubation und autogenes Training* (w:) „Medizinische Monatsschrift" 3/1968.
24. Kurt Pollack, *Wissen und Weiheit der al ten Arzte*, Dusseldorf 1968.
- Rudolf Herzog, *Die Wunderheilungen von Epidauros, ein Beitrag zur Geschichte der Medizin und Religion*, b. m. wyd. 1931.

25. Otto Weinreich, „Eine delphische Mirakelinschrift und die antiken Haarwunder“, relacja wygłoszona na posiedzeniu Heidelberskiej Akademii Nauk, Heidelberg 1925.
26. Adolf Erman, *Agypten und dgyptisches Leben im Altertum*, Tiibingen 1923.
27. Samuel J. Warner, *Ein Psychotherapeut berichtet*, Dusseldorf 1969.
28. T. P. Klein hans, *Der Karlsruher Arztekrieg* (w:) „Merck-Spiegel“ 4/1969.
29. L. Monden, *Theologie des Wunders*, Freiburg 1961.
30. D. Langen, „Hypnose und Meditation“, wykład w Towarzystwie Religijno-Filozoficznym, Monachium 1965.
31. E. W. Stiefvater, *Beitrage zum Problem des Magnetismus, Erfahrungsheilkunde*, 1951.
32. Paramahansa Yogananda, *Autobiographie eines Yogi*, Weilheim 1971. Paramahansa

Yogananda, *Wissenschaftliche*

Heilmeditation, Weilheim 1972.

33.Theophrastus von Hohenheim (Paracelsus),

Sdmliche Werke, pod red. Karla Sudhoffa, Bd.

7, s. 328—334.

34.Stefan Zweig, *Heilung durch den Geist*,

Frankfurt 1966.

35.Friedrich-W. Haack, *Von Gott und der Welt*

wrlassen, Dusseldorf 1974.

36.Werner Keller, *Was gestem noch ais Wunder*

galt, Miinchen 1973.

37.O. Prokop, *Ober die Wiinschelrute*, Jena 1973.

38.Andreas i Kilian, *Die Phantastische*

Wissenschaft, Dusseldorf 1973.

39.Heinrich Jurgens, *Die Wiinschelrute*, Freiburg

1958.

40.Ladislaus Boros, *Erlóstes Dasein*, Mainz

1972.

41.Paramahansa Yogananda, *Wissenschaftliche*

Heilmeditation, Weilheim 1972.

42. Inge Santner, *Ais hatte der Tod sie nie berührt*, (w:) „Die Weltwoche“ z 12.07.1974.
43. Kurt Tucholsky, *Ein Pyrendenbuch*, Reinbek 1962.
44. Ernst Bloch, *Atheismus im Christentum*, Reinbek 1970.

IV. Objawienia istnieją

1. Erich von Däniken, *Aussaat und Kosmos*, Dusseldorf 1972.
2. Erich von Däniken, *Z powrotem do gwiazd*, Warszawa 1993.
3. A. Eddington, *Das Weltbild der Physik*, Braunschweig 1931,
4. Bernard Bavink, *Die Naturwissenschaft auf dem Wege zur Religion*, b. m. wyd. 1946.
5. James Hopwood Jeans, *Der Weltenraum und seine Ratsel*, Stuttgart 1931.
6. A. von Schrenck-Notzing, *Materialisations-Phanomene*, Miinchen 1923.

7. Jean-Baptiste Delacour, *Aus dem Jenseits
zurück*, Dusseldorf 1973.

8. Friedrich Jiirgenson, *Rosterna fran Rymden*,
Stockholm 1964.

9. Constantin Raudive, *Unhörbares wird hörbar. Beitrag zur experimentellen Parapsychologie*, Remagen 1968.
10. Franz Seidel, *Phanomen Transzendentalstimmen*, Stuttgart 1971.
11. Constantin Raudive, *Erfahrungen mit dem Stimmenphanomen* (w:) „Parapsychika“ 3/1974.
12. Thorwald Dethlefsen, *Das Leben nach dem Leben*, München 1974.
13. Morey Bernstein, *Protokoll einer Wiedergeburt*, Bern 1973.
14. Arthur Ford, *Bericht vom Leben nach dem Tode*, Bern 1973.
15. Belline, *Das dritte Ohr, ein Dialog mit dem Jenseits*, Bonn 1973.
16. Bernhard Philberth, *Christliche Prophetie und Nuklearenergie*, Wuppertal 1966.
17. Nostradamus, *Prophetische Weltgeschichte*, Bietigheim 1971.

18. René Noorbergen, *Leben und Prophezeiungen der Jeane Dixon*, Bietigheim 1969.

19. René Lauretin, *Les Apparitions de Lourdes, Recit authentique*, Paris 1966.

20. René Lauretin, *Uenfance de Bernadette et les premieres apparitions, 7 janvier 1844 a 18fev. 1858*, Paris/Lourdes b. d.

21. René Lauretin, *Lourdes, Documents authentiques*, t. I i II, Paris 1957.

22. Jacques Hochmann, *Thesen zu einer Gemeindepshychiatrie*, Frankfurt 1957.

23. Francis Crick i Leslie Orgel, *Directed Panspermia* (w:) „Icarus" vol 19., s. 341.

24. Ulrich Schippke, *Der Stoff, aus dem Gedanken sind*(w.) „Stern", z 4.7.1974.

25. Werner Keller, *Was gestem noch ais Wunder galt*, Munchen 1973.

26. Pauwels i Bergier, *Aufbruch ins dritte Jahrtausend*, Bern 1962.

27. G. B. Shaw, *Die Aussichten des Christentums*,

Frankfurt 1971.

Literatura dodatkowa

Agrippa H. C, *Magische Werke* (1486).

Alfven Hannes, *Kosmologie und Antimaterie*,
Frankfurt 1969.

Aram K., *Magie und Zauberei in der alten Welt*,
Berlin 1927.

Arnold Franki, *Gemeinschaft der Heiligen und
Heiligungsgemeinschaften*, Lichterfelde-

-Berlin 1909. Asimov Isaac,
Sternstunden der Forschung,

Hamburg 1973.

Baerwald Richard, *Der Okkultismus in Urkunden
(Intellektuelle Phanomene)*, Berlin 1925. Barb A,

Klassische Hexenkunst, Wien 1933. Beal i

Schulze, *Buddhas Leben und Wirken*, Leipzig

1894. Beck C. H., *Menschenziichtung*, Munchen
1969.

Bender H., *Biologie und Biochemie der*

Mikroorganismen, Weinheim 1970. Bender H.,
Parapsychologie, Bremen 1970. Bender H.,
Unser sechster Sinn, Stuttgart 1971. Bender H.,
Telepathie, Hellsehen und Psychokinese,
München 1972. Bender H., *Yerborgene*
Wirklichkeit Olten 1973. Benz E., *Die Vision*,
Erfahrungsformen und Bilderwelt, Stuttgart
1969. *Bhagawadgita, czyli Pieśń Pana*, Wrocław
1988. Blumrich Joseph, *Statki kosmiczne*
Ezechiela, Łódź 1993. Bornsen H.,
Naturwissenschaft an der Schwelle (Studien und
Yersuche), t. VII, Stuttgart
1964. Braunbeck W.,
Korpuskularstrahlen, Stuttgart
1952. Braunbeck W., *Atom-*
Energie, Stuttgart 1953. Buttlar
Johannes von, *Reisen in die*
Ewigkeit, Dusseldorf 1973.

- Calder N., *Das Phanomen der kleinen grauen Zellen*, Dusseldorf 1972.
- Calder N., *Das Lebensspiel*, Bern 1973.
- Centurio N. A., *Nostradamus*, Bietigheim 1971.
- Cumont F., *Die Mysterien des Mithra*, Leipzig 1923.
- Däniken Erich von, *Aussaat und Kosmos*, Dusseldorf 1972.
- Däniken Erich von, *Mój świat w obrazach*, Warszawa 1995.
- Däniken Erich von, *Wspomnienia z przyszłości*, Warszawa 1994.
- Däniken Erich von, *Z powrotem do gwiazd*, Warszawa 1993.
- David-Neel A., *Meister und Schuler, die Geheimnisse der Lamaistischen Weihen*, Leipzig 1934.
- Davis A., *What Your Dreams Mean*, New York 1969.
- Debon (tł.), *Tao-Te-King, Das heilige Buch vom*

Weg und von der Tugend, b. m. wyd. 1964.

Delacour J.-B., *Stimmen aus dem Jenseits*,
München 1973. Delacour J.-B., *Vom ewigen
Leben*, Düsseldorf 1974. Delacour J.-B., *Die
Kunst des Hellsehens und Gedankenlesens*, Genf
1974. Deschner Karl-H., *Kirche des Unheils,
Argumente und Konsequenzen zu ziehen*,
München
1974. Deschner Karl-H., *Der manipulierte
Glaube*, München 1971. Dieterich A., *Eine
Mythrasliturgie*, Leipzig 1923. Dopatka Ulrich,
Kontakt und Echo, (rękopis), Solothurn 1974.

Doye von Sales F., *Heilige und Selige der
romisch-katholischen Kirche*, Leipzig 1929.

Drake R. W., *Gods and Spaceman in the Ancient
East*, b.m.w. 1968. Ducroca A.,
Atomwissenschaft und Urgeschichte, Hamburg
1957. Eberhardt P., *Das Rufen des Zarathustra*,
Ludwigsburg, b. d. Eggenstein K., *Der
Unbekannte Prophet Jakob Lorcher*, Bietigheim

1973. Eibl-Eibesfeld I., *Der vorprogrammierte Mensch*, Wien 1973. Eilers W., *Gesetzesstelle Hammurabis*, (w:) *Der alte Orient*, Leipzig 1932. Einstein A., *Istota teorii względności*, Warszawa 1962. Einstein/Infeld, *Ewolucja fizyki*, Warszawa 1962. Eliade M., *Kosmos und Geschichte*, Dusseldorf 1953. Ernsting Walter, *Wanderer zwischen drei Ewigkeiten*, Dusseldorf 1959. Ernsting Walter, *Sprung ins Jenseits*, Munchen 1967. Falke Robert, *Buddha, Mohammed, Christus*, Giitersloh 1908. Faraday A., *Die positive Kraft der Trdume*, 1972. Figuier L., *Histoire du Merveilleux dans les temps modernes*, Paris 1860. Forell U., *Wunderbegriffe und logische Analyse*, Göttingen 1967. Frese W., *Die Sache mit der Schöpfing*, Munchen 1973. Friedlander Max, *Religionen und Konfessionen*, b.d., b.m.w. Frischauer P., *Es steht geschrieben. Die grofien Dokumente*, Zurich 1967. Gauquelin M., *Die Uhren des Kosmos gehen anders*, Bern

1973. *Edda* poetycka, Wrocław 1986.

Gerber J., *Der Verkehr mit der Geisterwelt Gottes*, Teaneck 1970. *Gilgamesz. Powieść starobabilońska*, Warszawa 1986. Glassenapp H. von, *Die nichtchristlichen Religionen*, Frankfurt 1957. Glassenapp H. von, *Die grofien religionen des Ostens*, Zurich b.d.

Graber Rudolf, *Die Weltreligionen im Blickpunkt Albert Schweitzers*, Berlin 1953.

Haadam K. *Jesus Christus*, Dusseldorf 1949.

Hauck F., *Theologisches Fach- und Fremdworterbuch*, Miinchen-Göttingen 1967.

Hauer J. W., *Toleranz und Intoleranz in der nichtchristlichen Religionen*, Stuttgart 1961.

Heberer G., *Homo — unsere Ab- und Zukunft*,
Stuttgart 1968.

Heiler Friedrich, *Die religionen der Menschheit*,
Berlin 1962.

**Heindel Max, *Die Weltanschauung der
Rosenkreuzer*, Zurich b.d.**

Heisenberg W., *Physik und Philosophie*, Berlin
1959.

**Heli V. i H., *Die große Wallfahrt des
Mittelalters*, Tübingen 1964.**

Hesse P. O., *Der jüngste Tag*, Bietigheim 1967.

**Hiltgart L. Keller v., *Reclams Lexikon der
Heiligen und der biblischen Gestalten*, Stuttgart
1968. Hoenn K., *Sumerische und akkadische***

***Hymnen und Gebete*, Zurich 1953. Horney K.,
Unsere inneren Konflikte, München 1973.**

**XXXXXXXXXXXXXXXXX Hubner Paul, *Vom
ersten Menschen wird erzählt*, Dusseldorf 1969.**

**Huson P., *The Devil's Picture Book*, New York
1971. Iranschar H. K., *Zarathustra-Worte*, Olten**

1968. Jacobson N. O., *Leben nach dem Tod?*,
Dusseldorf 1973. Jeremias A., *Leben nach dem
Tod?*, Dusseldorf 1973. Jordan Placidius,
Antwort aufdas Wort, Munchen 1969. Jung-
Stilling, *Theorie der Geisterkunde*, Niirnberg
1808. **Kahl J., *Das Elend des Christentums,
Pladoyer fur eine Humanitat ohne Gott,*
Hamburg**

1968. Karlins M. i Lewis, *Biofeedback*,
New York 1972. **Kehl Robert, *Sexus
undfalsche Schuldgefuhle*, Zurich 1965.
Kehl Robert, *Jesus, der grofite Betrogene
aller Zeiten*, Zurich b.d. Kerner Justinus,
Die somnabulen Tische, Stuttgart 1853.
Keller-Grimm M., *Im Lichte des Meisters*,
Ratingen 1970. **Koch H., *Constantin der
Grofie und das Christentum*, wyklad,
Munchen 1913. Koestler A., *Die Wurzeln
des Zufalls*, Bern 1972. Krassa Peter, *Ais
die gelben Got ter kamen*, Munchen 1973.****

Krassa Peter, *Gott kam von den Sternen*,
Freiburg 1974. Kurth H., *So deute ich
Traume*, Munchen 1968. Lehmann
Johannes, *Die Jesus GmbH*, Dusseldorf
1972. Lehmann Johannes, *Jesus Report*,
Dusseldorf 1970. **Leipoldt J., *Von der
Mysterien zur Kirche*, Leipzig 1961.**
**Leipoldt J., *Die Religionen in der Umwelt
des Urchristentums*, Leipzig 1926.** Leipoldt
J., *Dionisos*, (w:) „Angelos-Beiheft 3/1931.
Leipoldt J., *Die Religion des Mithra*, (w:) Dr.
Haas *Bildatlas*, Leipzig 1930. **Lestrel H.,
Fabrikation von Menschen, Munchen 1971.**
Lindenberg W., *Über die Schwelle*, Munchen
1973. Lindner H., *Physik im Kosmos*, Leipzig-
Köln 1971. **Lindquist St., *Siddhi und Abhinna,
eine Studie über die klassischen Wunder des
Yoga*,**
Uppsala 1935. **Lobsack Th., *Die
unheimlichen Moglichkeiten oder die***

manipulierte Seele, Dusseldorf

1967. Lovell Bernh, *Signale aus dem Weltall*, Munchen 1970.

Maeder A., Selbsterhaltung und Selbstheilung, Munchen 1947.

Magopholis, Neue Galerie des Geheimnisvollen, Weimar 1860.

Manns P., Die Heiligen in ihrer Zeit, Mainz 1966.

Mattiessen E., Leben und Werke der heiligen Margareta Maria Alcoque, Heidelberg 1926.

Mattiessen E., Das personliche Oberleben des Todes, b.m.w. 1936. Mensching Gustaw, *Die Sohne Gottes*, Wiesbaden b.d.

Monroe R. A., *Der Mann mit den zwei Leben*,
Dusseldorf 1972.

Montgomery R., *Die Voraussagen der Jeane
Dixon*, Hamburg 1965.

Osten-Sacken von d. P., *Die neue Kosmologie.
Astronomen auf der Suche nach der*

Wirklichkeit unserer Welt, Dusseldorf 1974.

Pakraduny T., *Die Welt der geheimen Mächte*,
Wiesbaden b.d. Panaiilar Raimundo, *Religionen
und die Religion*, Miinchen 1965. Paul VI,
papież, „Credo ludu Bożego”, wygłoszone na
zakończenie roku wiary 30 czerwca

1968 roku, Leutersdorf a. Rh. 1968. Peek W.,
*Fünf Wundergeschichten aus dem Asklepieion
von Epidauros*, Berlin 1963. *Popul Vuh. Księga
rady narodu Quiche*, Warszawa 1980.

Popp/Pleticha, *Wir leben seit fünf Sekunden*,
Wiirzburg 1970. Pruyser P. W., *Die Wurzeln des
Glaubens*, Bern 1968. Rahner K., *Visionen und
Prophezeihungen*, Basel 1958. Rahner K.,

Kleines Konzilskompendium, Freiburg 1968.

Rebut R., *Les messages de la vierge Marie*, Paris 1968. Robb St., *Prophecies on World Events, by Nostradamus*, New York 1972. Rosenberg A., *Macht und Wirklichkeit des Bösen*, München 1958. Riieg W., *Die ägyptische Gotterwelt*, Zürich 1959. Riieg W., *Kulte und Orakel im alten Agypten*, Zürich 1960. Riieg W., *Zauberei und Jenseitsglaube im alten Agypten*, Zürich 1961. Sacharow B. Yogi, *Das Öffnen des dritten Auges*, München 1958. Saher P. J., *Ewlution und Gottesidee*, Ratingen 1967. Saher P. J., *Die verborgene Weisheit*, Wuppertal 1971.

Sausseret P. M., *Apparitions et Revelations de la tres Sainte-Vierge*, Paris 1854. Schirmbeck H., *Ihr werdet sein wie die Gotter*, Düsseldorf 1966. Schlemmer J., *Sind wir allein im Kosmos*, München 1970. Schnapper Edith B., *Religion ist Einheit*, Zürich 1954. Schrader H. L., *Der achte Tag der Schopfung*, Frankfurt

1964. Schultze H., *Die biologische Zukunft des Menschen*, Frankfurt 1971. Schure E., *Die grofien Eingeweihten*, Miinchen 1955.

Sherman W., *How to Make EPS Work for You*, New York 1964. Sinclair U. *Radar der Psyche*, Bern 1973.

Spalding B., *Leben und Lehren der Meister im Fernen Osten*, Miinchen 1961. Stabell

Th., *Lebensbilder der Heiligen*,

Schaffhausen 1865. Stadler J.,

Vollstdndiges Heiligen-Lexikon, Augsburg

1858. Stadler W., *Botschaft Jesu*, Freiburg

1973. Stadter E., *Psychoanalyse und*

Gewissen, Koln 1970. Stauffer Ethelbert,

Die Botschaft der Jesu damals und heute,

Bern 1959. Stauffer Ethelbert, *Jerusalem*

und Rom im Zeitalter Jesu Christi, Bern

1957. Stauffer Ethelbert, *Jesus. Gestalt und*

Geschichte, b.m.w. 1957. Stange Hans

O.H., *Die Weisheit der Konfutse*, Frankfurt

a.M. 1964. Stearn J., *Der schlafende Prophet*, Genf 1968. Stearn J., *The Searchfor a Soul*, New York 1973. Steiger Bred, *Mysteries of Time and Space*, Englewood Cliffs 1974. Stelter A., *PSI-Heilung*, Bern 1973.

Stiefvater E. W., *Beitrdge zum Problem des Magnetismus*, b.m.w., b.d. Stock, *Grofies illustriertes persisch-dgyptisches Traum-Buch*, Wien 1912. Stutterheim W., *Rama-Legenden und Rama-Reliefs in Indonesien*, Miinchen 1925. Sullivan N., *Die Botschaft der Gene*, Frankfurt 1969.

Taylor J., *Die schwarzen Sonnen*, Bern 1974.

Tazzi C, *Soeur Marie-Madelaine*, Paris 1945.

Teilhard de Chardin, *Die Zukunft des Menschen*,
XXXXXXXXX Olten 1963.

Teilhard de Chardin, *Die entstehung des
Menschen*, XXX Miinchen 1961.

Teilhard de Chardin, *Der Mensch im Kosmos*,
XXXXXXXXXXXX Miinchen 1959.

Trede Th., *Wunderglaube im Heidentum und in
der alten Kirche*, Gotha 1901.

Tucholsky Kurt, *Schnipsel*, Reinbek 1973.

Tyrell G. N. M., *Mensch und Welt in der
Parapsychologie*, Bremen 1947.

Ullmann L., *Der Koran, das heilige Buch des
Islam*, Miinchen 1964.

Veith I., *Psychiatrie Thought in Chinese Medicine*,
(w.) „Journal of the History of Medicine
and Allied Sciences", v. X, 3/1955. Vogt H. H.,
Das programmierte Leben, Riischlikon 1969.

Vries T. de, *Der Mensch im wachsenden Weltall*,

Miinchen 1968. Warner S. J., *Ein Psychotherapeut berichtet von Selbstzerstörung und Selbstverwirklichung*,
Dusseldorf 1969. Weigert H., *Kleine Kunstgeschichte der aufiereuropaischen Hochkulturen*, Stuttgart 1954. Wezsacker-Gopi Krishna, *Biologische Basis der Glaubenserfahrung*, Weilheim 1973. Wetter G., *Der Sohn Gottes*, Göttingen 1916.
Widengren G., *Iranische Geisteswelt von den Anfängen bis zum Islam*, Baden-Baden 1961.
Wimmer O., *Handbuch der Namen und der Heiligen*, Innsbruck 1966. Zehren E., *Der gehenkte Gott*, Berlin-Grinewald b.d. Zink Jórg, *Das alte Testament*, Stuttgart 1966. Gupta, *Essense of Religion*, New York 1940. Biblia Tysiąclecia, Poznań-Warszawa 1990

Prace opublikowane w czasopismach

Walter Nigg, *Verabschiedung des Christentums*,

(w:) „Reformierte Schweiz" 4/1951. Christian Lipp, *Sind Katholiken dummer?*, (w:) „Die Weltwoche" z 28.12.1973. Helmut Eichelin, *Die Jesus Bewegung — was ist aus ihr geworden?*, (w:) „Esotera" 4/1973. Friedrich Baumgartner, *Wie von einer unsichtbaren Riesenfaust gehoben*, (w:) „Esotera"

9/1973. Schmidt K. O., *Direkte Yerbindung von Seele zu Seele*, (w:) „Esotera" 3/1974. Erich Wunderli, *Beweise fur die Unsterblichkeit*, (w.) „Esotera" 5/1974. Francesco Piccolo, *Der Nazarener hat gesiegt*, (w:) „Esotera" 6/1974. Rudolf Passian, *Erziehung durch Erinnerung anfriihere Leben*, (w:) „Esotera" 7/1974. Robert Kehl, *Der Mensch kehrt zu Gott zuruck*, (w.) „Die Religionen des modernen

Menschen" z. 1. Robert Kehl, *Die Kraft des positiven Denkens und die kritische Religionsverkiindigung*,

(w:) „Die Religionen des modernen

Menschen" z. 5. Robert Kehl, *Ein neues Schriftprinzip*, (w:) „Die Religionen des modernen Menschen" z. 6. Robert Kehl, *Lanzen für Paulus*, (w:) „Die Religionen des modernen Menschen" z. 7 a. Robert Kehl, *Ein Wort wird gestrichen (Christ und Christentum)*, (w:) „Die Religionen des modernen Menschen" z. 11. Robert Kehl, *Das Ende des traditionellen Christentums*, (w.) „Die Religionen des modernen Menschen" z. 12. Robert Kehl, *Wahre Toleranz — eine Voraussetzung auch für den Weltfrieden*), (w:) „Die Religionen des modernen Menschen" z. 15.

Robert Kehl, *Das Ende der Theologenherrschaft*,

(w:) „Die Religionen des modernen

Menschen" z. 16. Robert Kehl, *Den Alten ist gesagt worden — ich aber sage Euch, oder „was wurde Jesus*

heute sagen?", (w:) „Die Religionen des modernen Menschen" z. 19. Robert Kehl, *Ein sonderbarer heiliger Geist*, (w:) „Die Religionen des modernen

Menschen" z. 12 c.

Spis treści

Słowo wstępne

5

I. Czy można mówić o objawieniach?

7

Więcej niż połowa ludzkości wierzy w cuda — *Rosa mystica* — Wielki dzień Montichiari — Źródło w Fontanelle — Hostie dla Fatimy, papieża i wiernych — „Osaczanie” fenomenów — Skrwawiona chusta z Iborry — Fluoryzujące zwłoki — Objawienia pozostawiają ślady — Kłosa na cześć Pana — Nawrócenie przez cud

— Nagroda za dochowanie wiary — Matka Boska w akcji — Ludu, popraw się! — Objawienia zawsze i wszędzie — Objawienia biblijne — Któż nie powołuje się na objawienia? — Czy objawienia są przywilejem wybrańców?

—Fatima — Cud słońca w Fatimie — Czy dzieci są uprzywilejowanymi odbiorcami objawień? — Cztery dziewczynki na Callei — Anioł się przedstawia... — Procesja w Carabandal — Maria jest zawsze przy tym — Przesłuchanie i raport — Święty Michał przybywa z wybiciem godziny 20⁰⁰ — Objawienia seryjne — Jakie były dalsze losy dziewczynek? — Cud z hostiami — Ostatnie objawienie — Maria Cruz odwołuje swoje słowa! — Co nie mogło się zdarzyć w Carabandal? — Nieubłagana Madonna — Czy Maria nie rozumie dzieci? — Objawienia faktem społecznym —

Dlaczego nigdy nie było cudów na placu św. Piotra?
— Cud słońca Anno Domini 1950 — Historia jak z
powieści kryminalnej — Inkwizycja w Heroldsbach
— Heroldsbach też miało swój cud słońca — *Cuius
regio, eius religio* — Objawienia dla dorosłych
— Objawienia nie znają granic — Zjawa wybiera
konwertytę — Czy

szczególnie predysponowani? — Przywileje
personelu niebiańskiego

—Duch Święty - koronny świadek — Wielka
polityka robiona za pomocą objawień —
Katarzyna ze Sieny — Joanna z Domremy — Z
akt procesu — Joanna między frontami — Joanna
zwycięża! — W krzyżowym ogniu pytań na
temat objawień — Zjawy nie boją się kon-
kurencji — Joseph Smith - założyciel religii
objawionej w widzeniach

—Objawienia w Kairze — Depcząc cudom po
piętach — Chciałbym mówić z Mamą Rosą... —
Grusza zakwitła jesienią — Mama Rosa gawędzi
z Matką Boską — Kościół zachowuje rezerwę —
Zaczekajmy lat kilka albo kilkadziesiąt... — Czy
te zjawiska można wytłumaczyć?

**II. Ewangelie + listy apostołskie + księgi
prorocze + księgi historyczne
= słowo Boże?**

Wiedza tajemna? — Niewiedza chrześcijan —
Zawsze nieomylny
— Gwoli prawdzie — Dziwne „teksty pierwotne”
— Szlachetne bałamuctwo — W jakim stopniu
Pismo Święte jest święte? — Chrześcijańska
naiwność — Jak wszystkim pokierowano —
Pierwszy Sobór
— Jezus będzie równy Bogu — Drugi Sobór —
Ojciec, Syn i Duch Święty — Trzeci Sobór —
Kult Maryjny — Czwarty Sobór — Dwie natury
Jezusa. Prymat Rzymu — Piąty Sobór —
Odstępcy od słowa Bożego są kacerzami —
Dogmat Jezusa — Grzech pierworodny — Adam
i Ewa w raju — Grzech popełniony nieświadomie
— Skąd wziął się diabeł, skąd wąż? — Niepojęty
gniew Boży — Niebezpieczne dogmaty — Kim
był Jezus? — Do jakiej szkoły uczęszczał Jezus?

— Saduceusze i faryzeusze — Esseńczycy —
Relacje Filona z Aleksandrii

—Relacje Józefa Flawiusza — Przypadkowe
odkrycie nad Morzem Martwym — Jezus
epigonem? — Czy Jezus żył wśród
esseńczyków?

—Dzień, w którym zacząłem myśleć — Jezus
Chrystus Superstar

—Podsumowanie moich wywodów — Jezus się
usamodzielnia — Jezus śledzony — Najbardziej
dramatyczna scena literatury światowej —
Wnioski — Ale dogmat Jezusa... — Wiara i
religia — Podobieństwa i różnice w tekstach
biblijnych — Ojcowie, ojcowie! — Niepokalane
poczęcie — Luka w pamięci św. Jana —
Poszukajcie u Mateusza! — Jezus łagodny —
Surowo, bardzo surowo! — Tak - tak, nie - nie!
— Miłosierdzie — Narcyz — Brak wspólnego
mianownika — Człowiek z ulicy — Niedziela dla
kapitalistów — Zjawa? — On chyba „odszedł od

zmysłów" — Czy Syn Boży był grzeszny? — Czy uczniowie rozumieli słowo Jezusa? — Nigdy was nie znałem... — Poinformowany przez najwyższe

272

czynniki — „Ty mówisz...” — Nie są „jednym” —
Zasłyszane w sądzie
— „Go mówię wam w ciemności...” — Oskarżony
bezpodstawnie?
— Jak było naprawdę z Judaszem? — Podejrzane
dochodzenie — Jak brzmiały ostatnie słowa
Jezusa? — Niewiasty u grobu — Osobliwa reakcja
apostołów — Wniebowstąpienie — *Cruc
interpretum* — Jeden z milionów — Powszechność
wiary chrześcijańskiej — Ile wcieleń Syna Bożego?
— Ryzyko dla chrześcijaństwa — Jezus-
kosmonauta — „U-dowodnić” można wszystko —
Kompletna bzdura — Cztery punkty

III. CUD — ukochane dziecko WIARY

122

Lourdes — Święta Bernadetta - magnes Lourdes —
Jak dokonuje się cud? — *Countdown* nim cud się
dokona — Rewelacyjny przypadek Gabriela

Gargama — Klientela: przeważnie kobiety —
Cudowna woda
— woda do picia! — Dlaczego nie cud
prawdziwy? — Uzdrawienie czy
euforia? — Cud z wódką? Pomysł pijanego! —
Jasnowidzące dzieci
w akcji — Kościół gromadzi dokumentację —
Kościół w newralgicznym
punkcie swej władzy widzialnej — Ojciec Pio —
Stygmaty w winnicy
—Wszechstronnie utalentowany — Stygmatyzm
— Święta choroba
—Trzy obrazy choroby — Klucz do rozwiązania?
— *Biofeedback* —Życzenie, wola, sugestia —
Stygmaty - atrakcja *show* — Przyjemność bycia
świętym — Religia źródłem przyjemności — Cuda
można wytłumaczyć—Zaczyna świtać! —
Psychodrama — Uzdrawienie przez *tao* - wieczny
porządek Wszechświata — Trening autogenny i
sen w świątyni — Dobrzy bogowie uzdrowiciele

— Uzdrawianie muzyką
— Dostojne towarzystwo — Terapia grupowa —
Święci chiroteci — Cudowny wiaź z Soissons —
Sugestia, autosugestia, hipnoza — Już ludy
pierwotne znały cudowne uzdrowienia —
Niechrześcijańskie uzdrowienia dzięki woli,
koncentracji i „wierze” — Paracelsus wiedział o tym
przed 450 laty — *Christian Science* — Mary Baker-
Eddy — Lecz się sam, a będziesz zdrowy —
Szczęśliwa godzina Mary — Biblia *Holy Mary*
zdobywa rynek — Widać ład! — Żądni cudów są
zawsze gotowi
— U świętych źródeł — Mojżesz wyczarowuje wodę
ze skały — Trzeba mieć taki dar — Pobożnemu
ródźka niepotrzebna — Znaki zapytania
— „Tropiciele” świętych źródeł — Cud z gruszą
Mamy Rosy — Choroba - dar od Boga? — Lekarze
ducha — Ciała zmarłych nie ulegają rozkładowi —
Cud należy wykluczyć — Groby specjalne —
Wzrok profanów niszczy cuda — Nawet Jezus nie

wierzył w cuda — Wierzę w Boga

273

istnieją

Trochę *science fiction* — Na początku był tylko „duch” — Tworzywo świata — „Duch” = energia — Energia nie ginie — Zjawiska materializacji — Bez siatki zabezpieczającej i podwójnego dna — Badania w Paryżu i Londynie — Czy zmarli emitują przeobrażoną energię?

—Wiadomości z „tamtego świata” — Głosy transcendentalne — Każdy może polować na głosy — Chodzi tylko o energię świadomości

—Przez hipnozę w przeszłość? — Moja trójca — Utopijne rzeczywistości? — Najpierw jest zawsze hipoteza — Model myślowy — Jan bez słownika technicznego — Justinus Kerner i

jasnowidząca z Prevorst

—Impulsy energii świadomości z tamtego świata? — Wizjonerka o swojej sytuacji — Udokumentowany przykład prekognicji — Wnioski wyciągane z mojego punktu widzenia — Prorocy zapowiadają głównie nieszczęścia — Jeane Dixon z Waszyngtonu — Wywiad z jasnowidzącą

—„Coś" — Mitologia i kontakty z tamtym światem — Ciało astralne, aura, prasiła — Efekt Kirliana — Gdzie zaczyna się świat duchów?

—Czy objawienia są związane z miejscem i czasem? — Matka Boska z mgły i obłoku — Objawienia z wyładowań elektrycznych — Materializacje — Wnioski — Atom społeczny — Dlaczego miejsce i czas muszą być ustalone? —

Do kontaktu potrzebny jest partner — Przezwyciężenie czasu i przestrzeni — Sztafety „jednakich” — Przyroda nie może czynić czarów — Przypadkowy punkt TERAZ — Łączność międzyplanetarna — Uczucia, obrazy, muzyka i symbole jako media

—Molekuły pamięci — Lewitacje — Błąd planowania kosmitów?

—Fenomen Leonarda da Vinci — Nadzwyczajne możliwości mózgu

—Co widzą wizjonerzy? — Co odczuwają dzieci-wizjonerzy? — Alternatywa: DOBRO albo ZŁO — *Advocatus diaboli* — Co zawdzięczamy objawieniom?

**Przy
pisy**

261